



DONNA
ANDERS

Drugie życie



Prolog

Krzyk wypełnił ciemność niewidzianym przerażeniem. Chłopiec gwałtownie wyprostował się w łóżku. Próbował się zorientować. Był w swoim pokoju. W kuchni, po drugiej stronie korytarza, ojciec wrzeszczał na matkę. Przeszył go dreszcz, dostał gęziej skórki. Zaczął szczękać zębami. Wiedział, co te hałasy oznaczają.

Czy ona nie rozumie, że nie powinni doprowadzać go do szaleństwa?

Jesteś niedobra, jesteś niedobra, powtarzał po cichu. Dłonią zakrył uszy, by stłumić docierające do niego odgłosy. To mama zawsze powo-
dowała, że ojciec źle postępował — tak jak to tata mówił. Sześciolatek chłopiec nie mógł sobie przypomnieć, by tata nie bił mamy. Bo nie słuchała go.

Sytuacja pogorszyła się, kiedy przenieśli się nad jezioro w lesie. Kiedyś mama nie mogła wstać z łóżka, by pójść na niedzielne spotkanie bractwa ewangelicznego. Też chciał ją uderzyć, bo tata kazał mu zostać z nią w domu. Chłopiec lubił członków bractwa, którzy jako jedyni ludzie w Idaho byli dla niego mili. Mówili, że wyrosnie na wspaniałego człowieka, takiego jak jego ojciec. Chociaż ich słowa wprawiały chłopca w zakłopotanie, czuł się dumny i lepszy niż te dzieciaki ze szkoły, które wołały na niego „ten od dziwaków”.

Głośne uderzenie wstrząsnęło domem. Mama od razu zaczęła płakać. Chłopiec powstrzymał się od krzyknienia, by przestali. Kiedyś krzyknął i tata uderzył go tak mocno, że głowa bolała go przez kilka dni. *Dlaczego mama nie chce go słuchać?*

— Zamknij mordę!

Głos taty tłumił inne odgłosy. Chłopiec niemal widział jego oczy błyszczące dziwną przyjemnością. Owinął się kocami i próbował znów myśleć o miłych braciach.

Pragnął, żeby mama wciąż brała udział w spotkaniach; wszystko układałoby się wtedy lepiej. Ale już nie lubiła Boga albo braci. Kiedyś chłopiec podsłuchiwał pastora, który mówił, że jest nierównoważona, bo poroniła.

— Utraciła potomstwo, bo sama jest dzieckiem niesłubnym; została poczęta w grzechu.

Co to znaczy niesłubnym? Chłopiec uznał, że oznacza to „zła”.

Bracia współczuli ojcu chłopca. — Bóg wybiera silnych ludzi, by brali na siebie ciężkie brzemię — pastor powiedział kiedyś tacie. — Bóg pobłogosławił cię wspaniałym synem.

Chłopiec stał się jeszcze bardziej zdezorientowany. Wiedział, że jeśli Bóg wybrał tatę, to on nie może być złym człowiekiem. Bóg po prostu nie lubi mamy, może dlatego, że ostatnio zachowuje się dziwnie. Tata bije ją dziś wieczorem, bo za późno przygotowała kolację i dom zaśmiecały brudne ubrania i naczynia.

Rozumiał, dlaczego tata wpadł w wściekłość. Przez cały tydzień chłopiec wkładał tę samą koszulę do szkoły. Bo nie było czystych. Dzieci śmiały się z niego, wyzywały go od skunksów. Uciekł wtedy ze szkoły, ale mama nawet tego nie zauważyła.

Cisza, która nagle zapadła, napełniła go lękiem. *Czy to koniec?* Stopniowo ciszę wypełniały inne odgłosy. Nieregularne uderzenia i walnięcia przypominały hałas czyniony przez zwierzę, które wpadło do jednej z pułapek zastawionej przez tatę w lesie i objało się o jej ściany.

Chłopiec wyslizgnął się z łóżka i podszedł do drzwi pokoju. Nastuchiwał. Nie było mu już zimno. Por spływał mu po plecach, flanelowa pizama przykleiła się do skóry. Zaciśnął palce na gałce u drzwi, potem zawahał się. Odgłosy prawie zanikły.

Poszli spać?

Tata, po tym jak pobił mamę, zawsze wpychał ją zaraz do ich sypialni. Chłopiec zastanawiał się, co oni tam wtedy robią, że łóżko skrzypi tak długo po zamknięciu drzwi.

Kiedy nagle uderzenia zaczęły następować znacznie szybciej, ciekawość przewyciężyła strach. Chłopiec podczołgał się korytarzem w kierunku kuchni. Zawahał się przed wejściem na oświetloną prze-

strzeń i zerkał zza rogu. Woda lejąca się głośno z kranu przyciągnęła jego wzrok do zlewu.

Zamarł mu oddech.

Matka miała sukienkę rozerwaną do pasa i chłopiec zobaczył, że jej plecy pokrywa siatka szkarłatnych śladów po uderzeniach. Tata podniósł ją z podłogi i wepchnął głową do zlewu. To zwisającą stopą, którą próbowała dotknąć podłogi, waliła w drzwi szafki. Małe odpryski farby leżały na linoleum niczym płatki śniegu.

Chłopiec patrzył, jak tata napiera na nią ciałem, palce zaciska we włosach i mocniej wypycha jej głowę do napełnionego zlewu. Mimo że chłopiec stał w ukryciu, był przerażony. Chciał uciec, ale jego nogi nie posłuchałyby polecenia. Zastanawiał się, dlaczego tata ma spodnie opuszczone do kostek. Nigdy wcześniej nie widział go nago.

Potem ciało mamy stało się bezwładne.

— Ty suko, weźmiesz, co ci daję.

Tata mówił zadyszczanym głosem, z trudem wydobywał słowa z ust, podczas gdy całym ciałem wykonywał gwałtowne rytmiczne ruchy, przyciskając się do nieruchomej mamy. Chłopiec stał zahipnotyzowany ruchami gołego tyłka taty. Mięśnie na nim tworzyły białe kule, jak-
by same były żywymi istotami.

Nagle tata mocno zadrżał i jeszcze bardziej wepchnął twarz mamy do zlewu. Woda rozprysła się wokół i zmoczyła oboje rodziców.

— Uch. Uch! — wysapał tata i puścił mamę, która zsunęła się na podłogę niczym kupa szmat. Przez chwilę chłopiec zastanawiał się, czy to rzeczywiście jest jego mama. Wytrzeszczone oczy i blada twarz mamy należały do kogoś innego.

Tata wyglądał jeszcze dziwniej. Jego zaczerwienioną twarz pokrywały kropelki potu. W oczach odbijało się światło z żarówki przy suficie. Szklisty wzrok jak w gorączce przeraził chłopca, który cofnął się w cień.

Z tatą też stało się coś bardzo złego.

Miał siusiaka na wierzchu. Narząd był napęczniały i przypominał jeden z tych grzybów z włoskami, które mama każdej jesieni wkładała do puszek. Na jego końcu wisiała biała kropla, jakby coś z niego wyciekło.

Chciał podejść do nich, uspokoić się, ale nie mógł się ruszyć. Nie mógł mówić. Kompletne przerażenie przytrzymało go, tak jak tata trzymał twarz mamy pod wodą.

Ogarnęły go wątpliwości. Jakiś mrok zdawał się unosić nad jego myślami. Nigdy nie był tak przerażony. Nie wiedział, co to jest, nie chciał wiedzieć. To coś nie pozwoliło mu wbiec do kuchni.

Żeby nie robić hałasu, wycofał się ostrożnie w przyjemne ciemności domu. Pozwolił, by ich pustka wypełniła mu umysł, wymazała wszystko, co widział. Kiedy znalazł się w łóżku, naciągnął nakrycie na głowę. Noc otuliła go jeszcze raz.

Nigdy nie będzie myślał o tym, co zobaczył. Tata nigdy nie dowie się, że miał niedobre myśli. A jutro rano nie będzie zły na mamę, nawet gdy będzie musiał znów włożyć tę starą koszulę.

Przez dłuższą chwilę nic nie słyszał. Próbował nie myśleć o swoim siusiaku, który w dziwny sposób wydawał się napełniać powietrzem. Chłopiec zamknął oczy i zaczął się modlić.

— Boże, nie pozwól, żeby *coś takiego* mi się zdarzyło.

Drzwi z tyłu domu, od strony jeziora, otworzyły się i zamknęły. Chwilę później usłyszał, że znów się otwierają i zamykają. Potem cisza wypełniła dom.

Po chwili pod kocami zrobiło się za gorąco. Chłopiec oddychał z trudem. Powoli ściągnął nakrycie i nabrał do płuc chłodnego powietrza. Ale to nic nie pomogło. Czuł, że serce ciąży mu, zaciska się w piersi.

Otwarcie oczu też nie pomogło. Zdawało się, że mrok, który otaczał jego umysł, rozszerzył się, pokrył ciemność grubą, ciężką mgłą.

Chłopiec poddał się temu.

CZEŚĆ PIERWSZA

Jesień 1996, San Francisco

Rozdział 1

Sharon Moore nagle odczuła niebezpieczeństwo. Objawiło się jako ból z tyłu szyi. Stała na krawężniku i zamykała drzwi samochodu. Choć ulica Haight przeczną dalej była pełna ludzi i dobrze oświetlona, to w bocznej alei ciągnącej się wzdłuż wąskich wiktoriańskich domów panowały ciemności. Odwróciła się szybko i popatrzyła na chodnik z popękanego i pokruszonego betonu. Był równie stary jak stuletnie domy, które opierały się jeden o drugi i wychylały jakby do przodu w kierunku stromych schodów.

W oddali jakaś kobieta wyprowadzała psa, a mężczyzna parkował motocykl. Nie zauważyli nawet, że ktoś oprócz nich jest na ulicy.

Nie panikuj, powiedziała sobie. *On* nie wie, że jesteś tutaj.

Sharon założyła torebkę na ramię i ruszyła w kierunku Haight. Musiała się spieszyć. Jej przyjaciółka, Lexi Steward, dziś wieczorem wcześniej zamyka swój sklep. I tylko Bóg będzie mógł mi pomóc, jeśli na czas nie będę w domu, przypomniała sobie ponuro.

Sharon nie zdała sobie sprawy, że prawie biegła, zanim dotarła do jasno oświetlonej ulicy. Musiała poczekać na światłach. Znajdujący się po drugiej stronie ruchliwej jezdni sklep Szykowny Kociak był koloro-

wo oświetlony. Okna wystawowe udekorowano flagami, maskami i manekinami ubranymi w stroje zaprojektowane przez Lexi. Nad oknami sąsiadowały z dachem łukowe gzymsy ozdobione pozłacanymi listkami. Na dachu dwa kamienne gargulce strzegły królestwa Lexi.

Sharon uśmiechnęła się. Jej przyjaciółka ze studiów nie wyrobiła sobie jeszcze nazwiska w Nowym Jorku, ale była dobrze znana w San Francisco. Kobiety, które chciały wykreować własny styl, przychodziły do Lexi. Jej oryginalność stała się legendą na Haight — ulicy, która była również domem dla undergroundowych gazet, artystów, ulicznych grajków, różnych parapsychologów i innych ludzi miasta.

Sharon zatrzymała się przy wejściu do Szykowego Kociaka. Czeakała, aż dwie trajkoczące między sobą kobiety wyjdą na zewnątrz. Ręce miały pełne pakunków. Uśmiechnęła się, widząc ich radość z zakupów. Sharon zazdrościła Lexi niezależnego charakteru i absolutnego zaufania w swój talent do projektowania odzieży. Uczciwość artystyczna Lexi przelewała się na jej klientki, które przychodziły tutaj po jedyne w swoim rodzaju ubrania i kunsztowne kapelusze. Ile to lat temu ja poczulałam wiatr w plecy? — zastanowiła się Sharon.

Pytanie pojawiło się mimo woli, podobnie jak odpowiedź. Nie tego dnia, prawie siedem lat temu, kiedy Paul przyszedł do agencji reklamowej, gdzie pracowała, i urzekł ją swoją inteligencją, urokiem i umiejętnością radzenia sobie w każdej sytuacji. Był całkowitym przeciwieństwem jej ojca. Jej oboje rodzice byli artystami i żyli albo ponad stan, kiedy dostali niespodziewane zamówienie, albo w biedzie, gdy nie mieli zleceń. Mimo że prowadzili cygańskie życie, byli kochającymi rodzicami. Ona sama, kiedy dostała stypendium w college'u, wybrała sztukę użytkową. Przedłożyła ustabilizowane życie nad niepewność. Jaka była naiwna, wierząc, że życie to gotowy scenariusz.

— O mój Boże! — Przytrzymując drzwi, jedna z kobiet stanęła jak wryta. Rzuciła spojrzenia na Sharon i na manekin stojący w oknie wystawowym za nią. — Chyba jesteście bliźniaczkami. — Przyglądała się ich delikatnym rysom, krótkim ciemnym włosom, brązowym oczom i szczupłym sylwetkom.

— A ten wyższy manekin z jasnymi włosami i niebieskimi oczami wygląda jak pani Steward — rzekła druga kobieta. — Nie zauważyłam tego wcześniej. Zdziwiający.

— Niezapełnie — uśmiechając się, odparła Sharon. — Lexi Steward to moja najlepsza przyjaciółka. Znajomy rzeźbiarz wykonał ma-

nekiny na nasze podobieństwo. — Palcami odgarnęła do tyłu miękkie i delikatne włosy. Sprawiało frajdę, kiedy ktoś zauważył manekiny Lexi i Sharon. Ten pomysł był typowy dla Lexi. Nawet niektóre z masek na Halloween, które sprzedawała każdego roku, były karykaturami przyjaciół. Wszystkim pochlebiało to, że znajdują się na tej wystawie potworów. Jedyne Paul się wściekał, przypuszczalnie dlatego, że maska odzwierciedlała jego prawdziwy charakter.

— Lexi lubi, jak wszystko w jej sklepie jest wyjątkowe, włącznie z manekinami — wyjaśniła Sharon. — Widzicie tę figurę chłopca z kręconymi włosami, która stoi w rogu? Tę w kostiumie na Halloween, obok masek. Przypomina mojego pięcioletniego syna, Davida.

Obie kobiety z uśmiechem na ustach przesunęły się i Sharon weszła do sklepu. Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że się spóźniła. Lexi pomachała do niej z drugiej strony sali, gdzie pomagała klientce. Poprowadziła ją do masek i kostiumów, które piętrzyły się na stole z tyłu sklepu przy przebieralniach. Wiedziała, za kogo chciałby się przebrać David na Halloween — za Chudego z „Toy Story”. Lexi miała taki kostium w sklepie.

— Odłożyłam strój dla Davida — rzekła swoim gardłowym głosem, podchodząc z tyłu do Sharon.

— Dzięki. Jest tak przejęty... — Sharon schyliła się, by podnieść maskę duszka Gaspera, która upadła na podłogę. — Mam tylko nadzieję, że do zabawy w szkole minie mu przeziębienie.

Uśmiechając się, Lexi wzięła maskę od Sharon. — Za bardzo się martwisz o Davida. Dzieci, kiedy pójdą do szkoły, łapią wszystkie choroby.

Sharon skinęła głową. — Ale David jest taki chorowity. Gdyby tylko mógł... — Zamilkła.

— Być tylko z tobą?

Zapadła cisza.

— Sharon, dobrze wiesz, jaki jest na to sposób — rzuciła Lexi. Potem kontynuowała łagodnie: — Zawsze byłaś zdecydowaną osobą. Teraz też powinnaś.

— To nie takie łatwe, Lexi. Wiesz, co się stało zimą, kiedy byłam w schronisku dla kobiet. Paul zjawił się z pisemnym oświadczeniem naszego lekarza rodzinnego, który stwierdził, że jestem niezrównoważona. Miał też oświadczenia sąsiadów i przyjaciół, którzy określili go jako opiekuńczego, kochającego męża i ojca. Pozwolili mu zabrać Davida do

domu. Ja też wróciłam... bo nie miałam wyboru. — Znow się zawahała. — Nie mogą mi odebrać opieki nad nim. To by mnie zabiło. A Paul nigdy nie odda Davida, choćby to miało wyrządzić szkodę chłopcu. Syn jest dla niego symbolem jego męskości, śmiertelności. To chore.

— A żona jest jego prywatną własnością, która istnieje tylko po to, żeby spełniać jego zachcianki. — Lexi mówiła ostrzejszym tonem. — Jestem przekonana, że...

Sharon uniosła do góry rękę, nie miała ochoty rozmawiać o swojej sytuacji. W tym momencie nie wiedziała, jak postąpić. Jednego tylko była pewna. Musiała coś zrobić. Dla dobra Davida i swojego.

— Zawsze możesz zamieszkać u mnie — kontynuowała Lexi. — Będę też cię popierała w sądzie. *Wiem*, co ukrywa się pod perfekcją i sukcesem Paula.

— Ale ty jesteś jedyna. — Sharon nie potrafiła powiedzieć, że Lexi nie będzie dobrym świadkiem. Paul przed sądem szczegółowo zajmie się jej swobodnym trybem życia i tylko wzmocni oskarżenie przeciw Sharon. Poza tym obawiała się o Lexi, gdyby ta ją poparła. Paul nienawdził jej.

— A jak ci się dzisiaj udało wyjechać?

Sharon ucieka wzrokiem. Wcześniej — zanim poznała Paula — stałaby się agresywna na samą myśl, że mąż ma decydować, co żona może zrobić. Zawsze była przekonana, że małżonkowie powinni mieć takie same prawa, tak jak w przypadku jej rodziców. Co się ze mną stało? — zadała sobie pytanie. Znała odpowiedź. Macierzyństwo. Chroniąc Davida, stała się ogromnie niezaradna.

— Moja ostatnia praca w agencji reklamowej polega na przygotowaniu billboardów zachęcających do uprawiania sportu. Musiałam zobaczyć miejsca, gdzie zostaną umieszczone, by odpowiednio jej skomponować.

— Mój Boże! I naprawdę pozwolił ci wyjść?

— Musi być w domu o siódmej naszego czasu, o czwartej czasu hawajskiego. Będzie miał telefon z Honolulu na temat interesów. — Sharon uniknęła badawczego spojrzenia Lexi. — Ale mam zakazane mówić szefowi, że nie spuszcza mnie z oka. Pilnuje nawet wtedy, gdy pracuję.

— Jezu! — Lexi wciągnęła powietrze do płuc. — Na zewnątrz zawsze wspaniały mąż. Niewiarygodne, że jeszcze pozwala ci pracować. Oczywiście w domu, gdzie może cię kontrolować.

— Więc uważasz mnie za niedorajdę.

Lexi zmarszczyła wyskubane brwi, ale nie przeprosiła. — Oczywiście nie wie, że wpadłaś tutaj po kostium dla Davida na Halloween?

— Nie.

Lexi pokręciła głową. — Zastanawiałam się, dlaczego Paul ze swoimi fundamentalistycznymi poglądami nagle pozwolił Davidowi ubrać się w kostium na święto, które uważa za pogańskie.

— Paul zapomniał, jak to jest być małym chłopcem.

Lexi roześmiała się cierpko. — Dam głowę, że Paul nigdy nie był normalnym małym chłopcem.

— Jego rodzice nie żyją, więc chyba już się tego nie dowiemy.

Zapadła cisza. Potem Lexi objęła Sharon ramieniem. — Przepraszam, że poruszyłam ten temat. Ale pamiętaj, że zawsze ci pomogę. — Przeszła obok Sharon i zsunęła zasłonę do przebieralni. Na wieszaku wisiała zielona suknia koktajlowa o prostym kroju. — Muszę się spieszyć. Umówiłam się z Alem na drinka, ale chciałam ci pokazać moją nową kreację.

— Fantastyczna! — Sharon zrobiła krok do przodu, by palcami dotknąć aksamitnego materiału. — Subtelna elegancja. Bardzo mi się podoba.

— To dobrze. — Lexi uśmiechnęła się szeroko, ukazując perfekcyjne uzębienie. — Bo to prezent na Boże Narodzenie dla ciebie... na wypadek gdybyś mogła wziąć udział w przyjęciu w twojej firmie.

— Dopiero zbliża się Halloween, a ty już myślisz o Bożym Narodzeniu — rzekła Sharon, śmiejąc się. Nagle spoważniała. — Lexi, ale nie mogę jej przyjąć. Jest za droga. Można ją sprzedać za co najmniej czterysta pięćdziesiąt dolarów.

— Oczywiście, że możesz... nawet jeśli będziesz musiała tu ją zostawić na pewien czas. — Lexi zbyła jej wątpliwości. — Przymierz ją. — Pchnęła Sharon do przymierzalni. — Wychodzę, a ty zamkniesz sklep — dodała, zaciągając zasłonę. — Kostium Davida jest na ladzie. — Głos ciągnął się za Lexi, kiedy pośpieszyła do drzwi. — Masz cały sklep dla siebie. W oknie powieszę wywieszkę „Zamknięte”.

— Zostawię ci czek... Ile? — Sharon zawołała za nią.

— Nic. Powiedz Davidowi, że to prezent na Halloween od cici Lexi.

Zanim Sharon zdążyła odpowiedzieć, zamknęły się drzwi za Lexi. Cisza, która nagle zapadła, była pełna dramatyzmu, jakby Lexi zabrała

ze sobą całą energię ze sklepu. Sharon ściągnęła džinsy i sweter. Włożyła suknię. Doskonale leżała; prosty krój i zaokrąglony dekolt pasowały do figury Sharon tak, jak tylko może pasować dobrze zaprojektowany strój. Projekty Lexi nigdy nie przyciągają należytej uwagi, pomyślała zakładając znowu džinsy. Nazwisko jej przyjaciółki powinno być powszechnie znane, jak Calvin Klein lub Liz Claiborne.

Kiedy wkładała sweter, zaczęła się nagle spieszyć. Musiała wracać do domu, zanim Paul stanie się podejrzliwy.

Niedorajda? — znów się zastanowiła. Taka jest prawda, uznała. Ale to nie jej wybór. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co on robi, wszędzie zaczął ją poniżać: w oczach przyjaciół, sąsiadów, jej lekarza, jego i jej kolegów z pracy. Teraz wszystkie jej obawy i zmartwienia przyjmowano, potakując głowami i uśmiechając się ze zrozumieniem. Wjakiś sposób, nie wiadomo kiedy, utraciła swoją prawdziwą tożsamość i wiarygodność.

Zsunęła z powrotem zasłonę i wyszła z przymierzalni. Skierowała się do lady. Zrobiła dwa kroki, gdy nagle zgasły światła, pograżając sklep w ciemnościach. Zamarła, instynktownie schowała się za stół do kostiumów. Wstrzymała oddech. Nie bój się, nakazała sobie. To przypuszczalnie tylko awaria.

Absolutna cisza wypełniła sklep. Potem usłyszała lekkie szuranie nogami, jakby ktoś ostrożnie posuwał się w jej kierunku po wypastowanej podłodze. Przeczougała się wokół stołu do ściany z maskami. Wyłącznik światła był przy drzwiach frontowych. Musiała się do niego dostać.

Drzwi były otwarte, a za nimi na ulicy Haight światła świeciły się jak zwykle. Nie było żadnej awarii. *Ktoś celowo wyłączył światła w sklepie.*

Nie panikuj, nie panikuj — powtarzała po cichu. Po prostu wyjdź.

Znów rozległo się szuranie, tym razem bliżej. Potem pobliskie odgłosy zostały zagłuszone przez pospieszne kroki.

— Do diabła, co się dzieje? — rozległ się w ciemnościach głos Lexi. Chwilę później zapaliły się światła.

Sharon wstała. Za stołem mignęła jej pochylona postać z długimi rozwichrzonymi włosami, w powłóczystej czarnej pelerynie. Zjawa podbiegła do drzwi i uciekając, powaliła Lexi na podłogę. Na chwilę obejrzała się na Sharon. W jej oczach zabłyśła wrogość.

Pod Sharon ugięty się nogi. Chwyciła się stołu. Intruz założył maskę, która była jej karykaturą. Zerknęła na ścianę. Nie było jej maski.

— Nic ci się nie stało? — spytała Lexi trzęsącym się głosem, kiedy wstała z podłogi. Szybko zamknęła drzwi na klucz. — Dobrze, że zapomniałam torebki i wróciłam.

— On założył moją maskę... — Sharon próbowała ukryć przerażenie w głosie.

— Zauważyłam. Chwycił najbliższą, dlatego. To okropne, że wziął twoją.

— Nie sądzisz, że celowo?

Lexi pokręciła głową. — To raczej przypadek. Chciał cię przestraszyć, żeby okraść kasę. Nie zauważył, że już ją zamknęłam.

Podeszła do telefonu.

— Zadzwoń na policję. Ci z ulicy stają się zbyt bezczelni. Myślą, że mogą mnie okradać. Muszę to powstrzymać, najlepiej od razu...

Po rozmowie z oficerem dyżurnym orzekła:

— Na miłość boską, co musi się zdarzyć, żeby gliny pomyślały, że to pilna sprawa?

— Nie przyjadą?

— Przyjadą, ale trochę później. Nikt nie został ranny, niczego nie ukradziono, nie ma żadnych szkód — przedrzeźniała policjanta. Znów zaczęła wystukiwać numer na telefonie. — Do cholery, muszę odwołać randkę. Trzeba poczekać na policję.

Sharon dochodziła do siebie, podczas gdy Lexi rozmawiała z Alem. Wydawała się spokojniejsza, kiedy odłożyła słuchawkę. Al, miły rudowłosy olbrzym, miał za chwilę przyjechać.

Kiedy zjawił się po kilku minutach, Sharon wzięła kostium Davida pod pachę; była gotowa do wyjścia. Odprowadzili ją do samochodu i obserwowali, jak wkłada do bagażnika torbę z zakupami, a potem siada za kierownicą. Wciąż wstrząśnięta, Sharon próbowała się uśmiechnąć, kiedy uruchamiała samochód.

— Dzięki, że mnie odprowadziliście.

— Jesteś w stanie prowadzić? — Lexi sięgnęła przez otwarte okno i dotknęła ramienia Sharon.

Sharon przytaknęła. — Nic mi nie jest. — Rozluźniła uścisk na kierownicy i odezwała się łżejszym tonem: — Nie spodziewałam się, że Halloween będzie tak wcześnie...

Po chwili już jechała ulicą. To tylko przypadkowy incydent, wmaśniała sobie. Tej czarnej postaci w masce nie chodziło o nią. Zmusiła się,

by myśleć o Davidzie i kostiumie w bagażniku. Przynajmniej strój kowboja Chudego nie był przerażający.

Światła samochodu zostały stłumione przez mgłę, nim skręcił za róg i znikł Lexi z oczu. Śledziła go wzrokiem. — Może powinnam pojechać za nią — zwróciła się do Ala. — Gdyby nie było tam Paula, zrobiłabym to. — Zawahała się. — Nienawidzi mojej odwagi i tej wielkiej przyjaźni z Sharon.

Al uspokajająco objął ją ramieniem, kiedy wracali na ulicę Haight. — Znam ten typ ludzi, tych zarozumiałych snobów.

— To nie tylko to. On jest szaleńcem. Boję się o Sharon i Davida.

Bardziej ją przytulił. — Dlaczego więc nie odejdziesz od niego?

— Jest zastraszona. Wmówił jej, że straci prawo do opieki nad Davidem.

— Po rozwodzie zwykle matkom przynajmniej się dzieci.

— Ale nie w przypadku, gdy ojciec przekonał cały świat, że matka jest paranoiczką.

— Tak z nią postąpił? — Jego zwykle łagodny głos nabrał ostrzejszego tonu.

Skinęła.

— Ale jak to zrobić?

— Najpierw zwierzał się jej przyjacielom. Mówił, że się o nią martwi, że ona jest nerwowa, boi się wszystkiego, otacza Davida przesadną opieką. Wszystkich przekonał, że staje się psychicznie chora. — Lexi zawahała się. — Oprócz mnie. Powiedziałam mu, że jest gnojem, skoro gra przede mną biednego, cierpiącego męża. To typek z tych niepewnych siebie mężczyzn, którzy muszą dominować, domagają się posłuszeństwa od kobiety, którym zagraża każdy, kto ma z nią jakiś kontakt, czy to ktoś z rodziny, czy przyjaciel.

— Wygląda to na faceta znęcającego się nad żoną. Czy nie przewidziała tego przed ślubem?

— W ogóle. Paul to idealna podróbka prawdziwego mężczyzny, więc Sharon tłumaczyła sobie, że Paul zmienił się po przyjściu na świat Davida. Stał się bardziej zagrożony przez jej niezależność. Ona ciągle myślała, że chce jak najlepiej dla niej i ich syna. Rozumiał niby dobrze, że pracuje w domu, żeby być z Davidem. Chciała, by był spokojny o nią i ich wspólne życie. — Roześmiała się surowo. — Jakby ktoś mógł zapewnić spokój takiemu dupkowi jak Paul!

— Jezu. To czubek.

— Pewnie. — Doszli do Haight i zatrzymali się na światłach. — Zanim Sharon zorientowała się, co Paul wyczynia za jej plecami, zdążył wmówić wszystkim, że jest niezrównoważona. Im rozpaczliwiej próbowała przekonywać, że Paul kłamie, tym bardziej zastanawiano się, czy nie jest jednak wariatką.

Al przytulił mocniej Lexi. Z zadowoleniem poczuła jego ogromną siłę. Bardzo lubiła jego wrażliwość, dobroć... I to, że jest znacznie większy od niej.

— Musisz uważać na niego, obiecujesz?

Na chwilę Lexi zapomniała o Sharon. Pomyślała o wieczorze z Alem.

Sharon miała pięć minut drogi do domu w Noe Valley, okręgu poniżej Twin Peaks i Haight Ashbury, kiedy w jej torebce zadzwonił telefon komórkowy. Wystraszona gwałtownie skrzyła i zatrzymała się pod lampą. Trzęsącymi rękami wydobyła telefon. Spróbowała spokojnie powiedzieć „halo”.

— Sharon? Gdzie jesteś? — Jego głos brzmiał spokojnie... normalnie.

— Pięć minut od domu.

— Świetnie, że cię złapałem. David rozlał cały karton mleka i pomyślałem, że możesz kupić następny. Po drodze będziesz przejeżdżała obok supermarketu.

— Oczywiście, przywiozę mleko. — Oderwała telefon od ucha i zamierzała go wyłączyć.

— Sharon?

— Tak. — Znow nachyliła się do telefonu.

— Czy twoja wyprawa była udana?

— Tak. Mogę rozpocząć pracę nad makietami.

— To dobrze. Do zobaczenia w domu. — Rozłączył się.

Kiedy Sharon wjechała na parking, nagle odczuła ulgę. Przynajmniej wiedziała, że Paul nie był tą postacią w jej masce.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jak coś takiego mogło wpaść jej do głowy? Paul nigdy nie zostawiłby Davida samego.

Rozdział 2

Sharon wjechała na drogę dojazdową do garażu, która była wąską uliczką między dwupiętrowymi wiktoriańskimi domami. Cienka warstwa mgły przesuwała się od Oceanu Spokojnego w głąb lądu. Upiorna mgła pokryła okręg Sunset nad wybrzeżem, potem Twin Peaks, a teraz nasuwała się nad Noe Valley. Sharon była przyzwyczajona do mgły, ale dzisiaj tylko wzmacniała jej obawy. Bała się opuścić bezpieczny samochód.

Wzięła swoje rzeczy i wyszła na chłodne powietrze październikowego wieczoru. Zamknęła hondę i z kluczykiem w dłoni pobiegła przez małe podwórze do schodów, które prowadziły do drzwi z tyłu domu. Zwykle kojący odgłos fontanny znajdującej się w sadzawce teraz wydawał się dziwny. Fontanna zniknęła w unoszących się oparach wody. Kiedyś Sharon ogromnie lubiła wyszukane piękno japońskiego ogrodu, który Paul stworzył jeszcze przed ich spotkaniem. Tak samo była zaskoczona sposobem, w jaki zmodernizował dom, zachowując przy tym styl z końca dziewiętnastego wieku. Wjaki sposób ktoś może tworzyć tak piękne rzeczy i jednocześnie być... Nie! Nie będzie rozmyślać, dlaczego ten piękny ogród stracił dla niej cały urok i David nie mógł się w nim bawić. Skoncentrowała się, by zachowywać się naturalnie. Paul nie może się domyślić, że spotkała się z Lexi, ani że kostium Davida jest w bagażniku jej samochodu.

Wślizgnęła się do domu i zamknęła drzwi. Z małego przedpokoju cztery schodki prowadziły w dół do domowego biura Paula. Innymi schodami wchodziło się do kuchni. Poszła na górę. Jedyne światło z kuchenki rozpraszało mrok. Położyła teczkę i torebkę na stole. Szybkim ruchem włożyła karton mleka do lodówki.

Idąc w stronę przedpokoju, zastanawiała się, gdzie jest Paul. Na górze głównych schodów świeciła się lampka nocna, która rzucała blask na wyłożoną panelami z drewna ciemną ścianę i na wypolerowaną balustradę na schodach. David bał się ciemności.

Zanim weszła na górę, na palcach przeszła po domu umeblowanym wyszukany europejskimi antykami, które Paul kupił przed ślubem. W pokojach nikogo nie było, choć w salonie lampa stała przy wyściętym krześle obok marmurowego kominka — przy krześle Paula. Jego otwarta teczka leżała na orientalnym dywanie, jakby czegoś w niej szukał. Poszedł zajrzeć do Davida, pomyślała Sharon.

Wiedziała, że David śpi, choć Paul mówił, że niedawno rozlał mleko. Wahała się przez dłuższą chwilę, była niespokojna. Nie bądź głupia, powiedziała sobie. Pamiętaj, że ostatnio bez przerwy czegoś się boisz.

W domu panowała cisza, jedynie na korytarzu tykał zegar szafkowy. Gdzie jest Paul? — zastanowiła się. W swoim gabinecie? Ale nie zauważyła tam świateł, kiedy przyjechała, a było za wcześnie, by poszedł spać. Cofnęła się do schodów.

Kiedy weszła na piętro, zajrzała do pokoju Davida. Uspokoila się, zobaczywszy, że śpi. Przez okno wykuszowe za łóżkiem docierało światło lamp ulicznych, oświetlało pluszowe zwierzątka, które siedziały na wyjścielanej ławeczce pod parapetem. Natomiast Smarkus, ulubiony miś Davida, leżał skulony obok chłopca. Lśniące futro zwierzątka dotykało ciemnych kędziorków chłopca.

Sharon pochyliła się, by pocałować Davida w błąd policzek. Potem delikatnie dotknęła czoła chłopca. Chłodne. Cudownie, David! Będziesz kowbojem Chudym w czasie Halloween! Kołdrą z myszką Miki okryła jego ramiona, a potem po cichu wymknęła się z pokoju.

Paula nie było też w jego sypialni i łazience. Potem usłyszała nad sobą słabe szurnięcia. Zdawały się pochodzić z poddasza... Z jej pracowni?

Dlaczego Paul wszedł do tego małego pomieszczenia, w którym pracowała? Nigdy tam nie zaglądał, by sprawdzić, co ona robi. Była temu przeciwna. Chociaż nie miała nic do ukrycia, jego krytyczne spojrzenia przeszkadzałyby jej w twórczej pracy. Robienie wody z mózgu to jego specjalność, pomyślała. Poddasze było jej schronieniem, jedyną rzeczą, która pozostała jej z prywatności.

Otworzyła drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące na poddasze. Niespodziewanie na górze schodów błysło słabe światło. — Paul?! — zawołała. — Jesteś tam?!

Słaby szelest. Coś się poruszyło? Ale żadnej odpowiedzi.

Ruszyła na górę, potem zatrzymała się. Nagle ogarnęła ją niepewność. Jeśli Paul jest na górze, to dlaczego nie odpowiedział? Przez jej myśli przebiegł obraz postaci w czarnej pelerynie i masce. Przeszył ją strach, dostała gęsiej skórki.

Do diabła z tym, powiedziała sobie. To niemożliwe, żeby intruz, który wtargnął do sklepu Lexi, był w jej pracowni. To jest twój dom, twój syn śpi w swoim pokoju, a mąż powinien być w gabinecie.

Sharon stłumiła obawę i znów ruszyła na poddasze. Zawahała się na górze schodów, jej wzrok przykuła lampa nad deską projektową. Chyba zapomniała ją wyłączyć. Szybko rozejrzała się po pokoju. Spojrzała na ukośny sufit, który łączył boczne ściany o wysokości jednego metra z drzwiami do schowków, na krzesło przy biurku i na telefon prywatnej linii. Jediną żywą rzeczą w zasięgu jej wzroku był bluszcz, który zwiślał przy wąskim oknie. Nikogo nie było na górze i chyba nic nie zostało poruszone.

Co więc słyszała?

Czy odgłosy dochodziły z dołu, czy z góry? A może to skrzypiały belki starego domu, które w wyniku licznych trzęsień ziemi obluźniły się na złączach? Aby się przekonać, że nikt nie ukrył się pod okapem, otworzyła jedno z wysokich na pół metra drzwi do schowków. Pudełko z dokumentami i świąteczne dekoracje leżały tak, jak je zostawiła. Nie trudziła się, by sprawdzić za trzema innymi drzwiami, bo od strony okapu nikt nie byłby w stanie całkowicie ich zamknąć. Gałki do nich znajdowały się od strony pracowni.

Jednak żadnymi argumentami nie była w stanie stłumić czającego się strachu. Szybko zamknęła drzwi na poddasze. Po wyjściu na schody zawahała się. Może to początki szaleństwa, pomyślała. Nie mogła opuścić Davida, śpiącego i bezbronnego, bez upewnienia się, że nikt nie czai się w głównej sypialni. Musiała wiedzieć, że jest bezpieczny.

Nie zajęło to dużo czasu. W jej szafie panował bałagan; buty leżały jeden na drugim, ubrania, choć czyste i wyprasowane, zwisały bezładnie. Sharon dbała o porządek w domu, ale nie była zwiariowana na jego punkcie. Nie można być zakładnikiem doskonałości.

Szafa Paula to zupełnie co innego. Buty *ustawione* były od najjaśniejszych do najciemniejszych. Tak samo koszule i garnitury, które wisały na usztywnionych gąbką wieszakach. Wszystkie guzikami zwrócone były w jedną *stronę*. Nawet jego trzy szlafroki wisały starannie; miały zapięte guziki i zawiązane paski.

Westchnęła. Nasze szafy mówią wszystko. Paul, dlaczego nie zostawiłeś mnie w spokoju? Dlaczego, mając trzydzieści lat, nie byłeś żonaty? Dlaczego pozwoliłeś mi zakochać się w kimś, kto tak naprawdę nie istniał?

Sharon zamknęła szafy, w myślach już odpowiedziała na zadane przez siebie pytania. *Bo myślałeś, że możesz mnie zmienić... urobić mnie, bym dopasowała się do twojego ideału doskonałości.*

To chore. Stopniowa realizacja tego zamysłu była czymś obrzydliwym. Teraz Sharon znalazła się w pułapce, bo — podobnie jak ona sama w przeszłości — nikt nie podejrzewał, że Paul nie jest serdecznym, troskliwym, a nawet nadopiekuńczym człowiekiem, jakim przedstawiał się światu. To tylko w domu zrzucał maskę i okazywał się tyranem. Dla niego liczyła się tylko jego wizja szczęśliwej rodziny.

— Sharon, sprzątasz w szafach? — Paul wszedł nagle do pokoju z ciemnego korytarza. — Chyba w swojej, u mnie jest porządek.

Delikatny ton w jego głosie niemal pieścił, ale w słowach ukrywał się inne znaczenie. Sharon znów mogła się omylić. Kolejny z jego sprzecznych przekazów. *Kocha mnie, ale tak naprawdę to mnie nienawidzi.*

Spojrzała mu w twarz, zastanawiała się, jak długo ją obserwował. Jego ciemne oczy wydawały się prawie tak samo czarne jak włosy. Kiedyś uważała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkała. Teraz pragnęła jedynie znaleźć się z Davidem daleko od niego, uciec od jego zmiennych nastrojów.

— Byłem w swoim gabinecie — odezwał się, spoglądając pewnym wzrokiem. — Słyszałem, jak wchodziłaś, ale musiałem wysłać faks.

Skinęła głową. To niesamowite, w jaki sposób odczytywał jej myśli, nawet te dotyczące decyzji w sprawach interesów. — Byłeś na podda-szu? — spytała. — Lampa się świeciła.

— Wiesz, że nie wchodzę tam, jak nie muszę. — Zawahał się. — Sharon, musisz być ostrożniejsza, sprawdzać, czy wyłączyłaś światła. Może wybuchnąć pożar...

Nie wierzę ci, pomyślała, świadoma, że zmienił temat rozmowy i uniknął bezpośredniej odpowiedzi na jej pytanie. Układ jego szczęki mówił, że kłamie. Ale dlaczego miałby kłamać? Sama widziała, że na gorze nikogo nie było. Mogła nie wyłączyć światła, bo była zdenerwowana faktem ukrycia wyjazdu do sklepu Lexi.

— Dzięki, że zatrzymałaś się przy supermarkecie. Zaoszczędziłaś mi wyjazdu, a jestem wykończony. — Zaczął rozpinać koszulę. — Pamiętałaś, że mleko musi być chude.

— Powinieneś mi ufać, Paul. — Oczywiście sprawdził w lodówce. — Znam twoją dietę.

Jego ładne usta ułożyły się do uśmiechu. — Dobrze wiesz, co się stanie, jak będziesz pyskować. — Jego spokojny głos był przesycony znaczeniami.

— Nie zdenerwowałeś się na Davida, że rozlał mleko? — Wiedziała, że przeciąga strunę, ale musiała zapytać. — Po moim wyjściu obudził się i chciał mleka? Co się stało?

Jego palce zastygły na guzikach. Nie zadał sobie trudu, by jej odpowiedzieć. Spojrzała w bok. — Więc uważasz, że jestem draniem. Prawda? — Zapadła cisza. — Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Spojrzała na niego. Ty sukinsynu, pomyślała. Przygotowujesz mnie na szczególny rodzaj zemsty. — Uważam, że jesteś za surowy dla Davida — zaczęła powoli — ale nigdy nie uważałam cię za drania. — To nie kłamstwo, powiedziała do siebie po cichu. Jesteś czymś gorszym niż zwykły drań. Jesteś sadystą!

— To dobrze, Sharon. Ale drań czy nie, należysz do mnie. Tak samo David. Tylko nie wpadnij znów na pomysł, żeby ode mnie uciekać. — Roześmiał się szorstko. — Nie uciekniesz daleko. Na pewno pamiętasz, co się stało ostatnim razem. Nakazy sądowe, napomnienia i żądanie, żeby odebrać ci opiekę nad dzieckiem, bo nie wywiązujesz się z roli matki.

— Ja ani David nie jesteśmy twoją własnością — odparowała, przypominając sobie tamto zdarzenie. Powiedziała sobie, że wróciła do Paula jedynie do czasu, kiedy znajdzie sposób, by wraz z synem uciec od niego na stałe. — Jako matka Davida muszę wiedzieć, co jest dla niego najlepsze. To mały chłopiec i jest moim...

Chwycił ją za ramiona i mocno przycisnął do piersi. Straciła dech. — Nikt mnie nie opuści, jeżeli na to nie pozwalam. Powinnas to zrozumieć. — Przerwał. Powoli unióś rękę i delikatnie odgarnął włosy, które opadły jej na twarz. — Dziś znów rozmawiałem z doktorem Taggerem. Przyznał, że jesteś okropnie przygnębiona, wycieńczona i zdeorientowana. Przypuszczalnie jest to konsekwencją twojego... aa... nietypowego wychowania. Wypisze leki na uspokojenie nerwów. — Paul roześmiał się złośliwie i uwolnił Sharon.

— Paul, nie potrzebuję niczego na moje nerwy i ty dobrze o tym wiesz!

Wzruszył ramionami. — Ja zgadzam się z doktorem. Tak samo nasi sąsiedzi i przyjaciele.

— Ogłupiłeś doktora tymi codziennymi telefonami. Myślisz, że o nich nie wiem. — Jej głos drżał, mimo że postanowiła być spokojna. — Ci sąsiedzi byli twoimi sąsiadami, zanim się tu wprowadziłam. A ci tak zwani przyjaciele to ludzie, których ty wybrałeś, bo spełniają two-

je wymagania. Moi *prawdziwi*, przyjaciele nie są tu zapraszani... ale oni znają prawdę.

Jego oczy zabłyśły. — Chodzi o Lexi i jej towarzystwo? Tych ludzi z marginesu? — Pokręcił głową i pogroził jej palcem. — Pamiętasz, co mówiłem o twoich pyskówkach?

Z trudem próbowała odzyskać spokój. Płacz mógłby go podniecić. Gdyby straciła panowanie nad sobą, miałyby pretekst, by potraktować ją brutalnie. Lubił brutalny seks. To też zmieniało się stopniowo. Na początku był kochającym partnerem, ale później stawał się coraz bardziej agresywny, jakby od samego początku tłumił w sobie złość. Kiedy mu się opierała, krzywdził ją bardziej.

Słowo „porażka” nigdy nie istniało w słowniku Sharon. Teraz czekała ją największa walka w życiu. Musi być jakieś rozwiązanie, powtarzała sobie bez przerwy. Po prostu powinnam je znaleźć. Gdyby żyli rodzice. Gdybym miała rodzeństwo lub krewnych. Gdyby był ktoś bardziej wiarygodny niż Lexi, kto by uwierzył, że w Paulu tkwi coś okropnie złego.

Gdyby... gdyby.

Znów nie zamknęłaś swojego samochodu — stwierdził Paul, wchodząc do kuchni następnego ranka.

— Co? — Sharon odwróciła się od kuchenki, na której smażyła jajecznicę. David siedział przy stole i popijał małymi łykami sok pomarańczowy. Naprężył się, kiedy usłyszał głos ojca. — Oczywiście, że zamknęłam hondę.

Zlekceważył jej zaprzeczenie. — Chcę porozmawiać z tobą w moim gabinecie. — Ręka wskazał na patelnię. — Jak zrobisz Davidowi śniadanie. — Odwrócił się w stronę schodów i znikł.

— Tatusz jest znów zły. — Dziecięcy głos Davida drżał.

— Nie martw się, tata nie złości się na ciebie. — Zsunęła jajecznicę na talerz z grzankami, a potem postawiła go przed chłopcem. Potargała mu włosy, kiedy usiadł i wlepił wzrok w jedzenie. Stłumiła swój niepokój, zmusiła się, by mówić radosnym głosem. — Tatusz po prostu martwi się, jak samochody są nie zamknięte. Wiesz o tym.

Powoli skinał głową. — Chyba tak. Ale powiedział, że były nie zamknięte, a mama, że zamknięte. Bałem się, bo tata był na mnie zły. — Spuścił wzrok. — Wczoraj wieczorem.

— O czym mówisz, kochanie? — Serce jej zamarło.

— Tata krzyczał na mnie, bo nie mogłem zasnąć po tym, jak rozlałem mleko. — Przełknął ślinę. — Powiedział, że zbije mnie pasem, jak wyjdę z pokoju.

— Zrobił to?

Pokręcił głową. — Bałem się. W domu było tak cicho. — Spojrzał do góry. Jego ciemne oczy zrobiły się okrągłe z niepewności. — Mamo, nie lubię, jak wyjeżdżasz.

Usiłowała być spokojna, jednak się zatrwożyła. Czyżby Paul zaczął znęcać się nad Davidem? — No, panie Kędziorku, zjedz śniadanie. Dziś w szkole masz ważny dzień.

Chwytał widelec, ale wciąż był smutny. Małe, biedne dziecko — pomyślała. Powinieneś cieszyć się, bawić, skakać, a nie martwić się o nastroje ojca. Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził. Nigdy.

— Pamiętaj, że Halloween jest za dziesięć dni!

Uśmiechnął się. Bardzo przypominał teraz swojego ojca. Sharon uderzyła ironia takiego spostrzeżenia. Byli podobni fizycznie, ale mieli zupełnie inną naturę. Co sprawiło, że Paul stał się tak podły?

— Naprawdę mogę iść na zabawę? — Jego twarz pojaśniała.

— Pójdziesz. — Ściszyła głos. — Ale teraz to jest tajemnica. Do brze?

— O rany! — wykrzyknął. — Na pewno będę Chudym! — Zaczął jeść śniadanie, a Sharon zeszła na dół.

Zatrzymała się przed drzwiami do gabinetu Paula; zastanawiała się, jak powinna się zachować. Paul, który był architektem, miał zamiar porzucić pracę w firmie i zostać wolnym strzelcem. Zadrżała. Oznaczało by to, że cały czas byłaby pod kontrolą.

Piwnica, typowa dla szeregowych domów w San Francisco, znajdowała się na parterze. To pomieszczenie bez okien służyło do magazynowania różnych rzeczy, zanim Paul nie kupił domu od starszej kobiety i go nie przeprojektował. Była to okazja. Dom stał na znacznie większej niż typowa parceli i Paul zjawił się z pieniędzmi, zanim jeszcze posiadłość wystawiono na sprzedaż.

Przekształcił piwnicę w obszerną pracownię z tablicami kreślarskimi, biurkami, komputerem, faksom i kopiarką. Zgodnie ze swoimi zasadami wszystko starannie porozmieszczał. Oddzielił jedynie małe pomieszczenie przy schodach, które trzymał zamknięte. Miał do niego tylko jeden klucz, bo obawiał się, że ktoś będzie grzebał w jego dokumentach.

Wysokie okna przy zejściu do piwnicy wychodziły na ogród przed domem, na którym kolorem różowym i czerwonym mieniły się róże, ładniczki i niecierpki. Za ogródkiem rósł żywopłot oddzielony od chodnika białym parkanem.

Parkan i szczęśliwe życie do końca dni. To typowe, w jaki sposób myślała. Jaka była naiwna... *jaka głupia*.

Paul, jakby wyczuł jej obecność, gestem wskazał, by weszła do pracowni. Zbliżając się do biurka, spostrzegła, dlaczego chciał z nią rozmawiać. Zmięty strój kowboja Chudego leżał na mahoniowym blacie.

— Pozwoliłeś sobie na coś takiego poza moimi plecami?

Spojrzała na zmrużone oczy Paula, zignorowała cichy, spokojny ton w jego głosie. — Tak, kupiłam ten kostium — rzekła, zadowolona, że mówi równie chłodnym głosem. — Kupiłam go pod wpływem chwili, ale chciałam o tym z tobą porozmawiać — skłamała. — Paul, nie ma nic złego w stroju kowboja. David miał go włożyć na dziecięcą zabawę w Halloween.

— Znasz moje zdanie. Halloween to pogańskie święto.

— Ale nie dla dzieci.

— Nie pójdzie na zabawę. Zabraniam.

Potem w pełni zdała sobie sprawę z faktu, że znalazł ten strój. Od razu się zdenerwowała. — Skąd wiedziałeś, że go kupiłam? Dlaczego w ogóle zaglądałeś do bagażnika w moim samochodzie?

— Sharon, po prostu cię znam. — Podeszedł bliżej. Jego pełne usta, te same usta, które całowały ją tak namiętnie w pierwszych dniach znajomości, wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu. — Niezależnie co robię, nie jestem w stanie oderwać cię od tego towarzystwa cyganerii. — Ostatnie zdanie wypowiedział w sposób doskonale jej znany.

— Paul, jak otworzyłeś mój samochód? — Nie chciała zrezygnować z tego pytania. — Jestem pewna, że go zamknęłam. A ty nie masz kluczyków. — Nie zważała na to, że on nie lubi, jak mu się zaprzecza. — Kupiłam ten samochód przed ślubem i zawsze były tylko jedne kluczyki. — Nabrała powietrza do płuc. — Samochód to jedna z nielicznych rzeczy, których mi nie zabrałeś...

Mocno zacisnęła palce na jej ramieniu. Skrzywiła się. — Sharon, zapomniałaś go zamknąć. Mówiłem ci to kilka minut temu w kuchni.

— Pamiętam, co mówiłeś, ale jednak zamknęłam samochód.

Pokręcił głową i cmoknął językiem. Nie miał zamiaru jej odpowiadać. Wolną ręką z zamachem wrzucił kostium do kosza.

— To koniec sprawy. David zostaje w domu.

Wykręciła się z jego uścisku i wbiegła na schody. Zatrzymała się, by wziąć głęboki oddech. Nie chciała, by David zobaczył, że jest zdenerwowana.

— Nie kpij sobie ze mnie, Sharon. Wiem, co mówię. — Jego słowa podążyły za nią. — Wiem, że odprowadzasz Davida do szkoły. Mam nadzieję, że wrócisz za dziesięć minut...

Ogarnęła ją wściekłość, determinacja zastąpiła niepewność. Lexi znajdzie inny kostium Chudego — i David będzie kowbojem na Halloween, a może nawet będzie zbierał fanty po domach...! Miesiącami oszczędzała po kryjomu. W głowie Sharon zaczął tworzyć się plan. Pomyślała, że nie będzie czekała, aż lepiej się przygotuje.

Kiedy z Davidem szła do szkoły znajdującej się kilka przecznic dalej, poprawiła swój plan. David będzie na Halloween nie w San Francisco, ale gdzieś daleko stąd.

Daleko od Paula.

Rozdział 3

Drań o dwóch twarzach. Jaka jest definicja socjopaty? Potwór ukrywający się za maską wrażliwości i troski?

Sharon obserwowała zza zasłony, jak Paul idzie przez nasłonecznione podwórze w stronę wiaty dla samochodów. Tatę, starszą sąsiadką, która często zasięgała jego rad na temat urządzania japońskiego ogrodu, uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. Zatrzymał się przy parkanie, by się z nią przywitać. Z uwagą uniósł głowę. Przez chwilę Sharon widziała mężczyznę, którego kiedyś spotkała: nienagannie ubranego, czarującego, olśniewająco przystojnego, wysokiego i ciemnowłosego. Był kopia kochanka z romansów. Pozdrowił sąsiadkę gestem i wsunął się za kierownicę swojego bmw. Powoli wyjechał z wąskiego podjazdu.

Targana rozterkami wróciła do kuchni, by dalej w niej sprzątać. Paul czekał na jej powrót ze szkoły, gotowy, by pójść na pocztę.

— Zaraz wracam — poinformował ją. — Nie wpadnij na pomysł, żeby gdzieś wyjść.

Wrzuciła gąbkę do zlewu, powstrzymała się, by nie krzyknąć. Gdyby nie David, natychmiast by stąd uciekła. Paul był ojcem mającym wysokie dochody i majątek, który wniósł do małżeństwa. Wszyscy, którzy go

znali, darzyli go sympatią. Dzięki temu, że Paul dyskretnie podkopywał jej wiarygodność, opinia o niej była inna. Jeżeli sąd rozpatrywałby sprawę opieki nad dzieckiem, Paul mógł wygrać. Wiedziała, że on nigdy nie podzieli się prawem do opieki. Jego syn musi mieszkać z nim.

Boże, modliła się po cichu, pozwól, żebym znalazła właściwy sposób skończenia z tym okropnym małżeństwem. Jej plan, by zabrać skromne oszczędności i uciec z Davidem, nie wydawał się sensowny, o ile nie uda się im zniknąć całkowicie. Poprzednia ucieczka się nie udała. Paul jest w stanie wydać wszystkie swoje pieniądze, by ich wytropić.

Niech rozbije się na murze... spadnie z mostu... albo... Sharon powstrzymała te myśli. Zastanawiała się, jak daleko może się posunąć w swoich fantazjach na temat jego śmierci. Wytarła mokre dłonie w dżinsy, a potem wyszarpnęła worek na śmieci spod zlewu. Zostawiła otwarte drzwi z tyłu domu i wyszła, by go wyrzucić. Pani Tate wciąż kręciła się przy klombach. Zobaczywszy Sharon, podeszła do parkanu.

— Sharon, czy czuje się pani lepiej?

— Czuję się świetnie, pani Tate. — Sharon próbowała ukryć poirytowanie. — Nie byłam chora.

Drobna i pomarszczona, ponadsiedemdziesięcioletnia kobieta wracała wodnistoniebieskimi oczami. — Rozumiem. Paul mi wyjaśnił.

— Co wyjaśnił? — warknęła Sharon. Śmieci z hukiem spadły do pustego pojemnika.

— No cóż... wie pani. Te pani nerwy... I to wszystko. — Pani Tate mówiła wyniosłym tonem osoby, która ma poufne informacje.

Sharon czuła, że płonie jej twarz.

— Ale niech pani się nie przejmuję, kochana. W dzisiejszych czasach wiele młodych kobiet jest nerwowych i rozstrojonych. To wina szybkiego tempa życia. — Cmoknęła językiem. — I tak jest pani w szczęśliwszym położeniu niż większość kobiet, mimo że... Ma pani kochającego męża, który...

— Pani Tate — przerwała jej Sharon. — Nie jestem nerwowa ani rozstrojona.

— Słucham? — Kobieta była zaskoczona, na jej twarzy pojawiła się sieć zmarszczek.

Sharon walczyła z gniewem. Zrażenie do siebie tej kobiety nie przyniosłoby chyba nic dobrego. Byłby to kolejny punkt w grze Paula. Zmusiła się do uśmiechu. — Pani Tate, właśnie wyjaśniłam, że czuję się świetnie.

Chwila milczenia. Potem kobieta uniosła do góry brwi; znikły pod zmarszczkami na czole. Ze zrozumieniem kiwnęła głową. — Rozumiem. Oczywiście, że czuje się pani świetnie.

Sharon powstrzymała się od riposty. Nigdy nie będzie przekonywała pani Tate, że Paul kłamie. Zmieniła temat. Porozmawiała chwilę o uprawie ogrodu, a potem pośpieszyła do domu. Musiała wziąć głęboki oddech, zanim odebrała telefon, który zaczął dzwonić, kiedy weszła do kuchni.

— Sharon — odezwała się Lexi zaniepokojonym głosem. — Próbowalam się z tobą skontaktować. Nie odbierałaś telefonu na poddaszu, więc wykreśliłam ten numer.

— Miałam właśnie do ciebie zadzwonić. — Sharon wyjrzała przez okno. Samochodu Paula jeszcze nie było. Przez moment można było bezpiecznie rozmawiać przez telefon w kuchni, który miał połączenie z telefonem w gabinecie Paula. — Wyszłam z domu i nie słyszałam telefonu na górze.

— Czy...

— Paula nie ma. Możemy rozmawiać.

Lexi odetchnęła z ulgą. — Czy wszystko było w porządku, jak wczoraj wieczorem wróciłaś do domu?

— Lexi, w tym domu już nic nie będzie w porządku... — Wyjaśniła, że Paul znalazł kostium Davida. — Zabronił mu brać udział w Halloween... Czy ty masz może drugi taki kostium...?

— No cóż, mam. — W głosie Lexi kryła się złość.

— Wpadnę, jak tylko będę mogła...

Na odgłos zamykanych drzwi samochodu Sharon wyjrzała przez okno. Paul przemierzył już połowę małego podwórza.

— Zadzwoń do ciebie. — Znów straciła oddech. — Paul zaraz wejdzie do domu.

— Zaczekaj! — Wrócił natarczywy głos Lexi. — Coś znalazłam w sklepie. Musimy porozmawiać.

— Dobrze... później. — Sharon usłyszała, że Paul przekręca gałkę u drzwi. — Może spotkamy się w supermarkecie. Dam ci znać, kiedy. — Odłożyła słuchawkę i udawała, że jest zajęta przy zlewie, kiedy Paul wszedł do kuchni.

— Rozmawiałaś przez telefon?

Pytanie było tak niespodziewane, że z ogromnym wysiłkiem odpowiedziała normalnie.

- Nie. Dlaczego pytasz?
- Sznur się wciąż kołysz.

Spojrzała na splątany sznur telefonu na ścianie. — Musiałam go poruszyć, jak wycierałam stół. — Miała nadzieję, że to brzmi przekonująco.

Podniósł słuchawkę i wcisnął trzy numery. — Słuchał, podczas gdy operator sprawdzał ostatnie rozmowy. Uśmiechnął się do niej. — Sharon, nie opłaca się kłamać. Najwyraźniej zapomniałaś, że mogę sprawdzić u operatora. — Odwiesił słuchawkę. — Właściwie to myślałem, że rozmawiałaś z doktorem. Ale z Lexi? — Pogroził jej palcem. — Wiesz, że nie chcę, żeby ta kobieta tu dzwoniła.

- Jak śmiesz traktować mnie jak dziecko!

— Będę cię traktował tak, jak mi się podoba. — Mówił spokojnym głosem, ale jego oczy ostrzegały. — Jesteś moją żoną. — Niespodziewanie odwrócił się i skierował na schody prowadzące w dół do jego gabinetu. — Daruję ci twoją bezczelność... ze względu na twój stan. — Przerwał. Zerka tylko. — Ale Lexi ma tu nie dzwonić, bo sam będę musiał z nią porozmawiać.

— Przestań mówić o moim *stanie*. — Złość zdusiła zwykłą u niej powściągliwość. — Nie jestem w żadnym stanie, chyba że myślisz o naszym małżeństwie!

Uśmiechnął się zdawkowo. — Sharon, coś sugerujesz? Mówisz o *stanie* błogosławionym?

Od razu się zarumieniła. Przekręcał wszystko, co powiedziała. Bały go jego gierki. Musiał wiedzieć, jak bardzo znenawidziła seks z nim.

Ale dla niego nie ma to znaczenia. Potrzeba dominacji przesłoniła wszystko w jego życiu. Sharon odwróciła się, łyż szczypały ją w oczy. Dominacja przez strach była jego afrodyzjakiem, a ostatnio okazało się nawet, że musi być brutalny, by osiągnąć orgazm. Słyszała jego cichy chichot, gdy schodził po schodach.

Dzwonek telefonu był tak niespodziewany, że aż podskoczyła. Nie odebrała — Paul to zrobi. Na pewno telefon był do niego.

— Sharon. — Z dołu schodów dobiegł jego zaniepokojony głos. — To doktor Taggart.

Nie odezwała się. Obróciła się i ruszyła na korytarz. Zadzwoeni do Lexi z prywatnego telefonu na poddaszu.

- Odbierz telefon.

W drzwiach jego ręka chwyciła ją za ramię. Nie słyszała, jak wchodził po schodach. Obróciła ją i pchnęła w kierunku telefonu wiszącego na ścianie.

— Powiedziałem, żebyś odebrała.

— Do cholery, Paul! — Wyrwała się z uścisku i skierowała do swojej pracowni. — Ty porozmawiaj z doktorem Taggertem. Tobie bardziej jest potrzebna taka rozmowa!

Zamknęła za sobą drzwi na poddasze i usiadła przy biurku. Próbowowała się uspokoić. Miała określony termin opracowania makiety billboardu, ale nie mogła rozpocząć pracy. Zwykle przytulna pracownia napełniała ją pozytywną energią i czas szybko płynął. Ta praca nie pozwalała jej zwariować.

Potrzebowała pomocy. Ale od kogo? Nie od policji. Paul nie złamał prawa, a ona nie mogła dowiedzieć, że jego sposób uprawiania seksu to gwałt. Lexi powiedziała jej, że niechęć do zgłaszania się na policję jest typowa dla maltretowanych żon. Ale nawet Lexi jej całkowicie nie rozumiała; nie mogła stracić Davida w bitwie przed sądem.

Schronisko dla kobiet nie było możliwym rozwiązaniem; gdzie stamtąd mogłaby pójść? Nawet adwokat, z którym rozmawiała, nie dodał otuchy. Przedstawił zagrożenia, włącznie z możliwością utraty Davida. Często się zastanawiała, w jakiej części to koszmarnie małżeństwo było jej winą. Myśląc o ostatnich kilku latach, nieodmiennie dochodziła do wniosku, że Paul, w którym się zakochała, nie był tą samą osobą, z którą teraz żyje.

On się nie zmienił, napomniwała się. Zrzucił tylko z siebie powłokę humanizmu i ukazała się osoba, która przeraziła Sharon; mężczyzna, którego nie była w stanie szanować, nie mówiąc już o kochaniu. Choć zgodziła się zrezygnować z pracy, kiedy zaszła w ciążę i nie kontynuować kariery zawodowej, aż David skończy dwa lata, nie miała zamiaru zrezygnować z pozycji równorzędnego partnera w małżeństwie. Nie pomyślała, że Paul zabroni jej wrócić do pracy i że jego potrzeba absolutnej dominacji wyklucza niezależność żony. Wywalczyła sobie kompromis: pracowała na pół etatu w domu.

Podenerwowana włączyła radio. Zadzwoń do Lexi, pomyślała, kiedy łagodna muzyka wypełniła pokój. Miała podnieść słuchawkę, ale telefon sam zadzwonił.

— Mówi Sharon — odezwała się głosem, którym prowadziła rozmowy o interesach.

— Doktor Taggert. — Jego cienki głos drażnił ją. Mówił protekcyjnym tonem dorosłego uspokajającego niegrzeczne dziecko. — Paul dał mi numer telefonu do pani pracowni. On, no właściwie my obaj uważamy, że powinienem porozmawiać z panią.

— Doceniam pana troskę, ale niepotrzebna mi pomoc medyczna. — Nagle zachwiała się i oparła się o biurko.

Chwila ciszy. — Moja droga, wiem, że nie jest pani fizycznie chora, ale chciałbym porozmawiać o pani... aa... stanie.

— Jakim stanie?

— Stanie pani nerwów, że tak powiem. — Kolejne wahanie. — Sharon, niech pani mi uwierzy, nikt nie wini pani za lekkie ataki depresji i dręczące panią niepokoje. Leczę wiele takich przypadków, to znaczy kobiety, które chcą być wszystkim: matkami, żonami i odpowiedzialnymi pracownicami. W końcu coś musi nawalić.

— Nfe mam ataków depresji i nie przeżywam niepokojów, doktorze Taggert. Kocham dziecko i moją pracę. — Oderwała słuchawkę od ucha, by stępić natarczywy ton w jego głosie. — Jeśli wydają się nerwowa, to dlatego, że jestem faktycznie więźniem we własnym domu... I nikt w to nie wierzy. — Sharon zmusiła się, by wziąć głęboki oddech. — Znajduję się w niestabilnej sytuacji. Paul nie jest normalny, choć pan tak uważa. Mówiłam to panu kilka tygodni temu...

W jakiś sposób Sharon udało się zachować spokój. Wciąż prześladowało ją wspomnienie dnia, kiedy opowiadała mu o małżeństwie, o obsesjach i natręctwach Paula, o jego zazdrości i zaborczości. Doktor słuchał cierpliwie, podczas gdy ona przedstawiała po kolei, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku lat. Na zmianę płakała i wpadała w wściekłość. Kiedy skończyła, wyskoczył z niespodzianką.

— Tak — rzekł wtedy. — Paul informuje mnie o wszystkim, co się dzieje w tym trudnym dla pani okresie życia. — Nie wierzył jej, choć przyznał, że ich małżeństwo potrzebuje pomocy. *Ze względu na jej chwiejną naturę* — poinformował ją. Odrzuciła tę sugestię i nazwała doktora ślepym głupcem. Wyszukała jeszcze kilka innych określeń, a potem ciężkim krokiem wyszła z gabinetu, mijając przerażoną pielęgniarkę i innych pacjentów.

— Sharon, zapomnijmy o tym wszystkim. — Chrząknął. — Paul wspominał, że pani wciąż nie jest skłonna, by zaakceptować rady dotyczące małżeństwa.

— Nigdy nie byłam temu przeciwna. To Paul nie chce przyjąć pomocy.

— Hm, no cóż... tak. Rozumiem. — Ściszył głos, jakby pragnął ją uspokoić. — a teraz przepisze pani coś na sen.

Zapadła cisza. Rozmowa była jak z powtórki tamtej. Nie mogli się dogadać. Doktor nie wierzył w to, co mówiła. — Doktorze Taggert, ja nie potrzebuję tabletek nasennych.

— Więc nie ma pani problemów ze snem?

— Mam — warknęła. — Boję się zasypiać.

— Hm, rozumiem. — Ton jego głosu wskazywał, że Paul go odpowiednio nastawił. Był przekonany, że *jest* niezrównoważona emocjonalnie.

— Nie mam problemów z emocjami, doktorze Taggert. — Jej głos drżał z irytacji. — To Paul jest obłąkany... I ogłupił pana i wszystkich wokół.

— Ależ Sharon, moim zadaniem jest pani pomóc, a nie zadrezczać.

Nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. — Niech pan się nie trudzi, żeby mi coś przepisać. Proszę zachować to dla Paulai

Sharon rzuciła słuchawkę. W reakcji ugięły się pod nią nogi. Ciężko usiadła na podłodze przed biurkiem.

Kiedy znów zadzwonił telefon, szybkim ruchem zdjęła słuchawkę z widełek. — Mówiłam panu, że nie chcę żadnych cholernych tabletek! — krzyknęła.

— Sharon... Sharon! — Lexi mówiła równie ostrym tonem. — Na Boga, co się dzieje?

— Och, Lexi, Dzięki Bogu, że *to* ty. Myślałam, że to doktor Taggert.

— Krzyczysz na swojego lekarza?

— Rzuciłam słuchawkę, bo Paul przekonał go, że potrzebuję tabletek nasennych. Doktor sądzi, że jestem wariatką lub coś w tym rodzaju. — Zaszlochała. — Rozumiesz coś z tego, Lexi? Dlaczego Paul mi to robi? Jestem przerażona.

— Musisz się stąd wyrwać, Sharon. — Słowa Lexi brzmiały ostro w uszach Sharon. — Nie pokonasz demonów Paula. Nigdy nie wygrasz.

Sharon przyłożyła słuchawkę do drugiego ucha. — Wiem i szukam sposobu ucieczki. Odłożyłam trochę gotówki...

— Masz prawo do połowy majątku.

— Ale na to nie ma sposobu. — Głos Sharon się załamał. — Wcześniej Paul by mnie zabił.

— Tego się boję. — Nastąpiła przerwa. — Posłuchaj, mogę obnażyć zboczoną grę Paula.

— Jak? — Sharon kłykciami palców wytarła łzy z policzków. — W jaki sposób możesz zrobić coś, czego inni nie potrafią?

— Pamiętasz, jak mówiłam, że coś znalazłam w sklepie?

— Aha... — Sharon próbowała powstrzymać łzy.

— To jeden z tych fantazyjnych guzików, które czasami się przy-szywa do koszul szytych na miarę.

— Paul ubiera się w koszule szyte na zamówienie, z ozdobnymi guzikami.

— Wiem. Musimy porozmawiać. Chcę, żebyś go zobaczyła, zanim wezwę policję. Może to być guzik, który zgubił jakiś klient...

Sharon zerwała się na nogi. — Ten człowiek w masce to nie mógł być Paul. Pilnował Davida.

— Zdaję sobie sprawę, Sharon, ale mimo wszystko sprawdź jego koszule.

Za Sharon rozległ się jakiś odgłos, chyba skrzypiały deski podłogi. Upuściła słuchawkę i obróciła się. Ulicą jechał samochód, gałąź drzewa ocierała się o deski na zewnątrz domu, ale na poddaszu nikogo nie było.

— Sharon! — Rozległ się głos Lexi. — Go się stało?

Sharon chwyciła słuchawkę. — Wydawało mi się, że za sobą kogoś słyszałam. — Zawahała się, wciąż nie znała źródła dźwięków. — Ale tu nie ma nikogo.

— Jesteś pewna? Może Paul jest na schodach i podsłuchuje naszą rozmowę?

— Drzwi są zamknięte.

— Tak dalej nie może być. W jaki sposób mam cię przekonać, żebyś uciekła?

— Mówiłam ci, Lexi, że ucieknę. Ale nie mogę postąpić głupio i stracić Davida.

— Na Boga, a jak stracisz życie?! Wtedy co?

— To niemożliwe. Paul się tak daleko nie posunie. On może być...

Nagle rozległo się walenie do drzwi na poddasze, trzask pękającego drewna i odgłos kroków na schodach.

— Cholera! Paul właśnie wyłamał zamek w drzwiach... Zadzwoń do ciebie później... złamałam jeden z jego zakazów: nie zamykać w domu drzwi na klucz. Nie może wiedzieć, że rozmawiałam z tobą.

— Nie wspominaj o guziku. — Słowa Lexi brzmiały niczym wystrzały. — Jeżeli nie zadzwonisz w ciągu godziny, przyjadę do ciebie.

— Proszę, nie rób tego. Zadzwoń, jak tylko będę mogła, a spotkamy się rano w supermarkecie.

Słuchawka znalazła się znów na widełkach, zanim głowa Paula pojawiła się na górze schodów.

— Nie pozwalam zamykać drzwi na klucz w moim domu. — Jego spojrzenie było równie chłodne jak głos. — Jesteś nieposłuszna, Sharon.

Zebrała się w sobie. Wiedziała, co teraz nastąpi. Ukarze ją, a to oznaczało seks.

Rozdział 4

Następnego ranka Sharon szybko uwijała się po supermarkecie. Jej buty, Nike, cicho dotykały pokrytej kafelkami podłogi, kiedy do wózka wkładała rzeczy, które miała wypisane na kartce. Dotarła do kasy i nerwowo spojrzała na zegarek. Potem wytarła dłonie w dzinsy i zaczęła opróżniać wózek. Lexi się spóźniała. Dlaczego cię nie ma, pomyślała. Zaraz będę musiała odjechać,

— Przepraszam, że wcześniej nie dotarłam do sklepu. — Lexi pojawiła się za Sharon, kiedy ta otwierała torebkę. — Ale nie spóźniłam się chyba z pomocą...

Sharon spojrzała na nią i zmusiła się do uśmiechu. Lexi wyglądała na wyczerpaną. Nawet czarny kapelusz z szeroki rondem nie utrzymał jasnych włosów, które opadły na twarz. Rozcięcie w obcisłej sukni z dżerseju było rozpięte od butów z lakierowanej skóry do kolan.

— Wszystko w porządku. Przyjechałaś tutaj i tylko to się liczy. — Sharon sięgnęła głębiej do torebki, po omacku szukała książeczki czekowej. — Postawię ci kawę z mlekiem, jak zapłacę za zakupy. — Ręka wskazała na znajdującą się przy drzwiach budkę z kawą.

— Świetnie. Chętnie wypiję kubek kawy. Jechałam jak szalona, żeby tu dojechać.

— Przywiozłaś kostium Chudego?

Lexi zabębniła palcami na zapięciu swojej dużej torebki. — Jest tutaj bezpieczny.

— Doskonale — rzekła uspokojona Sharon. Nie wiedziała, czy będzie miała jeszcze okazję spotkać się z Lexi przed Halloween. Musiała zaplanować, w jaki sposób bez wiedzy Paula David pójdzie na zabawę. Nie chciała nawet myśleć, że Paul może znaleźć ten drugi kostium. Jej syn będzie normalnym małym chłopcem. *Tym razem.*

Skupiła się na poszukiwaniu książeczki czekowej. Paznokciami grzebała w skórzanym wnętrzu torebki, szminki i ołówki do brwi zagrzechotały o kalendarz i mały szkicownik. Przerzucała wszystkie drobiazgi.

— Przepraszam — zwróciła się do kasjerki. Poczowała, że robi się jej gorąco. — Gdzieś to tutaj mam.

— Proszę się nie spieszyć — rzekła potężna kobieta i zaczęła pakować artykuły spożywcze do torby. Uważała na swoje długie szkarłatne paznokcie. — Nikt nie czeka w kolejce.

— Co się stało? — Lexi zerknęła jej przez ramię. — Zgubiłaś portfel?

Sharon pokręciła głową. — To niemożliwe. Nie używałam go od kilku dni i nigdy nie wyjmuję go z torebki.

— Może zostawiłaś go na ladzie, jak płaciłaś rachunki? — Lexi zmarszczyła czoło z udawanym niepokojem. — Kiedy ja płacę swoje rachunki, jestem tak zdenerwowana, że zapominam potem o książeczce czekowej.

— Paul płaci u nas rachunki.

— No tak — rzekła Lexi szyderczo. — Jak mogłam zapomnieć.

Niepokój ścisnął Sharon żołądek. Rzuciła torebkę na ladę. Nie było jej portfela. Rozpięła zamek błyskawiczny. Z kieszeni torebki znikł czek od Hoyt & Bender oraz książeczka bankowa jej prywatnego konta oszczędnościowego.

— Nie mogę uwierzyć. Niczego nie ma, nawet kart kredytowych. — Palce Sharon znieruchomiały, kiedy uniosła wzrok. — Nie mam czym zapłacić — powiedziała kasjerce, której wyskubane brwi wygięły się w półksiężycy. Chłód od rąk rozlał się po całym ciele. — Paul musiał je zabrać — wyszeptwała do Lexi.

— Żartujesz. — Zawahała się. — Dlaczego by to zrobił? Chyba mówiłaś, że ty trzymasz pieniądze na wydatki domowe... To był jego pomysł.

Sharon zgrnęła rzeczy z powrotem do torebki. — Nie rozumiem. Nigdy wcześniej nic takiego nie robił, ale ostatnio nawet jak na niego zachowuje się dziwnie.

— Więc podwędził ci książeczkę czekową z pieniędzmi na jedzenie? Czemu to kretynstwo ma służyć?

— Wziął też czek z wypłatą i książeczkę bankową. — Sharon walczyła z uczuciem paniki. — Nie wiedział o moim koncie oszczędnościowym. Musi kipieć ze złości.

— Czy wezwać ochronę? — Kasjerka pochyliła się do przodu. Na jej umalowanej twarzy pojawił się niepokój.

— Nie... nie. — W jakiś sposób Sharon zdobyła się na żartobliwy ton. — Chyba to mój mąż jest złodziejem. — *To kanalia!* Wiedział, że jedzie do sklepu i pozwolił, żeby pojechała bez pieniędzy. Dlaczego chce ją upokorzyć, zmuszając, by prosiła o pieniądze na zakupy, mimo że ona dokłada ze swoich zarobków do domowych wydatków?

— Muszę zostawić zakupy — rzekła zażenowana. — Przepraszam. Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło.

Lexi podeszła do niej z drugiej strony. — Pozwól, że zapłacę. — Dała kasjerce dwa dwudziestodolarowe banknoty. Uciszyła sprzeciw Sharon. — Przyjaciółka odda mi pieniądze — zwróciła się do kobiety. Śmiejąc się i sypiąc żartami o kieszonkowcach, próbowała poprawić nastroj.

Chwilę później znalazły się na zewnątrz. Kiedy Sharon włożyła torby do hondy, Lexi powiedziała:

— Sharon, musisz wyrwać się z tego brudu. — Jej słowa były brutalnie szczerze. — Sytuacja coraz bardziej się zmienia... staje się niebezpieczna. — Zapadła cisza. — Boję się o ciebie.

— Oszczędzałam pieniądze na koncie w banku. Dlaczego byłam taka głupia? Dlaczego nie ukryłam gdzieś tej książeczki?

Sharon wytarła dłonią czoło, zaczęła boleć ją głowa. Odpowiedziała na swoje pytania. Nierozsądnie wzięła całą książeczkę, choć potrzebowała tylko jednego blankietu, by wpłacić pieniądze z czeku. Jednak ostatnio bez przerwy była zdenerwowana okropnym podejrzeniem, że ktoś ją obserwuje, i włożyła książeczkę do torebki.

— Miałś pieniądze, o których Paul nie wiedział?

Sharon przytaknęła. — Doszłam do wniosku, że jak następnym razem ucieknę od Paula, muszę to zrobić szybko. Muszę wszystko zostawić... Z wyjątkiem Davida. — Załamał się jej głos. — Do tego potrzeb-

ne są pieniądze. Ponieważ Paul kontroluje nasze finanse, oszczędzałam każdy grosz. A teraz on ma tę książeczkę...

— Słuchaj, mogę zdobyć trochę pieniędzy... może pięć tysięcy.

— Nie masz żadnych pieniędzy ekstra. Potrzebujesz na podatek od nieruchomości.

— To jest ważniejsze. — Lexi zmrużyła oczy. — Chyba możemy też iść na policję, wszystko wyjaśnić. — Zaczęła mówić ostrym tonem: — Paulowi nie może ująć to na sucho.

— Pamiętasz, jak ostatnio próbowałam mi pomóc? Paul dopilnował, żeby każdy dowiedział się, że byłaś aresztowana za posiadanie marihuany.

— To było dawno temu.

— Wiem, Lexi, ale on wciąż może cię oczerniać. — Sharon spuściła wzrok. — Tak jak poprzednio policjanci powiedzą, że *to* rodzina kłótnia. Będą współczuli Paulowi, bo jest taki cierpliwy, mimo że ma znerwicowaną żonę. Paul zawsze wygrywa.

— A co z jego koszulami? Sprawdziałaś guziki?

— Tak. — Próbowała opanować uczucie bezradności. Sprawdziła, że wszystkie koszule leżące w szafie Paula były w idealnym stanie. — Nie ma żadnych oderwanych guzików.

— Daje koszule do pralni, prawda?

Przytaknęła. — Pomyślałam o tym. Dziewczyna, która odebrała telefon, nie wiedziała, czy przyszywali mu guzik. Nawalił im komputer i nie mogła sprawdzić w opłatach. Mam zadzwonić po południu. — Spuściła wzrok. — Jak znajdę chwilę, że nie będę śledzona.

— Ja zadzwonię. Przedstawię się jako ty. Jaka to pralnia?

Sharon powiedziała jej. — Dzięki, że jesteś moją przyjaciółką, Lexi. Wiem, że ostatnio jestem dla ciebie dużym ciężarem. — Zawahała się. — Ale się nie martw. Mam zamiar z tym skończyć.

— Właśnie, że się martwię. — Chwyciła Sharon za rękę. — Słuchaj, dziecko, za nic nie warto z nim zostawać.

— Wiem... ale David.

— Nie zastanawiaj się długo. Wymyśl, w jaki sposób wziąć Davida i uciec. Mam okropne przeczucie, że Paul chce cię w coś wrobić. — Przerwała. — Nie usiłuję cię przestraszyć, ale bądź ostrożna.

— Wiem, Lexi. Mówisz tylko głośno o moich obawach. Jak powiedziałam, mój ruch musi być nagły i nie do cofnięcia. Potrzebuję więc odpowiednio dużo pieniędzy. — Nie dodała, że wszystko zależy od te-

go, czy odzyska książeczkę bankową. Wsiadła do samochodu. — Odeślę ci te czterdzieści dolarów pocztą. Później zadzwonię też w sprawie pralni.

— A co z kostiumem dla Davida? — Lexi włożyła głowę przez otwarte okno. — Wciąż go chcesz?

Sharon pokręciła głową. Ostrzeżenie Lexi podziałało. — Nie, Davidowi nie będzie potrzebny. — Do Halloween musi uciec z synem.

Pomachała ręką na pożegnanie i włączyła się do ruchu ulicznego. Kiedy zatrzymała się na pierwszych czerwonych światłach, złość rozpałała się w niej płomieniem. Zanim dojechała do ulicy prowadzącej do domu, cała się trzęsła z wściekłości.

Nie miałeś żadnego prawa wyjmować czeków i kart kredytowych! Wiedziałeś, że muszę zapłacić w sklepie. Chcę dostać je z powrotem! I czek z wypłatą!

Sharon wpadła jak burza do gabinetu Paula w piwnicy. Była tak rozłoszczona, że nie zwracała uwagi, iż przerywa mu rozmowę telefoniczną. Od tego czasu, gdy dwa dni temu włamał się na poddasze, nie opuszczała domu, jedynie odprowadzała i przyprowadzała Davida ze szkoły. Niespodziewanie nie napastował jej seksualnie i pozwolił nadal załatwiać sprawunki. Zachowywał czujną powściągliwość; wiedział, że bez Davida nie ucieknie od niego na stałe.

Szybko skończył rozmowę telefoniczną i odłożył słuchawkę. Potem obrócił się na krześle. — Nie waż się na mnie denerwować. — Wstał. — Bo nie odpowiadam za siebie.

Jego oczy błyszczały, ale zlekceważyła ostrzeżenie i podeszła bliżej. Zauważyła, że znajdujące się obok niej drzwi do małego pomieszczenia, które pełniło rolę schowka, są otwarte. To niezwykle — pomyślała — że Paul nie zamknął ich na klucz. Potem uświadomiła sobie, że telefon mógł mu przerwać. Często zastanawiała się, co tam trzyma tak cholernie cennego.

— Powiedziałam, że chcę czeki, karty kredytowe... I moją książeczkę bankową. — Jej głos drżał, mimo że próbowała się uspokoić.

— O czym ty, do diabła, pleciesz? — Rzucił spojrzenie na otwarte drzwi. — Nie mów mi, że zgubiłaś swoją torebkę.

— Chcesz powiedzieć, że nic nie wzięłaś z portfela? — ostro spytała.

— Nazywasz mnie kłamcą?

Była tak zdenerwowana, że się go nie przestraszyła. — Nie! Nazywam cię popierdolonym kłamcą!

Dużymi krokami ruszył w jej kierunku. Sharon zebrała się w sobie, postanowiła, że się wycofa. Domagał się podporządkowania, jego siła wynikała z dominacji.

Chwyił ją za ramię i odwrócił od drzwi do schowka. — Nie wziąłem twojej pieprzonej książeczki bankowej. Sharon, wynoś do wszystkich diabłów z mojego gabinetu... zanim zapomnę, że jesteś beznadziejnym przypadkiem psychicznym i ukręcę ci łeb.

Oparła się o krawędź stolika z faksem, uspokajała się. — Ty gnoju! — krzyknęła, obracając się do niego, niezdolna kontrolować swej złości. — No, ukręć. — Wciągnęła powietrze do płuc. — Nawet warto byłoby dać się zabić, żebyś nie mógł wykręcić się od morderstwa...

Wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale zaciśnięta szczeka i drgające powieki powiedziały jej, że jego cierpliwość wisi na cienkim włosku. Odwrócił się gwałtownie, by zamknąć drzwi do schowka. Spojrzała za nim do ciemnego wnętrza pomieszczenia. Skrzynki na drobniaki piętrzyły się obok zabytkowych stolików, które Paul kupił do odnowienia. Za nimi oparta o ścianę stała krata. Kiedy zatrasnęły się drzwi, Sharon zastanowiła się, dlaczego ta krata jest tak wąska, inna niż kraty, których używał do podtrzymywania dzikich róż rosnących w ogródku przed domem.

— Sharon, wynoś się stąd! — Znowu spojrzał na nią. Jego oczy były matowe, zupełnie zimne, bez żadnego błysku emocji. — Skoro jeszcze możesz.

Cofnęła się. Chociaż nie drgnął mu ani jeden mięsień, był gotowy, by rzucić się na nią. Bez słowa odwróciła się i wybiegła. Zanim dotarła do poddasza, złość ulotniła się z niej niczym powietrze z przekłutego balonu. Ciężko opadła na krzesło, głowę wcisnęła między ręce, na wypolerowanym blacie biurka. Tłumiła zbierający się w gardle krzyk rozpaczy. W jakiś sposób musiała się zmobilizować. Ale teraz nie była w stanie powstrzymać łez.

O dziewiątej wieczorem Sharon wciąż siedziała przy biurku. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na telefon. Dzięki Bogu, David spał na dole. Chyba znowu się przeziębził, ale nie miał jeszcze gorączki. Mój biedny David, pomyślała. Nie rozumie, dlaczego ojciec nie pozwala mu się bać jak inne dzieci ze szkoły.

Kiedy próbowała porozmawiać z panią Conrad, młodą nauczycielką Davida, zetknęła się tylko z nieobecnym spojrzeniem i lekceważącymi odpowiedziami typu: „Rozumiem, pani Moore” i „Nic dziwnego, pan Moore troszczy się tylko o zdrowie Davida”. Ton w jej głosie sugerował, że chodzi raczej o zdrowie Sharon, a nie Davida.

Sharon wstała — nie była już w stanie siedzieć nieruchomo — i zaczęła chodzić po poddaszu; bosymi stopami stapała po cichu po drewnianej podłodze. Paulowi udało się nawet nadszarpnąć jej reputację u nauczycielki Davida, choć chłopiec chodził do szkoły dopiero od sześciu tygodni. Zatrzymała się przy oknie, odciągnęła firankę i wyrzała na omywaną deszczem ulicę. Mrok wieczoru pogłębiał tylko jej poczucie zbliżającej się kłęski. Ostatni cios otrzymała po południu, kiedy zadzwonił jej szef. Choć był miły, mówił bez ogródek. Zlecenie zostało przekazane komu innemu, bo nie wywiązała się z terminów.

Oczywiście spóźniła się, ale nie tak bardzo, by nie zdążyć na czas. I potrzebowała pieniędzy za to zlecenie. Przez lata dobrze wywiązywała się ze swoich obowiązków w agencji Hoyt & Bender, a oni dobrze jej płaćli. Wierzyła, że są zarówno kolegami, jak i przyjaciółmi. Głos Alle-na Hoyta wciąż dźwięczał jej w głowie. „Oczywiście, że jesteś nieoceniającą koleżanką, Sharon. Chcemy, żebyś wróciła, jak tylko poczujesz się lepiej. To pilne zlecenie wszystkich nas niepokoi... Krótka przerwa pozwoli ci wypocząć. Paul powiedział nam...”

Firanka opadła, Sharon cofnęła się w głąb pokoju. Muszę mieć pracę. Muszę mieć pieniądze. Muszę wyrwać stąd Davida.

— Sharon, chyba twoje życie rozchodzi się w szwach...

Skierowała wzrok na schody. Nie słyszała, jak Paul wchodził na górę. Stał niedbale oparty o ścianę, palcami bębnił o policzek, obserwował ją. Uśmiech na jego twarzy nadawał jej wyraz z troską.

Sharon patrzyła na niego. Paul, jeszcze nie wygrałeś, powiedziała do niego w myślach. Ale nie mogła dać się sprowokować. Bardzo by mu odpowiadało, gdyby się rozkleiła całkowicie... bo była tak sfrustrowana, rozżaloszona, tak wystraszona. Nie miała zamiaru żyć następne pięćdziesiąt lat pod jego dominacją.

— Nie uważasz, że pora iść spać? — Jego łagodny głos drażnił nerwy. — Nie bój się, nie zamierzam cię dotykać... dziś wieczorem. — Ręką pokazał, by zeszła przed nim po schodach.

— Mam tu jeszcze coś do zrobienia. — Zmusiła się, by patrzeć spokojnym wzrokiem. — Za chwilę zejdę.

Wzruszył ramionami, jakby była niezdolna do podjęcia najdrobniejszej decyzji. — Sharon, mówię poważnie. Nie interesuje mnie miłość z kobietą tak rozbity psychicznie, pozbawioną teraz seksapilu. — Zaważał się. Światło z lampki na biurku odbiło się w jego oczach, nadając im wygląd oczu jaszczurki. — Sharon, wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

Obserwowała, jak wychodzi. Jego ostatnie spojrzenie sprawiło, że dostała gęsiej skórki. Jak mogłam go kiedyś kochać? — zastanowiła się. Ale to nie było teraz istotne. Nie mogła się rozpraszać. Musiała znaleźć sposób, by z Davidem uciec od niego, rozpocząć normalne życie.

Im wcześniej, tym lepiej.

Rozdział 5

Wiesz co? — spytał radośnie David. Jego palce zeszywniały na sznurówkach.

Sharon uśmiechnęła się do syna. Wyglądał tak poważnie, jakby miał zamiar rozwiązywać jedno z równań Einsteina. — Nie wiem.

— Halloween był ostatnim dniem w roku u Celtów. Oni byli... — w zadumie zmarszczył gładkie czoło. — Poganami. Pani Conrad uczyła nas o tym.

— A teraz ty mnie uczysz. — Obserwowała jego mrówczy wysiłek przy zawiązywaniu sznurowadeł. David był tak dumny z siebie, kiedy po raz pierwszy poradził sobie ze sznurowadłami. Z trudem mogła uwierzyć, że tak szybko dorasta.

— Czego to panna Conrad was uczyła? — Paul wkroczył do kuchni, gotowy, by zawieźć Davida do szkoły.

Sznurowadła zostały zawiązanej David wstał. Zanim zdążył odpowiedzieć, Sharon chwyciła jego kurtkę z krzesła i pomogła mu się ubrać. Odciągnęła jego uwagę od Halloween. — David właśnie opowiadał, że panna Conrad uczy ich historii.

— Tak, uczy nas też o kalendarzach — odezwał się piskliwym głosem David. — I śpiewamy alfabet.

Paul, myśląc o czymś innym, skinął głową. — Pospiesz się, synku. Powinniśmy już jechać. Po powrocie czeka mnie kilka rozmów telefonicznych.

— Ja mogę go odwiedzić. — Sharon objęła Davida ramieniem i skierowała się do drzwi. — Wygląda, że jesteś zajęty.

— Nie ma mowy — odparł. Jakby zdając sobie sprawę, że mówi ostrym tonem, uśmiechnął się do Davida. — Teraz, kiedy pracuję w domu, odwożenie mojego chłopaka do szkoły *to* przyjemna odmiana. Większość ojców nie ma tyle szczęścia. — Uniósł wzrok na Sharon. — Mam zamiar brać aktywny udział w wychowywaniu syna. — Jego słowa miały swoją wagę.

Kłamca! Boisz się, że nie wrócimy.

Wzruszyła ramionami. Nie panikowała, ale z trudem walczyła, by emocje nie ujawniły się na jej twarzy. Paul, oboje wiemy, że mnie nie oszukasz, powiedziała w myślach. Zastanawiała się, co dyskretnie wkłada Davidowi do głowy, kiedy są sami. Że jego mama jest w „pewnym stanie”?

— David, idziemy — rzekł Paul. Włożył skórzaną kurtkę i skierował się do drzwi.

— Okay. — David objął Sharon w pasie. Pocałowała go w oba policzki, świadoma, że Paul obserwuje ich z drzwi. — Cześć, mam.

— Kocham cię — zawołała za nim.

Machając ręką na pożegnanie, jej jedyne dziecko odeszło z ojcem, człowiekiem, któremu z każdym dniem coraz mniej ufała.

Kilka minut później siedziała w zaciszu poddasza. Patrzyła na cyfry, które zapisała na kartce. Próbowwała zwalczyć zniechęcenie. Jak, do diabła, zamierzam to zrobić? — zadała sobie pytanie. I gdzie Paul ukrył książeczkę bankową, choć tak naprawdę wcale jej nie potrzebowała. Jedyne ona była właścicielką konta. Paul nie mógł wypłacić pieniędzy, chyba że sąd przyzna mu opiekę nad żoną.

W cichym pokoju słyszała słabe brzęczenie pieca gazowego, który rurami rozsyłał ciepło po całym domu. Była to kolejna modernizacja dokonana przed ślubem przez Paula. Stworzył idealny dom i taki miał pozostać. David nie mógł trzymać nawet żadnych zwierząt. „Później, kiedy będziesz starszy” — obiecał Paul, ale Sharon wiedziała, że „później” znaczy „nigdy”. Żaden zwierzak by nie pasował do jego królestwa orientalnych dywanów, starych mebli i starannie wypastowanych podłóg.

Załadując swój samochód rzeczami Davida i moimi i będę jechała na północ, aż znajdę miasto, które obojgu nam się spodoba, postanowiła.

Zapiszę Davida do szkoły, wynajmę mieszkanie, znajdę pracę i rozpocznę nowe życie. Wydawało się to proste, ale wiedziała, że jest inaczej.

Niespokojna zeszła na dół do pokoju Davida. Dotknęła jego ulubionych książek, jego ubrań, a potem przytuliła Smarkusia, jego pluszowego niedźwiadka. Siadła na brzegu łóżka, przypomniała sobie, że David tak nazwał misia, bo „on też się często przeziębia, mamusiu”.

Skłonność chłopca do łapania wszystkich chorób była kolejnym powodem, dla którego wróciła do Paula. Sama mogła ryzykować, że będzie miała kłopoty finansowe, dopóki nie stanie na nogi, ale nie mogła wystawiać na szwank dobra syna. Słabe zdrowie Davida faworyzowało Paula w staraniach o opiekę — stwierdził jej adwokat — bo on jest rodzicem z odpowiednimi dochodami. Bez Paula miała tylko pracę na pół etatu i żadnych ubezpieczeń zdrowotnych. W tej chwili nie miała nawet pracy. Większość ich majątku pochodziła sprzed małżeństwa; sądziła, że Paul postarał się, by nic nie mogła uszczknąć z ich wspólnej własności.

Zagubiona w myślach Sharon nie od razu usłyszała pukanie do drzwi. Szybko zbiegła na dół, na korytarz przy drzwiach wejściowych. Paul nie wrócił jeszcze ze szkoły i stojąca w ganku osoba nie mogła być którymś z jego współpracowników, bo ci korzystali z drzwi prowadzących do gabinetu. Paul nie pozwalał swoim partnerom w interesach ingerować w jego prywatne życie... wchodzić na jego prywatny teren.

Sharon zerknęła przez firankę wiszącą na szybie zewnętrznych drzwi, a potem szybko je otworzyła.

— Lexi! — zachichotała Sharon. — Ledwo cię poznałam w tym płaszczu z kapturem.

— Jestem incognito. — Przepisnęła się obok Sharon na korytarz. — Wiem, że Paula nie ma. Wyjdę, zanim wróci. — Zawahała się. — Pamiętam, jak mówiłaś, że zawsze odprowadza Davida do klasy, a potem rozmawia z jego nauczycielką. — Przerwała. — Sądzę, że mam pięć minut.

Sharon skinęła głową. — Przekonywanie nauczycielki jest częścią jego planu — stwierdziła. W żołądku poczuła znajomy uścisk.

Lexi wyglądała na spiętą. — Czasami myślę, że nie bierzesz powodu Paula dostatecznie poważnie.

— Ależ biorę — zaprotestowała. — Wiem, że poniża mnie w oczach wszystkich. — Spojrzała w dół, nagle zdała sobie sprawę, że wciąż trzy-

ma Smarkusia. — I nie mam zamiaru zostać tu ani sekundy dłużej, niż będę musiała.

— Rozumiem. O to mi właśnie chodzi. — Lexi była poirytowana.

— Wiesz, że Paul prowadzi grę pozorów, ale nie zdajesz sobie sprawy, co ci tu grozi.

— Chyba nie myślisz, że Paul planuje mnie zabić lub coś takiego.

— Tak, uważam, że jest w stanie posunąć się tak daleko. — Zmrużyła oczy. — Z tego, czego się dowiedziałam...

— Czego? — Pytanie wyrwało się z ust Sharon, przerywając Lexi.

— Tylko nie poddawaj go psychoanalizie. Mów, co wiesz.

— Poszłam do pralni. Pamiętasz, chodzi o guziki.

— Sama dzwoniłam do tej dziewczyny. — Sharon przestraszyła się.

— W komputerze nie było żadnej informacji, że przyszywano guziki do koszul Paula.

— Wiem, dlatego tam pojechałam, żeby osobiście porozmawiać ze szwaczką. — Zdjęła kaptur, włosy opadły jej na ramiona. — Powiedziała, że przyszywała jednak guzik, ale to drobiazg, a poza tym Paul jest zbyt cennym klientem, żeby musiał za to płacić.

Zapadła cisza.

— To może przypadek — wykrztusiła Sharon. Obraz Paula jako postaci w masce był nie do zniesienia. Zaczęły drżeć jej nogi i musiała się przytrzymać stolika na korytarzu. — Paul to maniak, wszystko dokładnie kontroluje, ale nie sędzę, żeby stał się włamywaczem. Musiałby zwariować.

Lexi objęła ją. — Sharon, właśnie to chcę powiedzieć. Jestem przekonana, że Paul to socjopata, zdolny do wszystkiego.

— Mówisz, że... Paul chce mnie zamordować? — Jej szept rozbrzmiał w ciszy korytarza. Często myślała, że Paul to socjopata, ale... taki, który *zabija*?

Lexi nie od razu zaczęła mówić. — Ja nie wiem niczego na pewno. Może to przypadek. — Zagryzła wargi. — Ale zanim się upewnimy, musisz się stąd wynosić. Jestem przekonana, że Paul jest bardziej chory, niż to sobie wyobrażamy.

Jednocześnie obie usłyszały samochód. Lexi chwyciła za gałkę u drzwi, ale Sharon nie pozwoliła jej otworzyć. — Poczekaj, aż wjedzie za dom.

Kiedy samochód odjechał do garażu, Sharon otworzyła drzwi. — Idź, Lexi. On zawsze wchodzi z tyłu. Nie zobaczy cię.

Lexi naciągnęła kaptur i wyszła na werandę. — Coś z tym zrobisz?
— Wkrótce. Obiecuję.

Podczas gdy drzwi frontowe zamykały się, otworzyły się drzwi z tyłu domu.

Gzyżbym słyszał kogoś przy drzwiach frontowych?

Zanim Paul wszedł po schodach, Sharon znalazła się w kuchni. Opróżniając zmywarkę do naczyń, nie unosiła wzroku. — Nie sędzę — uchyliła się od zdecydowanej odpowiedzi. Zachowała zwykły ton głosu. — Spodziewałeś się jakiegoś klienta?

Czuła jego spojrzenie na sobie. Zmusiła się, by dalej ustawiać naczynia. Robiła to ostrożnie, chciała ukryć strach. Nie widziałam się z Lexi, napominała się.

Nie odpowiedział na jej pytanie. Szybko się odwrócił i skierował na schody prowadzące do jego gabinetu. — Jakbyś mnie potrzebowała, teraz będę zajęty — oznajmił. Jego słowa rozbrzmiewały złością.

Sharon, kiedy skończyła w kuchni, weszła na poddasze, by zamknąć konto u Hoyt & Bender, jak się tego domagali. Może utrata pracy przyniesie dobre efekty, próbowała się pocieszyć. Nigdy w życiu nie była tak zrozpaczona. Musi być jakaś droga ucieczki dla niej i Davida, i ją znajdzie. Muszą uwolnić się od Paula.

Otarła zażawione oczy, przełknęła ślinę i zmusiła się do pracy. Działanie usuwa strach, mówiła sobie. Wiedziała, że nie może się poddać. Teraz musiała być silna. Potrzebowała kilku starych dokumentów, więc otworzyła drzwi do jednego z małych pomieszczeń, gdzie trzymała pudełka ze skoroszytami i teczkami. Nie mogąc znaleźć tego, czego szukała, wczołgała się na półkę pod okapem.

Co się stało z moimi dokumentami? — zadała sobie pytanie, po omacku przeszukując pudełka. Zostawiłam je blisko drzwi, bo nienawidzę tych ciasnych pomieszczeń. Czyżby Paul przestawiał rzeczy?

Poszukała sznurka służącego do zapalenia światła. Pociągnęła za niego. — Cholera — mruknęła, doznając uczucia klaustrofobii. To właśnie dlatego trzymała dokumenty blisko drzwi i nigdy nie wchodziła do środka. — Żarówka się przepaliła.

W przeciwnym rogu pomieszczenia zauważyła smugę światła. Najpierw pomyślała, że jest to światło dzienne, które dostaje się przez szczelinę między dachem a ścianą. Potem stwierdziła, że blask rozchodzi się z dołu. Jak to możliwe? — zastanowiła się, przedzierając się

w stronę źródła światła. Na chwilę zapomniała, po co tu przyszła; zżerała ją ciekawość.

Tylko się przypatrywała, na początku nie zdawała sobie sprawy, na co patrzy. Za starymi pudłami znajdował się kilkudziesięciocentymetrowy otwór w podłodze. Do muru przybite były cienkie listwy, które tworzyły coś w rodzaju drabiny. Prowadziły trzy piętra w dół domu, do magazynu w piwnicy — małego pomieszczenia, które Paul zawsze zamykał na klucz, bo stanowczo nie chciał, by ktoś mu ruszał dokumenty dotyczące interesów i podatków. Chociaż nie pozwalał zamykać na klucz innych drzwi w domu, Sharon nie sprzeciwiała się jego decyzji, uznała, że to tylko wyraz jego neurotycznych zachowań. Nie wyobrażała sobie, że może mieć jakiś ukryty motyw, by jej nie wpuszczać do tego pomieszczenia.

— Mój Boże! — wyszeptała Sharon. — To był kiedyś komin. — Ty podstępny sukinsynu, pomyślała. Usunąłeś cegły, ale zostawiłeś wolną przestrzeń, żeby mieć sekretny dostęp do poddasza. Krew napłynęła jej do twarzy. Liczył na to, że ona nie odkryje jego tajemnego przejścia, bo nigdy nie wchodziła pod okapy. Jak długo ją szpiegował? Czy od czasu, kiedy po urodzeniu Davida urządziła swoją pracownię na poddaszu?

Ta myśl przyprawiała o dreszcze. Ileż to razy słyszała dziwne dźwięki, o których nie wiedziała, skąd pochodzą. Teraz się dowiedziała. Podśluchiwał jej rozmowy z Lexi i innymi przyjaciółmi... może nawet jej telefon do pralni? Zadrzała. To gwałt, gorszy nawet niż jego niektóre skłonności seksualne.

Sharon tylko przez chwilę się zastanawiała. Zaczęła schodzić po drabinie. Musiała sprawdzić, czy rzeczywiście prowadzi do gabinetu Paula w piwnicy. Ostrożnie stapała po szczebelkach, nie chciała robić żadnych hałasów. Kiedy zbliżyła się do piwnicy, usłyszała, że Paul rozmawia przez telefon.

Niepewna, zatrzymała się. Drzwi do magazynu były otwarte. Z pewnością nie zamknął ich, bo przerwał mu telefon. Snop światła wpadał do małego pomieszczenia bez okien, oświetlał przedmioty leżące na stole.

Jej książeczkę bankową!

Była tego pewna. Ruszyła w dół, aż znalazła się w połowie drogi do magazynu, jej spojrzenie przykuwały rzeczy na stole. Były tam inne książeczki bankowe, lekarstwa. Ciekawiło ją, czy czek leżący pod

spodem jest jej czekiem z wypłatą. Miała już schodzić niżej, gdy zamarała, usłyszawszy, o czym Paul mówi przez telefon.

— Kochanie, to nie potrwa długo. Obiecuję, że wkrótce będziemy razem. — Zapadła cisza, gdy Paul słuchał. — Mówiłem ci. Sharon traci kontrolę nad sobą. Strasznie się o nią martwię. Przy jej obecnym stanie nie mogę wspominać o rozwodzie. Boję się, że może wpaść w szal, popełnić samobójstwo lub coś takiego. — Kolejna przerwa. — Kochanie, wyjaśniałem ci to już dziesiątki razy. Na razie nie mogę z nią porozmawiać. Jeżeli popełni samobójstwo, mój syn będzie musiał z tym żyć. Robię wszystko, żeby się jej poprawiło... wtedy będę mógł ją porzucić. Uwierz mi, to nie jest zabawne mieszkać z chorą psychicznie żoną.

Sharon przyłożyła dłoń do ust, powstrzymała wściekłą odpowiedź. Dlaczego mówi takie rzeczy? Z kim rozmawia? Czyżby był związany z jakąś kobietą?

Zaczęła drzeć. Paul przygotowuje jej śmierć. Lexi miała rację. *On pragnie jej śmierci.*

— Porozmawiamy później — rzekł Paul. — Muszę wrócić do pracy i sprawdzić, co robi Sharon w swojej pracowni, w której się ukrywa. — Znowu przerwał. — Wiesz, to jeden z objawów jej choroby. Z każdym dniem coraz bardziej się izoluje. Jak wcześniej ci mówiłem, to dlatego pracuję teraz w domu i odprowadzam Davida do szkoły. To dlatego musieliśmy na razie ograniczyć nasze spotkania. Sharon wpada w panikę, kiedy musi opuścić dom.

Jego słowa przyniosły kolejną falę przerażenia. Kiedy odłoży słuchawkę i podejdzie w stronę drzwi do magazynu, zobaczy ją na drabinie. Dowie się, że podsłuchiwała rozmowę.

Zamorduje mnie i upozoruje samobójstwo.

Słumiła niepokój i ruszyła do góry po szczeblach w kominie. Boże, co będzie, jeśli wejdzie po drabinie, by mnie śledzić? Zobaczysz mnie, zanim dojdę pod okap.

Cudem się opanowała. Poruszała się po omacku, bo łązy zaślaniały jej pole widzenia. Kiedy znalazła się w ciemnościach, usłyszała, że Paul zamyka drzwi. Ruszyła szybciej. Musiała wrócić do pracy, zanim on znajdzie się na poddaszu. Kiedy dotarła pod okap, usłyszała go na piętrze poniżej. Palcami odgarnęła włosy, wilgotną twarz otarła rękawem i usiadła za biurkiem. W tym momencie Paul wszedł na schody prowadzące na poddasze.

Uniosła głowę, ich spojrzenia się spotkały. Odłożyła mazak i odsunęła od siebie rysunki. Napięcie ogarnęło całe jej ciało, ale była spokojna i opanowana.

Jesteś stworzona na scenę, powtarzała jej Lexi podczas studiów. Po raz pierwszy Sharon zdała sobie sprawę, że jej stara przyjaciółka znów miała rację. Nie wiedziała, jak dobrą jest aktorką, aż do momentu, kiedy jej życie zależało od udanego, zasługującego na nagrodę aktorską, występu.

Rozdział 6

Kiedy będzie kolacja?

Sharon spojrzała na Paula. Unikała go cały dzień, aż do momentu, kiedy wrócił z Davidem ze szkoły. — Jak zwykle. O szóstej.

— A może być o piątej? — Zawahał się, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. — Muszę dłużej popracować i chciałbym wcześniej zjeść kolację.

Spuściła wzrok, skupiła się na potrawce, którą przygotowywała. Dodawała warzyw do mięsa. — Zdążę do piątej.

— To dobrze. — Odwrócił się i zszedł po schodach.

Sharon poruszała się niczym zaprogramowany robot, myślała jedynie, jak z Davidem uwolnić się spod kontroli Paula. Nawet teraz, kiedy zażądał, by wcześniej przygotowała kolację, zastanawiała się, o co mu chodzi. Wcześniej domagał się, żeby kolację jeść dokładnie o szóstej. Go spowodowało, że zmienił sztywny plan?

Godzinę później Sharon miała wszystko przygotowane. Zasiedli do stołu. Jedli w przygaszonej atmosferze. Sharon tylko raz wstała, by dołożyć Paulowi z garnka stojącego na kuchence. Podłubał w dokładce i zszedł na dół do pracy.

David pomógł posprzątać jej w kuchni. Potem weszła na górę, by przygotować mu kąpiel.

— Mamo, opowiesz mi jeszcze jedną historię? — spytał, kiedy układała go potem do snu. Usiadł na łóżku i patrzył na nią niespokojnym wzrokiem.

Pochyliła się i pocałowała jego wilgotne, pachnące szamponem kędzioriki. Zmyślone historie były sposobem, w jaki jej rodzice dowiadawali się, co ją niepokoi. W stosunku do Davida stosowała tę samą meto-

dę, gdy zdała sobie sprawę, jak przenikliwi byli jej rodzice. Intuicyjnie stosowali technikę, którą dopiero znacznie później opisali psycholodzy.

— Oczywiście — odparła. — O czym chciałbyś usłyszeć?

Zamyślił się. — O mamie, która tak naprawdę nie jest chora... nie ma strasznych problemów i może zajmować się swoimi dziećmi.

Uśmiechnęła się do niego, ale jej myśli pełne były agresji. Zatem o tym opowiadał mu Paul. Okrutna kanalia. Jak może przekładać swoje małostkowe uczucia nad zdrowie psychiczne syna.

— Opowiem ci o mamie... takiej jak ja... która nigdy nie przestaje się opiekować swoim małym chłopcem — zaczęła. — Ta mama jest bardzo zdrowa i kocha małego synka bardziej niż ktokolwiek inny na świecie.

— Nie robi nic złego, żeby był smutny?

— Ależ nie! Nigdy nic nie zrobi, żeby był nieszczęśliwy... — Sharon przerwała. — Wiesz, co jeszcze?

Pokręcił głową. — Co?

— Ta mama zawsze będzie go chroniła przed wszystkimi straszidłami na świecie.

David uśmiechnął się z zadowoleniem i mocniej objął Smarkusia ramieniem. — I nigdy nie odjedzie i nie zostawi go samego?

— Nigdy — odparła Sharon.

Szeroko otworzył oczy. — I nigdy nie umrze?

Sharon została zbita z tropu, ale udało się jej zachować spokój. — Dopiero gdy będzie stara i jej syn będzie miał własne dzieci i wnuki.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

— Dzięki, mamó. — Jego twarz pojaśniała. — To ładna historia. — Skulił się na boku, ale nagle odwrócił się i uśmiechnął z zakłopotaniem. — Zapomniałbym o modlitwie... — Szybko wyrecytował ją piskliwym głosem: — Opiekuj się mamą, ciocią Lexi, panną Conrad i wszystkimi dziećmi w szkole. — Przerwał. — I tątą też.

Sharon znów go uściśnęła i obsypała pocałunkami. Gdy go opuściła, nagle poczuła się bardzo zmęczona.

Dotarła do swojej sypialni. Była tak śpiąca, że ledwo włożyła koszulę nocną. Po położeniu się do łóżka natychmiast zasnęła.

ZŻatrzaszniez zamek, jak będziesz wychodziła? — Lexi poprosiła ostatnią klientkę, jedną z osób systematycznie przychodzących do sklepu.

— Nie ma problemu — odparła kobieta. Wcisnęła zasuwkę na gałce i zatrzasnęła drzwi, kiedy wychodziła ze sklepu.

Lexi, zadowolona, że nikt nie będzie już jej przeszkadzał, pochyliła się nad tym, co wpłynęło dziś do kasy: czekami, gotówką i rachunkami dla płacących kartami kredytowymi. Szybko wypełniała kupony depozytowe; spieszyła się, by nie spóźnić się na randkę z Alem. Mieli bilety na „Upiora w operze” i wcześniej zamierzali zjeść obiad.

Dziesięć minut później Lexi zakleiła wszystko w kopercie bankowej i odłożyła ją na bok, chciała wysłać ją po drodze. Sprawdziła drzwi frontowe i zasunęła zasuwę, nim wyłączyła światła. Weszła do pokoju z tyłu sklepu, by się odświeżyć i zabrać swoje rzeczy. Zamierzała wyjść drzwiami na aleję, bo samochód zaparkowała za sklepem.

Zdjęła purpurowy sweter, który nosiła cały dzień, a potem zrzuciła czarną minispódniczkę. Ubrana tylko w biustonosz i półhalkę zrobiła świeży makijaż. Stwierdziła, że lustro nad umywalką w łazience powinno być lepiej oświetlone. Szkarłatna sukienka, którą zamierzała założyć, wisała na wieszaku za drzwiami.

Na zewnątrz pochmurny dzień szybko rozplątywał się we wczesnym mroku październikowego wieczoru. Lexi westchnęła. To było dziwne popołudnie: niskie złowieszcze chmury, ciągała mżawka i mgła, która ograniczała świat wokół Lexi do ulicy Haight. To wieczór do siedzenia w domu przy kominku i przytulania się z Alem, pomyślała, nakładając cień do powiek.

Słaby odgłos szurania sprawił, że zamarła jej ręka. Lexi stanęła w bezruchu, nasłuchiwała. Co to było? Gdyby sama nie sprawdziła drzwi frontowych, mogłaby przysiąc, że ktoś jest w sklepie.

Niemożliwe... chyba że ktoś był tu, jak zamykała drzwi. Wszystkie ostrzeżenia, które dawała Sharon, wypełniły ją teraz strachem i obawami. Tylko bez paniki, Lexi, stara dziewucho, tłumaczyła sobie. Nie bądź paranoiczką.

Wzięła tusz do rzes, zrobiła kilka pociągnięć i wrzuciła tubkę do torebki. Obróciła się i sięgnęła po sukienkę. Znów na dźwięk niewiadomego pochodzenia zeszytniało jej ciało.

Odgłosy ruchu były stłumione przez mgłę, która sprawiła, że miasto wyglądało jak tajemniczy krajobraz Brigadoon. Nawet chodniki wydawały się opuszczone, brakowało na nich tłumów ludzi, tak typowych dla tego miejsca.

Dostrzegła jakiś ruch przy wejściu do pokoju; przeraził ją, przyciągnął całą jej uwagę. Ręka w rękawiczkę wysunęła się zza framugi, z ciemnego pomieszczenia sklepu, szukała wyłącznika światła na ścianie. Potem postać w płaszczu stanęła na pełnym widoku, pod maską błyskały oczy.

Maską Sharon!

Palce w skórzanej rękawiczkę odnalazły wyłącznik. Natychmiast w pokoju zrobiło się ciemno. Lexi odskoczyła w bok, skryła się za rzędem półek. Straciła oddech z przerażenia. Kolana ugięły się pod nią jak u papierowej lalki. Oparła się o ścianę, by nie upaść. Zagryzła wargi, powstrzymała się od krzyku.

Panowała całkowita cisza. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, spostrzegła znajome kształty w pokoju. Światło z ulicznej lampy stojącej na alejce sączyło się przez małe okno i delikatnie oświetlało podłogę między Lexi a miejscem, gdzie po raz ostatni widziała zjawę.

Gdzie on jest? Na podstawie ruchów i wzrostu uznała, że musi to być mężczyzna. Gzy ten sam, który założył maskę, gdy w sklepie była Sharon? Paul?

Lexi oddychała po cichu. Nie miała drogi ucieczki. Odciał ją od sklepu i znalazł się między nią a drzwiami na aleję. Spokojnie... nie denerwuj się. Wiedziała, że jej życie zależy od tego, czyją przechytrzy.

Telefon komórkowy... jest w torebce. Skierowała wzrok na krzesło, gdzie zostawiła torebkę. Na ścianie, dwa metry od niej, mogła dostrzec zarys wysokiego, ozdobnego oparcia. Gzy powinna zaryzykować i wyjść z ukrycia na otwartą przestrzeń? Spojrzeniem przeszła ciemności panujące w pokoju. Gdzie on jest?

Cisza ją przytłaczała, zdawało się, że w powietrzu zabrakło tlenu. Lexi zakręciło się w głowie. Serce biło tak szybko, że omal nie wyskoczyło z piersi. Odważyła się wziąć kilka głębszych oddechów, była pewna, że ją usłyszy.

Nie miała pojęcia, gdzie znikł. Czy jest wciąż tutaj? Natężyła słuch. Szmer powietrza w jej sklepie, który zwykle uspokajał, wydawał się teraz nieregularny, jakby coś zakłóciło spokój pomieszczenia.

Lexi ostrożnie zrobiła krok naprzód, rękę wyciągnęła w kierunku torebki. Wzrokiem próbowała przesyć ciemności, wyobrażała sobie, gdzie mógł się ukryć. Gdyby tylko dostała się do telefonu, zawołałaby pomoc, która zjawiłaby się w ciągu kilku minut.

Wyślizgnęła się zza półek, wiedziała, że musi poruszać się szybko. Kiedy położyła dłoń na torebce, została odciągnięta do tyłu i przyciśnięta do muskularnego ciała mężczyzny.

Wrzasnęła, krzyk rozciął ciszę pokoju. — Puść mnie! — krzyknęła i okręciła się tam, skąd pochodził ból od zaciśniętej dłoni.

Natychmiast dłonią w skórzanej rękawiczce zacisnął jej usta. Jego szybkie oddechy w ucho były niczym ziajanie psa. Jeszcze przez chwilę ręce Lexi były wolne, przerzucała zawartość torebki, by znaleźć telefon komórkowy. Z przyzwyczajenia nacisnęła przycisk ponownego wyboru.

— Suka!

Głos mężczyzny brzmiał cicho, ochryple, spod maski nie można go było rozpoznać. Napastnik wyrwał Lexi torebkę i rzucił na bok, jej zawartość rozsypała się po podłodze. Na chwilę stracił równowagę i zwolnił uścisk. Lexi uwolniła się.

Potykając się, dotarła do drzwi wychodzących na aleję. Kiedy położyła dłoń na gałce, mocno chwycił ją w pasie. Straciła oddech, krzyk uwiązł jej w gardle. Jej ramiona wcisnęły się w jego pierś, gdy ciągnął ją w głąb pokoju, obcasy butów ześlizgiwały się z przedmiotów, które wypadły z torebki. Palce zacisnął na jej nosie i ustach. Nie mogła już dłużej wciągać życiodajnego tlenu. Zrobiło się jej słabo.

Zamierza mnie zamordować.

Gdy zdała sobie z tego sprawę, nabrała sił. Nie było nikogo, kto by jej pomógł. *Jeśli nie uciekniesz, umrzesz.*

Rozpaczliwie walczyła z jego uściskiem, skręcała się, obracała, kopała, gryzła, aż krzyknął i oderwał rękę od jej ust. Łapczywie wciągnęła w płuca powietrze i wrzasnęła z całych sił, niemal zagłuszając jego słowa.

— Pieprzona suka! Z przyjemnością cię wykończę.

Uderzenie w tył głowy było niespodziewane, zważyło Lexi na kolana. Prawie nie czuła bólu, gdy usiłowała się wyczołgać spod niego. Walił ją pięściami po ramionach, piersiach i plecach.

Chwycił za włosy i pociągnął tak mocno, że głowa odbiła się od niego. Potem pięścią uderzył ją w twarz. Lexi zrobiło się słabo. Poczwała, że traci świadomość. Walczyła z tym uczuciem. Gdyby zemdląca, straciłaby życie.

Przestał ją bić. Stopniowo zaczęła odzyskiwać pełną świadomość,, ale nie otwierała oczu, dała sobie chwilę, by dojść do siebie. Kiedy przycisnął jej ręce do korpusu i podciągnął ją do góry, jej ciało szybko ożyło.

Znów kopała i krzyczała, gdy ciągnął ją do zlewu. Nie domyśliła się jego zamiarów, dopóki nie usłyszała, jak odkręca krany. Poczowała jego dłoń z tyłu głowy, wypychał jej twarz do napełniającego się zlewu.

Zamierza mnie utopić!

Wpadła w panikę. Nie mogła się uwolnić z brutalnego uścisku jego dłoni. Kopała do tyłu, ale trafiała w powietrze. Mężczyzna, który planował ją zabić, przewidywał wszystkie jej rozpaczliwe próby.

Zanurzył jej twarz w napełnionym zlewie i przytrzymał. Ucichły wszystkie odgłosy daremnej walki. Nie mogła oddychać, ciśnienie rozsadzało jej głowę. Przed oczami rozbłyśły ognie, tylko po to, by zastąpiły je ciemności, których nie mogła przezwyciężyć.

Boże, pomóż mi. Dlaczego do tego doszło? Kim jest osobnik, który zamierza mnie zabić? Pomyślała tylko o jednej osobie. Potem życie odpłynęło z jej ciała. Myśli zgasły jak światło, nieprzenikniona ciemność zabrała ją w przepaść nicości.

Sharon obudziła się wcześniej, nie rozwidniło się jeszcze całkowicie. Paul spał obok niej, ręce wyciągnął niczym w błagalnym geście. Przez chwilę była zaskoczona jego bezbronnością. Poczowała ukłucie w sercu, bo tak bardzo przypominał Davida. Chciała, by był takim człowiekiem, jakim wydawał się podczas snu.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki obok, szukała aspiryny. Po raz pierwszy od kilku tygodni spała całą noc, ale czuła się podle, jakby miała kaca.

Wzięła szlafrok i na palcach zesłała na dół, by przygotować kawę. Z frontowej werandy zabrała gazetę i zaniósła ją do kuchni, czekała na kawę. Pochylona nad stołem czytała nagłówki.

— Wcześniej wstałaś — usłyszała głos Paula za sobą.

Przestraszyła się jego głosu. Odskokczyła od stołu i wyprostowała się gwałtownie. — Nie mogłam spać. — Zawahała się. — Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

Uśmiechnął się, jednak jego chłodne, matowe oczy nie wyrażały radości. W rzeczywistości — pomyślała, kierując spojrzenie w bok, by nie mógł odczytać jej myśli — wygląda raczej... groźnie?

— Wiesz, że zawsze wstaję wcześniej. — Ton w jego głosie mówił: Jestem tutaj jedyną odpowiedzialną osobą. — Zwykle to ja parzę kawę.

— Tylko wtedy, kiedy zajmuję się Davidem — ripostowała. Zaraz pożałowała tych słów, gdy zobaczyła, że napiął mięśnie twarzy.

— Mogę się zgodzić — rzekł spokojnie, jakby to nie on spowodował rozkład ich małżeństwa. Nalał sobie kawy i cofnął się do drzwi. — Wezmę szybki prysznic i pójdę na dół pracować. Mam napięte terminy, muszę zdążyć na czas.

— Długo w nocy pracowałeś? — spytała. Nie mogła sobie przypominieć, kiedy poszła spać.

— Do północy.

Kiedy znikł na korytarzu, David ją zawołał. Po tym rano wyglądał jak zwykle — przygotowania do nadchodzącego dnia, śniadanie, a później wyprawienie Davida do szkoły.

— Odprowadzę go — rzekła Sharon. Już włożyła żakiet, spodziewała się, że Paul będzie pracował.

— Nie ma potrzeby — stwierdził. — Odwożenie Davida do szkoły to moje zajęcie.

David niepewnym wzrokiem spoglądał na nich. Dlaczego boi się jechać z ojcem? — zastanawiała się Sharon. Potem uznała, że się myliła co do uczuć Davida, kiedy wychodząc, opowiadał o lekcji, podczas której to pani Conrad mówiła o ojcach zachowujących się czasem dziwnie wobec swoich synów.

Po wyjściu Paula i Davida wzięła więcej aspiryny, bo gdy przygotowywała śniadanie, głowa rozboleła ją jeszcze bardziej. Kiedy wróciła do kuchni i zaczęła wkładać brudne naczynia do zmywarki, zadzwonił telefon.

— Halo — odezwała się, wycierając ręce w ścierkę do naczyń.

— Sharon?

— Tak. — Poznała głos Ala. Zdziwiła się, dlaczego nie zadzwonił na jej prywatny telefon.

— Sharon, musisz stąd uciekać.

— Al, co się stało?!

— Wczoraj wieczorem Lexi ledwo uszła z życiem — mówił drżącym głosem. — Już by nie żyła, gdyby nie udało się jej zadzwonić z komórki. Usłyszałem, co się dzieje, zadzwoniłem na policję i sam szybko tam pojechałem.

— Nic się jej nie stało? — wyrwało się z ust Sharon. Opadła na krzesło. Jej ciało stało się zwiotczałe jak ścierka, którą trzymała w ręku.

— Chyba się wykaraska. — Zapadła cisza. — Gdzie był Paul wczoraj wieczorem około siódmej?

— Pracował w swoim gabinecie.

— Jesteś pewna?

Słuchawkę telefonu trzymała obiema rękami. — Nie, bo nie byłam u niego na dole. Szybko poszłam spać.

Przypomniała sobie buteleczki z lekarstwami, które widziała z ukrytej drabiny. Potem pomyślała o wyjątkowym zmęczeniu, które odczuwała wczoraj wieczorem i dzisiejszym bólu głowy. Czyżby Paul nafaszerował ją jakimiś środkami? Ale w jaki sposób? Sama przyrządzała jedzenie. Serce podeszło jej do gardła... Przecież na chwilę odwróciła się do niego plecami, kiedy dokładała mu na talerz potrawki, której potem nie jadł!

— Napastnik, który zaatakował Lexi, założył twoją maskę.

Sharon straciła oddech.

— Sharon! Jesteś tam?

— Tak — odpowiedziała z trudem. — Co właściwie się stało?

Opowiedział jej. — Tylko tyle wiem. Jak Lexi dojdzie do siebie, poda więcej szczegółów.

Zapadła cisza.

— Sharon, słyszałaś, co powiedziałem?

— Tak — odparła słabym głosem. — Ktoś próbował zabić Lexi...

Tym razem to on zamilkł. Po tym, jak lekarze przywrócili Lexi przytomność, bez przerwy mu powtarzała: „Ostrzeż Sharon. Powiedz, że założył jej maskę”.

— Gdzie jest Lexi?

Powiedział jej. I dodał na koniec: — Sharon, uciekaj stąd. Możesz być następna, ale nie musisz mieć tyle szczęścia, co Lexi...

Sharon gapiła się potem na telefon. Z jednej strony nie powinna się dziwić, ale z drugiej — była wystraszona, przerażona i niedowierzająca. Czyżby Paul naprawdę mógł być mordercą?

Do głowy Sharon napłynęły myśli o zmyślonej historii, której opowiedzenia domagał się David. Jednocześnie pomyślała o rosnącej wrogości okazywanej przez Paula i o guziku, który Lexi znalazła w swoim sklepie. Dobrze jednak wiedziała, że nie przekona nikogo z władz co do jego motywów.

Zerknęła na zegarek. Miała co najwyżej dziesięć minut, zanim Paul wróci. Przeskakując co dwa stopnie, wbiegła na poddasze. Skierowała się na ukryte schody prowadzące do schowka Paula w piwnicy. Jeżeli miała zdobyć nad nim przewagę — i uciec z Davidem — musiała zobaczyć, co tam ukrywa.

Rozdział 7

Sharon zatrzymała się na dole drabiny. Nasłuchiwała. Z gabinetu nie dochodziły żadne odgłosy. Pospiesz się, nakazała sobie. Paul może wrócić w każdej chwili i otworzyć drzwi do schowka.

Zdusiła strach i zeszała z drabiny. Szybkim ruchem włączyła latarkę kieszonkową, którą wzięła ze sobą. Jej światło uspokajało w ciemnym pomieszczeniu. Sharon po cichu podeszła do zabytkowego stołu. Skierowała światło latarki na zniszczony blat, przyjrzała się temu, co tam leży: jej czekowi z wypłatą, książeczce czekowej, książeczce oszczędnościowej z prawie ośmioma tysiącami dolarów, kartom kredytowym i prawu jazdy.

Kiedy wziął jej prawo jazdy? Chyba niedawno? Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni go potrzebowała.

To nie wszystko. Otworzyła szufladę i znalazła tam dokumenty ich wspólnych inwestycji finansowych: akcje i obligacje, certyfikaty depozytowe, rachunek lokacyjny rynku pieniężnego, wyciągi, których Paul nie pokazywał jej od ponad dwóch lat. Na samym rachunku lokacyjnym było kiedyś pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale Paul twierdził, że przeznaczyl te pieniądze na podatki oraz wydał na prowadzenie interesu. Uwierzyła, że rachunek został zamknięty, ale nie w to, iż te pieniądze zostały wydane. Ukrył je przed nią. Osłupiała, gdy teraz spojrzała na saldo na rachunku. *Sto sześć tysięcy dolarów!*

Wredny sukinsyn, pomyślała z wściekłością. Nie miała czasu, by wszystko dokładnie dodać, ale oceniła, że w sumie jest to kilkaset tysięcy dolarów. Odruchowo chciała podrzeć dokumenty na strzępy, pokazać mu, że jej nie oszukał.

Opanuj się. Nie mogła stracić kontroli nad sobą. Nie powinien wiedzieć, że go przejrzała i że ma teraz środki, by uciec. Położyła dłonie na chropowatym dębowym blacie stołu, pochyliła się i ciężko oddychała. Paul wszystko zorganizował tak, że gdyby „popęłniła samobójstwo”, nie byłoby żadnego dowodu, iż pozbawił ją wszystkich środków do życia. Na dokumentach finansowych będą nazwiska ich obojga. Okaże się, że był w porządku wobec niej. Książeczkę czekową i karty kredytowe włoży z powrotem do jej torebki. Nikt go nie będzie o nic podejrzewał, uznany zostanie jedynie za męża, który długo męczył się z żoną znajdującą się w „pewnym stanie psychicznym”.

Jednak jeszcze bardziej zdenerwowały ją lekarstwa. Sharon po kolei się im przyjrzała. Prozac na depresję, halcion na sen i wiele innych nazw, których nie znała. Wszystkie były dla niej, przepisane przez doktora Taggerta.

Doktor Taggert nie dawał jej recept na te leki.

Dawał je Paulowi. Jak lekarz mógł coś takiego robić? Zakres władzy, jaką miał nad nią Paul, przerażał. Wszystkich przekonał, że jest nierównoważona psychicznie... wszystkich z wyjątkiem Lexi. A ktoś usiłował zamordować Lexi,

Wzięła halcion i przyjrzała się receptcie. Wypisano ją na dwadzieścia tabletek. Otworzyła buteleczkę i szybko je przeliczyła. Osiemnaście, dwóch brakowało. Czy to jest przyczyna, że wczoraj poszłam tak szybko spać, a dziś rano bolała mnie głowa?

Miała rację. Nafaszerowała ją lekarstwami, żeby nie wiedziała, że wychodzi z domu. Ale po co... *żeby napaść na Lexi?*

Trzęsącą się ręką Sharon odstawiła buteleczkę na stół. Lexi miała rację. Paul zamierzał więcej, niż tylko podporządkować ją sobie, podać całkowitej kontroli. Planował ją zamordować i upozorować samobójstwo, więc przywłaszczał sobie cały majątek, a także Davida. Miał zamiar rozpocząć nowe życie z inną kobietą. Korzystniej było zabić Sharon, niż pozwolić jej odejść.

Ze wszystkich sił zmuszała się, by nie płakać, krzyżeć lub po prostu załamać się i zrezygnować. Czym innym jest podejrzewać Paula, a czym innym mieć pewność. David w żadnym przypadku nie powinien zostać z ojcem, który był w stanie zamordować jego matkę.

Ledwo usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi z tyłu domu. Odgłos pobudził ją do działania. Sprawdziła, czy niczego nie przestaowała, a potem po cichu podeszła do drabiny i wyłączyła latarkę. Starając się nie narobić hałasu, weszła po drabinie w rekordowym czasie. Wrócić tu po swoją książeczkę oszczędnościową i karty kredytowe, przyrzekała sobie.

Zanim doszła do poddasza, w głowie ułożyła plan ucieczki. Uciekną z Davidem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ponura prawda spoglądała jej w oczy. Jeżeli nie wydostanie się stąd na własnych nogach, wyniosą ją w drewnianej skrzynce.

Rano Sharon zrobiła pranie, zmieniła pościel w łóżku Davida, a potem składała jego bieliznę i skarpetki. Tak naprawdę to segregowała rzeczy,

wybierała te, które zabierze. Musiała być przygotowana, żeby w każdej chwili wrzucić ubrania Davida do walizki. Tak samo posegregowała swoje rzeczy. Nie zastanawiała się, jak David znieśnie wyjazd. Wiedziała, że kocha ojca, mimo iż ten go przeraża.

Zadzwoiła do szpitala ze swojego telefonu komórkowego, obawiała się, że Paul może ją podsłuchiwać, gdyby korzystała z aparatu na poddaszu. Mógł nie wiedzieć, że słyszała już o napaści na Lexi. Pielęgniarka powiedziała, że stan zdrowia Lexi jest stabilny.

W południe Paul przyszedł do kuchni i poinformował Sharon, że jedzie do centrum finansowego na spotkanie. Zabierze Davida w drodze powrotnej.

— Nienawidzę niekompetencji — poskarżył się. — Muszę jedynie pojechać podpisać umowę.

— Chyba zwykle składałeś podpisy przez faks?

— Tak. — W jego głosie wyraźnie dało się wyczuć złość. — Ale ten facet po południu wraca na Hawaje, a umowa nie będzie ważna, jeżeli przed jego wyjazdem nie zostanie podpisana i nie trafi do notariusza. Nie zgadza się na podpis przez faks. — Z trzaskiem postawił filiżankę z kawą na stole. — Problem w tym, że dostał lepszą ofertę. Łobuz, ma nadzieję, że się nie stawię!

Sharon odwracała twarz, przypuszczała, że może wyrażać radość. Niespodziewanie pojawiła się szansa. Dziękuję ci, biznesmenie z Hawajów, powiedziała w myślach. Twój upór uratował mi życie.

— Jak powiedziałem, odbiorę Davida ze szkoły.

Skinęła głową.

— Ale mogę wrócić wcześniej. To zależy, czy będą korki i czy szybko znajdę miejsce do parkowania.

Domyślała się, że bardzo niechętnie wychodzi z domu, lecz nie mógł podejrzewać, że ona zamierza uciec. Według niego nie miała odpowiednio dużo pieniędzy, by gdzieś wyjechać, i nie była w stanie od nikogo ich pożyczyć.

— Okay — rzekła nonszalancko. — Będę czekać.

Czuła jego spojrzenie na sobie. Ścisnęło ją w żołądku. Odwrócić się gwałtownie i skierować w stronę drzwi z tyłu domu. — Chciałbym wcześniej dziś zjeść kolację. Muszę dłużej popracować.

— Dobrze.

Sharon obserwowała, jak wychodzi. Czekwała pięć minut, by się upewnić, że nie wróci. Potem wbiegła po schodach do swojej sypial-

ni, wyciągnęła dużą walizkę i szybko zapakowała do niej ubrania, buty i kosmetyki. Dołożyła kilka eleganckich kostiumów, wiedziała, że będzie musiała poszukać pracy. W ostatniej chwili wrzuciła biżuterię, łącznie z kilkoma drobiazgami, które należały do jej matki. Zniosła walizkę przed drzwi do gabinetu Paula i pobiegła na górę do pokoju Davida po jego rzeczy. Do dodatkowej walizki zapakowała jego ulubione książki, zabawki i Smarkusia. Postawiła torby z rzeczami Davida obok swojej walizki. Jeszcze kilkakrotnie biegała po teczki z dokumentami i projektami oraz po ulubiony koc i poduszkę Davida.

Spojrzenie na zamknięte drzwi do schowka przypomniało jej, że jest tylko jeden sposób dostania się tam — drabiną prowadzącą z poddasza. Idąc po raz kolejny na górę, spojrzała na zegarek. Minęło dopiero trzydzieści pięć minut od wyjazdu Paula, ale musiała się spieszyć; została jeszcze trochę do zrobienia, zanim odbierze Davida.

Odyskanie swoich rzeczy zajęło jej kolejne pięć minut. Kiedy książeczki bankowe, czek z wypłatą i prawo jazdy znalazły się w portfelu, Sharon pobiegła po swój samochód. Miała zamiar podjechać nim do bocznego wejścia, gdzie niepostrzeżenie chciała go załadować. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak potłukła wszystkie butelczki z lekarstwami. Tabletki rozsypały się wszędzie. Paul powinien dostać wiadomość, że go przechytrzyła.

— Dzień dobry. Jak się pani dziś czuje?

Sharon szybko spojrzała w lewo i spostrzegła panią Tate, hałaśliwą sąsiadkę, która obserwowała ją zza parkanu. — Wspaniale — odparła. — Nigdy nie czułam się lepiej.

— To świetnie. — Pani Tate oparła się na parkanie rozdzielającym posiadłości, jakby przygotowywała się do dłuższej pogawędki. — Wyjeżdża gdzieś pani?

— Tylko do sklepu. — Sharon otworzyła drzwi samochodu i wsiadła. — Kupić coś pani?

— Nie, dziękuję, kochana.

Sharon uśmiechnęła się. — Może panią odwiedzimy, jak wrócę do domu.

Kobieta skinęła głową i znów zajęła się ogródkiem. Sharon wycofała samochód z podjazdu i znikła z widoku. Zatrzymała się, zgasiła silnik i wysiadła. Szybko pobiegła za róg domu. Wyjrzała zza krzewów, by się upewnić, czy pani Tate nie zauważyła, co ona robi. Kobieta zajęta była pieleniem.

Walizki zmieściły się do bagażnika. Koc i poduszkę Davida rzuciła na tylne siedzenie obok Smarkusia. Torebkę i telefon komórkowy położyła na fotelu z przodu samochodu. Zerknęła na zegarek, kiedy tyłem wyjeżdżała na ulicę. Minęło pięćdziesiąt minut od wyjazdu Paula. Nawet nie spojrzała na dom, który kiedyś bardzo lubiła i sądziła, że będzie w nim mieszkała aż do śmierci.

Nie mogę z czystym sumieniem dać pani tyle pieniędzy w gotówce.

— To moje pieniądze... I Paula — dodała Sharon, zdecydowana nie ustępować. Kasjerka zawołała dyrektora banku, kiedy Sharon wręczyła jej zlecenie wypłaty na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Pan Hubbard zaprowadził ją do swojego narożnego biurka i poprosił, by usiadła.

— Trudno mi uwierzyć, że pan Moore chce wypłacić taką sumę w gotówce — rzekł. — Zwykle bierze czek.

Wyraz twarzy Sharon się nie zmienił. Więc Paul wypłacał duże sumy... przypuszczalnie dla kobiety, z którą rozmawiał przez telefon. — Ale czasami brał gotówkę?

Mężczyzna przytaknął. — Najwyżej dziesięć tysięcy, jak pani wie. Bank krzywo patrzy na duże wypłaty, ale zatwierdziliśmy je, bo pan Moore jest bardzo dobrym klientem.

— To chyba pan i *pani* Moore są dobrymi klientami — poprawiła go szorstkim głosem.

— No tak, oczywiście.

— Już wyjaśniałam, że mąż potrzebuje gotówki na zakup używanego land rovera. Właścicielem jego jest jakiś dziwak, który jutro wraca na Hawaje. Mąż jest na niego wściekły, ale chce kupić ten samochód, bo to dobry interes. Jak facet chce gotówkę, Paul da mu gotówkę.

— Pani Moore, a dlaczego mąż nie zadzwonił?

— Bo to mnie wysłał, żebym pobrała pieniądze. — Przerwała i zmrużyła oczy. — Chce pan powiedzieć, że współwłaściciele rachunku oszczędnościowego nie mają równego dostępu do pieniędzy?

Zarumienił się na pociągłej twarzy. — Oczywiście, że nie!

— Więc niech pan coś postanowi, panie Hubbard, bo mój mąż jest nieosiągalny. Ma w centrum spotkanie z tym facetem, podpisuje dużą umowę. — Wzruszyła ramionami. — Musi pan podjąć jakąś decyzję. Zaraz odbieram syna ze szkoły.

Na jego twarzy rysowała się niepewność. Nie okazująca żadnych emocji Sharon pozwoliła, żeby między nimi narosła cisza. Przypomnia-

ła sobie słowa Lexi, że powinna zostać aktorką. Kiedy dyrektor nagle wstał i niechętnie zgodził się na wypłatę, Sharon ponownie uznała, że chyba minęła się z powołaniem.

Potem pomyślała o tym, czego dowiedziała się od dyrektora. Stłumiła kipiące w niej oburzenie. Paul był nieuczciwy pod każdym względem, przypuszczalnie przez wiele lat małżeństwa. Jednak dlatego, że wypłacał od razu duże sumy — o czym nie wiedziała — mogła teraz podjąć pieniądze, których potrzebowała, i w ten sposób go ukarać.

Wyszła z banku z plikami studolarowych banknotów i napomnieniem udzielonym przez dyrektora, że powinna być ostrożna. W samochodzie odetchnęła z ulgą. Chociaż w swoim banku zetknęła się z podobnymi pytaniami i wahającym się urzędnikiem, udało się jej wypłacić pieniądze i zamknąć konto. Zatrzymała się również przy kasie oszczędnościowo-pożyczkowej, gdzie pobrała dwa tysiące z rachunku i zrealizowała czek wypłaty. Do szkoły Davida pojechała z ponad trzydziestoma pięcioma tysiącami — nagie zdała sobie sprawę, że powinna być ostrożna.

W szkole miała tylko niewielkie kłopoty z zabranieniem wcześniej Davida. Pani Conrad początkowo się wahała, ale Sharon wyjaśniła, że Paul wysłał ją po Davida, bo jest zajęty, ma spotkanie w sprawie interesów. Naiwne, pomyślała, wiedząc, że nauczycielka uległa propagandzie Paula. Kiedy David w końcu znalazł się obok niej na przednim siedzeniu, skierowała się samochodem bezpośrednio na Golden Gate.

— Mamo, dokąd jedziemy? — spytał.

— Na wycieczkę. — Z uśmiechem spojrzała w jego zaciekawione oczy. — To taka udawana wycieczka. — Przerwała. — Chcesz zagrać w grę w udawanie?

— Tak — odparł, tuląc Smarkusia. — Opowiedz mi o tej grze.

Kiedy wjechali na most, Sharon zaczęła opowiadać o mamie i jej synku, którzy wyjechali we wspólną podróż, do bezpiecznego miejsca, gdzie wszyscy są szczęśliwi. — Chłopiec znalazł tam wielu nowych przyjaciół i bawił się z nimi na podwórku całe dni. Miał tak dużo zabawy, że prawie nie myślał o swoim starym domu.

— Chcę tam jechać i mieć kolegów do zabawy... jak ten chłopiec!

— Będziesz miał — odpowiedziała mu poważnie. — Teraz jedziemy do takiego miejsca.

Rozdział 8

Pierwszą decyzję o kierunku podróży Sharon musiała podjąć po zjechaniu z mostu Golden Gate. Czy powinna jechać zatłoczoną autostradą 101, czy drogą nr 1 ciągnącą się wzdłuż wybrzeża. Bez zastanowienia skrzyła na wąską i krętą nadbrzeżną drogę; Paul przypuszczalnie stwierdzi, że wybrała najszybszy sposób opuszczenia miasta.

Oznacza to prawdopodobnie wyjazd na wschód w kierunku Sacramento i międzystanową nr 5, uznała. Może założyć też, że skieruje się do Los Angeles, gdzie ona i Lexi miały przyjaciółkę ze studiów. Dianę Walker, również artystka pracująca w reklamie, żartem zaproponowała kiedyś Sharon pracę. Po tym Paul zniechęcał do kontynuowania tej przyjaźni. Wrogość między nimi stała się obopólna.

Kiedy mijali puszcę Muira na północ od Sansalito, David zapragnął zobaczyć ogromne sekwoje. Sharon obiecała, że zamiast tego zobaczą Tajemnicze Drzewa w północnej Kalifornii. Jadąc, snuła opowieści o mamach zabierających swoje dzieci do nowych miejsc, gdzie będą przeżywały niezwykle przygody.

Na przykład, gdzie, zastanowiła się. Portland, Oregon? Seattle, Waszyngton? a może dalej... Kolumbia Brytyjska w Kanadzie? Miała mętlik w głowie, zdawała sobie sprawę, że zaplanowała tylko ucieczkę. Kanada wykluczona, stwierdziła. Gdyby usiłowała przekroczyć granicę, Paul z pewnością by ją znalazł.

Choć prowadziła radosną pogawędkę, bez przerwy zerkała w lusterko wsteczne, do pewnego stopnia spodziewała się, że Paul jedzie za nią swoim bmw. Zwolniła uścisk na kierownicy i przestała myśleć, w jaki sposób wyrazi się wściekłość Paula. Do tego czasu zorientował się, co zrobiła... *że go przechytrzyła.*

David prawie nie wspominał o ojcu, był usatysfakcjonowany, gdy Sharon powiedziała, że odwiedzi ich później, jak zamieszkają w nowym domu. Kiedy zaproponowała, że może nawet dostać pieska lub kotka, następną godzinę głośno myślał, co woli. Zastanawiał się, jakie wybrać imię.

Oto hart ducha małych dzieci, pomyślała, patrząc, jak przeczołgał się na tylne siedzenie i zasnął ze Smarkusiem.

Droga wydawała się bardziej niebezpieczna, niż to sobie przypominała. Wąska i kręta wiła się na urwiskach wysoko nad oceanem. Cho-

ciąż była dopiero czwarta po południu, nad ląd napływała mgła /mieszana z morską pianą z fal rozbijających się o brzeg. Miejscami wznosiła się nad strome urwiska i smugami snuła się na szosie. Chwilami Sharon przestawała cokolwiek widzieć.

Szmer kół hipnotyzował, zauważyła, że bez przerwy w myślach powtarza przestrogi Paula. Nigdy mi nie uciekniesz. Dopadnę cię. *Zabije.*

Dosyć! — nakazała sobie. Nie mógłby jej stłamsić, gdyby mu na to nie pozwoliła. Jednak wiedziała, że jej przeczucia są właściwe. Dopóki ona i David żyją, Paul nie zrezygnuje z prób ich znalezienia.

A gdyby nabrał pewności, że nie żyją?

Spojrzała na skraj szosy i stromą przepaść. Na tym odcinku drogi zdarzyło się wiele tragicznych wypadków; kierowcy stracili orientację we mgle albo zjechali z drogi zmuszeni do tego przez zbyt szybko wjeżdżające w zakręt z naprzeciwka pojazdy, samochody wpadły w poślizg. Zdarzały się nawet awarie hamulców.

Ta myśl ją omamiła. Wszystkie „gdyby” zaczęły układać się w historię, której nie mogła opowiedzieć Davidowi. Kiedy chłopiec się obudził, byli zaledwie pięćdziesiąt mil na południe od Mendocino.

— Jestem głodny — zawołał.

— A na co masz ochotę?

— Mogę zjeść, co chcesz?

— Możesz. — Odgarnęła mu włosy z oczu.

— A hamburgera w McDonalddie? — Spojrzał na nią z nadzieją.

Zawahała się. Biedne, małe dziecko. Naprawdę czuł się nieskrępowany, skoro poprosił o hamburgera. Paul nie pozwalał mu jeść fast foodów. Po kryjomu przed nim kilkakrotnie zabrała chłopca do McDonalda.

Spuścił wzrok. — Chyba tata by nie pozwolił — stwierdził, biorąc jej milczenie za odmowę.

Uśmiechnęła się do niego. — No pewnie, że możesz zjeść hamburgera. Pomyślałam tylko, że jeszcze do tego weźmiemy frytki.

— Naprawdę mogę?! — wykrzyknął z radością.

— Tak. Chyba że nie będzie McDonalda w mieście, gdzie się zatrzymamy. W takim razie zjesz hamburgera i frytki gdzie indziej.

— A koktajl mleczny? — spytał, negocjując jak typowy pięcioletek, na co by się nie odważył w stosunku do ojca.

— A czy koktajl mleczny pasuje do hamburgerów i frytek?

— Taak. — Uśmiechnął się.

— No to kupię ci jeden.

Mgła zgęstniała i Sharon skupiła się na prowadzeniu samochodu. Zanim dojechali do następnego miasta, postanowiła, że poszuka motelu. Nie chciała ryzykować życia dla kilku mil drogi.

W jej głowie zaczął kiełkować inny plan. To nie byłoby skomplikowane, gdyby dobrze obmyśliła wszystkie szczegóły. Paul powinien uwierzyć.

Następnego dnia jechali od samego rana i po południu znaleźli się czterdzieści mil od granicy Oregonu. David aż podskoczył na siedzeniu, kiedy wjechali na parking przy Tajemniczych Drzewach.

— Wsiadamy, mamó! Pospiesz się!

— Zaraz będziemy tam. Popraw lepiej koszulę — odparła ze śmiechem. Jego mała twarz płonęła z podniecenia. Sharon była uradowana, widząc, że zachowuje się jak normalny mały chłopiec, a nie jak marionetka w rękach chorego ojca.

— Ekstra! — David stał obok samochodu i tulił Smarkusia do piersi, gdy wyciągał szyję, by przyjrzeć się ogromnym rzeźbom przedstawiającym bohaterów podań ludowych. — Mamó, są więksi od muzeum — stwierdził oniemiały z wrażenia.

— A pamiętasz bajkę o olbrzymim drwalu Paulu Bunyanie?

— Tak! — Pociągnął ją za rękaw dżinsowej kurtki. — Idziemy zobaczyć drzewa. Na pewno są dużo większe niż Paul Bunyan... takie duże jak Guliwer.

Kupiła bilety i poszli szlakiem między ogromnymi sekwojami, od czasu do czasu zatrzymywali się na dłużej, by Sharon mogła przeczytać Davidowi tabliczki. Zdusiła w sobie niepokój, który nakazywał jej wrócić do samochodu i o kolejne mile oddalić się od San Francisco.

Mimo wszystko pobyt wśród drzew, z których wiele rosło od czasów przedhistorycznych, był lekcją pokory. Przenikający las spokój przynosił ukojenie i Sharon ledwie spostrzegła, że za nimi do lasu weszło dwóch mężczyzn. Przez chwilę jej problemy wydawały się łatwe do rozwiązania. Jeżeli te drzewa przetrwały tysiące lat zmian, ona też w ciągu swojego życia może wiele znieść. Zagubiona w myślach pozwoliła Davidowi bieć kilka kroków przed nią.

— Smarkuś! — krzyknął David. — Spadł mi...

Sharon zobaczyła, że chłopiec przechodzi nad barierką, by odzyskać misia, który wpadł do wąwozu.

— David, nie! Zaczekaj!

Spóźniła się z ostrzeżeniem. David stoczył się za swoim misiem po stromym zboczach, zatrzymał się przy obalonym drzewie. Bez żadnych obrażeń, na szczęście. Pochylił się nad drzewem, usiłował chwycić Smarkusia, który wciąż był poza jego zasięgiem.

— David, nie ruszaj się! — Sharon przełożyła nogę nad barierką, była gotowa zejść w dół po chłopca. Nie przyszło jej do głowy, by szukać pomocy.

— Proszę poczekać. — Ręka, która objęła ją w pasie, odciągnęła ją do tyłu. — Wyciągniemy go stamtąd. — Mężczyzna mówił z silnym akcentem, być może duńskim, a w każdym razie skandynawskim.

Spojrzała na niego. Tak błyszczących niebieskich oczu przez wiele lat pracy jako artystka nigdy nie widziała. Przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć, spostrzegła tylko, że jego kolega stoi zaraz za nim.

— Mamy doświadczenie — rzekł młody mężczyzna.

— Chodzimy po górach — dorzucił drugi, który mówił z jeszcze silniejszym akcentem. — Nie będzie problemów. — Uniósł jasne brwi. — Szybko go wyciągniemy.

Sharon skinęła głową, z jakichś powodów im zaufała. Obserwowała, jak schodzą po stromym zboczach, odzyskują misia i wprowadzają Davida na dróżkę. Smarkus bezpiecznie znalazł się pod jego ramieniem.

Przez całą powrotną drogę do wejścia do lasu David gaworzył z mężczyznami. Powiedział, że ma na imię David, a mama — Sharon i że szukają przygód. Sharon zauważyła, że mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia, które uznała za niewinne. Przypuszczalnie pomyśleli, że uciekła od męża, co było prawdą.

— Jesteśmy z Danii, od czerwca podróżujemy po Stanach — powiedział Lars, mężczyzna z błyszczącymi niebieskimi oczami.

— Teraz wracamy do Kopenhagi, żeby rozpocząć kariery — dodał Benni, drugi mężczyzna. — Jedziemy do Seattle w stanie Waszyngton na samolot.

— Chcecie zobaczyć świat, zanim zaczniecie pracę?

Pytanie Davida zaskoczyło obu mężczyzn.

— David jest... jak to powiedzieć?... poważny na swój wiek — stwierdził Lars.

Sharon przytaknęła. — Ale to się zmieni.

— Jak to?

Uśmiechnęła się. — To długa historia. — Wyciągnęła rękę. — Dziękuję wam bardzo.

Lars wzruszył ramionami. — To nam jest miło, że mogliśmy pomóc.

Jeszcze chwilę porozmawiali, a potem mężczyźni odeszli do swojego vana. Sharon patrzyła na nich, pragnęła, by sytuacja była inna i mogła zaprosić ich na kolację. Byli dobrze wychowani i zapewne rodzice mogli być dumni z tych młodych mężczyzn. Miała nadzieję, że David wyrośnie na takiego człowieka.

— Kupisz mi pamiątkę?

Sharon wybuchnęła śmiechem, zastanowiła się, czy nie uwolniła potwora. David szybko stał się dzieckiem, które nie ukrywa swoich pragnień i uczuć. Weszli do sklepu i wybrali koszulkę z napisem: PAUL BUNYAN, TAJEMNICZE DRZEWA.

Kiedy poszła zapłacić, zawahała się. Dlaczego nie, pomyślała. Nagle wpadła na pomysł wprowadzenia Paula w błąd. Jeśli ta próba się nie powiedzie — *jeśli stchórzy* — pojedzie na wschód, do Montany lub Idaho, a może nawet na północ, na Alaskę. Będzie daleko, kiedy Paul dostanie rachunek z karty kredytowej. Wolność wyboru sprawiała jej przyjemność. Jednak wiedziała, że musi uważać. Zbliżał się Halloween i pogoda mogła sprawić, że przejazd przez góry na Alaskę stanie się niemożliwy. Tak samo w przypadku Montany.

— Proszę poczekać — zwróciła się do kasjerki, zabierając pieniądze. — Zapłacę kartą kredytową. — Kiedy kasjerka skinęła głową, dorzuciła kolejny drobiazg do zakupów. — Chcesz sadzonkę sekwoi? — spytała Davida. — Posadzisz ją w naszym nowym ogródku i będziesz obserwował, jak wyrasta z niej drzewo.

— O rany, jasne!

Wzięła pakunek. Chwyciła Davida za rękę, gdy szli do samochodu. Napełniła ją nadzieją, kiedy ponownie skierowała się na północ. Odzyskała jasność umysłu, jej myśli powoli stawały się zdecydowane, nawet radykalne.

Uśmiechnęła się do Davida. Odpowiedział jej radosnym grymasem. Wszystko dobrze się skończy. Od teraz ich życie ulegnie zmianie.

Rozdział 9

To niedorzeczne. Jesteś stuknięta jak Paul. To się nie uda. Aresztują cię i wsadzą do więzienia.

Podczas jazdy myśli kłębią się w jej głowie. Plan, który tworzyła, był jednocześnie przerażający i ekscytujący. Z jednej strony wiedziała, że Paul w końcu ich znajdzie; zaprzestanie poszukiwań jedynie wtedy, gdy będzie przekonany o ich śmierci.

Z drugiej strony chyba jej wiara, że może uciec, jest irracjonalna. Być może zrobiła źle, zabierając Davida od ojca.

Nie! Skoro Paul z zimną krwią planował ją zamordować i napadł na Lexi, to pewnego dnia mógł wyrządzić krzywdę Davidowi. Miała jedynie nadzieję, że David wszystko zrozumie, kiedy dorośnie.

— Jak myślisz, czy ja jestem dobrą mamą? — spytała go. Nagle zapragnęła pocieszenia.

— No. — Nie odzywał się, myślał. — Jesteś nawet zabawniejsza niż pani Conrad.

— Dziękuję, kowboju Chudy — odparła z zadowoleniem. Wiedziała, jak bardzo lubi swoją nauczycielkę.

— Mamo! — Wychylił się do przodu, patrzył w jej twarz. — Zapomnieliśmy wziąć mój kostium kowbojski na Halloween.

Sharon jęknęła. Myśli szybko przebiegły po jej głowie. Dlaczego była tak głupia i wspomniała o Halloween? — Przepraszam, David, zupełnie zapomniałam. Ale obiecuję, że tam, gdzie się zatrzymamy, będziesz mógł psocić w Halloween. Pójdziemy do sklepu po następny kostium, a jak nie będzie dla kowboja, to za Chudego przebierzesz się za rok. — Spojrzała na niego. — Dobrze?

— Dobrze, mamo. — Usiadł wygodnie.

Zacisnęła rękę na jego nodze. Pomyślała, jak łatwo uspokoić małe dzieci... kiedy ufają. — Obiecuję, że na pewno będziemy mieli dużo zabawy.

Wjechali do stanu Oregon i Sharon zatankowała w pierwszym mieście na trasie. Znów zapłaciła kartą kredytową. Miała nadzieję, że nic nie zawiedzie. Wiedziała, że Paul będzie mógł zgłosić zaginięcie po dwudziestu czterech godzinach, ale tyle czasu już minęło. Dziś wieczorem musiała wprowadzić w życie swój plan.

Zatrzymali się przy supermarkecie, by kupić coś do jedzenia. Sharon wzięła też szampon rozjaśniający włosy. Odruchowo dołożyła drugą buteleczkę z półki, gdyby i Davidowi chciała rozjaśnić włosy. Był to jeden z drobnych sposobów, w jaki mogła zmienić wygląd. Przypuszczalnie jest to konieczne, stwierdziła. Zwłaszcza że będziemy musieli korzystać z transportu publicznego.

David drzemał, kiedy Sharon znów jechała na północ. Chciała wyjąć komórkę i zadzwonić do Lexi, upewnić się, że wciąż dobrze się czuje, ale stłumiła to pragnienie. Nie trać przewagi na starcie, robiąc coś głupiego, napomniwała się. Paul na pewno pomyślał o telefonie komórkowym i zadzwonił do operatora.

Wyprostowała się na fotelu, próbowała znaleźć najwygodniejszą pozycję. Lexi dojdzie do siebie, po prostu była tego pewna, ale myśl o napadzie smuciła ją i doprowadzała do wściekłości. Z trudem przyjmowała do wiadomości, że zrobił to Paul. Nie znalazła czarnej peleryny ani maski w schowku, gdzie ukrywał przed nią różne rzeczy. Mógł je jednak wciąż trzymać w samochodzie. Chciałaby wierzyć, że próba zamordowania Lexi była tylko przypadkiem, ale wiedziała co innego.

Chowające się za wysokimi chmurami słońce zniżyło się nad Pacyfik, kiedy Sharon znalazła odpowiednie miejsce na upozorowanie tragicznego wypadku. Zwolniła. Ten odcinek drogi był wyjątkowo niebezpieczny: pionowe urwisko, wody oceanu rozbijające się o skały kilkaset stóp poniżej i brak jakichkolwiek barier. Wpatrywała się w asfalt, bała się, że przytrafi się jakieś nieszczęście i zjedzie w przepaść.

Następne miasto znajdowało się w odległości pół mili. To był kolejny czynnik sprzyjający powodzeniu planu. Sharon podjechała do motelu przy drodze i zatrzymała się przed kawiarnią. David wciąż drzemał, więc zamknęła go w samochodzie i poszła do biura, by wynająć pokój. Z pomieszczenia na zapleczu dzwonkiem przywołała kobietę w średnim wieku.

— Chcę wynająć pokój na jedną noc — zwróciła się do niej.

Kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się chłodno. — Chce pani pokój od drogi czy z tyłu? — Pchnęła w jej kierunku formularz zgłoszenia. — Ile osób?

Sharon zawahała się, wyjrzała na zewnątrz i spojrzała na samochód. David wciąż spał, nie było go widać. — Tylko ja — odparła. Zdała sobie sprawę, że kobieta się niecierpliwi, bo chce sprawdzić, co z przyrzą-

dzanym posiłkiem; pomieszczenie wypełniał zapach gorącego tłuszczu. Policja będzie szukała kobiety z dzieckiem, a nie tylko jednej osoby. — Wezmę pokój z tyłu.

Kobieta jedynie rzuciła okiem na formularz wypełniony przez Sharon, nie zorientowała się, że podała zmienione imię i nazwisko oraz inny numer rejestracyjny samochodu. Nie poprosiła o żaden dokument tożsamości, bo Sharon zapłaciła gotówką. Sharon wyszła na zewnątrz, kiedy dostała klucz. Pomyślała o zaufaniu typowym dla mieszkańców małych miasteczek.

David leżał skulony pod kocem, więc Sharon znów go opuściła i poszła do kawiarni, by zamówić hamburgery i frytki na wynos.

— Mniam, mniam! — odezwał się później, kiedy już w swoim pokoju oglądali telewizję i jedli. — Mamo, lubię wycieczki z tobą. — Jego oczy błyszczały. — Będę miał dobre jedzenie... I będę się późno kładł spać.

— Właśnie tak. — Sharon pocałowała go w czubek głowy. — Kocham cię, David. Jesteś moim wspaniałym chłopcem.

— Mamo, ja cię też kocham — powiedział, przełykając jedzenie. — Chyba jesteś najlepszą mamą w... W całej szkole.

Dopiero po północy Sharon uznała, że może bezpiecznie zostawić śpiącego Davida. Chłopiec przytulał Smarkusia do piersi. Wcześniej przez godzinę sortowała rzeczy z walizek. Wyjęła tylko trochę ubrań, których będą potrzebowali, zanim nie kupią nowych. Potem znów je zapakowała. Postanowiła, że David zatrzyma Smarkusia, swoją poduszkę i koc oraz niektóre zabawki i książki. Z kasetki wyciągnęła pieniądze i biżuterię matki, włożyła je do torby na zakupy. Upewniła się, że wszystkie dokumenty, włącznie z prawem jazdy i kartami kredytowymi, są w jej torebce. W samochodzie musi być odpowiednio dużo ich rzeczy, by przekonać policję i Paula, że była z Davidem w środku, kiedy honda... Wystraszyła się. Na Boga, co ona robi? Co będzie, jeśli jej się nie powiedzie i miejscowa policja ją aresztuje? Czy trafi do więzienia za upozorowanie śmierci swojej i... Davida?

Sharon osunęła się na krzesło, nagle stała się tak słaba, że musiała usiąść. Powinna jeszcze raz się zastanowić, pomyśleć o konsekwencjach, które poniesie jej dziecko, jeśli plan zawiedzie. Przez następne kilka minut rozważała wszystkie za i przeciw swoich zamiarów. Nie miała innego wyboru, tylko uciec od Paula... na zawsze.

Na kartce napisała dla Davida: „Zaraz wracam. Mama.” Zostawiła ją na wypadek, gdyby się obudził pod jej nieobecność. Potem wzięła walizki, torebkę i poszła do hondy.

W ciągu kilku minut przebyła krótki dystans na południe, zawróciła i jadąc powoli w przeciwnym kierunku, szukała miejsca, które wybrała na upozorowanie wypadku. Miało to wyglądać tak, jakby samochód wpadł w poślizg, zjechał z drogi i spadł do przepaści. Na szosie było pusto, nie było widać żadnych zbliżających się światła.

Ma to wyglądać wiarygodnie, pouczyła się. Możesz to zrobić. Wcale się nie boisz.

Sharon nerwowo odetchnęła i mocno zacisnęła dłonie na kierownicy. Nacisnęła pedał gazu i skupiła się na tym, co robi. Stłumiła myśl o groźącym niebezpieczeństwie, była zadowolona, że jest ciemno. Nie będzie myślała o stromej przepaści po drugiej stronie drogi.

Kiedy przejechała żółtą linię i wjechała na drugi pas ruchu, nacisnęła na hamulce. Opony zapiszczały na asfalcie. Tak jak Sharon chciała, na jezdni pozostały ślady hamowania. Zjechała z drogi. Wiedziała, że odpowiednie wyczucie czasu to podstawa sukcesu. Musiała się zatrzymać, zanim koła zsuną się z pobocza. Jak stanie w odpowiednim miejscu, wysiadzie i pchnie samochód w przepaść.

Zarzuciło hondę. W jednej chwili Sharon zaczęła walczyć, by samochód naprawdę nie spadł z urwiska. Puściła hamulec, próbowała odzyskać kontrolę nad pojazdem.

Zapomniała o mgle nad oceanu, która sprawiła, że jezdnia stała się mokra!

Samochód tylnymi kołami zjechał z jezdni. Drzwi przy kierowcy od stromego urwiska dzielił tylko wąski pas żwiru. Sharon wpadła w panikę. Nie było żadnej bariery, na której mogłby zatrzymać się samochód. Do uszu Sharon dotarł piskliwy wrzask, który wydała z siebie.

— Nie mogę zginąć! To niemożliwe!

Znów nacisnęła na hamulec. Tym razem samochód nie wpadł w poślizg, ale zatrzymał się gwałtownie. Przez chwilę była sparaliżowana, zdezorientowana. Gzy jak się poruszy, to samochód spadnie do oceanu? Nie odważyła się otworzyć drzwi przy kierownicy. Ostrożnie opuściła szybę. Huk fali rozbijających się o skały zagłuszał odgłos pracującego silnika. Zobaczyła jedynie czarną powierzchnię wody i niebo.

Musiała się szybko wydostać na zewnątrz. Zanim puściła hamulec, wrzuciła luz. Prawie się nie poruszając, zaciągnęła hamulec ręczny. Mo-

gła się więc przesunąć na fotel pasażera. Powoli otworzyła drzwi i dostała się z samochodu.

Udało się jej zrobić tylko jeden krok do przodu; nogi odmówiły posłuszeństwa. Ciężko usiadła na mokrym asfalcie. Trzęsa się tak mocno, że zęby szczękały niczym kastaniety. Podczołgała się do przodu samochodu, wzięła głęboki oddech i z wysiłkiem stanęła na nogi. Koła od strony kierowcy prawie całe wisały w powietrzu.

Po raz drugi opuściły ją siły. Opadła na kolana i zaczęła ciężko oddychać. Wirowało jej w głowie. Ciemne niebo zdawało się przytłaczać ją do ziemi.

Nie możesz zastraszyć, nakazała sobie. Weź się w garść. Rusz się.

Stopniowo opuściło ją uczucie słabości. Chwilę później mogła wstać. Przypomnij sobie, co masz zrobić. Pchnij samochód. Powinien spaść.

Na nogach jak z ołowiu podeszła do drzwi od strony siedzenia pasażera, którymi wcześniej wysiadła. Jeśli mocno je zatrzśnie, samochód być może spadnie z urwiska. Już miała to zrobić, gdy nagle cofnęła rękę.

Samochód jest na biegu jałowym.

Jeśli ocean nie zabierze pojazdu i policjanci będą go sprawdzać, zauważą, że jest na luzie. Nikt, kto przypadkiem zjeżdża w przepaść, nie jest w stanie zmienić biegów. Od razu nabiorą podejrzeń.

Sharon wiedziała, że musi podejść do samochodu i wrzucić bieg. Czy ma na tyle odwagi, by to zrobić? A jak samochód spadnie, kiedy będzie się nachylała nad siedzeniem? Co wtedy? Uczucie bezsilności rozlało się po całym ciele. Stłumiła je, myśląc o Davidzie... O tym, że uwolnią się od Paula.

Śmierć nie jest mi teraz pisana, uznała. W przeciwnym razie już wcześniej spadłabym w przepaść. Nic się nie stało, wszystko będzie w porządku. Kiedy doszła do takiego wniosku, zbliżyła się do drugich drzwi samochodu, nachyliła się i szybkim ruchem włączyła bieg. Chwilę później cofnęła się i mocno zatrzasnęła drzwi.

Zapadła cisza. Potem dało się słyszeć odgłos kół zsuwających się ze żwiru. Wjednej sekundzie samochód zniknął. Znow zrobiło się cicho, po czym rozległ się łoskot rozbijającego się o skały pojazdu. Uderzające o brzeg fale stłumiły ten hałas.

Sharon zaczęła biec. A kiedy biegła, łzy strumieniami spływały po jej twarzy i mieszały się z mgłą, która szczypała w twarz lodowatym dotykem oceanu. Co się ze mną stało? Jak mogłam zrobić coś takiego?

Myśl o samochodzie, zabawkach Davida, jej torebce i telefonie komórkowym — wszystkim tym, co leżało u podstawy urwiska, zniszczone w efekcie jej desperackiego odruchu — działała na nią otężeżwiająco.

Więc dlaczego płaczę?

Znała odpowiedź. Była w szoku. Mogła leżeć tam na dole pośród tych przedmiotów. Co wtedy stałoby się z Davidem?

Biegąc, odgarnęła z oczu wilgotne kosmyki włosów i założyła je za uszy. Zobaczyła motel z migoczącą w oddali tablicą wieszczącą o wolnych pokojach. Zatrzymała się. Cała się trzęsała. Nikogo nie było w pobliżu, kiedy podesza bliżej. Przed wejściem do pokoju wytarła twarz rękawem żakietu.

David spał tak, jak go zostawiła. Przez dłuższą chwilę stała przy jego łóżku, cieszyła się obecnością chłopca, napawała się widokiem ciemnych kędziorków, które opadły na białą poduszkę. Potem podarła kartkę dla niego, wrzuciła ją do ubikacji i spuściła wodę.

Jutro rozpocznie się nowe życie, powiedziała sobie i poszła spać.

Dziś rano nie możemy jechać samochodem — wyjaśniła Davidowi, gdy szli do kawiarni na śniadanie. — Mechanik powiedział, że trzeba naprawić silnik. Odholował hondę do garażu.

— Dlaczego go nie widziałem?

— Jeszcze spałeś. — Spojrzała w bok. Po raz pierwszy okłamała syna. Było to przykre uczucie. Ale musiałam, napomniała się. Kiedy dorosnie, by zrozumieć, pewnego dnia powie mu prawdę.

— Naprawa zajmie dużo czasu, więc zgodziłam się zostawić samochód. Później przyjadę tu i go zabiorę. — Uśmiechnęła się do Davida. — Chyba będzie ciekawiej, jak pojedziemy autobusem, nawet do samego Seattle.

— A gdzie jest to Seattle?

— Też leży nad zatoką — wyjaśniła. — Jak San Francisco.

— A co z resztą moich zabawek? Też musimy je zostawić?

— Aha. Nie możemy wszystkiego wziąć do autobusu. Zabierzemy je później. — Przerwała. Czuła się okropnie. *David, przysięgam, że już nigdy nie będziesz musiał niczego zostawiać. Odkupię ci wszystko, co utraciłeś.*

— Okay, mamó. — Zaufanie odmalowało się na jego twarzy. Chwytał Sharon za rękę, kiedy przechodzili przez parking. — Nigdy wcześniej nie jechałem prawdziwym autobusem.

Weszli do kawiarni i usiedli we wnęce z tyłu lokalu. — Mamo, popatrz! To ci panowie pomogli mi sięgnąć Smarkusia.

Sharon zerknęła do narożnego boksu. Wymieniła spojrzenia z mężczyzną, w którym rozpoznała Larsa. Uśmiechnęła się i skinęła głową, a potem powstrzymała Davida, który zaczął się zsuwać z siedzenia.

— David, oni jedzą. Nie przeszkadzaj im...

— Ja chcę tylko powiedzieć cześć.

— Cześć, David. — Lars usłyszał rozmowę i podszedł do nich. Za nim zjawił się Benni z rachunkiem w dłoni. — Już skończyliśmy — powiedział Lars akcentowaną angielszczyzną.

— Zapytaj ich... — rzekł Benni. Wyglądał na zatroskanego.

Lars przechylił głowę w geście, który dla Sharon był typowo europejski. — Wczoraj w lesie sekwojowym zgubiłem portfel — zaczął.

— Straciliśmy większość pieniędzy — dodał Benni. — Wróciliśmy do lasu, ale nikt nie znalazł portfela. — Przerwał, spoglądając na Sharon. — A może pani go znalazła?

— Niestety nie. — Sharon spostrzegła, że obaj są zdenerwowani. Kiedy zerknęła na ich stolik, zauważyła, że zamówili tylko kawę. — Przykro mi. Wczoraj bardzo mi pomogliście, więc może się zrewanżuję. Zjecie coś?

— Dziękujemy, ale nie — odparł Lars.

— A ja bym coś zjadł. — Benni spojrzał na kolegę i na Sharon, a potem usiadł obok Davida. — Musimy się posilić, żeby móc pracować.

— Pracować? — spytała Sharon. — Gdzieś tutaj?

— Tak. — Lars usiadł obok niej. — Zostało nam niedużo pieniędzy. Za cztery dni mamy samolot z Seattle do Kopenhagi. Potrzebujemy pieniędzy na benzynę, żeby dojechać do Seattle.

— A co z waszym vanem?

— Jest własnością kuzyna Benniego. On sam wrócił na uczelnię w Bostonie. Nie chciał jechać samochodem do Seattle, więc go nam pożyczyl pod warunkiem, że go odprowadzimy.

— On poleciał do domu samolotem — dodał Benni. — Ten samochód to był nasz sposób na zwiedzanie Ameryki za niewielkie pieniądze. — Zawahał się. — Aż do teraz. Jeśli nic nie zarobimy, będziemy musieli prosić go o pomoc.

— I zrobimy to bardzo niechętnie — przyznał Lars. — Był tak wspaniałomyślny, a my okazaliśmy się nieodpowiedzialni...

Sharon słuchała uważnie, myślała o rozwiązaniu, które zadowoli ich wszystkich. Wyjaśniła, że honda się popsuła i musi z Davidem jechać autobusem. Kiedy zasugerowała rozwiązanie dla nich wszystkich, mężczyźni z radością przyjęli jej propozycję. Pojadą vanem, a ona zapłaci za siebie i Davida jak za pasażerów.

— Wiesz co, mam — rzekł podekscytowany David. — Jednak będziemy jechali autobusem. — Spojrzał na dwóch młodych mężczyzn. — Bo wasz samochód to taki mały autobus. Prawda, chłopaki?

— Zgadza się, David — odparł Lars, wymieniając uśmiechy z Sharon.

Kiedy trochę później wychodzili na zewnątrz, Sharon była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Ci dwaj mężczyźni wydawali się godni zaufania i uczciwi. Starła się nie myśleć o tym, że znów kłamała. Warto było, pomyślała, patrząc na Davida pograżonego w rozmowie z Larsem. Jej mały syn po raz pierwszy w swoim krótkim życiu cieszył się z męskiego towarzystwa.

To idealne rozwiązanie, uznała, kiedy wyjeżdżali z miasta po za-tankowaniu. Decyzja, żeby jechać do Seattle, została podjęta za nią. Za cztery dni Lars i Benni wrócą do Danii. Nikt ich z nią nie skojarzy. Teraz nie musi nawet rozjaśniać włosów. Jej trop urywa się u podnóża urwiska, tam, gdzie spadła honda.

Nowy zaczyna się w Seattle.

Rozdział 10

Lvexi uniosła wzrok, patrzyła, jak otwierają się drzwi do sklepu i wchodzi brodaty mężczyzna ubrany w szyty na miarę garnitur, na który nałożył płaszcz przeciwdeszczowy. Spojrzała na pracującą u niej ekspedientkę, która pomagała innemu klientowi; upewniła się, że nie jest sama.

Musisz przestać wpadać w panikę, nakazała sobie stanowczo. Nie możesz pozwolić, żeby to, co wydarzyło się w tamtym tygodniu, zmieniło twoje życie. Nic ci się nie stało, a Sharon jest bezpieczna. Dobrze o tym wiesz. Niedługo dostaniesz od niej wiadomość.

Jednak obserwowała mężczyznę nieufnie. Od razu wiedziała, że mroczne, ostre spojrzenie, gęste, dość długie włosy oraz przenikliwy wyraz twarzy nie pasują do stylu ubioru osoby z wyższych sfer. Gdyby

miał na sobie dzinsy i koszulkę, Lexi uznałaby go za stałego gościa na ulicy Haight, choćby nawet nie był w jej sklepie... W każdym razie bez maski.

Przezań! — strofowała się. Z tego, że to ktoś obcy, nie wynika, że jest tym mężczyzną, który założył maskę Sharon... I usiłował popełnić morderstwo. Pokręciła głową, uznawszy swoje podejrzenia za objaw paranoi. Stwierdziła, że najlepiej by było, gdyby skończył się już ten pierwszy dzień po jej powrocie do pracy.

— Detektyw Dan Walsh — przedstawił się. Błysnął odznaką, kiedy zbliżał się do Lexi. — Pani Lexi Steward?

Przytaknęła. Była zaskoczona. Detektyw? Wyglądał raczej na jakiego egzekutora długów, który w weekendy jeździ harleyem davidsonem. Znała kilku takich; nie znosiła tych typków. Jednak odznaka Walsh'a wyglądała autentycznie. Zdziwiło ją, że chce z nią rozmawiać tydzień po fakcie. Zrezygnowała z dochodzenia sprawiedliwości, była po prostu zadowolona, że Sharon uciekła od tego porąbanego gnoja Paula.

Detektyw Walsh rozejrzał się wokół. — Przyjemny sklep. — Przerwał. — Czy to są te maski, o których pani mówiła... aa... W związku z napadem? — Wychylił się w stronę ściany za Lexi. — Napastnik użył jednej z nich?

— Aha. Maski Sharon. Nie mają tutaj. Została ukradzioną.

— Maski Sharon?

— No tak. Jest żoną człowieka, który na mnie napadł.

— I pani przyjaciółką?

Przytaknęła.

— Niech mi pani opowie o tych maskach. To coś wyjątkowego...

W jego słowach Lexi słyszała tłumioną moc. Mimo łagodnie wypowiedzianych pytań i spokojnych gestów był człowiekiem czynu. — Pewien zaprzyjaźniony artysta wyrabia je dla mnie. Wysłałam je na zamówienie. Kilka z tych masek to karykatury jego przyjaciół, tak jak moja. — Pokazała mu ją.

Zmrużył oczy, kiedy przypatrywał się towarom. — Sklep z oryginałami — stwierdził. Przeszedł obok Lexi, by przyjrzeć się wystawie masek. Uniósł przedstawiającą jej twarz. Był odwrócony plecami do Lexi, kiedy zdejmował ze ściany maskę Paula. — To Paul Moore?

— Tak. — Zawahała się. — Nie przypuszczam, żeby o niej wiedział, chyba że Sharon mu powiedziała.

— I nie zobaczyłby jej, gdyby to on ukradł maskę zony...?

— Paul jest zbyt poważny na takie kwestie — rzekła Lexi. — Ale nie spodziewam się, że pan mi uwierzy. Odnoszę wrażenie, że kilku pana kolegów policjantów uważa mnie za rozhisteryzowaną babę, mimo że ledwo uszłam z życiem.

Przełknął jej słabo skrywane oskarżenie w milczeniu. Przyglądał się innym maskom; zostawił ją z bolesnym wspomnieniem napadu. Gdyby Al nie przybył w porę i nie wypłoszył faceta, byłaby kolejną w statystyce ofiarą morderstwa, a Sharon — następną.

Kiedy w szpitalu doszła do siebie, złożyła zeznanie policjantowi; sądzi, że to Paul Moore próbował ją zamordować i Sharon Moore też grozi ogromne niebezpieczeństwo. Policjant był pełen zrozumienia, wszystkie zapisał, zadał kilka pytań, a potem odwrócił się, żeby wyjść.

— Proszę poczekać! — zawołała za nim. — Mówię poważnie! Sharon wyszła za mąż za socjopatę! On jest zdolny do... do wszystkiego.

-- Sprawdzimy go — odparł spokojnie policjant, jakby próba morderstwa była czymś powszednim. — Chyba powiedziała pani, że na pastnik założył maskę i nie widziała pani jego twarzy.

— To prawda, ale jestem pewna, że to on.

— Jak to? Było ciemno. Może pani zidentyfikować jego głos? Mówiła pani, że niewiele się odzywał.

Frustracja spowodowała, że jeszcze bardziej została wytrącona z równowagi. Nie zwracała uwagi, że zaczyna gadać od rzeczy. Coś trzeba było zrobić. Życie Sharon wisiało na włosku. — Chcę, żeby go teraz aresztowano! Później udowodnię jego winę. — Jej głos wzniosł się do przeraźliwego pisku. Al ją przytrzymał, kiedy zrzuciła z siebie narkotykę i próbowała zerwać się z łóżka, by pójść za policjantami.

Kiedy nikt inny nie chciał jej słuchać, zrobiła awanturę. W kółko wyrzaskiwała: — Musicie mi uwierzyć! — Na te krzyki do jej pokoju przybiegły pielęgniarki i sanitariusze. Stawiała opór, gdy pielęgniarka podeszła do niej ze strzykawką. Prawie nie czuła ukłucia w ramię.

— Nie jestem histeryczką! — odrzyknęła na uspokajające głosy. Zanim zasnęła, pomyślała jeszcze, że wszystko jest w porządku, bo Al obiecał, że jej nie opuści.

— Chciałbym porozmawiać z panią o tym, co się wydarzyło; o pani przyjaźni z Sharon Moore — odezwał się detektyw Walsh, odrywając Lexi od wspomnień.

— Sharon i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółkami od czasu studiów. — Przerwała, nie była w stanie ukryć swojego zdenerwowania. —

Dlaczego pan pyta o to dopiero teraz? Dlaczego nie przyszedł pan do szpitala w ciągu tych dwóch dni, kiedy tam leżałam?

Wyciągnął pióro i notes z wewnętrznej kieszeni marynarki. — Wtedy nie wiedziałem, że tam pani jest. — Odchrząknął, zasłaniając usta długimi, cienkimi palcami. — A poza tym nie było jeszcze zgłoszenia, że Sharon zaginęła.

— Kiedy on to zgłosił? — spytała ostrym tonem. — Pewnie następnego dnia... no i pewnie też od samego początku miał was wszystkich po swojej stronie?

Detektyw gryzmołił w notatniku, nie patrząc jej w oczy. — Chyba nie lubi pani Paula Moore'a?

— Uczciwie?

Skinął głową, nagle uniósł wzrok.

— Nienawidzę go. Usiłował mnie zamordować. Robił wszystko, by przedstawić Sharon jako osobę nie zrównoważoną psychicznie... więc gdyby ją zabił, wszyscy by uwierzyli, że popełniła samobójstwo. — Wciągnęła do płuc haust powietrza. — I grałby rolę pogrążonego w smutku męża, któremu wszyscy by współczuli.

— To ciężkie oskarżenia.

— Ale prawdziwe. — Bawiła się kolczykami wiszącymi na małym stojaku znajdującym się na ładzie. — Nie spodziewam się, że pan mi uwierzy. Ale to dlatego Sharon musiała uciec... nikt nie byłby w stanie uwierzyć, że ten miły i opiekuńczy Paul nie jest wcale wspaniałym ojcem i kochającym mężem.

Detektyw postukał piórem w notes. — Przecież pani wie, że Moore ma alibi na ten wieczór, kiedy panią napadnięto.

— W razie potrzeby on zawsze ma alibi. — Mówiła lodowatym głosem.

— Rozmawiałem z sąsiadami państwa Moore, z pracodawcą Sharon i lekarzem domowym. — Zapadła cisza. — Wszyscy oni potwierdzili, że Sharon miała kłopoty ze sobą, była nie zrównoważona i brała środki uspokajające i antydepresyjne.

Lexi roześmiała się gorzko. — Jak już mówiłam, nie ma pan zamiaru mi uwierzyć. — Machnęła ręką. — Przecież Paul dopilnował, żeby lekarz przepisywał Sharon leki na wszystko, na pryszczę i na odciski, choć ich nie brała. Bała się...

— Niech mi pani opowie, co mówiła o swoim małżeństwie z Pauliem.

Nie trzeba było dwa razy jej prosić. Zaczęła od początku, mówiła wszystko, co mogła sobie przypomnieć. Opowiedziała o wszelkich potwornych szczegółach, o pętli stopniowo zaciskającej się wokół Sharon, aż stała się więźniem w swoim domu. Wspomniała, że Sharon została zaatakowana przez kogoś, kto założył jej maskę. Opowiedziała nawet o guziku, który pasował do szytych na miarę koszul Paula.

Detektyw słuchał z kamiennym wyrazem twarzy. No cóż, nic na to nie poradzę, powiedziała w myślach, kiedy dotarła do końca opowieści. Musiała próbować.

Zapadła cisza, gdy pisał w swoim notesie.

Nie spuszczać Lexi Steward z oka. Czyto zanotował? Paulowi Moore nie można nic zarzucić, to ona jest wariatką. Na zewnątrz po szarym poranku zaświeciło słońce. Zwykle podnosiło to na duchu. Dlaczego więc czuję się podle? — zastanowiła się.

— To wszystko? — spytał w końcu.

— Aha. — Spojrzała w bok. — Przypuszczalnie nie chce pan słyszeć nic więcej.

Ponownie postukał piórem w notes. — Mam jeszcze jedno pytanie. — Znow nastąpiła cisza. — Jeśli mówi pani prawdę, to Moore chyba powinien zakładać, że pani wie, gdzie wyjechała Sharon z Davidem. Dlaczego więc do tej pory nie próbował wydobyć tej informacji?

Patrzyła na niego chłodnym wzrokiem. To wszystko nie ma sensu. Paul jest w stanie ogłupić cały świat. Odwróciła się. — Ma pan jeszcze jakieś inne pytania, detektywie?

— Nie teraz, być może później. Dobrze?

— Oczywiście, w każdej chwili.

— Dziękuję, że poświęciła mi pani trochę czasu. — Usłyszała, że odchodzi i odwróciła głowę. — A propos, wzięłem jedną z wizytówek leżących na ladzie — rzekł. Po raz pierwszy się uśmiechnął; wyglądał teraz sympatyczniej. — Zadzwoń do pani, jeśli dowiem się czegoś więcej na temat zniknięcia Sharon.

Obserwowała, jak wychodzi. W myślach modliła się o brak takich informacji. Sharon potrzebowała spokoju, a nie śledztwa prowadzonego przez policję. Lexi nagle poczuła się zmęczona. Wyszła do domu, zostawiając sklep pod opieką sprzedawczyni. Nie była gotowa, by wytrzymać cały dzień w pracy. Wciąż była mocno przerażona.

Kiedy następnego ranka Lexi i Al mieli właśnie wychodzić, zadzwonił telefon. — Ja odbiorę — rzekł Al i pospieszył do aparatu. Lexi uśmiechnęła się do siebie. Od czasu jej powrotu ze szpitala Al postanowił, że będzie zostawał z nią na noc. Próbował chronić ją przed rozmowami telefonicznymi. Co za wspaniały facet, pomyślała, patrząc, jak pokrytą piegami dłonią podnosi słuchawkę.

Rozmowa była krótka, Al tylko raz się odezwał. Odwrócił się do niej powoli, jak na zwolnionym filmie. Po wyrazie twarzy poznała, że informacje nie są dobre.

— Dzwonił detektyw Walsh. — Usiadł na kanapie. — Kochanie, nie wiem, jak ci to powiedzieć. — Przerwał, szukał odpowiednich słów. — Zdarzył się wypadek... W Oregonie, nad brzegiem oceanu i...

— Sharon? — Pytanie to było prawie niesłyszalne.

Przytaknęła.

Przez chwilę ta wiadomość nie docierała do niej. — Nie mogła zginąć. Sharon nie mogła zginąć.

Al milczał.

Złapała go za koszulę, potrząsnęła nim. — Powiedz, że jej nic się nie stało...

Łzy napływające do jego oczu zastąpiły słowa, których nie był w stanie wypowiedzieć.

— A David?

— Oboje nie żyją — odparł łagodnym głosem. Nerwowo szarpał się za rude włosy.

Przytulał Lexi, gdy przejmujący szloch wstrząsał jej ciałem.

— Zabił ją. Boże! Mimo wszystko w jakiś sposób udało mu się zamordować Sharon. Ale jak... jak?

— Lexi, to wygląda na wypadek — podkreślił Al, powtarzając to, co wcześniej powiedział. — Samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i spadł z urwiska do oceanu.

— To niemożliwe. Sharon była dobrym kierowcą.

— Po ustąpieniu przypływu odnaleziono hondę. Okno od strony kierowcy było otwarte i policja przypuszcza, że woda zabrała ciała Sharon i Davida. Jednak w samochodzie znaleziono jej torebkę, telefon komórkowy i kilka zabawek Davida.

— Co? — Lexi wychyliła się do przodu, wpatrywała się w twarz Ala. — Chcesz powiedzieć, że nigdy nie znajdą ciała?

— Chyba nie. Ale to nie znaczy...

— Oczywiście, że tak. — Zerwała się z kanapy i rękawem otarła łzy, ścierając jednocześnie mokry makijaż. — To o znaczy zupełnie co innego, niż to może się wydawać. — Pokręciła głową, jakby chciała oczyścić ją z myśli. — Nie rozumiesz? Sharon upozorowała wypadek, żeby wszystkich wyprowadzić w pole.

— Ależ kochanie — rzekł Al. Wstał, by ponownie wziąć ją w ramiona. — Wiem, jakie to dla ciebie ciężkie przeżycie.

Uwolniła się z jego uścisku. — Al, nadal nie rozumiesz?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Sharon i David żyją!

Rozdział 11

JANICE YOUNG ZGINEŁA W POŻARZE, KTÓRY WYBUCHŁ W PODEJRZANYCH OKOLICZNOŚCIACH.

Sharon spojrzała na zdjęcie w gazecie umieszczone pod nagłówkiem. Obie strony artykułu znajdowały się na mikrofilmie zawierającym nekrologi. Zdumiewające. Zmarła kobieta mogła być jej siostrą. Po pięciu dniach siedzenia w bibliotece w końcu znalazła osobę, której tożsamość mogła przyjaść.

Pochyliła się, by przeczytać tekst pod zdjęciem. Pochodził sprzed dwunastu lat, według niego Janice urodziła się w Seattle, zrobiła dyplom ze sztuk pięknych na małym uniwersytecie w południowej Kalifornii, a potem przeprowadziła się na Wyspy Świętego Jana. Była artystką, która sprzedawała swoje obrazy wakacyjnym turystom.

Niesamowite — znów pomyślała Sharon, unosząc się na drewnianym krześle — gdy uświadamiała sobie, jak bardzo jest podobna do Janice Young. Miały takie same ciemne włosy, owalne twarze, delikatne rysy, nawet podobne brwi. Podobnie jak ona Janice była jedynaczką, która w dzieciństwie straciła rodziców. Co najważniejsze, Janice miała kilkoro żyjących krewnych.

Idealnie, uznała.

Sharon pomasaowała szyję, gdzie zeszywniały jej mięśnie od pochylania się przez wiele dni nad komputerem. Przeglądanie starych nekrologów w gazetach w poszukiwaniu odpowiedniej osoby zajęło więcej czasu, niż się spodziewała. Już miała zrezygnować... gdyby nie Janice Young. Nacisnęła opcję wydruku.

Kiedy odbitka wysunęła się z urządzenia, Sharon nagle odczuła wyrzuty sumienia. Miała zamiar ukraść tożsamość innej kobiety, zapominając, że Janice jako realna osoba miała swoje marzenia i nadzieje. Była artystką tak jak ona.

Janice, co się stało?— spytała dwuwymiarową postać na ekranie. *Dlaczego zginęłaś w płomieniach?* Sharon napomniała się, że nie może stać się sentymentalna lub rozmyślać nad legalnością swojego postępowania. To, co robi, nazywa się walką o przeżycie... dla niej i dla Davida.

— Mamo?

Głos Davida odciągnął ją od koszmarnych myśli, jakby wdarł się do nich. Spojrzała na sąsiedni stolik, przy którym chłopiec przeglądał książki, jakie wybrał z działu dla dzieci. To dobrze, że lubi książki, pomyślała. Większość dzieci nie wytrzymałaby kilku dni z rzędu w bibliotece, nawet gdyby były przekupywane przez matki słodyczami i rodzynkami od czasu do czasu wyciąganymi z torebki.

— Co się stało? — spytała Sharon, uśmiechając się. Wiedziała, że kusi los. Każde dziecko do tego czasu straciłoby cierpliwość.

— Nie musimy już iść? — David był bliski płaczu. Spod jego odchylonej do tyłu bejsbolówki wystawały kędziorki, które opadały mu na twarz. — Znudziła mi się ta biblioteka.

— Wiem, słoneczko. Mnie także. — Przerwała. — Ale może wytrzymasz jeszcze kilka minut. Prawie skończyłam.

— Chyba tak.

— Dobry chłopiec. — Dała mu ostatniego cukierka. — Wiesz co? Pokręcił głową.

— Będziesz musiał wybrać, co dziś zjemy na kolację.

— O rany... obojętnie co? — Lekko skinęła głową, podczas gdy chłopiec wydał krzyk radości. — Hamburgery i frytki.

— Świetnie. — Uśmiechnęła się, doskonale wiedziała, co jeszcze chciałyby powiedzieć. — Ja nawet bym dodała koktajl mleczny.

Jego twarz pojaśniała jeszcze bardziej. — Mogę coś powiedzieć?

— Go?

— Lubię, jak udajemy, że uciekliśmy od taty. — Z zakłopotaniem zmarszczył czoło. — To dobrze, mamgo? Pewnie, że chcę, żeby był z nami... ale jeszcze nie teraz.

— Oczywiście, że dobrze. Wiem, że kochasz tatę. — Wstała i uściskiem dodała mu otuchy. — Ale zawrzyjmy umowę. Na razie będziemy się cieszyć z naszych przygód w Seattle. Dobrze? Tata to zrozumie.

Wyraz jego twarzy złagodniał. Chłopiec skinął głową. — Pospiesz się, mamó. Jestem już głodny.

Sharon wróciła do monitora, próbowała nie rozwódzić się nad swoim kłamstwem. Szybko odszukała i wydrukowała kolejne artykuły o Janice Young, ale myślami wciąż pozostawała przy Davidzie. Jak szybko zmienił się w normalne dziecko, teraz, kiedy już nie znajduje się pod surową opieką ojca. Stał się stanowczy, czasami nieposłuszny, ale zawsze kochający i chcący się uczyć, kiedy mu wyjaśniała, dlaczego jego zachowanie jest niewłaściwe. Udało się jej nawet kupić inny kostium kowboja Chudego na Halloween. Zbierali potem słodycze pod groźbą psikusów na osiedlu w południowej części Seattle, gdzie Sharon wynajęła pokój od niedawno rozwiedzionej kobiety.

Jej nowa gospodyni, Joan Sams, znalazła się w rozpaczliwej sytuacji finansowej — musiała utrzymywać dom, aż córka nie ukończy szkoły średniej. Po tym jak odpowiedziała na ogłoszenie prasowe, Sharon odetchnęła z ulgą, stwierdziwszy, że Joan ją polubiła i uznała, że młoda matka z synem mogą zamieszkać w jej domu. Kobieta uwierzyła w zapewnienia Sharon, że z Davidem nie mają żadnej rodziny i chcą rozpocząć nowe lepsze życie w Seattle. Sharon przedstawiła się swoim panińskim nazwiskiem — Pierce — i wynajęła mieszkanie, płacąc co tydzień, aż do momentu, kiedy znajdzie pracę i będzie ją stać na dom.

Janice Young. Sharon bez przerwy powtarzała w myślach to nazwisko. Brzmiało nieźle. Sharon Moore może być Janice Young, a David — Davidem Youngiem. To się powiedzie, jeśli zdobędzie metrykę urodzenia Janice i numer ubezpieczenia. Potem z nowym nazwiskiem założy konto w banku, otrzyma karty kredytowe i, co najważniejsze, uzyska prawo jazdy.

Następne artykuły były krótkie. Zbadano przyczyny pożaru i nie znaleziono śladów podpalenia. Pożar uznano za nieszczęśliwy wypadek. Majątek Janice przeszedł na rzecz ojczyma. Sharon wstała, David, gotowy do wyjścia, był bez przerwy obok niej.

— Chyba nie będziemy musieli tu znów przychodzić, przynajmniej przez jakiś czas — zwróciła się do niego, kiedy wyszli na zewnątrz na Czwartą Aleję. Pod pachą niosła odblitki.

— Ekstra. — Chwyć ją za rękę. — Może teraz zjemy?

Ścisnęła jego dłoń. — Pewnie. Jestem tak głodna, że zjadłabym moją skórzaną torebkę.

— Jest ze skóry krowy — poinformował ją. — Pamiętasz? Lars mi to powiedział.

— Wiem. — Uniosła brwi. — To chyba mimo wszystko zjem hamburgera.

Szli ulicą Madisona, prowadzącą od Zatoki Elliotta, za którą wznosiły się strome wzgórza. Miasto w tej części przypominało San Francisco. Między wysokimi budynkami wiał porywisty wiatr, smagał twarz Sharon i zwiewał jej włosy. Starego mustanga, którego wypożyczyła od Joan za piętnaście dolarów dziennie, zostawiła na parkingu w pewnej odległości od biblioteki. Z ulgą dotarli do samochodu. Joan sądziła, że Sharon ma prawo jazdy.

— Mamo, kiedy będziemy mogli się spotkać z Larsem i Bennim? — spytał nagle David, gdy wsiadali do samochodu.

Było to trudne pytanie. Często je zadawał od czasu, gdy ci dwaj Duńczycy wysadzili ich przed lotniskiem w Seattle. Płakał, kiedy młodzi mężczyźni udali się na samolot do Danii; był bardziej zasmucony niż wtedy, gdy opuszczał ojca. W krótkim czasie Lars i Benni stali się dla Davida — który pragnął męskiej opieki — bohaterami. Podczas długiej podróży wzdłuż wybrzeża wciągali go w długie rozmowy, pytali o opinię na wszystkie tematy — od sportu po programy telewizyjne — pozwalali mu wybierać, gdzie się zatrzymać, by coś zjeść. Dzięki nim David bardzo szybko się zmieniał. Chłopiec uczył ich szkolnych piosenek, a oni opowiadali mu o Danii. Kiedy kończyła się podróż, Davida łączyły silne więzi z tymi Duńczykami.

— David, jak ci wcześniej mówiłam — rzekła łagodnie — Lars i Benni musieli wrócić do swojego kraju, ale zostawili nam adresy i napiszemy do nich, jak zamieszkamy w naszym nowym domu. — Wyciągnęła rękę, by ścisnąć mu z czułością dłoń, a potem uruchomiła samochód i wyjechała z parkingu. — Kiedyś pojedziemy do Danii, żeby ich odwiedzić. — Spojrzała na niego. — Nie zapominaj, że nas zaprosili.

— Wiem, mamo. Ja tylko do nich tęsknię.

— Ja też, David. Ale pamiętaj, że zawsze będą twoimi przyjaciółmi. — I moimi, uznała. Czuli, że coś jest nie tak, ale nie zadawali pytań. Zanim odjechali, wzięła ich adresy i na osobności powiedziała Larsowi, że kiedyś wszystko wyjaśni.

David skinął głową, kiedy wyjeżdżali z centrum. — Mamusiu, bardzo cię kocham. — Patrzył na ruch na autostradzie, przez dłuższy czas był zamyślony. — Wiesz co? Gry w udawanie to najlepsze gry na świecie!

Niespodziewanie oczy Sharon napełniły się łzami. — David, ja cię też Kocham.

Boże, proszę, modliła się po cichu. Niech nie przestanie mnie kochać, gdy to wszystko się skończy...*jeśli w ogóle się skończy.*

Oalo. Chciałam rozmawiać z Thelmą Hickman. — Sharon zwracała się do mówiącej po cichu kobiety, która odebrała telefon.

— To ja jestem Thelmą. Kto mówi?

— Pani mnie nie zna — zaczęła Sharon. Słuchawkę trzymała z dala od ucha, więc kobieta z pewnością słabo słyszała. — Aktualizuję dane dla nowego systemu komputerowego w mieście.

— Te komputery! — wykrzyknęła pogardliwie starsza kobieta. — Zniszczą naszą cywilizację.

— Rozumiem pani obawy — rzekła Sharon. Zdała sobie sprawę, że kobieta jest starsza, niż myślała. — Niestety, ludzie tacy jak ja ze względu na pracę muszą się dostosować do dzisiejszych czasów... nawet jeśli uważają, że komputery za bardzo wpływają na nasze życie.

— Współczuję, moja droga. — Jej głos złagodniał. — Ile pani ma lat?

— Trzydzieści cztery.

Zapadła cisza. — Miałam siostrzenicę, która teraz by była w pani wieku.

— Janice Young?

— Skąd pani wie? — Pytanie było jak wystrzał.

— Pani Hickman, właśnie dzwonię z powodu Janice. — Sharon nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. Po trzech próbach tym razem jej się udało. To była T. Hickman, która mieszkała w Tacoma dwadzieścia lat temu.

— Czy to ma być żart?

Sharon przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. Chodziła po kuchni, na ile pozwalał jej na to sznur od telefonu. — Ależ nie. Weryfikuję pewne dokumenty, żeby można je zapisać w pamięci komputera. — Przerwała. — Przepraszam, że wracam do tej bolesnej sprawy, ale taka jest moja praca i...

— No cóż, rozumiem — nieoczekiwanie rzekła starsza pani. W jej głosie pojawiła się nuta życzliwości. — Co pani chciałaby wiedzieć?

Sharon położyła przed sobą odbitki zdjęć Janice. Czuła się jak oszustka, która zamierza zburzyć starszej kobiecie spokój ducha. — Ja po prostu muszę zweryfikować informacje. Może pani mi pomóc?

— Chyba tak. — Głos kobiety nabrał mocy, choć słowa zdawały się drzeć w słuchawce niczym nasyczone elektrycznością.

— Na początek chciałam sprawdzić pisownię nazwiska — zaczęła Sharon.

Thelma przeliterowała imię i nazwisko Janice. Podała też drugie imię: Diane. — Diane to imię mojej siostry, matki Janice — wyjaśniła. — Diane zmarła, kiedy Janice była na pierwszym roku studiów.

Zapadła cisza. A potem: — Jej tata już dawno nie żył, zginął w wypadku, kiedy Janice miała zaledwie pięć lat.

Była w wieku Davida — pomyślała Sharon. Boże, nie mogę tego zrobić. Ta kobieta już dość się nacierpiała.

— Diane ponownie wyszła za mąż — kontynuowała, jakby nie mogła powstrzymać napływających wspomnień. — Jej drugi mąż uwielbiał Janice, ale też zmarł, krótko po śmierci Diane. — Kolejna przerwa. — To takie tragiczne.

— Bardzo współczuję — rzekła Sharon, przypominając sobie, jak się czuła po stracie rodziców. — Ja...

— Co jeszcze chce pani wiedzieć?

Sharon wzięła głęboki oddech. To jest ważne, powiedziała sobie. Nie wahaj się. Musisz to zrobić... dla siebie i dla Davida. — Jak już mówiłam, muszę zweryfikować pewne fakty.

— Więc niech pani pyta.

Sharon po kolei przeczytała informacje ze starych artykułów. — Matka Janice z domu nazywała się...

— Tak samo jak ja. Hickman — przerwała jej starsza pani. — Nie wyszłam za mąż.

Sharon osunęła się na dębowe krzesło. Odczuła taką ulgę, że drżące nogi nie były w stanie utrzymać jej ciężaru. Znała nazwisko panieńskie Janice — miała więc wszystko, czego potrzebowała, by otrzymać metrykę i numer ubezpieczenia.

— To by było tyle — z trudem wydobyła z siebie Sharon. — Jestem wdzięczna za pomoc. Dziękuję bardzo.

— Nie ma sprawy. — Zapadła cisza. — Rozmowa z panią to jak rozmowa z Janice.

— Co pani ma na myśli?

— Ton głosu, intonację. Nie wiem. W każdym razie mówi pani tak jak Janice. — Chrząknęła. — Przepraszam, to tylko takie gładzenie starej kobiety.

— Naprawdę jestem wdzięczna, że chciała pani poświęcić mi swój czas. Jeszcze raz dziękuję.

Do uszu Sharon dotarły piski; odłożyła słuchawkę. Przez dłuższą chwilę siedziała i wpatrywała się w zdjęcie Janice. To niezwykle, że ich głosy są również podobne. W jakiś sposób odczuła pokrewieństwo ze zmarłą kobietą, uznała, że Janice nie miałyby nic przeciwko temu, iż używa jej nazwiska. Takie było przeznaczenie.

Sharon spojrzała na zegar ścienny. David poszedł do supermarketu z Joan i jej córką Patti. Mogą wrócić w każdej chwili. Pobieгла do swojego pokoju na pierwszym piętrze. Wyciągnęła dzinsy, sweter i czystą bieliznę. Obiecała, że będzie gotowa, kiedy wróca. Idzie z Davidem do ogrodu zoologicznego.

Wszystko się układało, zmierzało do szczęśliwego finału.

Następnego dnia Sharon wystąpiła o metrykę urodzenia Janice Young, wykorzystując informacje z gazet. Dzięki jej ciotce była w stanie podać drugie imię Janice, nazwisko panięńskie jej matki i nazwę szpitala, w którym się urodziła. Zwiększało to autentyczność wniosku.

Kilka dni później dostała metrykę. Wykorzystała ją jako dokument tożsamości w miejscowym zakładzie ubezpieczeń społecznych, kiedy występowała o duplikat legitymacji. Wyjaśniła, że zgubiła ten dokument, bo przez wiele lat małżeństwa nigdzie nie pracowała. Ponieważ jej podanie zawierało właściwe dane, wydano jej nową legitymację ubezpieczeniową. Po krótkim czasie przesłano ją pocztą.

Dzięki Bogu Janice nie miała typowej pracy. O jej śmierci nikt nie musiał informować urzędu skarbowego.

Wykorzystując nowe dokumenty, Sharon założyła konta w dwóch bankach. Odczuła ulgę, kiedy wpłaciła pieniądze, które do tej pory trzymała w swoim pokoju. Większość ulokowała na kontach oszczędnościowych, a pięć tysięcy dolarów umieściła na rachunku bieżącym. Po dziesięciu dniach dostała kartę kredytową Visa.

Z wszystkimi dokumentami w ręku wystąpiła o prawo jazdy. Zdała oba egzaminy — pisemny i praktyczny. Kiedy jechała z urzędu wydającego prawa jazdy z tymczasowym dokumentem, nagle zdała sobie sprawę, że jest inną osobą. Zrobiła wszystko co trzeba, by zyskać nową tożsamość. Była Janice Young!

Po zdobyciu pracy wynajmie wspomniały dom, który ona i David pokochają. Już wiedziała, gdzie chciałyby mieszkać: w północnej części

śródmieścia, na Wzgórzu Królowej Anny, które góruje nad Cieśniną Pugeta.

Teraz, kiedy Sharon spojrzała na zegar, stwierdziła, że zostało jeszcze kilka minut, by odebrać Davida ze szkoły, gdzie czasowo zapisała go do klasy zerowej, jako Davida Younga. Został przyjęty do tej małej prywatnej szkoły, gdy Sharon wyjaśniła, że chłopiec skończył pięć lat dopiero niedawno i zapisze go do szkoły publicznej we wrześniu przyszłego roku. W myślach dziękowała Bogu, że w szkole nie żądano metryki urodzenia Davida.

Wyszła z domu trochę wcześniej, miała zamiar zadzwonić z telefonu w hotelu, który znajdował się dwie przecznice dalej.

Uznała, że nie zdarzy się żadne nieszczęście. Rozmowa będzie anonimowa, nikt nie ustali, że to ona dzwoniła. Kiedy znalazła się w kabine, ułożyła monety dwudziestopięcio- i dziesięciocentowe na małym występie i wybrała numer. Głos w słuchawce poinstruował ją, by wrzuciła monety. Słuchała ich brzęku, gdy wpadały do metalowej kieszeni. Nastąpiła cisza. Potem telefon zadzwonił po drugiej stronie linii.

— Halo — rozległ się kobiecy głos.

Sharon mocno trzymała słuchawkę przy uchu, słuchała, jak znajomy głos bez przerwy powtarza „halo”, „halo”. Wyobraziła sobie sklep, ładę, na której stał telefon, i ekstrawagancką właścicielkę tego sklepu — jej serdeczną przyjaciółkę.

Nic nie powiedziała, tylko powoli odwieściła słuchawkę.

Lexi nic się nie stało. Wypuściła powietrze z płuc. Jeśli Lexi odpowiedziała z Szykownego Kociaka, oznacza to, że wróciła do swojego sklepu. Była bezpieczna.

Dziękuję Ci, Boże, wyszeptała Sharon, a potem poszła odebrać Davida.

Lexi długo jeszcze patrzyła na telefon po tym, jak usłyszała sygnał. W końcu odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w urządzenie wyświetlające numer osoby dzwoniącej, które kazała zainstalować, zanim wróciła do pracy. To nie był jedyny środek bezpieczeństwa. Poza tym kazała założyć alarm przeciwlłamaniowy, nowe blokady drzwi i czujniki na oknach. Numer telefonu rozpoczynał się od 206.

Bez wahania wykręciła ten numer. Po chwili odpowiedział jakiś mężczyzna, rzucając jej nazwę hotelu. Lexi powiedziała, że ktoś stamtąd dzwonił i podała portierowi numer odebranego telefonu.

— Przykro mi, ale nie mogę pomóc — stwierdził mężczyzna. — Rozmowa była z telefonu na monety, który znajduje się w holu. Nie rejestrujemy takich rozmów i nie jestem w stanie się dowiedzieć, kto dzwonił.

— A gdzie jest ten hotel?

— W Seattle — padła odpowiedź.

— Dziękuję.

Seattle... W stanie Waszyngton, zadumała się Lexi, odkładając słuchawkę na widełki. Długo wpatrywała się w telefon. — To była Sharon — odezwała się głośno. — Wiem, że to ona.

— Co powiedziałaś? — spytała ją z drugiego końca sklepu ekspedientka, która u niej pracowała.

— Co? Ach, nic — odparła Lexi. — Mówiłam tylko do siebie.

Nagle wpadła w radosny nastrój, spojrzała znów na numer na wyświetlaczu. To byłaś ty, Sharon. Dzwoniłaś, żeby dowiedzieć się, że nic mi się nie stało, i dać znać, że u ciebie też wszystko w porządku.

Powtarzała numer 206, aż go zapamiętała. Potem wymazała go z pamięci komputera. Nie może zostać żaden ślad, ostrzegła się. Jednak potem stwierdziła, że może jest przewrażliwiona.

Czy rzeczywiście? — zastanowiła się. Na pewno nie w przypadku Paula i tego, że policja uwierzy w jego opowieść. Jeżeli Sharon żyje, to Paul może ją oskarżyć o porwanie dziecka i rozbicie małżeństwa, i zagarnięcie wspólnej własności, nie wspominając już o towarzystwie ubezpieczeń na życie, które poda ją do sądu, bo to Paul płacił na polisę. Sharon straci wtedy wszystko: Davida, wolność, a może nawet życie.

Intuicja podpowiadała Lexi, że się nie myli. Sharon po prostu przekazała jej informację, nie mówiąc ani słowa.

CZEŚĆ DRUGA

Wiosna 1997, Seattle

Rozdział 12

Więc to pani jest Janice Young, hostessą na tej wystawie sztuki?

Sharon oderwała wzrok od pary w podeszłym wieku, którą wprowadzała po galerii Zielony Klejnot. Spojrzała na wysokiego mężczyznę, który podszedł do niej z tyłu. — Tak, to ja.

Jego niebieskie oczy rzucały tak intensywne spojrzenie, że Sharon musiała spuścić wzrok. Cisza stała się krepująca. Starszy mężczyzna, Bill Gardner, klient, którego Sharon poznała w ciągu kilku miesięcy pracy, odezwał się pierwszy.

— Janice, później się jeszcze spotkamy — rzekł. — Chcemy z Margaret zobaczyć wystawę Polka w sąsiedniej sali. — Zwrócił siwą głowę w kierunku drugiego mężczyzny. — Taylor, z niecierpliwością czekamy na twoją wiosenną kolekcję w przyszłym miesiącu...

— I nie rozczarujesz się, Bill. — Młodszy mężczyzna mówił pewnym głosem prezentera wiadomości. — Zareczam!

Wąsy starszego pana uniosły się w uśmiechu. Wziął żonę pod ramię, skinął do Sharon i oddalił się.

— Jest pan artystą? — Sharon udało się zachować dobre maniery hostessy. Próbowwała zignorować jego badawcze spojrzenie. Nawet gdy rozmawiał z Billem Gardnerem, czuła jego wzrok na sobie.

— Niestety nie. — Założył ręce i uśmiechnął się lekko. — Jestem jednym z waszych konkurentów. Sam mam galerię na placu Pioniera.

— Powinam wiedzieć. — Wzruszyła ramionami. — Ale pracuję tutaj krótko.

— Domyśliłem się.

— Czy mogę w czymś pomóc? — spytała z zakłopotaniem.

— Nie wiem.

— Nie rozumiem.

— Jak powiedziałem, nie wiem...

Uśmiechnął się niespodziewanie, wyraz jego twarzy złagodniał i Sharon stwierdziła, że jest atrakcyjnym mężczyzną. Wysoki, sześć stóp wzrostu. Wprawdzie nieregularne rysy nie miały wiele wspólnego z tradycyjnym pięknem, ale był mężczyzną z silną osobowością, promieniującym charyzmą. Wydawał się wysportowany jak biegacze, których mijała, kiedy każdego ranka szła trzy mile wokół jeziora po zostawieniu Davida w szkole.

— Więc proszę się rozejrzeć.

Skinał głową i zmieszał się z innymi gośćmi, którzy przyszli na odbywającą się co pół roku wystawę sztuki organizowaną przez Signe Sigafos, szefową Sharon, właścicielkę galerii Zielony Klejnot. Signe, której ojciec był Szwedem, a matka rodowitą Amerykanką, różniła się fizycznie od Lexi, ale miała tak bardzo podobny charakter, że Sharon w rozrządzeniu kilkakrotnie zwróciła się do niej Lexi. Podobnie w nietypowy sposób patrzyły na świat. Mogłyby być duchowymi bliźniaczkami, choć Signe była piętnaście lat starsza od Lexi.

Sharon od razu ją polubiła. Odpowiedziała na ogłoszenie w gazecie i została zaproszona do biura Signe na rozmowę. Rozmawiały o sztuce. Signe przeczytała życiorys, który Sharon, korzystając ze swojej wiedzy i doświadczenia, wymyśliła, by opisać lata od śmierci Janice.

— Czy zna się pani na pracy biurowej i będzie pani potrafiła prowadzić galerię, gdybym wyjechała? — spytała Signe, patrząc twardo orzechowymi oczami.

— Oczywiście — odparła Sharon. — Proszę to sprawdzić.

Signe z miejsca zatrudniła ją jako swoją asystentkę, zadowolona z jej kwalifikacji. Sharon była wdzięczna losowi, że w Signe znalazła drugą Lexi. Odczuła też ulgę, bo Signe nie sprawdzała jej referencji ani nie zadawała pytań o męża, z którym się „rozwiódła” w Kalifornii. Signe

polegała na swojej intuicji. Szybko stała się dla Sharon dobrą koleżanką jak i szefową.

— Kiedyś znałem Janice Young...

Nie odstępował od niej. Spojrzała na niego. — Doprawdy? — Uśmiech ukrył jej nagłe zdenerwowanie. — Chce pan powiedzieć, że są dwie takie osoby.

Zapadła cisza.

— Trudno mi sobie wyobrazić, że mogą być dwie Janice. — W zamysleniu pogładził rudą brodę. — Pomijając imię i nazwisko, jesteście do siebie tak podobne. — Przerwał. — Miała ciemne, błyszczące włosy... jak pani. I czerwony był jej ulubionym kolorem. — Ruchem głowy wskazał na sukienkę Sharon. — Jej brązowe oczy zawsze odbijały uczucia, tak jak teraz pani mówią mi, żebym wynosił się do wszystkich diabłów.

— No cóż, pewnie znał ją pan bardzo dobrze — rzekła, ignorując ocenę zawartą w słowach. — Ale moje nazwisko jest bardzo popularne. Myślę, że w Seattle są tysiące Youngów.

— Nigdy nie sprawdzałem.

— Dziwna trochę ta rozmowa, panie...

— Sampson. Taylor Sampson.

— Cóż, panie Sampson, miło, że pana poznałam. — I mam nadzieję, że więcej się z panem nie spotkam, pomyślała. — Jak już mówiłam, proszę się czuć swobodnie i rozejrzeć się po galerii. Mamy na wystawie prace kilku bardzo utalentowanych artystów.

— Dziękuję, pani Young, uhm... Janice. — Przerwał. — Wiem, że macie. Często tu wpadam, kiedy jestem w Seattle. Teraz przyszedłem tu po powrocie z Europy.

Oddaliła się od niego po raz drugi. Poszedł za nią.

— Jak długo pani tu pracuje?

— Ponad pięć miesięcy, panie Sampson — odparła sucho.

— Nic dziwnego, że się nie spotkaliśmy. — Zlekceważył jej wyraźne pragnienie, by od niego uciec. — Przez ostatnich kilka miesięcy często wyjeżdżałem z kraju.

Skierowała się do stołu z napojami. Powinienes zrozumieć aluzję, zwróciła się do niego w myślach. Zostaw mnie w spokoju.

— Jest pani artystką?

Sharon ostrzegła się w myślach. Uniknęła odpowiedzi. — Dlaczego pan pyta?

Przyjrzał się tacy z ciastkami, potem wybrał jedno. — Ponieważ Janice Young, którą znałem, była bardzo utalentowaną artystką. — Ugryzł kawałek ciastka, obserwował, jak Sharon poprawia stos serwetek. — Pani jest tak bardzo do niej podobna, więc można sobie wyobrazić, że maluje pani tak jak ona.

Pokręciła głową. — Niestety nie, panie Sampson. — Zdobyła się na uśmiech. — Jedyne razem z synem koloruję w książeczkach. Wygląda na to, że moje podobieństwo do pańskiej Janice kończy się wraz z moim brakiem talentu.

— No tak. — Odgryzł kolejny kawałek ciastka, przeżuwał go w zamyśleniu. — Miała ogromne możliwości. Jej obrazy zasługiwały na wyższe ceny. — Wziął szklaneczkę z ponczem i wypił łyk. — Gdyby tylko przestała sprzedawać tak tanio swoje prace turystom...

Sharon milczała, była niepewna. Kiedy się pochylił, by odstawić szklanekę, odwróciła się od niego. Musiała trzymać się z dala od Taylora Sampsona.

Chwycił ją za ramię i zatrzymał. — Hej, proszę nie odchodzić. Wnien jestem pani przeprosiny. Zwykle nie jestem facetem, który zmusza ludzi do ucieczki. — Uśmiechnął się. — Chyba że rozmawiam o sztuce... lub o kobiecie, którą się kiedyś interesowałem.

— O Janice Young?

— Tak.

— Już panu mówiłam, że to popularne nazwisko.

— Rozumiem. — Pochylił się do niej. — Po prostu wytrąciła mnie pani z równowagi, panno Janice Young, druga.

— Panie Sampson, nie jestem jakaś druga.

— Jest pani pewna? — spytał nagle kpiącym głosem. — Nie przekonała mnie pani do końca, ale przyjmuję zapewnienia, bo nie widziałem tej pierwszej Janice od ponad dwunastu lat.

— W ciągu tylu lat ludzie się bardzo zmieniają.

— No tak, ale nie moja Janice. — Kolejna przerwa. — Była martwa przez te lata...

Sharon spojrzała w bok. — Bardzo mi przykro. — Mówiła ponurym głosem, nawet z poczuciem winy.

— Nie ma powodu. Skąd miałyby pani wiedzieć.

Gwałtownie chwycił ją za ramię i zaprowadził do obrazów olejnych Polka przedstawiających sceny z życia rodowitych Amerykanów mieszkających na północno-zachodnim wybrzeżu, tak zwanych Indian Tote-

mowych. Górował nad nią wzrostem. Przedstawił ją ludziom, których znał, więc popełniłaby gafę, gdyby teraz go opuściła. Potem Signe zauważyła go z drugiego końca galerii i ruszyła w jego kierunku. Jej ciemne ondulowane włosy podskakiwały na ramionach przy każdym kroku. Różnokolorowa spódnica i kamizelka błyskały w tłumie ludzi. Kiedy się z nim przywitała, Sharon mogła uwolnić się od jego towarzystwa, nie okazując się nieuprzejma.

Przeszła do innej części galerii i wkrótce wdała się w rozmowę z parą z Tacoma. Ze sztucznym uśmiechem na ustach mówiła niczym sprzedawca. W jakiś sposób udało się jej przeżyć ten wieczór, mimo że cały czas w jej myślach krążyło ostrzeżenie.

Nie powinnaś przybierać imienia Janice, jeśli miałas zamiar pracować w środowisku artystycznym.

W wycinkach prasowych wspomniano, że Janice była artystką, ale nic nie pisano, że cieszyła się sławą. Jednak mimo wszystko powinna unikać pracy w zawodach związanych ze sztuką. Powinna też wiedzieć, że Janice Young pochodziła z Północnego Zachodu i miała tu przyjaciół, a może nawet krewnych.

Sharon wpadła w depresję, kiedy jechała do domu swoim garbusem, takim samym, jaki kupiła po skończeniu studiów. Była oszustką. Czuła się naga jak król z baśni w swoich niewidzialnych nowych szatach.

Zatrzęsło garbusem, kiedy na stromej ulicy prowadzącej na Wzgórze Królowej Anny zredukowała biegi przed światłami. W myślach analizowała fakty. Taylor Sampson znalazł prawdziwą Janice, a Sharon nie wiedziała, czy przekonała go, że nie jest *jego* Janice.

„Snujemy splątaną sieć...” — zanuciła, jadąc zabudowanymi ulicami północnej części wzgórza.

Poczuła się lepiej, kiedy zapłaciła dziewczynie z sąsiedztwa, która opiekowała się Davidem. Ich mały wiktoriański dom wciskał się między dwie rezydencje sprzed stu lat. Sharon, po uzyskaniu nowych dokumentów, przeprowadziła się z mieszkania w południowej części Seattle. Od tego czasu straciła kontakt z Joan Sams. Ich dawna gospodyni wyprowadziła się do Idaho i była przekonana, że Sharon i David wyjechali do Denver.

Stała na werandzie i patrzyła, aż dziewczyna doszła do swojego domu. Potem wróciła na korytarz i zamknęła drzwi. Zatrzymała się, zajrzała do salonu. Meble i ozdoby wybierała razem z Davidem. Co ty-

dzień chodzili na wyprzedaże i do sklepów ze starymi meblami. Sharon bardzo dbała o pieniądze na czarną godzinę.

Po sprawdzeniu, czy drzwi są zamknięte, i wyłączeniu światła, Sharon weszła na górę. Zajrzała do pokoju Davida, uspokoiła się, zobaczywszy, że twardo śpi. Usłyszała jednak, że ma zapchany nos. Była pewna, że latem minie mu skłonność do chorób. W jego pokoju było kolorowo od zabawek, pluszowych zwierzątek i napisanych przez Sharon kredą na ścianach dziecięcych rymowanek. Postarała się, by pokój był tak przyjemny jak ten, który miał wcześniej.

Uśmiechając się, weszła do swojej sypialni po drugiej stronie korytarza. Po pięciu minutach była w łóżku. Kiedy zaczęła zasypiać, w jej myślach pojawiła się twarz Taylora Sampsona z drwiącym uśmiechem na ustach. Nastroszyła poduszkę i próbowała zapomnieć o nim.

Jednak nie mogła. Wiedziała, że wtargnął w jej życie na zawsze.

W telewizji zapowiadano piękny i słoneczny weekend, ale kiedy następnego ranka Sharon i David wsiadali do garbusa, mgła była tak gęsta, że Sharon widziała tylko do następnego skrzyżowania. Zanim dojechała do autostrady międzystanowej nr 5, mgła zaczęła się unosić. Sharon skręciła na północ, w kierunku Anacortes, skąd odpływały promy na Wyspy Świętego Jana. Półtorej godziny później zjechali z autostrady i znaleźli się tylko kilka minut drogi od terminalu nad Cieśniną Pugeta. W czasie jazdy Sharon widziała, jak nad strzępiastą mgłą omywającą okna auta rozpogadza się niebo. Kiedy, oczekując na prom, ustawili się w kolejce, wyszło słońce. Zapowiadało wspaniały dzień.

— Dobry znak. — Uśmiechnęła się do Davida. — Przez dwa dni dobrze będziemy się bawili.

— O rany. — Wyciągnął szyję, próbował zobaczyć wszystko od razu. — Nie mogę się doczekać.

Podniecenie w jego głosie odzwierciedlało jej własne podekscytowanie. Chłopiec był nienasycony, jeśli chodzi o podróże promem. Często będą w niedzielę pływać z Seattle na wyspę Bainbridge leżącą po drugiej stronie cieśniny, jeść lunch w małej restauracji z owocami morza, a potem wracać popołudniowym promem. Przy ładnej pogodzie i jeśli David nie będzie przeziębiony, będą stać na dziobie statku. Wiatr będzie rozwiewał ich ubrania, mgiełka kłuła w twarze igiełkami słonej wody.

Sharon nie mogła się doczekać wycieczki na Wyspy Świętego Jana niemal tak samo jak David. Zaproponowała ją, by zrekompensować mu brak ojca. Pete, chłopiec z sąsiedztwa, został jego nowym kolegą i David opowiadał, jak wspinały się ojciec Pete'a.

— Chciałbym mieć takiego tatę jak Pete — oznajmił kiedyś. Gdy delikatnie pytała, czy nie brakuje mu Pauła, David przerwał jej, mówiąc: — Nie musimy mieszkać z tatą, prawda? Ja nie chcę. — Przytuliła go mocno, dodała mu otuchy. Jednak poczuła smutek. Nigdy nie chciała, by ich życie ułożyło się w ten sposób.

Teraz, gdy obserwowała, jak zbliża się ogromny prom, przyznała, że jest ciekawa, gdzie Janice Young mieszkała. To wpłynęło na jej decyzję, by zostać na noc w Friday Harbor. Jeśli czas na to pozwoli, może spróbuje znaleźć parcelę, na której spłonął dom Janice. Choć wiedziała, że powinna się trzymać z daleka od tego miejsca, nie była w stanie stłumić swej ciekawości.

Czekali na swoją kolejkę, a potem wjechali w sznurze samochodów na prom. Zaparkowali na zewnętrznym pasie, skąd z samochodu mogli widzieć powierzchnię wody. Jednak ani Sharon, ani David nie chcieli zostawać na dole, więc weszli na górny pokład. Stamtąd mogli obserwować, jak prom odbija od brzegu. Potem zeszli do bufetu. Wiedziała, co David wybierze, zanim powiedział pewnym głosem: — Poproszę o hamburgera i frytki.

— Któregoś dnia będziemy musieli zmienić jadłospis — rzekła Sharon, jedząc i obserwując mijaną okolicę. Zawsze była zaskoczona, że promy tak szybko pływają.

— Mamo, co to znaczy? — Usta miał pełne frytek.

Uśmiechnęła się. — Och, nic wielkiego. Tylko chyba będziesz musiał częściej jeść warzywa.

— Więc będę jadł hamburgery i frytki w weekendy.

— Niech będzie.

Po lunchu wyszli na zewnątrz. Dzień był piękny, nieodpowiednio do tej pory roku wyjątkowo ciepły, ale Sharon postanowiła nie stać długo na mgle i wietrze, bo David wciąż był przeziębiony; zdawała sobie sprawę, że jeśli choroba szybko nie minie, będzie musiała pójść z nim do lekarza. Obiecała mu, że będą wychodzić na zewnątrz za każdym razem, gdy prom przybije do brzegu wyspy, by mógł obserwować załadunek i wyładunek samochodów.

— Zostanę kapitanem promu, jak dorosnę — oznajmił David, kiedy schodzili na łód w Friday Harbor, celu ich podróży. Sharon tylko się uśmiechnęła.

Czekała do ostatniej godziny pobytu na wyspie, by pomyśleć o domu Janice. Zwiedzili miasteczko, zjedli lody i pizzę, wypali się spokojnie w staroświeckim pensjonacie, którego okna wychodziły na zatokę. Spacerowali po dokach, gdzie cumowały jachty i łodzie rybackie. David tym razem oświadczył: — Będę tu mieszkał, jak dorosnę.

Sharon podzielała jego uczucia. Rozumiała, dlaczego artystka mogła wybrać takie miejsce do zamieszkania. Od przyjazdu coraz bardziej odczuwała potrzebę malowania. Teraz, kiedy jechali drogą ciągnącą się nad miasteczkiem, wiedziała, że gdzieś w okolicy mieszkała Janice. Znalazła adres w pobliżu szczytu wzgórza, z którego rozciągał się wspaniały widok na zatokę i ulicę Juana de Fuca. Jednak Sharon skupiła się na poszukiwaniu miejsca pożaru.

Przejechała powoli obok nowego domu, który został wybudowany na terenie posiadłości. Był to piętrowy budynek z drewna cedrowego, z wysokimi oknami od podłogi do sufitu. Jak ktoś mógł się tu pobudować? — zadała sobie pytanie. Zatrzymała samochód na końcu drogi.

— Mamo, wsiądziemy?

— Dobrze — zgodziła się.

Myślała o kobiecie, która zginęła tutaj ponad dwanaście lat temu. Pomogła Davidowi zapiąć kurtkę. Czuła, że wiatr przewiewa jej dzinsy.

Podeszli bliżej urwiska, by lepiej widzieć.

— O rety! — David odruchowo chwycił Sharon za rękę. — Ale tu wysoko.

Stali w milczeniu, obserwowali, jak w oddali do Friday Harbor zbliża się prom. Wiedziała, że musi już jechać, by się nie spóźnić. Objęła Davida ramieniem i skierowali się z powrotem do samochodu. Zauważyła mężczyznę na rowerze, w czarnych spandeksowych spodniach, wiatrówce i kasku na głowie. Mocno pedałowując, zbliżał się do nich. Najwyraźniej jechał w kierunku drogi dojazdowej, która prowadziła do domu na samym szczycie urwiska.

Sharon posadziła Davida na siedzeniu, a potem okrążyła samochód, by usiąść za kierownicą. Rowerzysta był już niedaleko za nimi, ale nie zwracała na niego uwagi — Wyspy Świętego Jana przyciągają setki rowerzystów.

Głos mężczyzny przeszył rześkie powietrze, dłoń Sharon zeszywniała na klamce samochodu.

— Co sprowadza Janice Young do Friday Harbor... do miejsca, gdzie kiedyś mieszkała inna Janice Young?

Głos brzmiał zaskoczeniem, złośliwością... był znajomy. Sharon odwróciła się i zobaczyła Taylora Sampsona.

Rozdział 13

Sharon patrzyła w osłupieniu, na chwilę odjęto jej mowę. Taylor Sampson był ostatnią osobą, którą spodziewała się spotkać. Nawet nie zauważyła, że David otworzył drzwi, obszedł samochód i stanął obok niej.

— Pan zna moją mamę? — zapytał z zaskoczeniem w głosie.

Taylor spojrzął na Davida. — Kiedyś się spotkaliśmy.

— Gdzie? — Wiatr rozwiewał włosy Davida i unosił tył czerwonej kurtki. — Nigdy z mamą nie byliśmy na tej wyspie.

Taylor nagle się uśmiechnął. Tak jak podczas poprzedniego spotkania wyraz jego twarzy zdecydowanie się zmienił. Przemiana żaby w księcia? Nie bądź głupia — zganiła się. Ten człowiek nie jest żabą, ani też księciem. To mężczyzna, który nie zasługuje na zaufanie. Nie chciałyby go mieć za swojego wroga.

— Spotkałem się z twoją mamą w galerii, gdzie pracuje. — Taylor wyciągnął rękę. — Taylor Sampson. A ty jak masz na imię?

— David. — Spojrzął na mamę. — David Moore... aa Young.

— David? To świetne imię dla chłopca. — Taylor chyba nie zauważył, że David się zawahał, podając nazwisko, jednak coś w jego zachowaniu kazało Sharon się zastanowić.

Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymała oddech, dopóki nie zrobiło się jej słabo. W myślach dziękowała Bogu. David nie zapomniał o nowym nazwisku, o ich zabawie polegającej na udawaniu, że są innymi ludźmi w innym życiu, niczym postacie w historyjkach dla dzieci. Żeby nie mieszać Davidowi w głowie bardziej niż potrzeba, nie zmieniła mu imienia, tylko nazwisko. Wiedziała, że dzieci w jego wieku szybko przystosowują się do nowej sytuacji, zwłaszcza gdy przeszłość była ponura. W końcu zapomni, że kiedyś nie nazywał się Young. Do tego czasu musiała liczyć na szczęście.

— David chodzi do zerówki — rzekła, odciągając uwagę Taylora od nazwisk.

Skinął głową. — Tak myślałem.

— Pan też jest artystą? — spytał David.

— Nie. — Taylor odwrócił wzrok od Sharon i spojrzął na Davida. Wyprostował się i przesunął rower z przerzutkami, który opierał się o jego biodro. Rozwiewało mu na wietrze rudą brodę. — A ty?

David pokręcił głową. — Ale moja mama jest. — Popatrzył na oboje z nich, był zadowolony ze zwróconej na siebie uwagi. — Mama naprawdę dobrze rysuje.

Znów zapadła cisza.

Intuicyjnie Sharon odczytała myśli Taylora i zarumieniła się. Przypomniał sobie, że zaprzeczyła, iż jest artystką. Głupio postąpiła. Powinna przyznać, że maluje amatersko; jej fałszywa tożsamość miała wiele wspólnego z prawdziwą — była artystką. Ale wtedy, tak jak teraz, zdenerwowała się. Mogła jedynie blefować.

— David, masz rację — oznajmiła, zmuszając się do uśmiechu. — Maluję lepiej niż większość mam dzieci ze szkoły. — Oparła się o drzwi samochodu i nonszalancko odgarnęła za uszy miękkie i delikatne włosy.

— Aha. — David wykrzywił nos i zachichotał. — No i inne mamy nie lubią, jak się wszędzie maluje — powiedział Taylorowi. — A ja nawet pomagałem malować mój pokój, jak się przeprowadziliśmy do nowego domu.

— Ty pomagałeś mamie? — Nastąpiła przerwa. — A tata... nie pomaga malować mieszkań?

David powoli pokręcił głową. — Mnie też by nie pozwolił malować.

Rozmowa przybrała niebezpieczny obrót. — Panie Sampson, co sprowadziło pana na tę wyspę? — Sharon szybko zmieniła temat. Miała zamiar ponownie wsadzić Davida do samochodu i odjechać.

— Mieszkam tutaj. — Ruchem głowy wskazał na dom na samym szczycie urwiska. — Kiedy nie jestem w Europie, dzielę swój czas między Friday Harbor a Seattle. — Kolejna przerwa. — W ten sposób wracamy do mojego pytania. Dlaczego przyjechała pani akurat tutaj?

Nie spuściła wzroku, choć jego niebieskie oczy były równie chłodne jak wiosenne niebo. Nie przyszło jej do głowy, że Taylor i Janice mogli być kiedyś sąsiadami. — Po prostu zwiedzaliśmy, jechaliśmy tą drogą ze względu na widoki.

— Tak — dorzucił David. — Przy płynęliśmy wczoraj promem. Jeździłem po całej wyspie. — Wsiadł z powrotem do auta. — Podoba mi się tutaj. Mama powiedziała, że wrócimy tu, jak skończy się szkoła.

Taylor pogładził brodę. Sharon przypomniała sobie, że tak samo zachował się, kiedy spotkali się w galerii. Następne pytanie zadał niczym prokurator przesłuchujący świadka. — A podobno pani nie wiedziała, że moja Janice mieszkała tu kiedyś.

Sharon spojrzała mu prosto w oczy... I skłamała: — Na litość boską, skąd miałabym wiedzieć. Nie znam pańskiej Janice!

Wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwi i otworzyła okno. — Gdybym wiedziała, że to prywatna droga, wcale bym tu nie przyjechała. — Warkot silnika samochodu został zagłuszony przez przyniesiony przez wiatr sygnał promu. Ten gwizd wystraszył ją. — Musimy jechać, bo spóźnimy się na prom.

Taylor wsiadł na rower. — Ma pani jeszcze piętnaście minut czasu. — Spojrzał nad ramieniem, kiedy zaczął pedałować. — Sądzę, że wiedziałaby to pani, gdyby była prawdziwą Janice.

Sharon czekała, aż czarny mercedes wycofa się z drogi dojazdowej, która kiedyś prowadziła do domu tej drugiej Janice. Zatrzymał się na środku i blokował wyjazd. Już miała zatrąbić, gdy z samochodu wysiadł ciemnowłosej muskularny mężczyzna przed czterdziestką. Zawołał do Taylora. Jej prześladowca zawrócił rowerem i zjechał w dół wzgórza obok garbusa. Obaj mężczyźni rozmawiali przez chwilę, a potem właściciel mercedesa cofnął samochód, pozwolił Sharon przejechać.

Przejeżdżając obok nich, spostrzegła mroczne spojrzenie kolegi Taylora. Pojechała dalej, lecz nie mogła usunąć z myśli wyrazu twarzy tego mężczyzny. Wyglądał na zaskoczonego. Nie, to był raczej szok. A może strach?

Taylor Sampson mówił prawdę. Mieli piętnaście minut, zanim prom w końcu przybił do brzegu i wyjechały z niego samochody. Na wolne miejsce wjeżdżały inne pojazdy. Sharon mignął też na drodze z tyłu czarny mercedes.

— Napijemy się gorącej czekolady? — spytał David, kiedy prom wyruszył w drogę.

— Pewnie, a jak chcesz, to coś zjemy.

Sharon pomogła wysiąść mu z garbusa, a potem zamknęła samochód. David nagle wydał się błady i zmęczony. Zbyt dużo wrażeń jak

na tak małego chłopca, pomyślała. Zbeształa się, że za szybko chodzili po wyspie. Miała nadzieję, że nie złapał kolejnego wirusa. To będzie ogromna ulga, kiedy wyrośnie z chorób. A potem z chłopca przeistoczy się w silnego i muskularnego mężczyznę jak... powstrzymała się. Taylor Sampson nie był osobą, z którą chciałyby się jeszcze raz spotkać, a tym bardziej porównywać z nim swojego syna.

David po posiłku ożywił się. Odetchnęła z ulgą, zastanawiała się, czy nie staje się przewrażliwiona na punkcie jego zdrowia. Ostatnia rzecz, jaką by chciała, to stać się nadopiekuńcza matką.

David pokazał, że w drugim końcu siedzi Taylor Sampson. Odciągała jego uwagę, aż mężczyzna wyszedł. Żadnych więcej spotkań. Z miejsca postanowiła, że następnym razem popłyną z Davidem na inną wyspę.

Usiedli przy oknie i obserwowali zmieniającą się scenę: porosłe łasem wyspy, inne statki, stada ptaków niesione falami morskimi i powietrzynnymi prądami. Zapadł zmierzch, zanim prom dopłynął do Anacortes. Minął ich kolejny prom wychodzący w morze. Setki jego świateł błyszczało w łagodnym mroku. Pływający pałac, pomyślała Sharon, prowadząc Davida do samochodu stojącego na dolnym pokładzie.

Zastanawiała się nad aurą tajemniczości panującą na Wyspach Świętego Jana. Gdyby naprawdę była Janice Young, też wybrałaby życie tutaj. W roztargnieniu początkowo nie zwróciła uwagi na to, co David powiedział.

- Moje drzwi nie są zamknięte.
- Co? Przecież zamykałam z obu stron.
- Zobacz. — Otworzył je. — Nie były zamknięte.

Odsunęła na bok Davida i wsunęła głowę do środka pojazdu. Zdało się, że wszystko jest w porządku. Torby z rzeczami na noc wciąż leżały na wąskim tylnym siedzeniu, mapa była na tablicy rozdzielczej, a Smarkus siedział na siedzeniu pasażera, gdzie go David zostawił.

Czyżby zapomniała o zamknięciu drzwi?

Rozejrzała się dookoła. Inni pasażerowie wracali do swoich pojazdów. Wszystkie samochody stojące obok były puste. Przypomniała sobie, że kiedyś zatrzaskała kluczyki w samochodzie. Jeden z klientów Signe wsunął wtedy małą metalową płytkę między okno a listwę drzwi i otworzył zamek. — Lepsze to niż wieszak do ubrań — stwierdził. — Policjanci, mechanicy i wielu innych mają takie gadżety.

Odczuła dobrze znany jej lęk. Kto mógł włamać się do starego garbusa, skoro tutaj jest tyle drogich samochodów? Czyżby to był ktoś, kto właśnie ją obrał za cel ataku? Do tej pory tylko jedna osoba to zrobiła.

Nie bądź głupia, napomniata się. Przypuszczalnie nie zamknęłaś drzwi na klucz, to wszystko.

Kiedy zjeżdżali z promu, David już drzemał. Za sznurem pojazdów wjechała na drogę pod górę, prowadzącą z terminalu. Samochód podskoczył na wyboju i zza osłony przeciwsłonecznej wypadła luźna kartka papieru. Chwyciła ją.

Do diabła, co to jest? — zastanowiła się. Jak mógł wypaść dowód rejestracji, skoro znajdował się w plastikowym opakowaniu i był przypięty za osłoną.

To się samo nie stało.

Ktoś go wyjął. *Żeby po prostu na niego popatrzeć?*

Następnego ranka przejście trzech mil wokół Jeziora Zielonego zajęło Sharon tylko trzydzieści pięć minut. Rzeźkie powietrze zawsze oczyszczało jej umysł z ponurych myśli, nastrajało optymistycznie do nadchodzącego dnia. Zanim doszła do swojego samochodu, zatrzymała się przed budką z kawą. Uznała, że wypije kawę z mlekiem. Zmęczony po weekendzie David długo spał i nie miała czasu, by jak zwykle zaparzyć sobie poranną kawę na przebudzenie. Ledwo zdążyła z nim na czas do szkoły, choć ta znajdowała się tylko kilka przecznic na północ od ich domu.

Stojąc w kolejce, słuchała fragmentów rozmów: dwóch biegaczy omawiało konsekwencje łączenia banków, matki porównywały opowieści dzieci, a starsza pani wyjaśniała swojej koleżance, dlaczego buty, które nosi, umożliwiają jej chodzenie, mimo że ma artretyzm.

Sharon uśmiechnęła się do siebie. Dzięki takim kontaktom z ludźmi zaczęła się czuć mieszkanką Seattle. Zanim zawarła jakiegokolwiek znajomości, krótkie rozmowy w kolejce po kawę, w sklepie spożywczym lub podczas wizyt w sklepach ze starociami rozwiewały jej obawy związane z nowym życiem. Jak zawsze doszła do takiego samego wniosku: stwierdziła, że postąpiła właściwie.

Kupiła kawę i pospieszyła do samochodu. Zanim pójdzie do galerii, zmieni dresy na odpowiednie do pracy ubranie. Skierowała się do centrum miasta, myślami wracała do poprzedniego wieczoru, kiedy wystraszyła się, stwierdziwszy, że nie zamknęła drzwi samochodu.

Przypuszczalnie przeczytała to. David wysiadł z samochodu i posadził misia na swoim siedzeniu. Spieszyli się, by zająć miejsce w kolejce po gorącą czekoladę i zapomniała zamknąć drzwi.

Kiedy przyjechali do domu, wrócili jej obawy, ale tylko na chwilę. Wszystko było tak, jak zostawili. Sharon uznała, że wyciąga pochopne wnioski, bo wciąż odczuwa lęk przed Paulem. Mogła mieć jedynie nadzieję, że z czasem pozbędzie się strachu.

Wjechała na Most Aurory, zaczęła myśleć o pracy. Była pewna, że Signe nie ujawni żadnych informacji z jej akt personalnych. To po prostu pech, że podjęła pracę w miejscu, gdzie mogła się natknąć na Taylora Sampsona. Miała tylko nadzieję, że nie zapamiętał numeru ubezpieczenia Janice, o ile w ogóle go znał. Bo gdyby znał i zobaczył też jej numer, jej całe życie zawisłoby na włosku.

Zostawiła samochód na parkingu przy Drugiej Alei, przecnicę od galerii. Wzięła torebkę, worek marynarski i wieszak ze spódnicą i swetrem. Tym razem upewniła się, że drzwi auta są zamknięte, nim weszła na chodnik. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest spóźniona.

Trzymając rzeczy blisko ciała, poszła na skróty alejką z tyłu galerii. Kiedy skręciła w stronę głównego wejścia znajdującego się przy Pierwszej Alei, usłyszała za sobą jakiś hałas.

Obejrzała się do tyłu, ale nikogo nie zauważyła. Poszła dalej. Potem znów usłyszała słaby szelest. Zatrzymała się, jej spódnica spadła z wieszaka na brudny bruk.

— Cholera!

Kiedy schyliła się, by ją podnieść, kilka kroków za sobą dostrzegła jakiś ruch. Ktoś ukrywa się za pojemnikiem na śmieci.

Przerażenie poraziło ją niczym wstrząs elektryczny. Odwróciła się, zaczęła biec. Spojrzawszy kolejny raz do tyłu, stwierdziła, że nikt za nią nie biegnie. Racjonalna część umysłu mówiła jej, że to prawdopodobnie jakiś uliczny włóczęga szuka czegoś do zjedzenia. Ale wcześniejsze przeżycia kazały jak najszybciej oddalić się od alejki. Przy drzwiach od galerii zatrzymała się, by głęboko odetchnąć.

Zbieg okoliczności, wmawiała sobie. To nie był Paul. W okolicach placu Pioniera w Seattle zawsze kręcą się jacyś przyjezdni.

W końcu zebrała się w sobie i weszła do środka. Czas zacząć pracę. Jednak obraz Paula ciągle miała przed oczami. Nie myśl o nim, poinstruowała się, jak to robiła wiele razy od wyjazdu z San Francisco. Nie

pozwałała też sobie na dywagacje, jaka była jego reakcja, gdy zabrała mu Davida.

Ale drwiąca twarz Paula nie chciała zniknąć. Czy uwierzył, że nie żyją? A może ich szuka?

Rozdział 14

Nie spodziewałem się takiego opóźnienia. — Paul nagle wstał zdenerwowany rozmową. — Sześć miesięcy temu patrol policyjny ze stanu Oregon uznał, że zginęli w wypadku. Nabożeństwo żałobne odbyło się wkrótce potem. Sądzę, że towarzystwo chce jedynie odwlec wypłatę odszkodowania.

— Panie Moore, proszę się trochę powstrzymać. — Chuck Frome, rzeczoznawca ubezpieczeniowy, wyprężył się na krześle stojącym za jego biurkiem. — Nie znaleziono ciała. Musimy w takich przypadkach twardo przestrzegać przepisów. — Stuknął piórem w zamkniętą teczkę z napisem MOORE. — A poza tym istnieją wątpliwości dotyczące pana stosunków z żoną.

— Jakie?

— Chodzi o jej zdrowie psychiczne. — Zawahał się. — Pani Steward twierdzi, że pańska żona nie miała żadnych zaburzeń psychicznych, a jej działania spowodowane były strachem przed panem.

— Już wcześniej to panu wyjaśniłem. — Paul nie mógł ukryć irytacji. — Lexi Steward była najlepszą przyjaciółką mojej żony, jedyną osobą na świecie, która wierzyła, że Sharon jest normalna. — Przerwał. — Ale przecież sama Lexi jest stuknięta.

— Stwierdziłem, że pani Steward ciężko przeżyła wypadek pańskiej żony, ale to nie jest wariatka.

Paul wychylił się do przodu, oparł dłońmi o blat biurka. — Sugeruje pan, że doprowadziłem do śmierci żony? — Oburzony pochylił się jeszcze bardziej nad rzeczoznawcą. — I mojego jedynego syna?

Chuck Frome przybrał ostry wyraz twarzy. Wstał, jego szczupła sylwetka zrównała się z Paulem. Oczy błyszczały mu z wściekłości, ale mówił spokojnym głosem. — Panie Moore, o nic nikogo nie oskarżam. Ja po prostu postępuję zgodnie ze wskazówkami dotyczącymi mojej pracy.

Paul wyprostował się. — Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy jest pan przekonany, że moja żona i syn nie żyją?

— Jestem przekonany, że mieli wypadek. — Nastąpiła przerwa. — Ja... my po prostu w takiej sytuacji jak ta badamy wszelkie możliwości. Ten przypadek nie jest typowy.

— Myślałem, że do tej pory już wszystko sprawdziliście.

— To prawda, że rozmawiałem z pańskimi sąsiadami, przyjaciółmi, lekarzem pani Moore, tymi ludźmi, o których pan wspominał. — Odebrał wzrok od Paula. — Sądzę, że mam wyraźny obraz tego, co się działo przed jej wyjazdem.

— Go pan ma na myśli?

— Tylko to, że towarzystwo ubezpieczeniowe musi być przekonane o śmierci, żebyśmy mogli zezwolić na wypłatę.

— Chce pan powiedzieć, że być może Sharon i David nie zginęli?

— Nic takiego nie mówię, panie Moore.

Ty gnoju, rzekł w myślach Paul. O czym to nie chce Chuck Frome powiedzieć? Może coś jeszcze przekazała mu Lexi?

Kiedy Paul wyszedł z biura i wmieszał się w tłum ludzi, wciąż myślał o Lexi.

Mógłby się dowiedzieć, o czym ona wie.

Wyszedł z sąsiednich drzwi, kiedy Lexi zamknęła Szykownego Kociaka. Zapadł już zmrok, ale zatłoczona ludźmi i samochodami ulica Haigh była jasno oświetlona. Chociaż Paul nie ośmieliłby się zaatakować jej w obecności tylu świadków, Lexi ogarnął paniczny strach, gdy zastąpił jej drogę.

— Odczep się ode mnie! — zażądała. Złość stłumiła jej lęk. — Jak śmiesz się tutaj pokazywać?!

— Lexi, nie zadzieraj ze mną.

— Będę robiła to, co chciała... ty szurnięty morderco.

Podszedł bliżej, oczy błyszczały mu złośliwie. — Nie kuś mnie, Lexi. Może lubię patrzeć, jak tracisz oddech pod wodą..

— To ty! — Cofnęła się.

Uśmiechnął się niemal uprzejmie. — O czym ty mówisz?

— Usiłowałeś mnie zabić! — Mimo że się cofnęła, gdy zbliżył się do niej, chwycił ją i wepchnął do ciemnych drzwi.

— Powiesz, gdzie jest moja żona? Jeśli mój syn żyje, chcę go mieć z powrotem. Należy do mnie.

— Puść mnie, ty sukinsynu. Tutaj nie możesz mnie zabić. Wszyscy cię zobaczą.

Zacisnął dłoń, którą przesunął do jej gardła. — Albo powiesz, gdzie ona jest, albo cię załatwię — wyszczał. Lexi czuła jego gorący oddech na twarzy. — Nie obchodzi mnie, czy ktoś widzi, jak cię duszę. — Parusknął śmiechem. — Na Haight nigdy nikt nic nie widzi,

— Ty pierdolnięty psycholu! — wrzasnęła Lexi. — Nie ogłupisz mnie. To ty zamordowałeś Sharon i Davida, a teraz chcesz zabić mnie.

Lexi spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich absolutne zło, które zwykle ukrywał. Z jakichś powodów nie był pewien, co właściwie stało się z Sharon, i wyobraził sobie, że to ona może coś wiedzieć. Musiała ukrywać swoje uczucia. Jeśli Sharon żyje, on powinien być przekonany, że zginęła... że David zginął.

— Zamordowałeś ją — rzekła, nieświadoma, że jego palce zaciska ją się na jej szyi. — Myślisz, że nie wiem? Powiedziałam rzeczoznawcy ubezpieczeniowemu, że to ty stoisz za zniknięciem Sharon... jesteś odpowiedzialny za to wszystko, co się z nią stało.

— Ty suko. — Mocniej zacisnął palce.

Lexi wygięła się do tyłu, ale nie była w stanie wołać o pomoc.

— Ty morderco — wyszeptwała ochryple.

— Mogę cię zabić.

— Pamiętasz, że próbowałeś?

Patrzyli na siebie, żadne z nich nie spuściło wzroku, choć Lexi wiedziała, że igra ze śmiercią. On był o włos od tego, by mocniej zacisnąć dłonie na jej gardle. Ale jednocześnie miał świadomość, że na ulicy jest zbyt wielu ludzi, by mógł bezkarnie popełnić morderstwo.

— Jeśli odkryję, że Sharon żyje... A ty o tym wiedziałaś... zabiję cię, Lexi. — Przerwał. — Możesz być tego pewna.

Puścił jej szyję. Kilka sekund później szedł już chodnikiem. Drżąca Lexi oparła się o okno sklepu.

Biedna Sharon, pomyślała, próbując dojść do równowagi. Z czymś takim miała do czynienia przez lata. Obserwując Paula, Lexi też ruszyła chodnikiem. Pragnęła, by Al objął ją ramionami, zapewnił ochronę i zagwarantował, że szalenciec taki jak Paul nie naruszy ich życia i bezpieczeństwa.

Drżącymi palcami związała zakiet i skierowała się w stronę małej włoskiej kawiarni, gdzie miała się spotkać z Alem. Kiedy biegła chodnikiem, nie zważając na przyglądających się ludzi, myślała o mężczyźnie,

który kochał ją od tylu lat i nie rezygnował, mimo że tyle razy mu mówiła, że chce pozostać samotna.

Na Boga, Kocham go, pomyślała. Wyjdzie za niego za męża, zdecydowała. Teraz, w następnym tygodniu... kiedy będzie chciał.

Poza za tym proszę cię, Boże — dodała — żeby żyła. Dla mnie jest siostrą, której nigdy nie miałam. Potrzebuję jej. Niech będzie prawdą, że są w Seattle. Pozwól im rozpocząć nowe życie.

I niech Paul ich nie znajdzie.

Rozdział 15

Zaczekaj, Janice.

Sharon odwróciła się zdumiona, że tak szybko zaczęła reagować na imię Janice. Miała mniej wyrzutów sumienia, niż to sobie wyobrażała. Teraz nawet David nie używał jej prawdziwego imienia. Wyglądało, że o nim zapomniał, bo nikt się do niej tak nie zwracał. Z drugiej jednak strony zawsze dla niego była mamą. Przynajmniej to jedno nie zmieniło się w jego życiu.

Czekała na Signe, która gwałtownym ruchem zdjęła okulary do czytania, kiedy spieszyła z tyłu galerii. Jej długie kręcone włosy poфарbowane na rudawobrazowo kłębiły się wokół twarzy niczym u Meduzy. W długiej luźnej bluzce i obcisłych legginsach wydawała się jeszcze potężniejsza.

— Signe, przepraszam, że muszę wyjść wcześniej. — Sharon włożyła skórkowe rękawiczki, przypuszczając, że w ten szary dzień na zewnątrz jest chłodno. — Nauczycielka powiedziała, że David ma lekką gorączkę. Muszę go zabrać do domu i położyć do łóżka.

— Nie przepraszaj. — Twarz Signe lekko się zmarszczyła w czułym uśmiechu. — W pół dnia zrobiłaś więcej, niż większość ludzi robi w dwa lub trzy dni. — Włożyła okulary do kieszeni bluzki. — Oczywiście, że możesz wyjść. I powiedz temu małemu facetowi, że będzie lepiej, jak już przyjdzie lato i przestanie padać.

— Właśnie na to liczę, że słońce wypali te wszystkie wirusy.

— Nie pomyślałaś, że ma alergię?

— Muszę wspomnieć o tym lekarzowi. — Sharon grzebała w torbie, szukając kluczy do samochodu. — To by wiele wyjaśniało.

— Tutaj, na Północnym Zachodzie są warunki sprzyjające do rozwoju alergii. — Zastanowiła się. — Jeśli jutro będziesz chciała pojechać do lekarza, zadzwoń tylko. Wiem, jak to jest z dziećmi. — Signe roześmiała się. — Choć kocham swoje dwie córki, to odetchnęłam z ułgą, kiedy dorosły i wyjechały na studia. Teraz obie mają mężów, dzieci, robią kariery zawodowe, więc mogę się martwić na odległość. — Wyprostowała jeden z obrazów wiszących na ścianie. — Tak jest lepiej dla moich starganych nerwów.

— Signe, to miło z twojej strony, że się o mnie troszczysz, ale nie sądzę, żeby David miał coś poważnego. Tak długo był trzymany pod kloszem, że teraz łapie każdą chorobę.

— Jak to? Nie miał kolegów?

Sharon spojrzała w bok, poczuła, że znalazła się na grząskim gruncie. — Jego ojciec był nadopiekuńczy. To wszystko.

— A gdzie jest teraz jego ojciec?

— Wciąż w Kalifornii.

Kretyнка, pomyślała o sobie Sharon. Myśl o mężu już się oddaliła, Sharon czuła się jak rozwódka, a teraz znów zdarzenia stanęły z całą ostrością. Powinna być ostrożna. Signe jest przenikliwą osobą i Sharon nie chciała, żeby stała się podejrzliwa.

— Ojciec Davida nie pozwolił mu być małym chłopcem, zabronił mu bawić się innymi dziećmi. Tak samo mnie nie spuszczał z oka. — Przerwała, ich wzrok się spotkał. — Do końca taki był, aż rozstaliśmy się na dobre.

Nie kłamię, uznała Sharon. Taka jest prawda. Paul kontrolował ich życie... aż go opuściła.

— Jakie to okropne, ale na szczęście rozstałaś się z nim.

— Na szczęście — zgodziła się Sharon. Chwyciła za gałkę u drzwi. — Lepiej już pójde. — Znów się zawahała. — Signe, dziękuję, że mnie rozumiesz.

— Janice, ja bardzo się cieszę, że cię zatrudniłam. Twój artystyczny talent dużo dał galerii. A poza tym pracujesz tak ciężko. Nigdy wcześniej nie urządzałam tak dużych wystaw, a moje rachunki i księgi podatkowe nie były w takim porządku. Dzięki tobie mogę też coś znaleźć w piwnicy!

— Dziękuję, Signe — powtórzyła Sharon. — Choć moi rodzice byli artystami, to jednak nauczyli mnie porządku. — Zapięła żakiet. — Zanim nie wybrałam kariery jako wolny strzelec, pracowałam w reklamie.

To mnie nauczyło dyscypliny. — Uśmiechnęła się. Znów mogła powiedzieć prawdę. — Ale nie zapominam, że to ty jesteś tutaj artystyczna duszą. Ta galeria jest wyjątkowa dzięki tobie.

— Idź już. — Signe szturchnęła ją w ramię, ale Sharon widziała, że jest zadowolona z komplementu, bo był uzasadniony. — Chłopak czeka na mamę.

Sharon skinęła. — Zadzwoń rano, jak mu się nie polepszy.

— Ale nie zapomnij, o co cię prosiłam... — Signe przytrzymała drzwi, zatrzymując Sharon.

— O czym mówisz?

— Chcę, żebyś w sobotę wieczorem pojechała na pokaz sztuki na wyspę Bainbridge. Zastąpisz mnie tam. — Zawahała się. — Jeśli oczywiście David będzie zdrowy. Zwrócę ci pieniądze za opiekunkę.

— Bardzo bym chciała. — Pytająco przechyliła głowę. — Ale myślałam, że ty zawsze wolisz sama reprezentować galerię... na wypadek gdyby ktoś chciał kupić jakieś obrazy.

— Zwykle tak, ale ufam tobie. — Signe wzruszyła ramionami. — Mam zobowiązania rodzinne. Muszę iść z moimi wnukami na „Piękną i bestię”.

— Pojadę, chyba że David mocno się rozchoruje.

— Świetnie. — Otworzyła drzwi Sharon. — Jutro omówimy plan.

Sharon skinęła głową i wyszła na ulicę. Kilka przecnic dalej odbywała się ogromna wyprzedaż i Pierwsza Aleja była zatłoczona pieszymi i samochodami. Przypomniawszy sobie poranne zdarzenie, unikała zakamarków. Wsiadła do samochodu i pojechała przez centrum w kierunku Wzgórza Królowej Anny. Nagle zaczęła się spieszyć. Signe miała rację. David potrzebował obecności mamy.

Zabłądzili.

Sharon wolno jechała pod stromą górę, szukała miejsca, by zakręcić. David siedział spokojnie, ale jego oczy mówiły, że jest przestraszony. Próbowwała nie wpadać w panikę, lecz z trudem kontrolowała swoje przerażenie.

Potem zobaczyła podjazd. Prowadził od wąskiej szosy wijącej się przy krawędzi urwiska. Wjechała tam, a potem zaczęła cofać samochód. Wiedziała, że musi odpowiednio szybko zahamować, by zawrócić. Nacięła pedał hamulca.

Nie było hamulca.

Szukała go rozpaczliwie, kręcąc kierownicą. Była świadoma, że tył samochodu zbliża się do krawędzi przepaści.

— Mamo! Mamo! — David wychylił się do przodu na swoim siedzeniu. — Spadniemy do morza!

— Wyskakuj! — wrzasnęła Sharon, widząc, że nie ma sposobu, by zatrzymać samochód.

— Nie mogę. Mam zapięty pas.

Zacisnęła ją w żołądku, a serce waliło jak młotem. Całe ciało pokrył pot. Tylne koła zsunęły się pierwsze, a potem cały samochód, uderzając w występy skalne, stoczył się w przepaść.

Nie! Nie! Zamarła z przerażenia. Za chwilę zginą, jej syn odejdzie na zawsze.

Zerwała się w łóżku. Serce biło tak szybko, że groziło zawałem. W domu panowała cisza, ale wciąż mogła słyszeć okropny odgłos metalu uderzającego w skały.

Zsunęła się na brzeg łóżka i włożyła głowę między kolana. Głęboko oddychała. Stopniowo jej oddech się uspokoił. Zaczęła się trząść i zauważyła, że koszula nocna przykleiła się do mokrej od potu skóry. Wciąż drżąc, wstała, ściągnęła koszulę i odrzuciła ją na bok. Potem z szuflady komody wyjęła inną, flanelową i włożyła ją przez głowę.

Hałas, który nagle się rozległ, był nieokreślony. Przestała zapinać guziki na szyi. Znowu usłyszała słaby odgłos, jakby *coś* drapało w drzwi od kuchni.

Znowu zaczęła się trząść. Nic się nie dzieje, wmawiała sobie. To wiatr porusza siatki przeciw owadom na drzwiach. Idź, głupia, do łóżka. To tylko przywidzenia nocne.

Jednak wciąż nie mogła stłumić lęku. Podeszła do okna i spojrzała na małe podwórce. Światła z sąsiednich domów sączyły się przez gałęzie wiecznie zielonych, wysokich krzewów otaczających podwórce. Jednak nie paliło się światło na werandzie z tyłu domu.

Boso wyszła na korytarz i zajrzała do pokoju Davida. Uspokoiła się, zobaczywszy, że smacznie śpi, a potem zeszła na dół wąskimi schodami. Dom był nieduży: dwie sypialnie i łazienka na górze, jadalnia, salon i kuchnia na dole.

Na parterze, poruszając się po cichu, sprawdziła, czy nic się nie dzieje w dwóch małych pokojach, zanim poszła do kuchni. Zasłony na oknie w drzwiach zewnętrznych były zasunięte tak, jak je zostawiła.

Głęboko odetchnęła, ale stała nieruchomo, wyteżała słuch, zastanawiała się, czy przed chwilą usłyszała kolejny odgłos.

Spokojną noc na zewnątrz zakłócały jedynie lekkie poddmuchy północnego wiatru. W oddali Sharon słyszała syrenę pojazdu pogotowia, który pędził w kierunku centrum. W górze do lotniska znajdującego się w południowej części miasta zbliżał się samolot. W pobliżu zaszczekał pies i po paru sekundach dołączyło do niego kilka innych.

Zwyczajną noc, stwierdziła Sharon. Żałowała, że nie kupiła Davidowi psa, czekałby na obcych. Chłopiec jednak chciał kota, którego nazwał Moppet. Spał teraz na jego łóżku na górze.

Wszystko w porządku, pomyślała, tłumiac dręczący ją niepokój. Wiedziała, że zbyt często wpada w przerażenie. Zmusiła się, by podejść do drzwi i sprawdzić, czy są zamknięte. Bez tego nie mogłaby zasnąć.

Powoli podeszła na palcach i chwyciła gałkę. Były zamknięte. Ostrożnie odsłoniła zasłony na szybie, by wyjrzeć na zewnątrz. Choć żarówka przepaliła się, to jednak dzięki światłu z innych podwórek zobaczyła, że nikt nie wszedł na teren jej posiadłości.

Ostona przeciwko owadom była uchylona. Czyżby ona lub David zapomnieli jej zamknąć? Kiedy na nią patrzyła, podmuch wiatru poruszył siatkę, a drewniana framuga uderzyła o ościeże. Sharon od razu odczuła ulgę. To ten odgłos słyszała na górze. Być może nawet ten hałas był przyczyną jej koszmarnego snu.

Zanim nie straciła odwagi, przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Szybko zabezpieczyła siatkę. Dotknęła jej palcami, cofnęła dłoń, a potem znów dotknęła. Siatka przy haczyku była rozciąta.

Ktoś tutaj był.

Z trzaskiem zamknęła drzwi i przekręciła klucz. Tak szybko uciekała w głąb domu, że aż upadła na kolana. — O Boże! — powtarzała, ciężko oddychając. — Co się stało?

Obawiając się, że ktoś może ją śledzić przez małe okno nad zlewem, wyczołgała się z kuchni na mały korytarz przy schodach. Szybko sprawdziła frontowe drzwi z owalnym oknem, przez które wpadało światło z werandy. Potem podeszła do telefonu przy schodach i podniosła słuchawkę. Sprawdziła, czy jest sygnał. Może powinna zadzwonić na policję?

Powoli odłożyła słuchawkę. Nie ośmieliła się zadzwonić. Co by to było, gdyby odkryli, do czego się posunęła... kim ona naprawdę jest? Aresztowaliby ją za wywiezienie Davida z Kalifornii, za porwanie dziec-

ka. David wróciłby do Paula. Długo siedziała na schodach. Powinna zabezpieczyć drzwi.

Minęło pół godziny. Nie usłyszała już żadnych nieokreślonych dźwięków. W końcu weszła na górę, by zajrzeć do Davida. Niewielka gorączka, którą miał po południu, ustąpiła do wieczora. Może on ma tylko alergię, pomyślała. Może jest uczulony na Moppeta. Jednak było za późno na zastanawianie się. Chłopiec kochał tę małą kulkę białoczarne- czarnego puchu.

Wyszła z jego pokoju i tym razem usiadła na górze schodów. Czekając następne pół godziny, siedząc w mroku, który zdawał się wirować wokół niej. Było tak cicho, że niemal słyszała oddech ciemności i ich dotyk.

Zwariowane myśli. Wstała. Nikogo nie ma na zewnątrz. Do tej pory by już coś usłyszała, bo ewentualny napastnik na pewno byłby przekonany, że cały dom śpi. Nie włączała przecież świateł, zachowywała się po cichu, jedynie otwierała drzwi i zamykała na haczyk osłonę.

Może siatka była już wcześniej rozcięta, ale nie zauważyła tego. Być może zapomnieli zamknąć osłony. Przypomniła sobie teraz, że David jako ostatni był przy drzwiach.

Drżąc, wróciła do łóżka, ale wiedziała, że nie zaśnie. Przynajmniej będzie mi ciepło, uznała. Nasłuchiwała odgłosów, które wydawał stary, prawie stuletni dom.

Leżąc, patrzyła na przesuwające się cienie drzew na suficie. Wyobrażała sobie twarze i przedmioty, tak jak to robiła, gdy była dzieckiem i nie mogła zasnąć. „Kochanie, myśl o przyjemnych rzeczach” — zawsze wtedy troskliwie instruowała ją mama.

Ale przyjemne myśli odpłynęły w mrok nocy i zaczął powracać przerażający sen. Co on oznaczał? Że straciła kontrolę nad swoim życiem, jak nad tym samochodem... że to wszystko zakończy się katastrofą?

Obracała się z boku na bok, próbowała uwolnić się od lęków. W końcu przed samym świtem zasnęła.

Rozdział 16

Następnego ranka rozcięcie w siatce na drzwiach nie wydawało się tak złowieszcze. Przy dziennym świetle Sharon nie była w stanie stwierdzić, czy jest stare, czy może zostało zrobione niedawno. Odwróciła się, kiedy David wszedł do kuchni. Bawił się kotkiem i Smarkusiem, ocierał zaspane oczy.

— Może pamiętasz, czy siatka na drzwiach była rozcięta? — spytała, całując go w policzek.

Pokręcił głową. — Ja tego nie zrobiłem. Może tak już było. — David nagle zachichotał. — Na pewno jakiś chłopiec, co mieszkał tutaj, nie mógł wejść do domu i ją rozerwał.

Uśmiechnęła się. — Chyba masz rację i wiem, że ty tego nie zrobiłeś. — Zamknęła drzwi z tyłu domu, żeby nie patrzeć na zniszczoną osłonę. — Jak się czujesz? Czy Moppet i Smarkus dobrze spali? — Wspomniała o misiu, bo czasami David przelewał na niego swoje lęki — bał się zostawić go w domu.

— Dobrze się czuję. — Położył kota na podłodze i podbiegł do stołu. Misia posadził na krześle obok siebie, a potem spojrzał na Sharon. — Smarkus tak samo. Mamo, mogę iść do szkoły? Proszę. Dziś idziemy do parku i będziemy się bawić na huśtawkach.

Głos Davida wypełnił kuchnię, gdy Sharon znów podeszła do kuchenki, by usmażyć jajecznicę, ulubione śniadanie Davida. Uważnie przyglądała się jego okrągłej twarzy. Tak poważnej, gdy próbował przekonać ją, że wczorajsza gorączka to nic strasznego. Nie wyglądała na zupełnie zdrowego.

Nie mogła się zdecydować, czy powinna iść z nim do szkoły, czy do lekarza. Znalezienie odpowiedniego pediatry dla Davida było jej najważniejszym zadaniem, kiedy przeprowadzili się do nowego domu. Od pierwszego spotkania polubiła zażywnego doktora Goularta. Był miłym rzeczowym człowiekiem, który zdobył serce Davida rozmowami o sporcie i o podróżach promami. Doktor Goulart jako pierwszy zasugerował, że powinni popłynąć na Wyspy Świętego Jana.

— Zobaczmy — odparła wciąż niezdecydowana Sharon. — Najpierw zjedz śniadanie.

Nałożyła dymiącą jajecznicę do dwóch talerzy, a potem posmarowała chleb masłem. Davidowi dała też dżem truskawkowy. Kiedy na-

łała soku pomarańczowego, usiedli do śniadania. David papłał o Petem, swoim koledze z sąsiedztwa. W rekordowym czasie opróżnił talerz.

— Popatrz, jestem już zdrowy. Proszę. Mogę iść do szkoły? Mamo, proszę — błagał.

— Dobrze, pójdziesz. — Wstała, by sprzątnąć ze stołu.

— Super! — Zeskoczył z krzesła i podbiegł do schodów. — Zaraz będę gotowy.

Sharon zaniósła brudne naczynia do zlewu. Masz rację, że go nie rozpieszczasz, pomyślała. Lepiej, jak pójdzie do szkoły, niż miałyby wałęsać się po domu, myśląc, że jest chory. Stąd wynikały wcześniejsze problemy — za bardzo był izolowany od otoczenia.

— A w sobotę mogę zostać z Petem na całą noc? — Zatrzymał się nagle w drzwiach.

— Zobaczmy. — Uśmiechnęła się. Typowe dziecko, wykorzystuje swoją szansę. Jego przemiana z potulnego, bojaźliwego chłopca, którym był w San Francisco, nie przestawała jej zadziwiać. Była jak przepoczwarzenie się gąsienicy w kochającego swobodę motyla.

Zapędziła go do łazienki, żeby umył zęby. Skończyła wkładać naczynia do zmywarki, a potem poszła do swojego pokoju, by się ubrać. Spieszyła się, bo jeżeli nie wyjdą za piętnaście minut, oboje się spóźnią.

Pete i jego rodzina to dar niebios, pomyślała, wkładając czerwoną spódnice w kratę i jedwabną bluzkę. Kiedy szczotkowała włosy i robiła makijaż, zdała sobie sprawę, jak bardzo podniosło ją na duchu, gdy zobaczyła, że David jest tak podekscytowany perspektywą spędzenia po raz pierwszy nocy w domu kolegi. Niemal tak samo jak on chciała tego. Poza tym byłoby to jej na rękę — w sobotę wieczorem galeria urządza na wyspie Bainbridge wystawę obrazów Adama Creswella i David nie może z nią tam jechać. Starszą siostrę Pete'a, Pam, Sharon zatrudniła jako opiekunkę do dziecka, a ich rodzice, Bob i Midge Logan, byli szefami organizacji społecznej, która pomagała pilnować porządku w okolicy.

Idąc do samochodu, pomyślała, że tak zawsze sobie wyobrażała życie w małżeństwie — z „normalnymi” sąsiadami wokół. Dawało to jej poczucie bezpieczeństwa i zadomowienia. Nigdy się tak nie czuła, kiedy mieszkała z Paulem.

— Cześć, David!

Sharon i David odwrócili się. Na werandzie z przodu domu stał Pete. Pomachał ręką, a potem zbiegł po schodach na chodnik.

— Czy wczoraj wieczorem znalazł was ten pan? — spytał.

— Jaki pan? — David uśmiechnął się do swojego kolegi. — Mogę zostać u ciebie na noc w sobotę — oznajmił, zapominając o pytaniu.

— Jaki pan? — powtórzyła Sharon. Jej ręka znieruchomiała na klamce u drzwi samochodu.

Pete spojrział teraz niebieskimi oczami na Sharon. — Pan w takiej bejsbolówce jak moja — odparł, poprawiając swoją czapkę na rudych gęstych włosach. — Powiedział, że od dawna jest pani znajomym.

— Jak się nazywał? — Jej głos drżał. Nie miała w Seattle znajomych, którzy by znali ją od dawna. Chyba że... Nie. To niemożliwe. Nikt nie wiedział, gdzie jest; starannie zatarła wszystkie ślady. Pete'owi musiało się coś pomylić. Przecież to tylko pięcioletnie dziecko, takie jak David.

— Chyba nie pamiętam — odrzekł Pete. Zmarszczył w zamyśleniu piegowatą twarz. — Może nie powiedział.

— Jak wyglądał? — Starła się mówić normalnie. — Był wysoki czy niski? Miał ciemne czy jasne włosy? Ile miał lat?

Pete uniósł ramiona. Wydawał się zmieszany jej pytaniami. — Robiło się ciemno i musiałem szybko postawić rower w garażu. — Przerwał, zastanawiając się. — Był wysoki jak dorosły. Nie pamiętam, jakie miał włosy, ale był stary jak pani i moja mama.

— Przyniosę nowe gry komputerowe — zaszczębiotał David, nieświadomy, że jego mama nagle się wystraszyła. — Jak zostanę u ciebie — dodał.

— Ja też mam gry — rzekł Pete. Znowu skierował swoją uwagę na kolegę. — A mama zrobi nam prażoną kukurydzę!

Sharon omiotła wzrokiem domy stojące w rzędach po obu stronach ulicy. Większość ludzi w nich mieszkających pracowała, więc w ciągu dnia prawie nikogo tu nie było. Jedynie Midge Logan zajmowała się wyłącznie domem. Westchnęła, nagle zdała sobie sprawę, że zanosi się na kolejny pochmurny dzień. Być może będzie padało. Podwórka ukryte za drzewami i krzewami były ciemne i mroczne...

Miała ochotę chwycić Davida i szybko wrócić do domu. Zamknąć drzwi na klucz i pilnować, czy nikt nie znalazł się w pobliżu. Jednak nie straciła panowania nad sobą, stłumiła niepokój. To musiała być pomyłka. Ten nieznamy mężczyzna wziął ją za kogoś innego.

— Co jeszcze powiedział ten pan? — Nie mogła się powstrzymać od zadania kolejnego pytania.

— Nic więcej, tylko był ciekawy, jak długo tutaj mieszkacie. Powiedziałem, że od przyjazdu z San Francisco.

Sharon ciężko oparła się o samochód. Skąd Pete to wie? Od Davida. Spojrzała na niego, ale on był nieświadomy, że zrobił coś złego; rozmawiał znowu o sobotnim wieczorze.

To nie jego wina, napomniała się. To tylko małe dziecko. Nie mogła się spodziewać, że będzie pamiętał, co może, a czego nie powinien mówić. Nie była jednak w stanie się powstrzymać od zadania sobie pytania: komu jeszcze David mógł opowiadać o ich przeszłym życiu. Nauczycielce, innym dzieciom?

Przestań martwić się bez potrzeby, nakazała sobie, gdy wsiedli do samochodu. Informacja Pete'a nie oznacza nic poważnego, powtarzała całą drogę, jadąc z Davidem do szkoły. Nikogo w Seattle nie obchodzi ich przeszłość. To, co David może powiedzieć, nie ma znaczenia. W dzisiejszych czasach z różnych powodów jest wiele niepełnych rodzin. Zdecydowała, że nie będzie już zajmowała się tym mężczyzną i niepokoiła syna.

Jednak wiadomość przekazana przez Pete'a przyszała się niczym pijawka, zakłóciła spokój jej ducha. Ten obcy mężczyzna nie zadawał wcale niewinnych pytań. Czyżby chciał się czegoś o nich dowiedzieć? W jakim celu? A co z osłoną na drzwiach? Czy ktoś rzeczywiście był w nocy w ogródku?

Mężczyzna, który wypytywał Pete'a?

David jest zdrowy — poinformowała Signe po przyjeździe do galerii. — Ma plan, że zostanie w sobotę na noc w domu Pete'a, kolegi z sąsiedztwa. — Sharon oderwała wzrok od zapisków, które robiła w księdze głównej. — Mogę więc jechać na wystawę na Bainbridge.

— Wspaniale. — Signe oderwała się od komputera. — Córka bała się, że nie będzie mogła wziąć dziewczynki do kina. — Uśmiechnęła się i uniosła okulary na włosy. Dzięki temu nawykowi jej rozwichrzona włosy nie opadały na oczy. — Oczywiście wolałabym zrezygnować z wystawy, niż zawieść moje wnuczki. Będę mogła też opowiedzieć im coś o sztuce. Ich rodzice nie mają na to czasu, zajęci są wożeniem ich do szkoły, na dodatkowe zajęcia, na zawody sportowe, do kościoła.

— Na szczęście mają taką babcie! Szkoda, że moja matka już nie żyje... David na pewno by ją polubił.

— Przepraszam, Janice, zapomniałam, że twoi rodzice już odeszli. Nie pomyślałam i zaczęłam się przechwalać swoimi wnukami.

— Ależ przestań. — Sharon zamknęła księgę i odłożyła ją. — Chciałam tylko powiedzieć ci komplement, a nie szukać współczucia. — Signe spojrzała na nią. — A twoja uwaga przypomniła mi, że moja matka... I ojciec... byłiby tacy sami w stosunku do Davida.

Już chciała się odwrócić, ale zatrzymało ją pytanie Signe:

— Janice, twoi rodzice byli artystami?

Przez chwilę Sharon milczała. Próbowwała sobie przypomnieć, czy rodzice Janice byli malarzami. — Tak, bawili się w malowanie, po amatorsku — odparła, uchylając się od wyraźnej odpowiedzi.

Mamo i tato, wybaczenie, powiedziała w myślach, przypominając sobie, jak gorąco oddani byli swojej sztuce. Sharon nagle zdała sobie sprawę, jak łatwo jest się wygadać... tak jak David, który powiedział, że mieszkali w San Francisco.

— Więc nie byli zawodowymi artystami?

— Nie. — Sharon zajęła się porządkowaniem rzeczy na biurku, obawiała się, że Signe może dostrzec kłamstwo w wyrazie jej twarzy. — Ale chodzili na wiele wystaw i zabierali mnie ze sobą.

— Gdzie?

— No, tutaj, w Kalifornii, wszędzie, gdzie zdarzyło się nam być.

Dzwonek telefonu stojącego na biurku był wybawieniem. Sharon chwyciła słuchawkę. — Galeria Zielony Klejnot.

Przez chwilę w słuchawce było cicho. — A z kim rozmawiam? — Męski głos był odległy, stłumiony, jakby linia została uszkodzona.

— Z Janice Young. W czym mogę pomóc?

Kolejna przerwa. Sharon spojrzała na Signe i pytająco uniosła brwi. Czekwała.

— Kiedy macie otwarte?

Sharon odpowiedziała.

— A kiedy będzie następna wystawa?

— Nie mamy jeszcze sprecyzowanych planów, ale teraz wystawiamy wiele wybitnych dzieł. Zapraszamy, proszę przyjść i obejrzeć.

Zapadła cisza, a potem mężczyzna bez słowa przerwał rozmowę.

Sharon powoli odłożyła słuchawkę. — To jakiś dziwny telefon.

— Dlaczego?

— Nie wiem... ale ten facet mówił jakoś inaczej. — Roześmiała się.

— Jakby zmienił głos.

— Tutaj możesz spotkać różnych dziwaków. — Signe machnęła ręką. — Większość z nich kręci się w okolicach placu Pioniera. Nie zwracaj na to uwagi.

Sharon przytaknęła. To prawda, że dzielnica artystyczna w starej części Seattle jest domem dla włóczęgów ulicznych, artystów amatorów i profesjonalistów, dla ludzi kupujących dzieła sztuki. Jest niemal tak różnorodna jak Haight w San Francisco.

i Na tę myśl przypomniała sobie Lexi. Jej oczy napełniły się łzami, zaczęła ją szczytać w gardle. Przełknęła ślinę. Bardzo jej brakowało Lexi. Miała nadzieję, że jej najlepsza przyjaciółka jest zdrowa i bezpieczna. Z pewnością Paul zapomniał o Lexi, kiedy uwierzył, że ona i David nie żyją. Na Boga, miała taką nadzieję! Ileż to razy podnosiła słuchawkę, chcąc się dowiedzieć, czy Lexi ma się dobrze, ale odkładała ją. Nie mogła narażać przyjaciółki na zagrożenie ze strony Paula.

Signe ruszyła w stronę drzwi, by pójść do pomieszczeń wystawowych. — Janice, jak będziesz miała chwilę czasu, to idź do biura Freda. Powinien już przygotować moje dokumenty.

— Oczywiście, pójdę zaraz. — Odetchnęła z ulgą, bo chwilę słabości miała już za sobą. Wiedziała, że Signe czeka, by jej prawnik skończył pisanie umowy na sprzedaż domu.

Kilka minut później Sharon wewnętrznymi drzwiami wyszła na ogromną jasną klatkę schodową, która zajmowała centralną część czteropiętrowego budynku. Galeria zajmowała część parteru i miała też wyjście na Pierwszą Aleję, ale w budynku poza tym znajdowały się biura prawne, agencja reklamowa oraz inne biura. Do nich wchodziło się tylko głównym wejściem.

Kiedy szła po marmurowej podłodze, jej wzrok przyciągnął szklany dach, o który rytmicznie uderzały krople deszczu. Ozdobny budynek z cegły — wybudowany po wielkim pożarze w Seattle w 1889 roku — był atrakcją turystyczną, która to przetrwała trzęsienia ziemi i kaprysy pogody przez ponad sto lat.

Sharon zaważała się, zastanawiała się, czy jak zwykle pójść do góry schodami. Dzień wcześniej przesadziła z ćwiczeniami rozciągającymi i bolały ją łydki. Poszła więc do windy, urządzenia, które zostało zainstalowane na początku XX wieku.

Winda była tylko piętro nad nią, gdy wciskała przycisk. Sharon uśmiechnęła się i pokręciła głową. Mogłaby wejść na czwarte piętro, wrócić i pewnie jeszcze by czekała. Kiedy metalowa klatka zjeżdżała

wśród szczęków i zgrzytów, Sharon zobaczyła najpierw nogi pasażerów, zanim ukazali się w całej okazałości. Winda zatrzymała się i kilka sekund zajęło otwarcie drzwi. Wszyscy wysiedli i Sharon weszła do środka. Wcisnęła czwarte piętro. Znowu czekała.

Winda jest zupełnie bezpieczna, wmawiała sobie Sharon, kiedy urządzenie ruszyło z szarpnięciem. Musiała się przytrzymać za mosiężną poręcz.

Winda powoli jechała do góry, a Sharon obserwowała ruch na dole: turystów podziwiających zaskakującą elegancję stuletniego budynku, urzędników spieszących na spotkania, mężczyznę opierającego się o ścianę, z twarzą ukrytą za gazetą, którą czytał.

Postanowiła, że przywiezie tu kiedyś Davida. Na pewno spodoba mu się to staroświeckie urządzenie. Jazda nim to zupełnie co innego niż korzystanie z nowoczesnych wind, które w ciemnych szybach w ciągu kilku sekund pokonują wiele pięter. Im Sharon wyżej wjeżdżała, tym więcej widziała przez ściany klatki.

Niespodziewanie poczuła się bezbronna. Widziała wszystkich pod sobą, ale oni mogli widzieć ją. Była wystawiona na widok.

To śmieszne, pomyślała, ale wrażenie nie chciało zniknąć. Kiedy w końcu dojechała do czwartego piętra i otworzyły się drzwi, rzuciła się w stronę bezpiecznych ścian. Po wejściu do biura Freda mocno zamknęła drzwi za sobą. Ciężko oddychając, zastanawiała się, czy nie wpadła w panikę.

— Cześć, Janice. — Młoda asystentka Freda wstała zza biurka i podała umowę dla Signe. — Signe dzwoniła i powiedziała, że zaraz będziesz. Musi podpisać na zaznaczonych stronach. — Uśmiechnęła się. — Potem Fred wpisze to do akt.

— Dzięki — wykrztusiła Sharon. — Chyba w ciągu godziny się uwinie.

Sharon wyszła z biura i skierowała się do windy. Orzekła w duchu, że stan jej umysłu nie wpłynie na efektywność pracy. Winda wciąż znajdowała się na czwartym piętrze. Weszła do środka i wcisnęła guzik. Znowu szarpnęło windą, kiedy ruszyła w dół.

Sharon oparła się o ścianę naprzeciw drzwi, jedyną, przez którą było nic widać. Sama dojechała do parteru. Trwało to wieczność, zanim drzwi się otworzyły. Szybko wyszła na zewnątrz, na marmurową podłogę. Nagle poczuła się głupio ze względu na stan swoich nerwów, ale była zadowolona, że stawiła czoła swoim lękom... nie, raczej paranoi.

Ledwo zdążyła sformułować swoje myśli, kiedy usłyszała dziwny odgłos, jakby z ogromnej opony pod dużym ciśnieniem uchodziło powietrze. Szybko się obróciła. Drzwi były szeroko otwarte. W tej samej chwili, gdy zdała sobie sprawę, że winda spadła, rozległ się ogłuszający zgrzyt miazdzonego metalu.

Winda rozbiła się w piwnicy. Sharon chwiejnym krokiem podszła do marmurowej kolumny i upadła obok niej. W samą porę wysiadła z windy.

Rozdział 17

Przez chwilę panowała absolutna cisza. Potem jakaś kobieta zaczęła krzyczeć. Z otwierających się drzwi wybiegali ludzie na jasno oświetloną klatkę schodową. Ich krzyki mieszały się w nieokreślony wrzask. Sharon leżała skulona przy ścianie, była oszołomiona.

Mogła zginąć.

Gdyby trochę zwlekała, spadłaby z windą do piwnicy. Tłumiąc krzyk, Sharon zacisnęła dłoń na ustach. David zostałby sierotą, samotny w życiu, które mu dała.

Nie myśl o tym, nakazała sobie. Nie zginęłaś. Jesteś bezpieczna.

— Janice?! Co się stało? — Signe zjawiła się obok niej i wzięła dokumenty, które Sharon przyciskała do piersi. — Co za straszny hałas. Cały budynek się zatrzęsł. — Przerwała, patrzyła na otwór, w którym powinna być winda. — Cholera, nigdy nie miałam zaufania do tej rozklekotanej klatki... I miałam rację.

Sharon odgarnęła włosy z oczu. Cała się trzęsła w środku. — Nie wiem, co się stało. Byłam tam sama... — Odchrząknęła i znów zaczęła mówić. — Wysłałam z windy, a ta spadła za mną.

— Obluźniły się liny i winda spadła do piwnicy — powiedział jakiś mężczyzna.

— Ktoś jest ranny? — zapytał inny mężczyzna, który wybiegł ze swojego biura.

— Winda była pusta — poinformowała go Signe.

Z ulicy dobiegł odgłos syreny. Ktoś wezwał policję. Miejsce zdarzenia szybko odgradzono taśmą, ludzie wrócili do pracy, a policja wstępnie ustaliła, że winda się zsunęła — dziwny przypadek.

— Co za straszna rzecz — rzekła Signe, obejmując Sharon ramieniem, by ją zaprowadzić z powrotem do galerii. — Zawsze uważałam, że ta brzęcząca puszka tylko czeka na wypadek. Nie ma znaczenia, że zabytkowa. Powinni zainstalować coś bezpiecznego. — Mocniej objęła Sharon. — Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

Signe posadziła Sharon na krześle, a potem nalała jej kawy z termosu. Sięgnęła do szafki i wydobyła z niej butelkę whisky. Wlała trochę alkoholu do filiżanki i podała tę miksturę Sharon.

— Trzymam alkohol w celach leczniczych — rzekła z uśmiechem. — To cię uspokoi.

Stopniowo ustąpiło mrowienie, które żyłami rozchodziło się po całym ciele, i choć Signe nalegała, że powinna iść do domu, aby wypocząć, Sharon wróciła do pracy. Zadzwoiła tylko do szkoły Davida. Chciała usłyszeć jego głos, upewnić się, że jest bezpieczny.

Telefon odebrała jego nauczycielka, a potem przekazała chłopcu słuchawkę.

— Cześć, mamó — przez telefon dotarł jego śpiewny głos. — Po co dzwonisz?

Sharon uśmiechnęła się. Mogła go sobie wyobrazić, jak odgrywa dorosłego przed kolegami. — Chciałam wiedzieć, czy masz ochotę na rybę i frytki dziś na kolację — powiedziała, wiedząc, że lubi to danie tak bardzo jak hamburgery. — Jeśli tak, to zanim po ciebie przyjadę, wstąpię do sklepu.

— Tak!

— Więc dobrze. — Przerwała, z wyjątkową niechęcią rozstawiała się z nim. — Będzie ryba i frytki.

— No to cześć, mamó — odezwał się, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. — Muszę iść, koledzy czekają na mnie.

— Pewnie, że musisz.

— Kocham cię, mamó. Do zobaczenia.

— Ja też cię kocham. — Chciała powiedzieć „bądź ostrożny”, ale zamiast tego powiedziała „pa”.

Usłyszała pisk i odłożyła słuchawkę.

Minutę później Signe wsunęła głowę do pokoju. — Janice, ktoś chce z tobą porozmawiać.

Sharon wstała, kiedy w drzwiach pojawił się mężczyzna w brudnym kombinezonie. Signe przedstawiła go.

— Pan Johnston, zarządca budynku.

— Pani Young, chciałem się upewnić, czy nic się pani nie stało. — Zamilkł na chwilę. — Przepraszam za mój wygląd, ale byłem na dole w szybie windy. — W rękę trzymał czapkę w paski, którą uderzał o nogę, kiedy mówił.

— Teraz już wszystko w porządku, ale kilka minut temu myślałam, że dostanę zawału serca. — Parsknęła śmiechem.

— No tak, musiało to być straszne, zdarzyło się tak blisko.

Skinęła głową.

Wszedł w głąb pokoju i położył jakiś dokument na biurku. — Ponieważ nic się pani nie stało, a to jest najważniejsze — dodał szybko — będziemy wdzięczni, jeśli podpisze pani dokument o braku roszczeń.

— Co? — Signe chwyciła formularz i przyjrzała się mu. — W dzisiejszych czasach już nie ma mowy o zaufaniu — stwierdziła. — Każdy się boi oskarżenia przed sądem.

Zarządca przestępował z nogi na nogę. — To tylko takie standardowe postępowanie. — Zawahał się. — Część mojej pracy.

— W porządku — rzekła Sharon. — Mam szczęście, że mogę to podpisać. Nic mi się nie stało, choć nie wiem, czy jeszcze kiedyś wsiądę do tej windy.

— To uraz psychiczny — wtrąciła Signe. — Czy naprawdę nie można poczekać kilku dni, żeby podpisać ten cholerny papier?

— Dzięki za troskę, ale naprawdę czuję się dobrze. — Wzięła formularz od Signe i podpisała go. Przede wszystkim nie chciała, by zwracano na nią uwagę i badano życie Janice Young.

Zarządca odebrał dokument, spojrział na niego, a potem podziękował. Wcisnął czapkę na przerzedzone włosy i odwrócił się. Signe i Sharon spoglądały na siebie.

— No cóż. — Signe pokręciła głową. — Chyba najlepiej będzie, jak wrócimy do pracy.

— Jak mówią, na zapomnienie najlepsza jest ciężka praca.

Signe zatrzymała się w drzwiach. — Kto tak mówi?

- J a .

Minęło kilka sekund, zanim Signe zrozumiała. Wybuchnęła śmiechem. Sharon dołączyła do niej. Śmiech rozbił napięcie, które je otaczało. Ale kilka minut później Sharon nie mogła się otrząsnąć z przerażenia, przylegało do niej niczym strój gimnastyczny ze spandeksu. Jadąc windą, odnosiła dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje... *że coś ma się wydarzyć.*

Czyżbym popadała w chorobę psychiczną... zaczynała odbierać informacje z innych wymiarów? Może powinnam wywiesić tabliczkę: **ODCZYTUJĘ PRZEZNACZENIE.**

Bzdury. Weź się w garść, nakazała sobie. Jednak coś się nie zgadzało. Intuicja podpowiadała jej, że ktoś ją zaatakował. Musiała odkryć kto... I dlaczego.

Wjechała na prom płynący na wyspę Bainbridge w sobotę wieczorem. Czowała się znacznie lepiej. David został z Petem na noc, czuła się bezpieczna, zostawiając go w domu Loganów. Ponieważ rozpętała się burza, Sharon postanowiła zostać w samochodzie, nie wychodzić na pokład i nie ryzykować, że słona woda zmoczy jej włosy i ubranie.

Kiedy dopłynęli do wyspy, zjechała z promu za innymi samochodami, a potem skierowała się do miasteczka Winslow. Galeria sztuki znajdowała się na samym końcu głównej ulicy i szczęśliwie przed nią znalazła miejsce do zaparkowania.

— Udało się pani — usłyszała męski głos wołający z chodnika za nią.

Rożpoznała Taylora Sampsona, zanim jeszcze odwróciła się i zobaczyła, jak uśmiecha się do niej. Wiatr rozwiewał mu brodę, ramiona jego jasnobrażowego płaszcza były mokre od deszczu. — Ja nie miałem tyle szczęścia — rzekł. — Musiałem zaparkować dwie przecznice dalej.

— Dzień dobry, panie Sampson. — Powinna wiedzieć, że będzie na wystawie; zauważyła jego badawcze spojrzenie. Zamknęła samochód, wrzuciła kluczyki do kieszeni płaszcza i pobiegła pod markizę galerii. Podmuch wiatru zwał jej włosy na twarz i osmagał kroplami deszczu. — Dziękuję za takie szczęście. Zapomniałam wziąć parasola.

Stanął między nią a drzwiami. Zatrzymał się, czekała, aż odsunie się na bok. Zamiast tego strzepał krople deszczu z jej płaszcza. Ten gest był tak niespodziewany, że cofnęła się, wyszła na deszcz. Natychmiast chwycił ją za ramię i wciągnął pod markizę.

— Zapomniała pani, że pada?

Z trudem skinęła głową.

— Może byśmy weszli do środka?

— Świetny pomysł. — Uśmiechnęła się sztywno.

— Hej, Taylor! — Inny mężczyzna, częściowo schowany pod parasolem, podszedł do nich. — Dobrze pomyślałem, że może tu będziesz. Czy ty w ogóle opuszczasz jakieś wystawy?

— Taki już jestem. — Taylor, robiąc miejsce, odsunął się na bok. Dwaj mężczyźni, prawie takiego samego wzrostu, wypełnili przestrzeń pod markizą. — Adam, przedstawiam ci Janice Young. Pracuje u Signe Sigafos. — Jego głos brzmiał jak u dziennikarza z gazety przeprowadzającego wywiad; kontrastował z szybką wymową przybysza. — Janice, przedstawiam pani Adama Creswella.

— Janice Young? Kiedyś znałem kogoś o takim nazwisku. — Adam pokręcił głową i uśmiechnął się. — Do diabła, wygląda pani tak samo jak ona!

— Już rozumiem — rzekła Sharon, nie spoglądając na Taylora. — To po prostu dziwny zbieg okoliczności.

— Pewnie tak. Osoba, którą znałem, nie żyje od wielu lat.

— Bardzo mi przykro.

— Z pewnością pani wie, że to Adam jest tym artystą, którego prace są wystawiane dziś wieczorem — zwrócił się Taylor do Sharon, zmieniając temat.

— Artystą walczącym o uznanie — poprawiał go Adam. Zamknął parasol, nie zwracając uwagi, że krople deszczu z niego spadają mu na buty.

Czy ja się z nim kiedyś wcześniej nie spotkałam? — zastanawiała się Sharon. Jego wygląd i nazwisko wydawały się znajome.

— Chyba wszyscy artyści mogą tak o sobie powiedzieć — rzekła, czując się niezręcznie. Obaj mężczyźni w dalszym ciągu stali między nią a drzwiami do galerii. — Miłość i nienawiść często idą w parze.

Adam uniósł brwi i spojrzał pewnym wzrokiem. — Janice, jest pani artystką?

— Nie. — Spojrzała na Taylora, który śledził z obojętnością tę wymianę zdań. — Zastępuję tutaj Signe.

— I będzie pani oceniać moje prace?

— Sądzę, że zna pan panujące zwyczaje. — Urwała, wciąż zaden z mężczyzn nie usunął się na bok, by mogła przejść. — Oczywiście to Signe podejmuje ostateczną decyzję, kogo wystawia w galerii.

— Adam wychylił się bardziej. — Mimo wszystko wygląda pani na artystkę. — Jego szybki sposób mówienia został złagodzony przez ujmującą uśmiech. — Bo ja wcale nie wyglądam na artystę i to jest jeden z powodów, że moje prace nie są znane.

— Pański wygląd chyba nie ma tu znaczenia — stwierdziła Sharon, zastanawiając się, czy on nie żartuje.

— Adam, nie bądź taki tajemniczy. Skąd Janice ma wiedzieć, że wychowywałeś się we Francji i studiowałeś sztukę u najlepszych profesorów w Europie.

— Masz rację, Taylor. Skąd miałyby wiedzieć? — Spojrzał z przepaszającym wyrazem twarzy. — Janice, proszę mi wybaczyć moje dziwne poczucie humoru. Jestem słabo rozumianym artystą, nawet ojciec nie wierzył w mój talent.

Taylor zmrugał oczy. — Adam, tylko nie poruszaj tego starego tematu...

Zapadła cisza. W końcu Taylor otworzył drzwi i weszli do galerii. Ponieważ Sharon musiała mieć wolne ręce, by robić notatki i trzymać kieliszek z szampanem, więc powiesiła torebkę na wieszaku pod płaszczem, w miejscu, gdzie mogła ich pilnować wzrokiem. Zawartość torebki — prawo jazdy, kosmetyki, pieniądze, klucz do galerii — były nieporównywalnie mniej warte niż sama torebka, którą wyszukała w sklepie wysyłkowym. Nie chciała jej stracić.

Po przedstawieniu się właścicielowi, Sharon krążyła, próbując uniknąć dalszych kontaktów z Taylorem. Jednak w ciągu następnej godziny kilkakrotnie zauważyła, że spogląda na nią. Nie patrzył jak mężczyzna na atrakcyjną kobietę, ale jak lekarz badający pacjenta.

Dziwne mam myśli, uznała. Oglądając po kolei obrazy, zapomniała o Taylorze i Adamie, skupiła się na sztuce. Prace nie wywarły na niej wrażenia, stwierdziła, że jest miernym artystą. Potem spostrzegła obraz przedstawiający prom w nocy, jego światła połyskiwały na wodzie. Choć dzieło nie było profesjonalnie wykonane, podobało się Sharon.

— Pływający pałac — rzekła, przypominając sobie, że tak pomyślała, płynąc na Wyspy Świętego Jana. — O rany, ale by się spodobał Davidowi.

— Dlaczego więc pani mu go nie kupi?

Nie musiała nawet się rozglądać. Rozpoznała głos Taylora. — Nie stać mnie.

— Czy David lubi statki?

Zdobyła się na uśmiech. — Płynęliśmy już chyba wszystkimi trasami przez cieśninę Pugeta.

— Może Adam spuści pani z ceny.

— Nigdy o to nie proszę artystów.

— Rozumiem, uczciwość zawodowa. Lubię to. — Spojrzał jej w oczy. — Kiedy znów pani przywiezie Davida do Friday Harbor?

Wzruszyła ramionami. — Nie mamy takich planów.
— Jak pani będzie miała taki zamiar, to proszę dać znać.
Mówił poufałym tonem. Zbyt poufałym? — zastanawiała się.
— Chciałbym was zabrać na moją łódkę.
— Dziękuję. — Zawahała się. — Na pewno David ucieszyłby się z tego zaproszenia.
— A pani? — Poszedł za nią do następnego obrazu.
— Niezbyt lubię pływać małymi łódkami. — Chciała, żeby sobie poszedł. Panie Sampson, ja nie potrzebuję pańskiego towarzystwa, powiedziała w myślach. Nie ufam panu.

Odczuła ulgę, kiedy przyjęcie się skończyło i mogła się wycofać. Podziękowała gospodarzowi wystawy, Adamowi Creswellowi, a potem przecisnęła się w stronę drzwi. Miała nadzieję, że Taylor jej nie zauważy.

Poszła do samochodu. Kiedy wyjeżdżała z parkingu dostrzegła obu mężczyzn wychodzących z galerii. Udała, że ich nie zauważyła, i pojechała na terminal portowy. Następny prom odpływał za piętnaście minut, nie chciała się na niego spóźnić. Wieczór był ciekawy, ale niespokojny. Tęskniła za domem, marzyła o pójściu do łóżka.

Na promie nie było jeszcze zbyt wiele samochodów. Zaparkowała przy schodach. Myśl o kawie wydawała się kusząca, więc Sharon postanowiła pójść na górę do bufetu. Prom odbił już od nadbrzeża, kiedy wbiegła na schody. Jedną ręką zapinała płaszcz, a drugą przytrzymała rozwiewane włosy. Wiatr hulał po pokładzie, mocno smagał ludzi, którzy opuścili bezpieczne schronienie w swych autach.

Sharon stanęła w długiej, wolno poruszającej się kolejce. Po chwili postanowiła, że nie będzie czekała. Wyszła z kolejki i poszła na dziób statku. Obudowany był oknami, by można było obserwować morze przed nim. Tak mocno rzucało statkiem, że często musiała się opierać. Ale przestało padać.

Zatrzymała się przed szybą. Za wodą, na tle nieba światła Seattle błyszcząły niczym klejnoty. Mimo złej pogody świetlista korona zahipnotyzowała Sharon i skłoniła do wyjścia na zewnątrz. Trzymając się poręczy, czuła się niczym galion, ozdoba dziobowa, nieświadoma, że wiatr przyciska jej ubrania do ciała i rozwiewa do tyłu włosy.

Romantyczne myśli... Czy to oznacza, że zaczęła dochodzić do siebie i pewnego dnia zapomni o życiu z Paulem?

Mocno zawiąło z boku, musiała zacisnąć rękę na poręczy, by nie stracić równowagi. To szaleństwo, że wyszła na zewnątrz. Gdyby wypa-

dła za burtę, nikt by tego nie zauważył. Jednak stłumiła chęć wejścia na szybę. Zauroczona widokiem statku rozcinającego wzburzone fale groźnej Zatoki Elliota stała samotnie, lekceważąc żywioł.

Jej ekscytujące rozmyślania przerwała grupa roześmianych ludzi, która dołączyła do niej na pokładzie. Usłyszała komentarze na temat przyjęcia na wyspie, które opuścili, by zdażyć na prom. Kiedy statek przechylał się, kobiety krzyczały, a mężczyźni usiłowali je uspokoić.

Spojrzała w bok, dotknięta poczuciem osamotnienia. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek mogłaby stać się kimś ważnym dla jakiegoś mężczyzny. Nagle miała ochotę zapłakać. Po raz pierwszy od wielu miesięcy pomyślała, że nie ma już nadziei.

Dlaczego teraz? — zadała sobie pytanie. Bo Taylor Sampson zaprosił ją i Davida, żeby spędzili dzień na jego łódce? Bo mogła wzbudzić jego zainteresowanie... gdyby była prawdziwą Janice Young... I była wolna?

Przełknęła ślinę. Nigdy nie będzie wolna, nie rozwiedzie się, jeśli nie przyzna się, że nie zginęła i świadomie złamała prawo. Sharon patrzyła na miasto, które wyłaniało się ze światła błyszczących przed nią. Stopniowo odzyskiwała kontrolę nad sobą. Jej jedyny cel, to wychować syna, dać mu szansę bycia szczęśliwym. Miała nadzieję, że pewnego dnia wszystko zrozumie.

Zagubiona w myślach Sharon ledwo zauważyła, że więcej osób wyszło na pokład. Stała osobno, rozmyślała o wydarzeniach, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Była samotną postacią na pokładzie statku podczas burzy.

Nagły przechył promu, połączony z silnym podmuchem wiatru zaskoczył ją. Rzuciło ją do tyłu, a potem do przodu. Jakieś ręce chwyciły ją pod ramiona, ale zamiast podtrzymywać, podnosiły i pchały ją jednocześnie. Przez kilka straszliwych sekund myślała, że wypadnie za burtę.

Krzyki i śmiechy kobiet na pokładzie tłumiły jej wrzask. Statek uspokoił się i zwolnił się dotkliwy uścisk rąk. Upadła na kolana, dłonie zacisnęła na dolnej części barierki.

— Nic się pani nie stało? — spytał wtedy jeden z mężczyzn.

Z trudem przytaknęła, kiedy postawił ją na nogi. — Ktoś próbował wypchnąć mnie za burtę... — Jej głos drżał.

Mężczyzna spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. — To tylko zakołysało promem.

— Nie, ja wiem, że ktoś mnie chwycił.

Jedna z kobiet podeszła do mężczyzny. —Widziałam, że jakiś facet ztrzymał panią — rzekła. — Ale wyglądało, że chce pani pomóc.

— Ktoś z naszej grupy? — spytał mężczyzna.

Kobieta wzruszyła ramionami, rozejrzała się wokół. — Nigdy go wcześniej nie widziałam, a teraz zniknął.

— Nic się pani nie stało, a to jest najważniejsze. — Mężczyzna poklepał Sharon po ramieniu. Zdała sobie sprawę, że nikt jej nie wierzy. — Woda jest tak wzburzona, że w ogóle nikt z nas nie powinien wychodzić na zewnątrz. Wracamy do środka — powiedział do niej. — Pani też powinna.

Znów przytaknęła i wzrokiem zlustrowała ludzi idących pokładem do drzwi i tych, którzy znaleźli się już za szybą.

Dlaczego ktoś z nich miałby próbować wypchnąć mnie za burtę?

Kiedy drzwi z szumem zamknęły się za nią, kapitan ogłosił, że za chwilę dopłyną do terminalu w Seattle i pasażerowie powinni wrócić do samochodów.

Wciąż roztrzęsiona Sharon usiadła, przepuściła innych w kolejce. Wzrokiem szukała kogoś, kogo znała, ale tutaj byli sami nieznajomi. Nikt nawet nie spojrział w jej kierunku.

W końcu wstała i podeszła do schodów. Na pokładzie z samochodami znów się zaważała. Czowała, że ktoś ją obserwuje.

Szybko podbiegła do garbusa, wsiadła do niego i szybko zamknęła drzwi. Kiedy prom przybijał do nadbrzeża, czuła się jak bakteria pod mikroskopem. Ale kto jest osobą, która ją obserwuje?

Rozdział 18

Oddzielało go od niej tylko kilka samochodów, kiedy wyjeżdżała z promu. Na ulicy skręcił na równoległy pas i zatrzymał się na parkingu. Obserwował, jak szybko wjeżdża na wzgórze z włączonymi światłami.

— Nie martw się, suko — mruknął w ciszy swojego samochodu. — Nie pojedę za tobą. Wiem, dokąd jedziesz.

Patrzył, jak nikną tylne światła samochodu, kiedy skręciła z ulicy Wiosennej na szczycie wzgórza. Gniew rozпалиł się w nim gorącym płomieniem. Walczył, by go opanować. Pamiętaj o swoim planie, nakazał sobie. Nie powinna wygrać po raz drugi. *Tym razem umrze...*

*

Nie bądź tchórzem.

Ta myśl przebiła się przez jej umysł, kiedy zatrzymała się na podjeździe. W sąsiednim domu Loganów od frontu nie paliły się żadne światła, podobnie jak u niej. Nie widziała okien z tyłu domu, gdzie chłopcy spali w pokoju do zabawy na parterze.

Chwilę czekała, zanim wysiadła z samochodu. Wiatr przyginał wysokie krzewy na jej podwórzu, które rzucały niesamowite cienie na dom, wyglądające niczym ogromne szczęki. Z kluczem w dłoni wbiegła na schody frontowej werandy, otworzyła drzwi i wślizgnęła się do korytarza.

Denerwująca cisza otoczyła Sharon. Szybkim ruchem włączyła lampę w salonie. Z przymusu wewnętrznego włączyła jeszcze kilka świateł i sprawdziła wszystkie szafy ściennie i inne możliwe kryjówki na obu piętrach.

— Gubisz się — kilka minut później powiedziała głośno, gdy przebierała się w koszulę nocną. — Czy naprawdę myślisz, że ktoś ukrył się w szafie... że ktoś próbował cię zabić?

W łóżku, opierając się o poduszki, piła herbatę ziołową i oglądała wieczorne wiadomości. Po wyłączeniu lampy i telewizora opatuliła się kołdrą. Poczowała się bezpieczna w swoim małym zamkniętym na klucz domu.

Jednak brakowało jej Davida w sąsiednim pokoju. Miała nadzieję, że dobrze się bawił. Jutro może wszystko odespać. Uśmiechnęła się, przypominając sobie wspólne noce z koleżankami, kiedy miała tyle lat co on, szepty i chichoty aż do rana. Zasypiając, zastanawiała się, czy David wciąż jeszcze tam rozmawia...

Przebudzenie było gwałtowne. Sharon zerwała się na łóżku. Na zewnątrz wiatr wciąż szumiał w krzewach, tworzył małe cyklony pod okapami, dzwonił gontami na dachu. W domu panował spokój.

Zaczęła nasłuchiwać, ociagała się z włączeniem światła. Skąd pochodził odgłos? Z podwórza czy z przodu domu?

Sharon odrzuciła kołdrę i zakradła się na korytarz, gdzie się zatrzymała. Przechyliła głowę w kierunku schodów. Nic, tylko cisza. Zdenerwowana zajrzała do łazienki, a potem do pokoju Davida. Wszystko było na swoim miejscu.

Zejście na dół to co innego. Stała na górze schodów, zbierała się na odwagę. Rozlegające się wokoło skrzyknięcia i jęknięcia starego do-

mu brzmiały złowroźnie. Przypominały jej *t* dzieciństwa historie o potworach.

Nie ma żadnych straszdeł wyskakujących z cienia, powiedziała w myślach, zaciskając dłoń na poręczy. Bądź rozsądna. Nie możesz pozwolić, żeby poniosła cię wyobraźnia.

Nikogo nie ma w twoim domu.

Ciężko oddychając, Sharon po cichu zeszła na korytarz na dole i sprawdziła, czy drzwi są zamknięte. Potem, trzęsąc się, usiadła na schodku. Czy to wszystko to wytwór wyobraźni? Paranoja? Czyżby traciła kontrolę nad sobą? — zadała sobie pytanie, uświadamiając sobie, że powtarza przedstawienie z innej nocy. Czy tylko mi się wydawało, że ktoś szedł za mną aleją? Czy awaria windy była tylko przypadkiem? Może osoba na promie chciała mi pomóc.

Może potrzebna jest mi wizyta u psychologa.

Potrząsnęta głową, próbując rozważyć wszystkie możliwości. Czyżbym miała zakłócone postrzeganie... bo mój umysł obciążony jest poczuciem winy i niepewnością, i reaguję z lękiem w różnych sytuacjach? A może mam wątpliwości, czy rzeczywiście dobrze postąpiłam w przypadku Davida?

Sharon wstała ze schodów. Zostawiła część swojego życia w San Francisco: Lexi, pracę, którą miała, zanim przez Paula jej nie straciła. Nawet rzeczy osobiste musiała zostawić. Zastanawiała się, czy David tak samo czuje.

Znów się zastanawiasz nad swoją winą, zganiła się. Nie miałaś wyboru, musiałaś uciekać. Paul zniszczyłby was oboje. Jest chory umysłowo... niebezpieczny.

Czy Paul ich znalazł? Na tę myśl straciła oddech, ugięty się pod nią nogi. Usiadła na schodach. Nie mógł, stwierdziła. To niemożliwe.

Niespodziewany dzwonek telefonu postawił ją na nogi. By się podtrzymać, chwyciła poręcz. Po trzecim sygnale udało się jej pokonać kilka stopni i podejść do stolika na korytarzu, i podnieść słuchawkę. W pierwszym momencie pomyślała o Davidzie.

— Halo — rzekła łamiącym się głosem.

Nikt się nie odzywał.

— Halo — powtórzyła.

— Janice, czy moja osoba na zewnątrz domu obudziła cię? — Głos mężczyzny był wysoki, stłumiony, odległy... brzmiał tak samo jak podczas tego dziwnego telefonu do galerii.

- Co? Przepraszam, ale nie rozumiem.
- Usłyszałaś mnie. Hałas w nocy może przerazić.
- Kto mówi?
- Kolejna przerwa. — Janice, *naprawdę* przepraszasz?

— Nie... nie rozumiem.

— Oczywiście, że rozumiesz. Nie udawaj przede mną. Oboje wiemy, o czym mówię.

Rozległ się trzask, a potem sygnał.

Sharon rzuciła słuchawkę i wycofała się w najbardziej odległy kąt korytarza. Rozglądała się wokół, spojrzała na owalną szybę w drzwiach frontowych, na wejście do kuchni i salonu. Bała się poruszyć.

Dzwoniący mężczyzna był prawdziwy. Stał na zewnątrz domu. Nie był wytworem jej wyobraźni. Nie mogła udawać, że to tylko kolejny zbieg okoliczności jak poprzednie incydenty.

One też zdarzyły się naprawdę.

Zadzwoń na policję, nakazała sobie. Ktoś jest na zewnątrz... grozi ci.

Położyła dłoń na słuchawce telefonu, ale zdołała już odzyskać zdrowy rozsądek. Nic się nie zmieniło. Wciąż nie odważyła się zadzwonić na policję. Nie mogła ryzykować, że zostanie oskarżona o oszustwo... I straci Davida.

Serce waliło jej jak młotem. Schyliła głowę i wzięła kilka głębokich oddechów. Co, u diabła, się dzieje?

Na palcach weszła do salonu i ciężko opadła na kanapę. W zamyśleniu dłonią pocierała wytarte obicie. Myśli, które napłynęły jej do głowy, były równie przytłaczające jak strach. Znow mogliby się przeprowadzić, rozpocząć życie od nowa.

Miała głęboką nadzieję, że nie będą musieli tego robić.

Telefon obudził ją od razu. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potem zdała sobie sprawę, że jest w salonie — zasnęła na kanapie. Była zbyt wystraszona, by wrócić do pokoju na górze. Stwierdziła, że jest rano i burza minęła.

Pobiegła na korytarz, ale się zawahała. Patrzyła na dzwoniący telefon, nagle obawiając się podnieść słuchawkę.

— Odbierz — powiedziała głośno, światło dnia trochę zmniejszyło jej lęk. Spojrzała na zegar ścienny, na ten, który David wybrał na kiermaszu. Nie mogła uwierzyć, że jest już ósma.

— David... to pewnie David.
Chwyciła słuchawkę. — Halo.
— Janice? — Kobięcy głos. — T o ty?
— Taak. — Zawahała się w niepewności. — Signe?
— Janice, jestem trochę zdenerwowana. Mam nadzieję, że mnie uspokoisz.
— Go się stało?
— Ktoś w nocy był w galerii. — Mówiła drżącym głosem.
— Ktoś włamał się do galerii? — Sharon usiadła na krześle w korytarzu.
— Nie, to właśnie jest najstraszniejsze. — Nastąpiła przerwa. — Ten ktoś kluczem otworzył drzwi frontowe.
— Mówiłaś, że klucz mam tylko ja i zarządca budynku.
— Janice, dlatego dzwonię. — Kolejna przerwa. — Nie byłeś w galerii po powrocie z wyspy?
Pytanie spowodowało, że na ramionach Sharon pojawiła się gęsia skórka. — Signe, z promu pojechałam prosto do domu. Nie miałam po co jechać do galerii.
Dało się słyszeć westchnienie Signe. — Tak myślałam, ale musiałam zapytać.
— Signe, co zginęło?
— Nic.
— Jak to?
— No po prostu... nic nie zginęło. — Signe była zakłopotana. — Nie mogę zrozumieć, dlaczego ktoś wszedł tutaj, żeby myszskować.
— Myszskować?
— Tak, Intruz grzebał w moim biurku, twoim i w szafie z dokumentami. — Zawahała się. — Janice, nie gniewaj się na mnie, ale muszę zapytać. Czy pożyczłaś komuś klucz? A może go zgubiłaś?
— Nigdy nikomu go nie pożyczam. Jestem pewna, że mam go wciąż w torebce. — Przyłożyła słuchawkę do drugiego ucha. — Jak możesz trochę poczekać, to sprawdzę.
— Dobrze, będę wdzięczna.
Sharon odłożyła słuchawkę, poszukała torebki i zaczęła przesuwać jej zawartość; klucza z przywieszką galerii nie było. Zamarła. Przyjrzała się breloczkowi ze swoimi kluczami, pomyślała, że może odруchowo zaczepiła tam klucz Signe. Podniosła słuchawkę.

— Signe — mówiła łamiącym się głosem — nie ma klucza w torebce, a jestem pewna, że wczoraj był. Nie wiem, co powiedzieć. Nie potrafię tego wyjaśnić.

— Nie denerwuj się. — Signe mimo wszystko roześmiała się. — Przynajmniej wiemy, dlaczego zginął. Zaraz każę zmienić zamki. Choć nic nie zginęło, mam za wiele cennych rzeczy, żeby ryzykować. — Przerwała. — My... to znaczy policja... sądzi, że to ochrona budynku wystraszyła intruza.

— Bardzo mi przykro — rzekła Sharon. — Czy to możliwe, że ktoś ukradł ten klucz wczoraj wieczorem? Torebkę powiesiłam pod płaszczem.

— Nie wiem. Czy zostawiałaś ją gdzieś bez opieki?

— Tylko w pracy. — Zastanawiała się, czy ktoś na wystawie mógł dorwać się do jej torebki, mimo że nie spuszczała jej z oczu.

Zapadła cisza.

— No cóż, dzięki Bogu, niczego nie ukradziono ani nie zniszczono.

Rozłączyły się. Sharon była jeszcze bardziej zaniepokojona. Z pewnością włamanie do galerii nie miało z nią nic wspólnego.

A może miało? W szafie z dokumentami znajdowały się informacje o niej. Nie, napomniała się. W teczce były dane o *Janke*. Może ktoś tropił Janice... chciał sprawdzić, czy Janice wciąż żyje? Palce Sharon zaczęły drżeć, kiedy sięgała po słuchawkę telefonu, by zadzwonić do Signe i zapytać, czy nie zginęła jej teczka z dokumentami.

Cofnęła rękę. Lepiej nie. Signe pomyśli, że to dziwne, i zacznie zadawać pytania... pytania, na które trudno będzie odpowiedzieć. Zamiast tego poszła do kuchni, żeby zrobić kawę, miała nadzieję, że kofeina poprawi jej samopoczucie. Sama zajrzy do dokumentów... jutro.

Rozdział 19

Sharon położyła Davida do łóżka, jak tylko wrócił do domu. Wyglądał na wyczerpanego, jakby przez całą noc nie spał.

— Mamo, ale nie jestem zmęczony — protestował.

— Nie musisz spać, tylko odpocznij kilka minut. — Pochyliła się i pocałowała go w policzek. — A po lunchu wymyślimy jakąś zabawę. Dobrze?

— Dobrze, ale nie będę spał.
Odwrociła się, by wyjść, ale jego głos ją zatrzymał:
— Mamo, zapomniałem coś ci powiedzieć.
— Co, kochanie?
— Pani Logan zrobiła na śniadanie gofry truskawkowe z bekonem — powiedział z poważną miną. — Na pewno nie zgadniesz, czym mama Pete'a posmarowała gofry zamiast bitą śmietaną?
— Hm... syropem?
— Mamo! — pogardliwie wykrzywił nos. — Pudło. — Nagle na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. — Rezygnujesz?
Przytaknęła.
— Lodami.
— Czym? Rano? — Sharon udało się zachować powagę.
— Tak. — Zamilkł na chwilę. — I wiesz co jeszcze? — Kiedy pokręciła głową, kontynuował: — Od dzisiaj gofry truskawkowe to moje ulubione śniadanie!

Po pięciu minutach zjrzała do niego. Szybko zasnął przytulony do Smarkusia. Kot Moppet kulił się przy jego stopach. Sharon uśmiechnęła się. Mimo „poważnego” sposobu mówienia, pozostał małym chłopcem. Był szczęśliwy w nowym życiu; wiedziała to, widząc, jak bardzo lubi szkołę, kolegów, nawet ten przytulny domek, w którym mieszkali. Mały pokój ze skośnym sufitem, z zabawkami i innymi skarbami, był jego schronieniem. Poukładał swoje rzeczy tak, jak chciał, inaczej niż dawniej, kiedy to Paul wymagał perfekcji.

Zapewnię ci bezpieczeństwo, pomyślała, podczas gdy w jej umyśle rozgrywały się sceny z tej koszmarnej nocy, którą spędziła sama w domu. Obiecuję ci, że nikt nam nie zagrozi. Nie pozwolę na to, nawet gdybym musiała pójść na policję.

Zostawiła drzwi do jego pokoju uchylone i zeszła na dół. Zatrzymała się w korytarzu. Za nią rozległ się jakiś hałas. Obróciła się na pięcie, ale nie zauważyła nic szczególnego.

Przekrzywiła głowę, nasłuchiwała. W domu panowała cisza, jednak zbliżała się kolejna burza, wiatr uderzał o ściany i okna budynku. Deszcze były niezwykle intensywne, nawet jak na Północny Zachód — każdy wokół na nie narzekał.

Co spowodowało ten hałas? — zastanawiała się. Coś upadło za nią? Na zewnątrz? Była pewna, że odgłos nie dobiegł z góry. Przez owalne

okno w drzwiach nie widziała, żeby ktoś stał na werandzie, a zasuwa była na swoim miejscu.

Weszła do salonu, a potem przeszła przez jadalnię do kuchni i sprawdziła również drzwi z tyłu domu. Z wnęki jadalnej wróciła na korytarz. W ten sposób zatoczyła pełne koło. Nikogo nie było w domu.

Tworzę nowy zwyczaj, stwierdziła. Czuła się jak idiotka. Dom był bezpieczny. Wiedziała, że nikt się nie ukrywa, nie czeka, by wyskoczyć z nienacka, kiedy jest odwrócona.

Spojrzała na zamknięte drzwi szafy na płaszcze. Czy coś się przesunęło na półce? Położyła dłoń na gałce, ale się zawahała.

Nikogo nie ma w szafie, wmawiała sobie. Otwórz drzwi, tchórze. Sharon wciąż się wahała, w myślach robiła remanent rzeczy w szafie. Były tam płaszcze i palta, kozaki, zabawki, parasole i pudełko po butach z jej dokumentami, które wepchnęła na półkę nad wieszakami.

Szarpnięciem otworzyła drzwi... by ujrzeć zwyczajną zawartość szafy. Odetchnęła ze świstem. Zanim znów zamknęła drzwi, jej wzrok padł na pudełko po butach, które znajdowało się nad nią. Sięgnęła po nie, a potem zamknęła szafę.

To odpowiedni czas, żeby przejrzeć wycinki prasowe dotyczące Janice, pomyślała i zaniósła pudełko na stół do kuchni. Nalała sobie kawy i usiadła. Podwinęła rękawy czerwonego swetra, zaczęła przeglądać wydruki z mikrofilmów.

Czytała je wcześniej, ale teraz te słowa miały nowe znaczenie. Przyrodni brat Janice, którego przesłuchiowano po „podejrzanym” pożarze, wychowywał się w Europie pod opieką matki. Ojciec podczas rozprawy rozwodowej twierdził, że to nie jest jego syn. Wrócił do Stanów Zjednoczonych po śmierci ojca, który zapisał swoją posiadłość dziecku drugiej żony — Janice. Janice zginęła kilka miesięcy później. Janice i jej przyrodni brat prawie się nie znali.

Ten przyrodni brat nazywał się *Adam Creswell*.

Wpatrywała się w wydruk. Nic dziwnego, że nie zwróciła uwagi na to nazwisko, kiedy czytała wycinki w październiku. Nie przywiązywała dużej wagi do dalekich krewnych albo narzeczonego, kiedy zdecydowała się wybrać Janice z nekrologów. Z wyjątkiem Thelmy Hickman inne nazwiska były jej obojętne. Głupie z mojej strony — pomyślała Sharon — bardzo głupie.

Przecież artykuły w gazetach były dość ogólnikowe, uświadomiła sobie. Nie pisano, że Adam był artystą albo że Taylor Sampson prowa-

dził galerię. Podano jedynie, że przesłuchiowano Taylora po śmierci Janice, bo Janice zerwała ich zaręczyny po kłótni w pubie w Friday Harbor. Janice zarzucała Taylorowi materializm, natomiast on uważał, że ona prowadzi zbyt swobodny, nieodpowiedzialny tryb życia. Kiedy wyszła z pubu, usłyszano, jak mówił, że Janice pożałuje tego kroku. To była groźba? — zastanowiła się Sharon.

W zamyśleniu odchyliła się do tyłu. Z uwag Taylora wywnioskowała, że jego związek z Janice był idealny. Z pewnością z nikim innym się nie ożenił.

A co z Adamem? Po pożarze wszystko odziedziczył, łącznie z posiadłością na wyspie. Teraz zdała sobie sprawę, dlaczego Adam wyglądał znajomo. Był mężczyzną z czarnego mercedesa, mieszkającym w domu z drewna cedrowego. Nosił inne nazwisko niż Janice, bo ona nie przybrała nazwiska drugiego męża swojej matki.

Sharon, pijąc małymi łykami kawę, uświadomiła sobie teraz, jak bardzo była zdesperowana, kiedy wybierała swoją nową tożsamość. Interesowało ją tylko, czy Janice będzie właściwym wyborem. Z perspektywy czasu widziała, że powinna sprawdzić, gdzie są teraz Adam i Taylor, a nie polegać na faktach, że Janice nie ma bliskiej rodziny, a jej byli narzeczeni wyjechali.

Spojrzała na zegarek, była zaskoczona, że jest już po południu. Włożyła wycinki prasowe do pudełka po butach i zanosła je do szafy na korytarzu. Uśmiechnęła się. David, który nie zamierzał zasypiać, wciąż spał.

Kiedy jednak wróciła do kuchni, znów naszły ją dręczące myśli. Adam był przyrodnim bratem Janice, a Taylor jej narzeczoną. Czy któryś z nich ukradł wczoraj z torebki klucz do galerii, żeby przejrzeć jej akta osobowe? Z pewnością żaden z nich nie mógł uwierzyć, że ona jest *ją* Janice.

A może to był ktoś inny... ktoś, kogo Paul wynajął.

Uczucie pustki rozpląnęło się po całym ciele, zaczęły drżeć jej ręce i nogi. Trzęsącymi się palcami Sharon włożyła filizankę do zmywarki, a potem wytarła mokre dłonie w dzinsy. Muszę dowiedzieć się więcej o śmierci Janice, zdecydowała. Na Wyspach Świętego Jana wydawana jest gazeta i być może w starych egzemplarzach będzie więcej napisane o pożarze... I o Taylorze, i Adamie.

Ale w jaki sposób mogłaby się dowiedzieć czegoś o Paulu? Zadzwoń do niego... sprawdzić, czy odbierze? Zawahała się. Może to zrobić,

ale nie ze swojego telefonu. Sprzęt telefoniczny jest teraz bardzo wyrafinowany. Paul mógł zainstalować urządzenie podające numer dzwoniącego; może też zadzwonić do operatora, żeby podano mu numer. Gdyby stwierdziła, że Paula nie ma w San Francisco, przypuszczalnie mógłby być w... Seattle.

Oparła się o kredens. Przekonywała się, że nie mógł ich wytropić. Jednak z drugiej strony tak naprawdę nie wiedziała, co wydarzyło się po tym, jak jej samochód spadł z urwiska. Nie odważyła się dociekać, przez kilka tygodni kupowała tylko gazety wydawane w San Francisco, ale nie znalazła w nich nic na temat wypadku. Może ona i David nie zostali uznani za zabitych. Może policja... I Paul... cały czas ich poszukują.

Ta myśl przeraziła ją, ale nie mogła sobie pozwolić, by trawiły ją bezpodstawne lęki, tylko dlatego, że jest wystraszona. Na dziewięćdziesiąt procent telefon w nocy był przypadkowym zdarzeniem i nie wiązał się ani z jej starym, ani nowym życiem.

Niech na będzie prawda, pomyślała. Mogłaby sobie wtedy poradzić ze zwykłym, przeciętnym szaleńcem.

Odgłos dzwonka u drzwi wystraszył ją. Sharon zamarła. Znowu zadzwonił. Podkraja się na korytarz, skąd mogła widzieć zasłonięte firanką okno. Długie nogi w dzinsach i granatowa wiatrówka powiedziały jej, że na werandzie stoi mężczyzna. Nie widziała jego twarzy.

Ruszyła ostrożnie naprzód. Miała nadzieję, że najpierw zobaczy, kto to, zanim on ją dostrzeże.

— Mamo, ktoś przyszedł!

David zawołał z góry schodów, a potem zbiegł po nich. W korytarzu rozległ się odgłos jego stóp. Gdyby Sharon nie przytrzymała jego dłoni na gałce, otworzyłyby szybkim ruchem drzwi.

— David, poczekaj. Najpierw musimy zobaczyć, kto to jest.

— Okay — zgodził się, nieświadomy, że Sharon się waha. Odsłonił firankę i w owalnym oknie ukazał się mężczyzna. — To... to ten pan, którego spotkaliśmy w Friday Harbor — oznajmił, odwracając się do mamy. — Wiesz, ten pan na rowerze.

Sharon oblizała wargi. Była niepewna. Go, na Boga, Taylor Sampson robi na ich werandzie? W jaki sposób się dowiedział, gdzie oni mieszkają? W świetle tego, co wydarzyło się ostatniej nocy, pytania krążące w jej głowie były bardziej niż niepokojące. Miała ochotę odciągnąć Davida do tyłu i w ogóle nie otwierać drzwi.

— Mamo, nie pamiętasz? — David przerwał, zmieszany, że mama nie pozwala mu otworzyć drzwi.

— Oczywiście, że pamiętam — odparła, zdobywając się na uśmiech. Było za późno, żeby zignorować pukanie; David dał znać, że są w domu. Zrobiła krok do przodu i otworzyła drzwi.

Poruszane przez wznagający się wiatr cierniste gałęzie róży z hałasem ocierały się o kratę werandy, wypełniały niezręczną ciszę. Taylor odezwał się pierwszy.

— Przez chwilę myślałem, że nikogo nie ma w domu. — Z całą przenikliwością swych niebieskich oczu spojrzął na Sharon. Zastanawiała się, czy mimo wszystko nie widział jej na korytarzu i domyślił się, że chce go uniknąć. — Ale potem usłyszałem Davida. — Skierował wzrok na chłopca. — I miałem rację.

— Aha. Od razu byłem na dole!

Taylor uśmiechnął się — David, ciesząc się, że się znów zobaczyliśmy. — Przerwał. — Tak naprawdę, to chciałem ci pokazać na jeziorze Union mój jacht. — Spojrzął na Sharon. — Twoja mama też może z nami pojechać... jeśli chce.

— To miłe z pana strony, panie Sampson — rzekła oschle Sharon.

— Chyba lepiej Taylor...

Szerzej otworzyła drzwi. — Proszę, niech pan nie stoi na wietrze.

— Z przyjemnością. — Uniósł bejsbolówkę na głowie i przygładził włosy. — Myślałem, że będzie trochę więcej przerwy między frontami burzowymi — powiedział, wchodząc do środka. — Najpaskudniejsza wiosna od wielu lat. Można pomyśleć, że mieszkamy na Alasce, nie w Seattle.

— To nie jest chyba najlepszy dzień na żeglowanie — dodała Sharon, w pełni odczuwając charyzmę tego mężczyzny. — David spędził noc z kolegą i wrócił do domu wyczerpany. Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby w tak złą pogodę pływał łódka.

— Mamo! Nie jestem już dzidziusiem! — David wyrażał niezadowolone całym ciałem. — Powiedziałaś, że jak wstanę, wymyślimy jakąś zabawę. Dlaczego nie mogę popływać na łódce? Pan Sampson powiedział, że możesz jechać z nami.

— Wiem, kochanie, ale...

— Hola! — Taylor przerwał, unosząc w górę dłoń. — Moja łódź jest zacumowana w hangarze. Nie będę nią dziś wypływał, jest za póź-

no. Wiem, że David lubi wszystko, co pływa, więc chciałem mu po prostu pokazać moją żaglówkę i przystań.

— Hm. — Sharon niepewnie zrobiła krok do przodu. Wizyta tego człowieka była kłopotliwa. Po co tak naprawdę dziś przyszedł? — Skąd pan wiedział, gdzie mieszkamy? — wyrzuciła z siebie to pytanie.

Cmoknął językiem i uśmiechnął się. — To żadna tajemnica. Signe mi powiedziała.

— Mamo, prooszę. Możemy zobaczyć żaglówkę?

— Gdyby pan najpierw zadzwonił — zaczęła Sharon, potem zdała sobie sprawę, że jest bardzo niewdzięczna — to poprosiłabym o przełożenie terminu wizyty ze względu na deszcz — dodała z uśmiechem, który złagodził jej słowa.

— Przepraszam. Gdyby pani lepiej mnie знаła, to wiedziałaby, jakimi czasami jestem impulsywny. — Kilkakrotnie uniósł i opuścił brwi. Z wyrazu twarzy przypominał jej teraz Groucho Marxa. — No, ruszcie się, nie bądźcie tacy niemrawi — zachęcał. — Obiecuję, że odwieżę was przed wieczorem. — Przerwał. — No, dlaczego jeszcze nie wkładacie kurtek i czapek?

— Nie zrobiłam makijażu i mam dużo pracy w domu.

— To ma być wymówka?

Zarumieniła się. — Oczywiście, że nie.

— Skoro już i tak widziałem panią bez makijażu, dlaczego nie powie pani tak.

Spojrzała na Davida. Złożone dłonie wsunął pod podbródek, jakby się modlił. Ten zwyczaj przejął od Pete'a.

— Dobrze, pod warunkiem, że wcześniej wrócimy do domu.

— Super! — David ruszył po schodach. — Muszę wziąć kurtkę. — Zatrzymał się w połowie drogi. — Zobacz pan mój pokój? Mam odłotowe rzeczy.

— Mów do mnie Taylor. Z przyjemnością zobaczę twoje rzeczy. — Spojrzała na Sharon, która otworzyła usta, by zaprotestować. — Jeśli twoja mama pozwoli.

Wystarczyło, że spojrzała na twarz Davida, i nie mogła powiedzieć nie. Był tak dumny ze swojego pokoju, zapraszał do niego tylko szczególne osoby, na przykład Pete'a. — Oczywiście — powiedziała w końcu. Ze smutkiem zauważyła, w jaki sposób chłopiec napawa się zainteresowaniem, jakie okazuje mu każdy dorosły mężczyzna, który mógłby

być jego ojcem. Zaraz po opuszczeniu San Francisco zdała sobie w pełni sprawę, jak pokrzywdzonym dzieckiem był David.

Za późno zauważyła swój błąd. Z odgłosów, które wydawała skrzypiąca podłoga, wywnioskowała, że już weszli do pokoju Davida. Czy Taylor zauważył rysunki na ścianie i uświadomił sobie, że są jej? Zamarło w niej serce. Jeśli on wspomni o nich, będzie musiała powiedzieć prawdę, tłumaczyć, że jest taką nieśmiałą artystką.

Przygotowując się do odpowiedzi na pytania Taylora, włożyła czerwoną wiatrówkę z kapturem. Kiedy schodzili po schodach, wyjęła wełnianą czapkę Davida. Chłopiec, któremu tak bardzo zależało na wyjściu, już zapiął swoją czerwoną kurtkę.

— Youngowie lubią kolor czerwony — zauważył Taylor. Sharon zastanawiała się, czy jest to aluzja do uwagi, którą zrobił, kiedy się po raz pierwszy spotkali, porównując ją ze swoją Janice. — To dobry kolor... dla was obojga.

Naprawdę popadasz w paranoję, zbeształa się. On ma na myśli ciebie i Davida, a nie ciebie i tę zmarłą kobietę.

Zostawiła włączone światło na werandzie — na wypadek, gdyby nie wrócili przed zapadnięciem zmroku — i zamknęła drzwi. Taylor zaprowadził ich do swojego samochodu, który zaparkował przy krawężniku. Powinam się domyślić, pomyślała. Było to bmw z opuszczanym dachem.

Dostrzegł wyraz jej twarzy. — Zawsze opuszczam dach, jak nie pada lub nie jest za zimno. — Poprawił bejsbołówkę na głowie. — Nie martwcie się, nikt się nie przeziębi, najwyżej kogoś wywieje!

Skinęła głową. Wiedziała, że zachowuje się grymasnie. Ale w obecności tego człowieka musiała zachowywać się z rezerwą. Niech myśli, że jestem osobą, która zawsze psuje zabawę. Nie miała zamiaru wyjaśniać, że sama by też kupiła kabriolet, jeśli byłoby ją na to stać i David tak łatwo się nie przeziębią!

To szaleństwo jechać gdziekolwiek z tym człowiekiem, pomyślała. Była pewna, że nie zjawił się u nich tylko po to, by pokazać małemu chłopcu swoją łódź. Czuła się manipulowana, była zła na siebie, że nie miała dość siły, by powiedzieć nie.

— Samochód ma dobre ogrzewanie — dodał, otwierając drzwi od strony pasażera. — Oboje możecie usiąść z przodu albo jedno z was może pójść do tyłu. — Przerwał i spojrzał na Sharon. — Ciepło też tam dociera.

— Ja usiądę z tyłu — zdecydowała Sharon. Nie chciała, żeby za mocno wiało na Davida. Wsiadła do samochodu.

— A ja mogę z przodu? — David już prawie usadowił się obok Taylora. — O rany!

— Masz. — Podała mu czapkę. — Lepiej ją włoż. I zapnij pasy.

Taylor zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył spojrzenie Sharon. — Naprawdę nie chce pani się tutaj ścisnąć? Z tyłu dość mocno wieje.

— Nic mi się nie stanie w czasie tej krótkiej jazdy nad jezioro. — Jednak założyła kaptur i zawiązała go.

Kiedy jechali ulicą, Taylor wyjaśniał Davidowi przeznaczenie różnych dodatkowych wskaźników na tablicy rozdzielczej. Nagle Sharon odczuła wyrzuty sumienia. A jeśli to Taylor skradał się w nocy wokół ich domu, a potem zadzwonił? Go ona właściwie o nim wie? Niewiele. A jeśli ich zawiezie gdzie indziej, a nie nad jezioro Union?

Uniosła wzrok i znów dostrzegła jego spojrzenie. Przez chwilę wyglądał... Jak? Był zbyt ponury jak na wycieczkę kabrioletem? Jego uśmiech rozwiął jej wrazenie.

Jednak była pewna. Widział jej rysunki.

Taylor dotarł jednak na przystań. Jezioro Union leży blisko centrum Seattle i jest otoczone przystaniami i restauracjami. Hangar Taylora znajdował się w pobliżu jednej z najlepszych restauracji w mieście serwujących owoce morza i Sharon czuła, że ludzie obserwują ją znad stolików. Kiedy Taylor zaprowadził ich do eleganckiego jachtu pomostem pontonowym, Sharon stanęła jak wryta, zaskoczona wielkością łodzi.

— Jejku! — David nie miał zahamowań tak jak ona. — Ten jacht jest naprawdę duży.

— Ma szesnaście metrów. — Taylor objął ramiona Davida. — Poda ci się ta łódka?

— Jest... fantastyczna! — wykrzyknął, znów naśladując Pete'a i używając jednego z jego ulubionych słów. Zawahał się i spojrzał na mężczyznę. — Dlaczego zawsze pan mówi łódka, a nie jacht?

Taylor uśmiechnął się. — Bo jest jak kobieta.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami. — Nazywa się Morska Panna.

— Aha. — David zaakceptował wyjaśnienie, jakby Taylor mu cokolwiek wytłumaczył.

— A pani co sądzi?

— Jacht jest piękny — odparła, zdecydowana nie reagować zbyt mocno. Wiesz o tym, pomyślała. Dlaczego próbujesz nam zaimponować swoimi drogimi zabawkami? — Jest nowy?

Pokręcił głową, obserwując ją uważnie. — Kupiłem Morską Pannę trzynaście lat temu.

— Dobrze pan o nią dba. Wygląda jak nowa.

Sharon jeszcze przez chwilę czuła, że się jej przypatruje, aż entuzjastyczny głos Davida przerwał ciszę.

— Możemy na nią wejść?

— Oczywiście, że wejdziemy na pokład. — Uniósł czapkę Davida i potargał jego kręcone włosy. — Nie pamiętasz, że po *to* was tu przywiozłem? Żebyście zobaczyli moją łódkę!

Wszedł na pokład, a potem pomógł Davidowi dostać się na rufę. Wtedy zwrócił się do Sharon: — Proszę podać mi rękę. Pomogę pani.

Ociagała się, a po chwili zrobiła tak, jak jej kazał. Jednym szarpnięciem wciągnął ją na pokład. Ruch był tak gwałtowny, że wpadła na niego. Zmieszana szybko się cofnęła.

— Dziękuję — rzekła chłodno. Coś w tym człowieku przyciągało ją i jednocześnie przerażało. Zdarzenia następowały zbyt szybko, a ona nie była pewna jego intencji. Chciała jedynie żyć bez żadnych problemów... najwyżej z kłopotami związanymi z wychowaniem syna.

Chociaż bała się tego wyjazdu, czas szybko upływał. Krążyli po jachcie, zajrzeli do dwóch prywatnych kabin, do mesy, a potem poszli na mostek kapitański, gdzie David usiadł za sterem. Taylor poczęstował ich sałatką i kanapkami. Zjedli przy stole, obserwując szeroką panoramę Seattle.

— Pływanie musi sprawiać panu ogromną przyjemność — odezwała się Sharon. — Woda tak uspokaja nerwy.

— Byłbym zadowolony, gdyby dziś tak samo na panią podziałała. — Zawiesił głos. — Czyżby pani nerwy odmawiały posłuszeństwa?

Natychmiast w powrotem stała się czujna i spięta. To niemałe, że odprężyłam się w obecności tego człowieka, zbesztła się. Zagraża twojemu bezpieczeństwu i ty wiesz o tym.

— Nie bardziej niż u innych. — Wstała i zaczęła zbierać brudne naczynia.

— Czy powiedziałem coś niewłaściwego? — Również wstał.

— Oczywiście, że nie, ale robi się późno, a David jutro rano musi pójść do szkoły... A ja do pracy.

Wziął od niej naczynia i włożył je do małego zlewu. — Goście nie pracują na Morskiej Pannie.

— Mamo, musimy już iść? Może zostaniemy jeszcze trochę?

— Na pewno pan Sampson jutro też musi pracować. — Spojrzała na nachylającego się nad nią Taylora. Był mężczyzną, którego siły nie chciała oceniać. — Idziemy. Dobrze?

— Dobrze — zgodził się David.

Kilka minut później szli do samochodu. Znow David jechał z przodu, a Sharon starała się nie patrzeć w lusterko wsteczne. Nie chciała wiedzieć, że Taylor ją obserwuje.

Odprowadził ich na werandę i czekał, aż Sharon otworzy drzwi. David wbiegł do domu, podczas gdy ona męczyła się z wyjęciem klucza z zamka.

— Pomogę. — Taylor bez trudu wyciągnął klucz.

Chrząknęła. — Dziękuję za miłe popołudnie. To wiele znaczy dla Davida.

Podał jej klucz, a kiedy go wzięła, na krótko zacisnął rękę na jej dłoni. — To ja dziękuję, że pani pozwoliła mu jechać.

Niepewnie skinęła głową.

Potem niespodziewanie pochylił się i pocałował ją w czoło. — Znow tam pojedziemy, jak pogoda będzie lepsza. — Zszedł po schodach na chodnik. — Dobranoc. — Uniósł rękę w pożegnaniu, ale nie zatrzymał się, by się odwrócić.

— Dobranoc — zawołał David z korytarza. — Dziękuję, że pokazał mi pan swoją łódkę. Jest wspaniała!

Zamykając drzwi, słyszała, jak samochód odjeżdża ulicą. Z animuszem zajęła się przygotowywaniem Davida do snu.

Panie Sampson, nie będzie żadnego następnego razu, pomyślała.

Rozdział 20

To czas zemsty — powiedział bezgłośnie. — Czas, żebyś zapłaciła za to, co zrobiłaś.

Śpiąca kobieta jedynie bardziej skuliła się pod kocami. Była nieświadoma, że jakiś mężczyzna pochyła się u stóp jej łóżka, jego cień ni-

czym czarna wycięta z papieru figura odbija się w ciemnym pokoju. Nie wiedziała, jak drży z pragnienia, by się na nią rzucić, ścisnąć jej szyję, aż oczy wyjdą na wierzch, napluć jej w twarz, kiedy poczuje przerażenie przed zbliżającą się śmiercią... Z jego rąk.

Nie, powiedział sobie. Nie możesz spełnić swoich zachcianek. To musi być wypadek.

Powoli podszedł bliżej, jego kroki tłumił dywanik. Nie zauważył, że na jego drodze leży czasopismo, dopóki nie nadepnął na nie. Zamarł, jego nerwy zbuntowały się przeciwko kontroli, którą tłumił pragnienie, by rzucić się na kobietę... I ją po prostu zamordować.

Jednak odgłos był prawie niesłyszalny, jakby ktoś przejechał suchym pędzlem po płótnie. Kobieta westchnęła, ale się nie obudziła.

Minęło parę sekund. Potem znów się przesunął, stanął z boku łóżka. Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu, kiedy spojrzął na nią. Jej ciemne włosy rozsypały się na białej poduszce, długie, cienkie palce zaciskała na pościeli, którą podwinęła pod brodę. Dłonie artystki.

Pieprzona suka. Nienawidził jej i tego, że szukała współczucia. Chciał mu się rzygać, gdy pomyślał o czasach, kiedy musiał iść na kompromis z samym sobą, udając troskę.

Powoli, żeby nie robić hałasu, z kieszeni wyciągnął pudełko zapalek. Kciukiem gładził opakowanie.

Jednak oszukał wszystkich starannie przygotowaną mistyfikacją. Zacisnął usta i zmrużył oczy, patrząc na delikatną, bezbronną we śnie twarz. Po dzisiejszej nocy już nie będę musiał grać tej roli, powiedział sobie. Ona była tym, co stało między nim a życiem, na które zasługiwał, życiem, które mu samolubnie zabrała.

Wściekłość i gniew pojawiły się od razu. Ona musi umrzeć.

Zapalił zapalstkę. Płomień rozbliśnie, a potem się uspokoił. Patrzył na niego, rozkoszował się chwilą. Obserwował, jak ogień pożera zapalstkę i przesuwa się w kierunku palców. W ostatniej sekundzie zapalił wszystkie zapalstki i pudełkiem dotknął pościeli. Cofnął się, a potem rzucił „pochodnię” na przybory malarskie, które znajdowały się pod oknem. Patrzył, jak zapalają się pędzle moczące się w rozcieńczalniku do farb, który podsyczał pożar.

Natychmiast ogień rozkwitł długimi szkarłatnymi liśćmi wściekle liżącymi kapę na łóżku i zasłony. Mężczyzna poczuł się wszechwładny, aż drżał z podniecenia. Jestem wszechmocny... jestem aniołem śmierci!

Wybuchnął dzikim śmiechem, ale go stłumił, zaciskając dłoń na ustach. Patrzył zafascynowany ogniem, który wzbudził do życia.

Umieraj, suko!

Płomienie rozprzestrzeniały się we wszystkich kierunkach. Dym go dusił, ale wciąż czekał, chcąc się upewnić, że ona nie obudzi się za szybko. Widział, jak zwija się na łóżku, a potem spada na podłogę. Znalazła się w pułapce; płomienie były wszędzie.

Obrócił się w stronę drzwi i wybiegł na korytarz. Ledwo zdążył uciec przed ogniem. Nie przewidział, że pożar tak szybko ogarnie ten stary drewniany dom.

Dobiegł do schodów, ale płomienie były równie szybkie. Jego płuca płonęły, z trudem mógł oddychać. Za sobą usłyszał krzyk kobiety.

Jednak myślał wyłącznie o przeżyciu. Prawie płynął w powietrzu, kiedy zbiegał po schodach. Patrzył na drzwi poniżej i nie zauważył, że niektóre stopnie były obruszone i ledwo się trzymały. Potknął się i runął głową naprzód w ciemną otchłań. Krzyk uwiązał mu w gardle, dusił go...

Zerwał się na łóżku. Oddychaj głęboko, nakazał sobie. Zdał sobie sprawę, że to tylko stary sen, który wrócił, by znów nie dawać mu spokoju po nocach. To znak. W płomieniach musiał zginąć ktoś inny, a nie Janice. Na pewno któraś z jej przyjaciółek artystek spędzająca tam noc. Zmusił się, by się uspokoić. Po kilku minutach puls wrócił do normy, a adrenalina przestała krążyć w żyłach. Znów mógł się położyć.

Przezornie patrzył przez okno na niebo oświetlone srebrzystym światłem księżyca. Wiedział, co musi zrobić. Nie miał wyboru.

Następnego ranka Signe wręczyła Sharon nowy klucz do galerii. — Zarządca chyba ma rację. Ktoś musiał wystraszyć włamywacza, zanim coś zdążył ukraść.

Sharon wpięła nowy klucz. — To mnie niepokoi. Nie mogę zrozumieć, jak mogłam zgubić klucz.

— Pewno ktoś go ukradł. Ale nie martw się, Janice. Nic się nie stało.

— I z dokumentów nic nie zginęło?

— Nie sądzę, ale włamywacz narobił dużo bałaganu. Chyba był zainteresowany aktami osobowymi, w każdym razie tam grzebał, zanim nie został wystraszony.

Kiedy Signe mówiła, Sharon przerzucała teczki. Jej była jedyna pod literą Y. Stwierdziła, że była nietknięta.

Dzięki Bogu, pomyślała. Włamywacz, kimkolwiek on był, nie szukał jej dokumentów.

A może tylko chciał, żeby to tak wyglądało.

— W każdym razie musimy być ostrożni. — Signe z szuflady wyciągnęła mały pojemnik ze sprejem. Dała go Sharon. — Sprej pieprzowy. Każdemu kupiłam.

— Oddam ci pieniądze.

Signe pokręciła głową. — Ten wydatek odpiszę od podatku. Zastanawiam się też nad systemem alarmowym. Aż do tej pory nie chciałam go instalować, bo takie urządzenia są cholernie drogie.

— Signe, ale ten wydatek może się opłacić.

Signe dała Sharon fakturę i zmieniła temat. — Poznałaś Adama Creswella na wystawie w Bainbridge. Kupił akwarelę Hicksa przedstawiającą górę Rainier i chce ją wysłać do Europy. Poprosił, żebyśmy zapakowali obraz.

— Dlaczego nie wysyła jednego ze swoich własnych obrazów?

— Bo są nie najlepsze, jak pewno zauważyłaś w sobotę na wystawie. — Signe wzruszyła ramionami. — Ale to miły facet i dlatego chciałam, żebyś to ty reprezentowała naszą galerię.

— Przygotuję dla niego ten obraz — zaproponowała. Odetchnęła z ulgą, gdy Signe tak samo jak ona oceniła wartość prac Adama.

— Świetnie — rzekła Signe, uśmiechając się. — Jak wiesz, zawsze walę się w palce przy wbijaniu gwoździ.

Signe objaśniła, gdzie w piwnicy znajdują się skrzynki, i po chwili Sharon schodziła drewnianymi schodami. Doskonale zdawała sobie sprawę, że pochodzą z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Galeria była jedyną instytucją w budynku, która miała dostęp do piwnicy, pozostałe pomieszczenia na dole odgrodzono murem i stały się częścią trasy wycieczkowej po starych podziemiach Seattle. Straszne miejsce, ale Sharon uznała, że jest bezpieczne. Żeby się tu dostać, trzeba było przejść przez biuro Signe.

Zadrzała. Chociaż turyści lubili oglądać ulice i witryny sklepowe sprzed ponad stu lat — pogrzebane, kiedy splantowano wzgórza, by powiększyć nadbrzeże — to Sharon nie cierpiała wilgotnych śmierdzących podziemnych labiryntów.

Pośrodku sufitu na kablu wisiała żarówka. Jej blask był zbyt słaby, by oświetlić pokryte pajęczyną kąty i mroczne schowki. Sharon rozjeżdżała się wokół, czuła się, jakby robactwo oblażyło jej skórę.

Potrzebowała drabiny, żeby sięgnąć skrzynkę znajdującą się na półce pod oknem w tylnej ścianie. Choć okno było zabite listwami, poprzez szczeliny padało światło i Sharon zorientowała się, że jest na wysokości alei. Włamywacz nie dostał się do piwnicy, nic tutaj nie było poruszone.

Sharon wzięła skrzynkę pod pachę i ruszyła w kierunku schodów. Szczur przebiegł między jej stopami. Mimowolnie krzyknęła.

Pognała po nierównej ceglanej podłodze, a potem wpadła na stare schody. Wbiegła na górę, a kiedy zaczęła po omacku szukać gałki, drzwi się nagle otworzyły.

— Janice, co się stało? — spytała zaniepokojona Signe.

Sharon szybkim ruchem wyłączyła światło i zatrzasknęła za sobą drzwi. Signe wzięła skrzynkę, którą Sharon wciąż przyciskała do swojego ciała. — Szczur przebiegł mi między nogami! — wykrztusiła w końcu. — Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam, ale okropnie boję się szczurów.

— O Boże — jęknęła Signe. — To ja przepraszam. Powinna cię przestrzec.

Nagle Sharon poczuła się głupio. — Aż tak głośno krzyczałam?

Signe skinęła głową, uśmiechając się. — Postawiłaś na nogi chyba pół Seattle. Myślałam, że ktoś cię zaatakował.

— Na kogo napadnięto? — W drzwiach do galerii zjawił się Adam. — Skąd to zamieszanie?

— Janice tylko zadarła z dzikimi mieszkańcami podziemi. Poszła do piwnicy po skrzynkę na twój obraz.

— Fu! — Zrobił minę do Sharon. — Krzyczałbym jeszcze głośniejsze. Ja też nienawidzę szczurów.

— Naprawdę przepraszam. — Sharon mówiła drżącym głosem.

— Lepiej niech pani na chwilę usiądzie. — Adam wziął ją pod ramię i nim zdążyła zaprotestować podprowadził ją do krzesła.

— Naprawdę nic mi się nie stało. — Była jednak tak rozdygotana, że przez chwilę musiała posiedzieć, by uspokoić swoje nerwy. Czyżby to była skumulowana reakcja na przerażające zdarzenia?

— Może napijemy się kawy — Adam zwrócił się do Signe. — Przytnię z budki. W tym czasie możecie zapakować mój obraz.

— Mam lepszy pomysł — rzekła Signe. — Zabierz Janice na kawę. Spacer na świeżym powietrzu dobrze jej zrobi. — Uśmiechnęła się do nich. — Ja w tym czasie wszystko ci przygotowuję.

Nie pozwoliła Sharon zaprotestować. Kilka minut później wyszła z Adamem z galerii. Skierowali się do małej kawiarni.

Go ty, do diabła, robisz? — Sharon zadała sobie pytanie. Wczoraj Taylor, dziś Adam. Powinna się trzymać z dala od nich obu. Takie postępowanie to szukanie kłopotów.

Jednak od samego początku odczuwała pokrewieństwo z Janice, zbliżała się do niej. A teraz przyciągali ją ludzie, którzy byli blisko z Janice. Przerazało ją to.

Usiedli przy stoliku na zewnątrz.

— Czyż to nie jest typowe dla Seattle? — spytał Adam. Sharon dziwiła się, że ten jego szybki sposób mówienia może być tak sympatyczny. — Usiedliśmy tutaj i zaraz wyszło słońce.

— To jest jedna z rzeczy, którą lubię w tym mieście — odparła. — optymizm.

Pił kawę małymi łykami, odwracając wzrok. — Janice, długo mieszkasz w Seattle?

— Od sześciu miesięcy, może trochę dłużej.

— Co cię tu sprowadziło?

Odprężyła się, ale teraz w jej głowie rozległ się dzwonek ostrzegawczy. — Zerwałam zły związek. — Spojrzała w stronę portu. — Przyjechałam do Seattle, bo myślałam, że będzie to dobre miejsce, by wychowywać tu syna.

— Nie mieszkałaś tu wcześniej?

— Nie, nigdy.

Zainteresowany wyraźnie, zastanawiał się. — Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że ty i Taylor jesteście starymi przyjaciółmi. Może dlatego, że jesteś tak bardzo podobna do tej... drugiej Janice Young, która, nawiasem mówiąc, była moją przyrodnią siostrą.

— Przykro mi, że przypominam o złym okresie w twoim życiu. — Zdecydowała się nie kontynuować rozmowy o Janice. — Taylora poznałam niedawno, na wystawie u Signe. — Uśmiechnęła się. — Wiem, że ma jakąś małą galerię sztuki na placu Pioniera.

— Tak, to bardzo ekskluzywna galeria. Wystawia tylko drogie prace znanych artystów. Jak będziesz miała czas, musisz tam zajrzeć. — Zamilkł. Potem nagle spojrzał jej prosto w oczy. — Zwłaszcza jeżeli jesteś artystką...

— Nie jestem. — Jej odpowiedź była automatyczna. — Adam, już mnie o to pytałeś w sobotę wieczorem.

Uśmiechnął się. — Musiałem źle zrozumieć Taylora. Wydawało mi się, że on to mówił.

Pokręciła tylko głową.

— Skoro niedawno poznałeś Taylora, to chyba nic nie wiesz o jego przeszłości.

— Jak już mówiłam... zupełnie nic. — Patrzyła pewnym wzrokiem. — Zaczynam podejrzewać, że może jest bandytą napadającym na banki... lub coś w tym rodzaju.

— Tak źle nie jest. — Znow się zawahał. — Nie myśl tylko, że obgaduję starego przyjaciela. On po prostu nie znalazł szczęścia w związkach z kobietami. Nigdy się nie ożenił, co chyba jest zrozumiałe.

— Jak to? — Sharon nie mogła się powstrzymać od pytania. Była ciekawa.

— Wychowywał się w rodzinie zastępczej, po tym jak umarła jego matka, a ojciec go porzucił. — Zamilkł na chwilę. — Mamy wspólne doświadczenie... mnie też ojciec porzucił.

— Rozumiem — rzekła Sharon. Poczulią się nieswojo.

Wzruszył ramionami. — Ale obaj sobie z tym poradziliśmy, każdy w inny sposób.

Nie rozwodził się nad tym dalej, a Sharon go nie pytała.

— W każdym razie Taylor jest człowiekiem, który do wszystkiego doszedł własną pracą. Zazdroszczę mu tego, choć nie chciałbym mieć bagażu, który towarzyszy mu w drodze do sukcesu.

— A ty, jesteś zaangażowany w jakiś związek? — Chętnie zadała to pytanie, bo on zdawał się skłonny rozmawiać wyłącznie o Taylorze.

— Jestem rozwiedziony. — Opróżnił filiżankę. — Byłem za młody, żeby wiedzieć, czym jest małżeństwo. Ale teraz dojrzałem i szukam.

Była to sprawa, którą nie chciała się zajmować. Dopięła do końca kawy i wstała.

— Muszę wracać do pracy. Za to mi Signe płaci.

Roześmiał się. — Ja też muszę iść wysłać obraz. To prezent dla przyjaciółki z Paryża, która za trzy dni ma urodziny.

Wracali do galerii szybkim krokiem. Adam był miły. Rzeczywiście wydawał się bardziej sympatyczny niż Taylor.

Był krańcowym przeciwieństwem człowieka takiego jak Paul.

Przez resztę dnia Sharon nie mogła się pozbyć myśli o Paulu. Czy to on ją odnalazł... czy może tropi ją ktoś, kto w przeszłości był związany z Janice? Ta niepewność dręczyła ją coraz bardziej; postanowiła zaryzykować i zadzwonić do Paula. Może nie zainstalował urządzenia identyfikującego numer rozmówcy, który by pozwolił określić rejon kraju, gdzie się zatrzymała. Musiała wiedzieć, czy jest w Noe Valley, czy może śledzi ją tu w Seattle.

Mogła wyjść z pracy trochę wcześniej i przed pójściem do samochodu weszła do budki telefonicznej na placu Pioniera. Wrzuciła kilka monet do automatu i wystukała ich numer w San Francisco. Słuchała, jak telefon bez końca dzwoni po drugiej stronie linii.

Po szóstym sygnale odebrała automatyczna sekretarka.

— Tu Paul Moore. Nie będzie mnie w mieście przez następne kilka dni. Proszę zostawić informację. Zadzwonię w ciągu najbliższych kilku godzin. Dziękuję.

Rozległo się bipnięcie, potem trzask, a w końcu sygnał świadczący, że połączenie zostało przerwane.

Sharon odwiesiła słuchawkę. Nagle poczuła się tak bezbronna, że chciała kucnąć w budce telefonicznej i ukrywać się, aż stwierdzi, że nikt nie ma na zewnątrz... nikt jej nie obserwuje.

Jego głos był taki, jakim go zapamiętała — chłodny, wyrachowany i grobowy.

Stanęły jej włoski z tyłu szyi, pojawiła się gęsia skórka. Ruszyła szybko do volkswagena garbusa. Wskoczyła do niego i zamknęła drzwi. Wyjeżdżając z parkingu, wpatrywała się w lusterko wsteczne. Gdy dotarła do podnóża Wzgórza Królowej Anny, doszła do wniosku, że nikt jej nie śledzi. Zaczął powracać zdrowy rozsądek.

Jak długo można żyć w ten sposób? Wyjazd Paula z miasta nie oznacza, że przyjechał do Seattle.

Może Paul teraz częściej wyjeżdża w interesach, bo nie musi już jej pilnować. A może uznał, że wyjazd na urlop nie jest wcale kaprysem. Nadszła zgąśła równie szybko, jak się pojawiła. Paul nigdy się nie zmieni.

— Lexi, gdybym mogła z tobą porozmawiać. — Ale nie odważyła się zadzwonić do Lexi i narażać jej. — Tak bardzo mi Ciebie brakuje... — Jej słowa brzmiały głucho w małym samochodzie.

A jeśli osoba, która dzwoniła, obserwowała każdy jej ruch, to nie Paul? Może nie wie, że ona jest w Seattle. Może to kto inny ją terroryzuje.

Na wzgórzach zwolniła. Czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek do tej pory.

Nie, była *zupełnie samotna*. A to jest różnica.

Kiedy odebrała Davida i skierowała się do domu, odzyskała kontrolę nad sobą. Ale tylko pozornie. Jeszcze nigdy od wyjazdu z San Francisco nie była tak przerażona.

Rozdział 21

Telefon zaczął dzwonić, kiedy Sharon i David weszli do domu.

— Odbiorę, mammo.

— Poczekaj chwilę. — Rzuciła torebkę i klucze na krzesło, by uwolnić ręce. — To chyba Signe dzwoni z pracy.

Było za późno. Szybkim ruchem podniósł słuchawkę. Miał nadzieję, że to Pete chce go zaprosić do zabawy.

— Halo — powiedział poważnym głosem dużego chłopca.

Sharon czekała, że da jej słuchawkę. Ponieważ Pete zaczął dzwonić do niego po szkole, David nabrał złego nawyku, by podbiegać do telefonu i odbierać jako pierwszy.

Uśmiechnęła się. Chyba nie chcesz, żeby znów był małym potulnym chłopcem. Twój syn wyrasta na pewną siebie, samodzielną osobę.

— Halo. — Czekaj chwilę. — Jest tam ktoś? — David spojrzał na Sharon. — Pomyłka, mammo.

— Daj, porozmawiam sama.

— To jakiś pan. Rozłączył się.

Wzięła słuchawkę i usłyszała sygnał. — Czy coś ci mówił? — spytała spokojnie.

— Tylko że wykręcił zły numer.

— To wszystko?

— Aha.

— A mówił znajomym głosem? Może to był tata Pete'a albo ktoś ze szkoły?

— Nie. — Spojrzał na nią pytającym wzrokiem. — Myślisz, że to był zły facet? Nasza pani mówi, że na świecie są źli ludzie i nie powinniśmy rozmawiać z obcymi.

Sharon przełknęła ślinę. Nie miała zamiaru go straszyć. — Nie, kochanie, nie sądzę, żeby był to zły facet. — Zmusiła się, by dalej mówić

spokojnie. — To mógł być ktoś, kto tylko pomyślał, że wykrecił zły numer... bo to ty się odezwałaś.

— Więc chyba ty powinnaś odbierać telefony.

Przytaknęła. — To dobry pomysł.

— Dobrze. — Postawił stopę na stopniu schodów i się zatrzymał.
— Ale jak Pete zadzwoni, to będę mógł rozmawiać?

— Taka jest nasza umowa.

Z czułością poklepała go po tyłku i kazała iść na górę, żeby zmienić ubranie. Kiedy wieszała ich kurtki, telefon ponownie zadzwonił. Chwycała słuchawkę. — Tak? — odezwała się krótko.

— Pani Young? — Pete mówił zdyszczanym głosem, jakby przed chwilą biegł. — Czy David może przyjść do mnie i zagrać w piłkę na podwórzu?

— Za sekundę — odparła. — David chce sam z tobą porozmawiać.
— Umowa jest umową. Zawołała go.

Oparła się o stolik, kiedy na niego czekała. Gapiła się na telefon, mimo wszystko pożyteczne urządzenie. Jesteś kłębkiem nerwów, psychicznym wrakiem, stwierdziła. Nie każda pomyłka telefoniczna to dzieło szaleńca.

David zbiegł po schodach. — To Pete?

Zmusiła się do uśmiechu i dała mu słuchawkę. — Możesz wyjść na pół godziny.

Kilka minut później obserwowała, jak dołączył do Pete'a i zaczęli grać w piłkę. Był przyjemny wiosenny dzień, teraz słońce zachodziło dopiero przed ósmą. Westchnęła i zaczęła przygotowywać kolację. David był bezpieczny na podwórzu u Loganów.

Właśnie położyła Davida spać i zeszła na dół, by posprzątać przed pójściem do łóżka, kiedy znów zadzwonił telefon. Przekłęte urządzenie! Ciągle jeszcze przyprawiał ją o przerażenie. Chwycała słuchawkę, zanim po raz drugi rozległ się sygnał. Miała nadzieję, że David nie usłyszał. Chłopiec wykorzystywał każdą najdrobniejszą okazję, żeby wstać z łóżka. Kolejny zwyczaj typowy dla dzieci w jego wieku.

— Halo.

— Cześć, Janice. Mówi Midge z sąsiedztwa.

— Cześć, Midge. Co się stało? — Sharon oderwała słuchawkę od ucha, by odgarnąć włosy. — Mam nadzieję, że David nie wrzucił piłki przez okno ani nie spocił się w inny sposób.

— Ależ nie. — W słuchawce rozległ się śmiech Midge. — Nic z tych rzeczy. — Zamilkła na chwilę. — To nie jest ważne, ale pomyślałam, że ci powiem o tym. Sama osądzisz.

— O co chodzi? — Uśmiech zamarł Sharon na ustach. Ton w głosie Midge informował, że jest zaniepokojona, choć mówiła co innego.

— Kiedy David poszedł do domu, Pete został jeszcze trochę na dworze. Odbijał piłkę o ścianę garażu. Piłka wypadła na alejkę i pobiegł za nią. — Wzięła głęboki oddech. — Wtedy zobaczył mężczyznę za twoim garażem.

— Jakiego mężczyznę?

— Właśnie o to chodzi. Nie wiem. Ale Pete powiedział, że to ten sam, który kiedyś o was pytał.

— Czy coś powiedział? Co robił?

— Wiesz, jacy są mali chłopcy. Nie zwracają uwagi na szczegóły. — Westchnęła. — Pete powiedział tylko, że to ten sam mężczyzna, którego widział poprzednio, ale tym razem nie miał bejsbolówki na głowie. I teraz nic nie mówił.

Sharon zagryzła usta. — Stał tam wciąż, jak Pete wrócił do domu?

— Nie. Kiedy Pete powiedział mu cześć, facet ruszył alejką i zniknął na ulicy.

— Pete go obserwował?

— Tak. — Znów wahanie. — Uwier mi, Janice, nakładłam mu do głowy, że powinien szybko wracać do domu, jak zobaczy, że ktoś obcy kręci się w pobliżu.

— Dobrze, tak powinien się zachować.

— Ja tylko chcę, żeby on... I David też, byli bezpieczni.

— Ja też. — Sharon usiadła na krześle przy stoliku. — Nie mam pojęcia, kto to mógł być, ale jestem wdzięczna za ten telefon. — Przerwała. — Cieszę się, że Pete ci o tym powiedział.

— Dzięki, Janice. To chyba dobrze, że zadzwoniłam do ciebie. Wahalam się, bo się bałam, że wezmiesz mnie za panikarę. — Parsknęła śmiechem. — Przecież wiesz, że matki działające w organizacjach strzegących porządku traktują swoją pracę zbyt poważnie. — Zaczęła mówić poważnym tonem. — Ale Bob i ja jesteśmy przekonani, że nigdy dość ostrożności, jak się ma małe dzieci.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. I dziękuję, Midge. Będę miała się na baczności przed tym człowiekiem. Chciałabym wiedzieć, kto to jest i czego od nas chce.

— Ja też. My również będziemy uważać.

Po krótkiej rozmowie na temat swoich synów Sharon odłożyła słuchawkę i powiedziała dobranoc. Potem przed pójściem na górę sprzątnęła w kuchni i sprawdziła, czy drzwi są zamknięte na klucz, a rolety opuszczone.

Rozpaczliwe potrzebując odpoczynku, Sharon wypróbowała wszystkie znane jej techniki zasypiania. W myślach recytowała wiersze, wyobrażała sobie spokojne krajobrazy, dodawała długie kolumny liczb, a nawet liczyła owce. W końcu mogła zasnąć.

Sharon nagle się obudziła. Nasłuchiwała. Na zewnątrz noc była spokojna, księżyc wędrował po niebie, chowając się i wyłaniając zza szybko wędrujących chmur, oświetlał jej pokój srebrzystym światłem.

Co ja słyszałam? — zadała sobie pytanie. I zaraz odniosła wrażenie déjà vu.

Zsunęła się z łóżka, podeszła do okna i stanęła za zasłoną tak, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć. Nic się nie poruszało. Światło z werandy oświetlało podwórze z tyłu domu poniżej. Nikogo nie było na terenie jej posiadłości. Nie widziała alei, ale odgłos, który ją obudził, rozległ się na pewno przed płotem.

Była zdenerwowana, wiedziała, że nie zaśnie, dopóki nie upewni się, że dom jest bezpieczny. Wyszła na korytarz, zajrzała do pokoju Davida, gdzie ten smacznie spał, a potem skierowała się na schody.

Na dole obezła wszystkie pokoje i wróciła na korytarz. Nie usłyszała żadnych hałasów, jedynie odgłos skrzypiących desek uginających się pod jej ciężarem. Ktoś musiałby być w piwnicy, żeby usłyszeć, że chodzi po domu, ale tutaj nie było żadnej piwnicy, tylko niski korytarz umożliwiający dostęp do węzłów sanitarnych. Wszystko było bezpieczne. Patrząc na jedyny słaby punkt — na okno w drzwiach frontowych — uznała, że nikt nie mógłby bezszelestnie dostać się do domu.

Mimo to w jej głowie zaświtała myśl o systemie alarmowym. Gdyby zainstalowała alarm przeciwwłamaniowy, nie musiałaby za każdym razem po usłyszeniu podejrzanych hałasów sprawdzać domu. Jutro zadzwoni do właściciela domu. W tej sytuacji trzeba zrobić coś sensownego, bo inaczej zwariuje z bezsenności. Może nawet zapłacić za alarm z własnej kieszeni.

Już weszła na schody, kiedy zadzwonił telefon.

Na chwilę zamarła. Nogi same zniosły ją do stolika na korytarzu, ręka zatrzymała się nad słuchawką. Wiedziała, że to był on, anonimowy rozmówca. Mogłaby nie podnosić słuchawki, ale nie chciała, żeby telefon obudził Davida. Podniosła ją, a potem nie odzywając się ani słowem, odłożyła na widełki. Przerwała połączenie.

Czekała kilka sekund, a kiedy telefon ponownie nie zadzwonił, cofnęła się do schodów. Podłoga lekko skrzypiała pod jej stopami. Na ostry dźwięk telefonu podbiegła do aparatu. Tym razem podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Nie odezwała się.

— Janice, wiem, że tam jesteś. — Był to ten sam stłumiony, odległy głos, który wypowiadał słowa z długimi przerwami między nimi.

Na chwilę zapadła cisza.

— Wiem, że jesteś na korytarzu. Wiem, że poprzednio odłożyłaś słuchawkę. Wiem też, że miałaś zamiar wejść na górę, ale szybko wróciłaś, żeby odebrać ten telefon.

— Kim jesteś? Czego chcesz?

Do jej ucha dotarło westchnienie. — Dlaczego udajesz... prowadzisz tę wstrętą grę? Janice, dobrze wiesz, czego chcę. — Przerwa. — Chcę twojej śmierci. — I natychmiast rozległ się głośny sygnał.

Oparła się o ścianę, rozglądała się wokół. Kim był rozmówca? Dlaczego ją tropi? Skąd wiedział, gdzie jest w swoim domu?

Okulary umożliwiające widzenie w ciemnościach. Widziała takie w sklepie z różnymi gadżetami na placu Pioniera. Czyżby ukrył się gdzieś na zewnątrz z okularami na podczerwień i obserwuje dom przez okno w drzwiach frontowych — jedyne okno bez rolet?

Sharon pobiegła do bieliźniarki, wyciągnęła z niej prześcieradło i zasłoniła nim owalne okno. Jednak wciąż przebiegały ją dreszcze z powodu upiornego uczucia, że jest obserwowana.

Jej nowy dom nie był dłużej bezpieczny.

Jestem zombie, bo kradniesz mi sen... ale to nie będzie trwało wiecznie — mamrotała Sharon do siebie, kiedy przygotowywała śniadanie. Słyszała Davida kręcącego się w swoim pokoju na górze. — Kimkolwiek jesteś, musisz się strzec. — Wyrzała przez okno nad zlewem, sprawdzała teren. — Tak łatwo się nie wymkniesz. Nie jestem bezbronnym celem!

Grzanka wyskoczyła z opiekacza. Smarując ją masłem, jednocześnie obserwowała smażącą się jajecznicę. Mimo wszystko była zaniepo-

kojona. Czy będzie znów w stanie przeprowadzić się z Davidem? Lubił swoją szkołę, kolegów; mieli mały domek we wspaniałej okolicy, troskliwych sąsiadów. Ona miała dobrą pracę, która zapewniała doskonałe ubezpieczenie medyczne i dentystyczne. Ta praca pozwoliła jej zaoszczędzić większość pieniędzy, które wywozła z San Francisco. Zapušcili tu korzenie; Seattle stało się ich domem. Wymieszała jajecznicę. Teraz, kiedy byli finansowo i emocjonalnie bezpieczni, pojawił się jakiś szalaniec.

Kim był? Przypadkowym prześladowcą? Do miseczki wrzuciła jedzenie dla Moppeta. Ktoś, kto był przekonany, że ona jest kimś innym. A może to Paul?

Spojrzała na zegar i stwierdziła, że David powinien już jeść śniadanie. Wciąż słyszała go na górze, tym razem w łazience. Poszła, by go ponaglić.

Natknęła się na niego na schodach, razem poszli do kuchni. Kiedy zjadł, wygoniła go znów na górę, by umył zęby i zabrał swój plecak.

Dziś rano poruszał się równie powoli jak ona. Znowu musiała po niego pójść. Spojrzała na nią znad umywalki, nad którą mył zęby.

— Gotowy?

Wypluł pastę i odkręcił kran. Nigdy wcześniej nie widziała śladów krwi na paście.

— Krwawią ci zęby? — spytała. Mycie zębów traktował bardzo poważnie i nie chciał jej pomocy.

— Aha. Tylko z tego jednego na przedzie.

— Pokaż. — Sharon podeszła bliżej, chłopiec otworzył usta. Mogła zobaczyć, gdzie dźiąsło było lekko zaczerwienione. — Musisz lepiej czyścić zęby. To dlatego to miejsce jest tak wrażliwe. Musisz je zahartować.

— Mamo, ale ja mocno czyszczę...

— Wiem o tym.

Pocałowała go w głowę, a potem poszła po kurtki. W szkole odprowadziła go do drzwi i potem skierowała się nad Jezioro Zielone. Miała nadzieję, że poranna przebieżka doda jej energii. W galerii znalazła się tylko kilka minut przed czasem.

— Wyglądasz na zmęczoną — rzekła Signe, odrywając się od urządzenia wystawy.

— Trochę jestem.

— Żle spałaś?

— Miałam znów telefon w środku nocy. — Sharon wzruszyła ramionami. — To ten sam typak. Ciekawa jestem, skąd wziął mój numer telefonu. Jest przecież zastrzeżony.

— Niestety, są na to sposoby. — Jeszcze przez chwilę przypatrywała się Sharon. — Ostatnio miałaś wiele dziwnych zdarzeń, prawda?

— Signe, chyba masz rację. Takie przypadki chodzą stadami.

Nagle pożałowała, że zwierzyła się Signe z anonimowych telefonów, ale czuła się tak wyobcowana, pozbawiona przyjaciół, że uległa potrzebie porozmawiania o tym. Była jedynie zadowolona, że Signe nic nie wiedziała o innych sprawach.

Schowała swoje rzeczy i nagle zaczęła się zastanawiać, czy Signe jest tylko ciekawa... może w rzeczywistości coś podejrzewa. Ostatnio kilka razy zapytała ją o wcześniejsze życie i o ojca Davida.

Kiedy przystąpiła do pracy, zdała sobie sprawę, że reaguje coraz bardziej paranoicznie. Ponieważ ma coś do ukrycia, zaczyna myśleć, że każdy ją podejrzewa. Miała tylko nadzieję, że Signe nie nabierze wątpliwości. Nie potrafię żyć w kłamstwie, pomyślała. Nie umiem też rozmownie oszukiwać ludzi, którzy mi ufają.

Ranek szybko minął i w południe poszła na nadbrzeże. Kupiła kawę, by popić kanapkę, i poszukała ławki, z której mogła obserwować ruch w porcie. Było ciepło, więc ściągnęła marynarkę, zwinęła ją i użyła jako poduszki. Nogi położyła na barierce przed sobą. Przechyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Łagodny wiatr przynosił słony zapach Zatoki Eliota. Nagle poczuła się śpiąca. Pozwoliła sobie na chwilę relaksu.

— Jak uczynasz drzemkę na nadbrzeżu, to możesz się obudzić bez kanapki, nie wspominając o torebce.

Gwałtownie otworzyła oczy. Stopą z hukiem uderzyła w ziemię, kiedy się wyprostowała na ławce. Przez moment była zdezorientowana, ale rozpoznała mężczyznę w dżinsach i granatowym pulowerze, który usiadł obok niej na ławce. W jednym ręku trzymał hamburgera, a w drugim colę. Taylor zawsze zjawiał się w najbardziej nieodpowiednim momencie.

— Przyznaj się, Janice. Spałaś. — Uśmiechnął się.

— Tylko odpoczywałam, korzystałam z uroków słońca.

Zmrużył oczy od blasku i przyjrzał się jej delikatnym włosom i bluzce, którą wyciągnęła zza paska spodni. Jej wyraz twarzy powiedział mu, że złapał ją na drzemce.

— Co się dzieje? Ostatnio nie śpisz dobrze? — Nachylił się, przyglądał się jej twarzy. — Wiesz, że wyglądasz na zmęczoną?

Dlaczego o to pyta? Bo wie, że prawie nie spała. — Właśnie, że dobrze spiam.

— Jesteśmy marudni, co? — Śmiech stłumił ostry ton w jego głosie. — Chyba jednak mam rację. Jesteś wyczerpana, prawda? — Podał jej kawę, która stała na ławce obok. — Powinna cię obudzić.

Wzięła ją. Była chłodna, co oznaczało, że jednak zasnęła. Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że minęło piętnaście minut od czasu, kiedy tu usiadła.

— Nie masz nic przeciwko, że się do ciebie przyłączę? — spytał, myśląc o posiłku.

— Już to zrobięś. W każdym razie jest to publiczna ławka. — Jej oczy napotkały jego wzrok. — Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

— Przed pójściem na łódkę skusiłem się na hamburgera i... — Powieki w kącikach oczu zmarszczyły mu się lekko, jakby chciał się uśmiechnąć. — ...i zobaczyłem kobietę śpiącą na ławce. Eureka, to byłaś ty.

Odwinęła kanapkę i spojrzała na niego, nim zaczęła jeść. — Idziesz na jacht? Szczęśliwy człowiek. I piękny dzień na żeglowanie.

— To ucieknij na węgry. Chodź ze mną.

Przełknęła ślinę. Nie była w stanie orzec, czy mówi poważnie, czy żartuje. — Dziękuję za zaproszenie, ale nie mogę.

Cmoknął językiem. — Obawiałem się tego. Janice, ty zawsze jesteś grzeczną dziewczynką?

Komentarz wydawał się niewinny, ale nie była pewna jego sensu.

— Zawsze — odparła. — Matki muszą świecić przykładem.

Wypił łyk coli. — W pierwszej sekundzie myślałem, że chcesz powiedzieć żony. — Spojrzał na nią. — Jednak po naszym pierwszym spotkaniu doszedłem do wniosku, że jesteś niezamężna.

Przytaknęła, nie chciała kłamać słowami. Niech go diabli, pomyślała. Czym spowodowane jest jego zainteresowanie? Jej podobieństwem do prawdziwej Janice? A może podejrzewa, że jest kimś innym, niż podaje? Z pewnością nie flirtowała z nim, tak naprawdę to próbowała go zniechęcić. Przypomniła sobie, jak Adam mówił, że Taylor nie miał zbyt wiele szczęścia w związkach z kobietami. Może był za agresywny, jak teraz. Nigdy wcześniej nie spotkała mężczyzny takiego jak on — ujmującego, charyzmatycznego i atrakcyjnego na swój sposób.

Omial się nie udławiła. Znała kogoś, kto pasował do tego opisu... Paula.

— Szkoda, że David musiał dziś pójść do szkoły. Na pewno z radością popływałyby łódką — powiedział między kolejnymi kęsami hamburgera.

— David lubi też chodzić do szkoły — rzekła wymijająco.

Skończył jeść i wrzucił opakowanie do kosza na śmieci. — Ale mamy całe lato przed sobą. Wakacje są długie.

Skinęła tylko głową. Musiała w jakiś sposób odizolować siebie i Davida od tego człowieka. Czuła się, jakby została złapana w ogromną pajęczynę, a pająk cierpliwie czekał, aż przestanie walczyć. Z czym? — zadała sobie pytanie. Z własną płataniną kłamstw?

Wypiła kawę do końca, wepchnęła pół kanapki do kubka, wstała i wyrzuciła go do kosza. — Przynęłam i niestety straciłam trochę czasu. Muszę wracać do pracy.

Wstał i odprowadził ją do galerii. Nic nie mogła na to poradzić — powiedział, że zaparkował samochód w pobliżu galerii i tak musi iść w tym kierunku. Przy drzwiach zawahała się.

— Miło, że się znów spotkaliśmy — rzuciła.

— Naprawdę?

— Czy zawsze odpowiadasz pytaniami? — zapytała, sama unikając bezpośredniej odpowiedzi.

— Zgadłś! — Jego uśmiech rozbroił ją i sama mimowolnie się uśmiechnęła. — Tak lepiej. — Już odchodził, ale po chwili się odwrócił. — Janice, jeśli coś cię gnębi, to powiedz mi. Umiem słuchać. — Przerwał, jakby chciał rzec coś więcej. — Nie krępuj się. Możesz zadzwonić do mnie o każdej porze dnia i nocy.

Nie czekał na odpowiedź, ale jego słowa mrokiem zasnuły dzień. Co miał na myśli?

Co on wie?

Rozdział 22

Na ulicy Haight rozległ się ryk harleya davidsona. Motocykl gwałtownie skręcił na parking przed Szykownym Kociakiem. Zsiadł z niego brodaty motocyklista. Mężczyzna zdjął hełm i próbował przygłodzić gęste włosy, które sterczały mu we wszystkie strony. Odwrócił się,

wrzucił monetę do parkometru, a potem ruszył w stronę frontowych drzwi sklepu Lexi.

Lexi obserwowała go nieufnie, zastanawiała się, czy go już kiedyś widziała. Przynajmniej nie jest to Paul, stwierdziła. Chyba że to jego nowe przebranie.

Ta myśl ją przeraziła. Położyła dłoń na znajdującym się pod ladą przycisku alarmu, gotowa go nacisnąć w razie potrzeby. Zerknęła na Ala, który siedział na krześle z tyłu i czytał czasopismo. Czekał, aż zamknie sklep.

Mężczyzna zdecydowanym krokiem wszedł do środka, zatrzymał się, by się przyjrzeć całemu pomieszczeniu, a potem skierował wzrok na Lexi. Podchodząc do niej, sięgnął do tylnej kieszeni niebieskich dżinsów, wyjął portfel i otworzył go szybkim ruchem. Lexi rozpoznała go, zanim jeszcze zobaczyła odznakę.

Czego, do diabła, chce detektyw Walsh? Ścisnęło ją w żołądku, a nogi zrobiły się jak z gumy. Chwyliła się lada, by się podtrzymać. Ma informacje o Sharon.

— Nie mogłam pana poznać, detektywie Walsh. — Lexi znów spojrzała na Ala, który zauważył obecność mężczyzny i ruszył w ich stronę.

— Dziś nie przypominam gliniarza?

— No nie. — Lexi ciekawiło, czy mówi poważnie. — Myślałam, że to jakiś zwariowany motocyklista.

— W wolne dni jestem zwariowanym motocyklistą.

— Dziś ma pan wolne?

— Tak. — Uśmiechnął się niespodziewanie. — Pomyślała pani, że jestem z tych Aniołów Piekieł?

Zignorowała te słowa, była zbyt wystraszona jego obecnością. Zapytała wprost:

— Odnalazł pan Sharon?

Zapadło milczenie. Walsh przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Lexi przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Ten człowiek niczego nie wyjawia. — Żyją? — spytała.

Dzwonek ostrzegawczy rozległ się w głowie Lexi. Próbował ją wrobić. W co... żeby ujawniła coś, co wiedziała?

— Co pan powiedział? — Pytanie zabrzmiało nieprzekonująco. — Że Sharon żyje?

Zmrużył oczy. — Nic takiego nie powiedziałem.

— To dlaczego zadał pan to pytanie?

Al podszedł do Lexi i objął ją ramieniem. — Detektywie, nie jesteśmy w nastroju, by bawić się w jakieś gry słowne. Jeśli pan przyszedł poinformować o czymś Lexi, proszę to zrobić — warknął. — I tak dużo wycierpiała, więc dobrze by było, żeby wziął to pan pod uwagę.

Walsh wzruszył ramionami. — Dobrze wiecie, że jestem po tej samej stronie co wy... Nie mam żadnych nowych informacji o Sharon Moore, jeśli o to pytacie.

— Ale chyba nie przyszedł pan tu bez powodu. — Al wciąż mówił ostrym tonem. — O co chodzi?

— Zgadza się. — Detektyw uniósł dłoń przed Alem. — Zawrzyjmy rycerz. Byłem w okolicy i pomyślałem, że zobaczę, jak się czuje Lexi.

Wahanie.

— Czuję się... dobrze — odparła.

— To świetnie. I nie natknęła się pani więcej razy na Paula Moore'a?

— Więc w końcu pan uwierzył, że to on na mnie napadł?

— Jeszcze nie jestem zdecydowany, żeby tak twierdzić — odparł pokrętnie. — Ale wiem, że pani jest o tym przekonana... Więc nie widziała pani Paula od czasu, kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy?

— Zetknęłam się z nim... raz.

— Kiedy? Niedawno?

Przytaknęła. — Wieczorem, jak wychodziłam, zatrzymał mnie w drzwiach. Chciał wiedzieć, gdzie jest Sharon.

Przelotny grymas pojawił się na twarzy detektywa, ale znikł, zanim Lexi mogła go zidentyfikować. — Co mu pani powiedziała?

— Że jestem przekonana o jej śmierci. — Zawahała się. — Wpadł w szal, złapał mnie i zacisnął dłoń na moim gardle. Groził, że mnie zamorduje, jak nie powiem, gdzie ona jest. Oskarżyłam go, że ją zabił. — Przypominając sobie tamto zdarzenie, nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. — Wyglądało, że grozi poważnie, i byłam przerażona. Ten gnój widział to.

— Przyznał się też Lexi, że to on próbował ją zabić — dorzucił Al.

Detektyw Walsh spoglądał to na nią, to na niego, ale w końcu znów utkwiał wzrok w Lexi. — Dlaczego pani nie zadzwoniła do mnie?

— A czy to by coś dało?

Podczas rozmowy detektyw wyciągnął notatnik i pióro z kieszeni skórzanej kurtki. — Lexi, niech pani opowiada od początku. Proszę powiedzieć wszystko, co pani pamięta.

— Już chyba wszystko powiedziałam.
— Czym mógł być spowodowany postępek Paula?
— Nie mam pojęcia — odparła Lexi. — W jego przypadku wszystko może wchodzić w grę, ale myślę, że chodzi o pieniądze.

Detektyw Walsh uniósł głowę i spojrzał twardym wzrokiem. — Miała pani jakąś wiadomość od Sharon?

— Jezu! — wykrzyknął rozżłoszczony Al. — Walsh, co pan wyprawia? Rozdrapuje pan rany, które dopiero co się zagoiły? Sharon i jej syn nie żyją!

Detektyw odłożył pióro i notatnik, zignorował ten wybuch gniewu. — Więc nie miała pani żadnych rozmów telefonicznych... może przzerwanych... Z takich miast jak Chicago, Denver albo na przykład Seattle?

Poinstruowała się, że nie powinna spuszczać wzroku. — Nie. — Nawet gdybym miała, to zachowałabym to w tajemnicy, powiedziała w myślach. Nie da się zwieść, że detektyw jest po jej stronie. On tylko węszy. Poza tym intuicja mówi jej, że Sharon żyje i nie będzie o tym nikomu mówiła, tak na wszelki wypadek, gdyby przeczucie jej nie myliło.

— Co pan sugeruje? — spytał ostro Al.

Detektyw wzruszył ramionami. — Zauważyłem tylko, że Lexi ma urządzenie podające numer dzwoniącego. Mogła zauważyć, że były jakieś telefony spoza stanu.

— Żadnych takich nie było.

— No to chyba już wszystko. — Podeszedł do drzwi, a potem obejrzał się na Lexi. — Jeśli zdarzy się jakiś incydent, to czekam na telefon. — Na krótko na jego ustach pojawił się lekko drwiący uśmiech. — Wiecie, że nie jestem waszym wrogiem.

Wyszedł.

Lexi przytuliła się do piersi Ala. — Chodźmy już, kochanie. Na cóż tu mamy jeszcze czekać...

Skinął głową i poszedł po jej płaszcz. Na szczęście miała Ala. Był jej opoka. W następnym miesiącu wezmą ślub.

W podróż poślubną pojadą do Seattle.

Rozdział 23

Sharon z ręką nad słuchawką gapiła się na dzwoniący telefon. Ze strachem podniosła słuchawkę i niepewnym głosem powiedziała halo.

- Janice? Mówi Signe.
- Cześć, Signe. W samą porę zadzwoniłaś, wychodziliśmy z Davidem.
- Dobrze, że cię zastałam. — Zawiesiła głos. — W galerii mieliśmy kolejny incydent.
- Go się wydarzyło? Nic ci się nie stało?
- Mnie nic... Ktoś usiłował się włamać, ale zadziałał alarm. Dzięki Bogu, że go zainstalowałam.
- Nie dostał się do środka?
- Nie, uciekł. Przyjechała policja i kiedy stwierdzili, że nie ma żadnych zagrożeń, zadzwonili do mnie. Obudzili mnie o piątej rano.
- Więc w galerii nie ma żadnych szkód?
- Nie, ale chciałam cię uprzedzić, co zastaniesz, bo to ty dzisiaj ją otwierasz.

Sharon stłumiła lęk. — Dziękuję, Signe.

— Zarządca budynku będzie czekał na ciebie, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- To dobrze.
- Jeszcze jedno, Janice. — Signe chrząknęła. — Myślę, że trzeba zamykać na klucz drzwi do piwnicy, kiedy w pojedynkę jesteśmy w galerii.
- Tamtędy chciał się dostać włamywacz?
- Nie, ale to taki środek ostrożności. Piwnica jest przy podziemiach, wprawdzie odgradzona murem, ale nigdy nic nie wiadomo.
- Oczywiście. — Nagle Sharon spostrzegła, że zbyt mocno przyciska słuchawkę do ucha.
- Zobaczymy się koło południa.
- Będę w galerii. — Zmusiła się, by mówić lekkim tonem. — Nie martw się, Signe. Wszystko będzie w porządku.

Rozłączyły się. Sharon przez minutę nie ruszała się z miejsca, dłonią wycierała spocone czoło. Potem poszła do kuchni i połknęła trzy aspiryny. Miała nadzieję, że pozbędzie się pulsującego bólu głowy.

Kiedy wsiadała do samochodu z Davidem — byli trochę spóźnieni, bo chłopiec znów nie mógł się zebrać — dłużej popatrzyła na ich dom. Musi zadzwonić do właściciela w sprawie alarmu.

Pożegnała się z Davidem buziakiem i obiecała mu, że przy dobrej pogodzie w weekend popłyną promem. Zrezygnowała z joggingu i od razu poszła do pracy. Musiała do kogoś zadzwonić — do ciotki Janice Young. Thelma Hickman może powie jej o faktach, o których nie pisano w gazetach. Sharon musiała wiedzieć, czy wszystko, co się dzieje wokół niej, nie jest w jakiś sposób związane z prawdziwą Janice.

Ta myśl była okropna.

Zarządca budynku czekał na nią i bezpiecznie poprowadził ją do galerii. Do południa Sharon zrobiła porządek na swoim biurku i zadzwoniła do właściciela domu, w którym mieszkała. Właściciel zgodził się wziąć na siebie część kosztów związanych z instalacją alarmu. Postanowiła też, że w sobotę popłyną promem na Friday Harbor. Sprawdzi, czy w redakcji lokalnej gazety mają stare egzemplarze.

Sharon spojrzała na zegar. Wkrótce przyjdzie Signe. Teraz musiała zadzwonić do ciotki Janice. Zastanawiała się, co ma powiedzieć. Postanowiła, że znów będzie udawała urzędniczkę miejską, która sprawdza dane; starsza pani powinna przypomnieć sobie ich wcześniejszą rozmowę. W żadnym wypadku Sharon nie chciała wystraszyć jej pytaniami o życie Janice.

Usiadła na biurku i wystukała numer do Thelmy Hickman. Telefon zaczął łączyć, nagle zdenerwowana Sharon pochyliła się nad nim. Stała się taką oszustką.

- Tak? — rozległ się kobiecy głos.
- Czy mogę rozmawiać z Thelmą Hickman?
- Przykro mi, ale jest nieosiągalna.
- A kiedy będę mogła znów zadzwonić? — Sharon bawiła się sznurem telefonu. — Może dziś po południu?
- A mogę wiedzieć, z kim rozmawiam? — Kobieta zachowywała się jak pies obronny.
- Pracuję dla urzędu miasta. Rozmawiałam z panią Hickman pół roku temu. Musiałam zweryfikować informacje, które wprowadzamy do systemu komputerowego. — Wzięła głęboki oddech. — Potrzebuję jeszcze się upewnić w kilku punktach.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Thelma miała udar kilka miesięcy temu. Nie może mówić.

Zatkało Sharon. — Bardzo mi przykro.

— A może ja w czymś pomogę?

— No nie wiem. Potrzebuję informacji o siostrzenicy Thelmy, która zmarła kilka lat temu. Czy pani coś wie na temat Janice Young?

— Niestety nie. — Jej głos brzmiał teraz bardziej życzliwie. — Nie znam żadnych jej krewnych. Jestem tylko pielęgniarką. Zajmuję się nią na dziennej zmianie. — Kolejna przerwa. — Powiedziała pani, że jest z urzędu miasta?

— Tak.

— Chyba mężczyzna, który dzwonił wczoraj, też był z urzędu, choć odniosłam wrażenie, że zna Thelmę.

— To już ktoś dzwonił od nas?

— Nie jestem pewna, czy od was, nie powiedziała tego, ale również potrzebował informacji o Janice Young.

Sharon przeszył dreszcz przerażenia. — Jakich?

— Na początek chciał się dowiedzieć o jej numer ubezpieczenia.

Sharon zrobiło się gorąco. — Sprawdzę to — rzekła. — I uaktualnię dane dotyczące Thelmy. Już więcej nie będziemy dzwonić. — Wzięła głęboki oddech. — Mam nadzieję, że Thelma odzyska zdrowie.

— Dziękuję, pani... aa... Chyba się pani nie przedstawiła.

— Do widzenia. — Sharon zdawała się nie słyszeć tego, co mówi pielęgniarka. Odłożyła słuchawkę.

Spotkał ją zawód.

Zaczęła drżeć. Ktoś chciał numer ubezpieczenia Janice Young. Żeby porównać go z jej numerem w aktach osobowych, sprawdzić, czy są takie same?

Chciał się przekonać, czy ona i Janice, która miała zginąć, są tymi samymi osobami?

Przed przyjściem Signe wyciągnęła odpowiedni dokument ze swojej teczki i włożyła go do torebki. Włoży go z powrotem, kiedy sprawdzi, co się wydarzyło. Signe go teraz nie potrzebowała — na razie nie będzie rozliczała podatków.

Za każdym razem, gdy przechodziła obok zamkniętych drzwi do piwnicy, wstrząsały nią dreszcze. Coś tam może być na dole, pomyślała. Albo ktoś. Odczuła ulgę, kiedy w końcu przyszła Signe. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo była przerażona.

*

Po wiadomościach o jedenastej Sharon położyła się na łóżku, nie nakrywając się kołdrą. Próbowwała odzyskać spokój, by mogła zasnąć. Przypominała sobie kojące słowa mamy, którymi ją usypiała w dzieciństwie. „Kochanie, myśl tylko o dobrych rzeczach. Pamiętaj, że jutro włożysz nowy strój”. A jej tata mówił: „Wyobraź sobie tych wszystkich chłopców, którzy się w tobie zakochają. Będą jak w niebie, kiedy zobaczą cię w tej czerwonej sukience”.

W jej myślach pojawiły się twarze kochających rodziców. Uśmiechnęła się. — Tak mi was brakuje — wyszeptała do ciemności. — Nigdy byście nie pozwolili, żebym czuła się taka samotna.

Niespokojna Sharon podeszła do okna. W ogródku za domem było spokojnie — bezwietrznie, nie padał deszcz, nic się nie poruszało. Przez minutę przypatrywała się ciemnym miejscom nieoświetlonym przez żarówkę na werandzie, a potem wróciła do łóżka. Jednak była zbyt zdenerwowana, by zasnąć, i po raz trzeci od momentu, kiedy wyłączyła telewizor, zeszła na dół.

Chociaż stąpała bardzo ostrożnie, deski podłogi skrzypiały pod nią. Krążyła po ciemnym domu, chcąc się upewnić, że wciąż jest bezpieczna. Szła ponownie na górę, kiedy coś usłyszała. Był to odgłos, który pochodził z dołu, gdzieś pośrodku domu.

Z przerażenia straciła oddech. Ciężko usiadła na górze schodów i wpatrywała się w ciemny korytarz na dole. Panowała absolutna cisza. Nie rozlegały się żadne typowe dla domu hałasy. Nawet lodówka się wyłączyła. Wyglądało, jakby sam dom czekał na to, co się wydarzy.

— Oszalałaś... oszalałaś — wyszeptała głośno. Nic nie było. Przesłyszałaś się, tylko ci się wydawało.

Przytrzymując się poręczy, wstała. Mimo wszystko jeszcze raz musiała zejść na dół, upewnić się, że nikt... O Boże! Ktoś siłą otworzył drzwi z tyłu domu? Czyżby *to* słyszała?

Odzyskała jednak zdrowy rozsądek. Wiedziała, że powinna mieć przy sobie jakąś broń. Kij bejsbolowy Davida... był zaraz za drzwiami do jego pokoju. Pobiegnęła po niego. Po chwili znów znalazła się na górze schodów, zbierała się w sobie.

Powoli ruszyła na dół. Uniosła kij do uderzenia, jej ciało przeszywał strach. Niewidoczne, lodowate prądy powietrzne krążące po domu dotarły do jej skóry i wywołały dreszcze, kiedy spojrzała przed siebie, próbując przeniknąć ciemne miejsca w domu. Drzwi frontowe były wciąż

zamknięte. Na korytarzu było pusto, a reszta domu wyglądała tak samo jak kilka minut temu. Znalazła się w połowie schodów, kiedy, rozbijając ciszę, zadzwonił telefon.

Sharon mimowolnie wrzasnęła. Stłumiła krzyk, przyciskając dłoń do ust.

— Ty gnoju, dlaczego to robisz?! Kim jesteś? Czego chcesz?

Ledwo sobie uświadamiała, że gwałtownym ruchem podniosła słuchawkę i do niej wykrzykiwała te słowa... aż w końcu usłyszała jękliwy stłumiony głos, upiorny głos, który sprawiał, że stawały jej włoski z tyłu szyi.

— Wiem, kim jesteś... wiem, gdzie jesteś... I teraz wiem, jak się dostać do twojego domu.

Nagle rozległ się brzęk... jakby coś upadło na metal. Ten sam odgłos usłyszała w uchu i pod stopami...*pod domem!*

Odrzuciła słuchawkę, jakby ją parzyła.

On był pod domem... Z telefonem komórkowym!

Rozdział 24

Sharon nie mogła biec. Była oszołomiona, jej ciało nie reagowało na polecenia płynące z mózgu. Nogi ugięły się pod nią i upadła na kolana tak mocno, że aż zaszczekały jej zęby. Z trudem wzięła kilka głębokich oddechów, kiedy cofała się do schodów.

Wiedział, jak dostać się do ich domu — *mógł usunąć kilka desek z podłogi.*

Musiała wziąć się w garść, coś zrobić. Była tutaj sama — David spał na górze.

Jej umysł wypełniły straszne obrazy tego, co mógł zrobić: przepiłować deski piłą łańcuchową, wyłamać je młotem lub wyrąbać siekierą. A może już wybił gwoździe, kiedy nie było ich w domu i nie mogli usłyszeć.

Sharon przeczołgała się po drewnianej podłodze do zwisającego na kablu telefonu. W każdej chwili spodziewała, że niczym wyskakujący z pudełka diabełek zjawi się przed nią ten psychol z nożem z długim ostrzem.

Zadzwonił na policję, nakazała sobie. Zanim przetnie sznur od telefonu.

Znów straciła oddech. Wezwać policję to ostatnia rzecz, któr(chciała zrobić. Ale musiała zadzwonić. Życie Davida... jej życie... wisiały na włosku.

Rozległ się pod nią stłumiony odgłos. Chwilę później usłyszała lekki łomot, jakby ktoś uderzył w legar podłogowy. Znieruchomiła, nie chciała poruszać ani jednym mięśniem. Wytężyła słuch i próbowała sobie wyobrazić, co się dzieje w pustej przestrzeni pod podłogą.

Czekała, drżąc ze strachu, kiedy sekundy wahania zamieniły się w pełną minutę. Czuła, że ktokolwiek jest pod domem, również czeka, nasłuchuje... I zastanawia się, czy ona wie, że on jest tu na dole.

Nie wie na pewno, że go wysłodziłam.

Gdy to sobie uświadomiła, zaczęła odzyskiwać siły w nogach. Podniosła się powoli, tak, żeby nie zaskrzyphiała podłoga. Nie chciała nawet, by jej ruch zakłócił prądy powietrza krążące wokół niej. Chwyliła słuchawkę i nacisnęła widełki. Usłyszawszy sygnał, wystukała 911.

Czy on usłyszał, jak się porusza? Może założył podsłuch do jej telefonu?

Sygnał po drugiej stronie linii wydawał się niezwykle głośny. Sharon przycisnęła słuchawkę do ucha i osłoniła, żeby żaden dźwięk nie wydostał się na zewnątrz i nie zaalarmował mężczyzny.

— 911 — usłyszała kobiecy głos.

— Pomocy.

Na chwilę zapadła cisza. — Nie rozumiem. Proszę mówić głośniej.

Sharon dłonią otoczyła mikrofon i wyszeptała mocniejszym tonem:

— Pomocy.

— Proszę się nie rozłączać — poinstruowała ją kobieta. — Nie może pani mówić normalnie?

— Nie.

— Grozi pani niebezpieczeństwo?

— Tak.

— Jest pani ranna?

— Na razie nie.

— Mamy już pani numer. — Przerwa. — Proszę pozostać na linii. Samochód patrolowy jest w drodze.

W słuchawce rozległo się bipnięcie.

Boże, pomyślała Sharon. Rozłącz się. On znów do ciebie dzwoni.

— Proszę się nie rozłączać, nie odkładać słuchawki. — W głosie policjantki pojawił się niepokój.

— To on... muszę — wyszeptła Sharon. — Jest pod moim domem. Dowie się, że zadzwoniłam do was, jak nie odbiorę... jak nie usłyszysz dzwoniącego telefonu.

— Powtarzam, nie rozłączać się...

Sharon się wahała, palec trzymała nad widełkami. Jak daleko jest policja? Czy jak on się domyśli, że zadzwoniła na policję, ucieknie... czy może wydostanie się przez podłogę, zabije ją i się wymknie, zanim zjawią się policjanci?

Rozłączyła rozmowę. Natychmiast telefon, który trzymała w dłoni, zaczął dzwonić. Patrzyła na niego niepewnie. To kolejny problem. David może się obudzić. Zrobiła tak jak poprzednio: podniosła słuchawkę i nie odzywając się, nacisnęła widełki.

Zapadła cisza. Po chwili telefon znów zabrzczczał. Odebrała. Już miała się rozłączyć, gdy usłyszała kobiecy głos.

— Funkcjonariuszka Langdon. Czy pani mnie słyszy?

To nie on. Ale teraz wie, że ktoś inny zadzwonił. Domyśli się, że to policja.

Spod domu dobiegł odgłos pospiesznych ruchów. W tej samej chwili Sharon usłyszała, jak z piskiem opon na ulicy zatrzymał się samochód. Jego migoczące niebieskie i czerwone światła oświetlały frontowe okno i rzucały upiorne cienie na ścianę. Potem na werandę wbiegł policjant i zapukał do drzwi. Inny policjant pobiegł do ogrodu z tyłu domu, snopem światła z latarki oświetlał teren przed sobą.

Otworzyła drzwi, poczuła tak ogromną ulgę, że musiała się przytrzymać gałki, żeby prosto stanąć na trzęsących się nogach. — Ktoś był pod moim domem — poinformowała. — Dzwonił do mnie z telefonu komórkowego... A kiedy zdałam sobie sprawę, że jest pod domem... O Boże, ja... — Przerwała, z trudem próbowała odzyskać kontrolę nad sobą. Jej palce drżały, kiedy wycierała łzy, których nie była w stanie powstrzymać.

— To właśnie powiedział dyspozytor. — Umundurowany policjant wszedł do domu i zdjął czapkę, drzwi zostawił otwarte dla swojego partnera. Był wysokim mężczyzną przed czterdziestką, z przedwcześnie posiwiałymi włosami. Mówił spokojnym i miarowym głosem, kiedy poprosił Sharon, by opisała zdarzenie.

Szybko opowiedziała o nękających ją telefonach i o niespodziewanym odkryciu, że mężczyzna dzwoni spod jej domu. Sharon nie wspominała o innych przerażających incydentach — w galerii, na promie,

czy też o swoim odczuciu, że jest obserwowana. Opowiadanie o tym mogłoby pociągnąć za sobą pytania, na które nie byłaby w stanie odpowiedzieć, nie wyjaśniając wszystkiego. A to by oznaczało, że Paul odnalazłby ich.

Przyłączył się do nich drugi policjant, szczupły mężczyzna przed trzydziestką. — Nikogo nie ma. — Spojrzał pewnie brązowymi oczami. — Ale wejście pod podłogę zostało otwarte. Wygląda na to, że ktoś był pod domem. — Uniósł daszek czapki, kiedy starszy policjant pisał raport. — Chyba że pani to zrobiła.

Załomotało jej serce. Nigdy nie zwracała uwagi na drzwi pod podłogę od czasu, gdy się tu wprowadziła, ale nie mogła sobie przypomnieć, żeby widziała je otwarte. Musiałabym to zauważyć, stwierdziła. Wolno pokręciła głową.

— No cóż, pani Young, to chyba jakiś przypadkowy prześladowca, który gdzieś panią zobaczył, poszedł za panią do domu i zaczął nękać. — Starszy mężczyzna oderwał wzrok od notatnika. — Nigdy więcej się pani z nim nie zetknie, jeżeli jest jednym z tych facetów, którym straszenie kobiet sprawia przyjemność.

— Chce pan powiedzieć, że nie wróci?

— Raczej nie. Wystraszył się, że możemy go złapać. — Uśmiechem dodał jej otuchy i włożył pióro do kieszonki koszuli. — Ale jutro jakaś inna kobieta będzie miała pecha i przyciągnie jego uwagę.

— Pani Young, gdyby poważnie chciał panią zaatakować — wtrącił drugi policjant — nie dawałby znać o sobie... ujawniłby się w ostatnim momencie.

— Na pewno, gdyby miał napaść na panią, postępowałby inaczej — stwierdził starszy mężczyzna. — Oczywiście nie wiemy, jakie są motywy jego działania i dlatego powinna pani przedsięwziąć jakieś środki ostrożności. Na początek trzeba zabezpieczyć ten korytarzyk pod podłogą.

Sharon wyobraziła sobie, że dodał: *na wszelki wypadek*. — Motywy jego działania? Co pan ma na myśli?

— Obsesyjny prześladowca tak łatwo nie rezygnuje. — Przerwał. — Ale chyba nie mamy do czynienia z takim przypadkiem.

— Prowizorycznie naprawiłem wejście pod podłogę — zwrócił się do Sharon młodszy policjant. — Wytrzyma do jutra.

Skinęła głową, choć ich słowa jej nie uspokoiły. Wydawali się zblazowani, jakby podejrzana osoba kręcąca się wokół domu była niczym

w porównaniu z włamywaczem lub *mordercą*. To słowo przeraziło ją. Chciała, żeby policjanci zostali do rana, ale kiedy się odwrócili i skierowali do wyjścia, nie mogła wymyślić żadnego powodu, by ich zatrzymać.

— Mamo, obudziłem się — David zawołał z góry schodów. Zszedł na dół, ciągnąc za sobą koc. — Dlaczego przyjechała policja?

Sharon objęła go ramieniem i przytuliła. — Tylko kogoś szukają i chcieli mnie o coś zapytać. — Stojąc nad Davidem, pokręciła głową. Dawała policjantom do zrozumienia, że nie chce, by mały chłopiec się wystraszył.

Młodszy policjant uspokoił jeszcze Davida i obaj stróże prawa wyszli na werandę z przodu domu. Rozległy się trzaski — ożywiło się ich przenośne radio.

Starszy policjant uśmiechnął się po raz pierwszy. — Jak w starym powiedzeniu: „Miasto nigdy nie zasypia.” — Prowadził rozmowę przez radio, podczas gdy jego partner rozglądał się wokół domu, światłem latarki oświetlał wszystkie ciemne miejsca na podwórzu. Kiedy Sharon i David zamknęli się w domu, wóz policyjny ruszył ulicą; policjanci musieli zareagować na kolejne wezwanie.

Sharon omal nie stanęło serce, gdy usłyszała piskliwy dźwięk telefonu. David, który przy nim stał, podniósł słuchawkę, zanim Sharon zdążyła otworzyć usta, by go powstrzymać. Spojrzał na nią z poważną miną. Podeszła do niego.

Uśmiechnął się nagle. — To pan Logan, tata Pete'a. Chce z tobą rozmawiać...

Kiedy David poszedł na górę do łazienki, Sharon powiedziała, dlaczego przyjechała policja. Zaniepokojony Bob Logan zaofiarował się, że z samego rana zajmie się zabezpieczeniem korytarza pod podłogą.

— Jak się jeszcze coś takiego zdarzy, możesz dzwonić do nas o każdej porze dnia i nocy — poinstruował ją stanowczym tonem, zanim odłożył słuchawkę.

Podziękowała mu, a potem poszła z powrotem położyć Davida do łóżka. Następnie zrobiła sobie kawy. Tej nocy nie ma mowy o zaśnięciu. Poza tym musiała się zastanowić. Chociaż z nienawiścią odnosiła się do myśli o przeprowadzce, stawało się coraz bardziej wyraźne, że to jedyna możliwość, jaka jej pozostała.

Chyba że ten osobnik da jej spokój, jak uważa policja.

Chyba że Paul ich nie odnalazł.

Chyba że będzie mogła znaleźć więcej informacji o zmarłej Janiec, stłumić swoje lęki, przekonać się, że nikt nie bierze ją za tę kobietę... I jej nie grozi.

Chyba że... chyba że...

Bob Logan zjawił się przy drzwiach z tyłu domu przed siódmą i mimo wczesnej pory już był w ubraniu roboczym. Sharon pozwoliła spać Davidowi do ostatniej chwili. Wyglądał na wyczerpanego; długo nie mógł zasnąć po odjeździe policji.

— Janice, już byłem w piwnicy.

Zaprowadziła go do kuchni. — Może kawy?

Pokręcił głową. Mężczyzna, choć nie najwyższy, był barczysty i silny. Kulturalny, ale stanowczy. Człowiek ze skały, pomyślała nagle. Powinna znaleźć sobie kogoś w tych trudnych chwilach. Midge to ma szczęście.

— Już piłem. — Dużym palcem u nogi robił kółka, jakby nie chciał powiedzieć, co znalazł w piwnicy. — Chyba muszę powiedzieć. — Znow przerwał. — Na ziemi, akurat pod telefonem, leży śpiwór. Policjant go nie zauważył, bo pewno tak daleko nie wchodził.

Opadła na krzesło. Przypomniała sobie, jak budziły ją dziwne hałasy. — Bob, po co to?

Niepewnie wzruszył ramionami. — Nie wiem. Chyba chciał mieć wygodnie, kiedy podsłuchiwał, co się dzieje w domu.

— Uważasz, że wchodził tam kilka razy?

— Trudno powiedzieć. Ale pewno to ten sam facet, którego Pete widział w alejce.

— Ale dlaczego właśnie na mnie się wziął?

— Z wariatami nigdy nic nie wiadomo. — Kolejna chwila wahania.

— Uciekał tak szybko, że nie wziął śpiwora.

— Wróci po niego?

— Wątpię. Zgadzam się z tym, co powiedzieli policjanci. Ale jak pojedziesz z Davidem, wezwę ich jeszcze raz, zanim zabiję gwoździami wejście pod podłogę. Niech za dnia się przyjrzą.

— A nie powinni w nocy wszystkiego sprawdzić?

— Pewnie tak, ale są przepracowani. Za mało jest policjantów na tyle przestępstw. — Cofnął się do drzwi. — To dlatego założyliśmy służbę ochrony. Żeby wziąć sprawy w swoje ręce.

— Dziękuję, Bob. — Mówiła łamiącym się głosem. — Nie masz pojęcia, jak bardzo jesteś pomocny. To prawdziwe szczęście, że mam ciebie i Midge za sąsiadów.

Nagle się zmieszał. Z przekrzywioną głową poszedł na werandę z tyłu domu. — Janice, przyjdę wieczorem, gdy wrócisz z Davidem. — Uśmiechnął się. — Żebyś nie bała się sama wejść do domu.

Obserwowała go, jak odchodził. Zastanawiała się, czy jest tak uprzejmy z natury, czy może wystraszyło go to, co się stało.

Poszła obudzić Davida. Czuła się zmęczona, choć dzień dopiero się rozpoczął. Na chwilę jej wzrok zatrzymał się na podłodze korytarza; wyobraziła sobie szantażystę leżącego pod nim na śpiworze. Potrząsnęła głową. Z trudem uwolniła się od tego okropnego obrazu. Znow ruszyła na górę. David ociągał się ze wstawaniem. Kiedy szedł ze swojego pokoju do łazienki, zauważyła, że utyka.

— David, co ci się stało w nogę? — spytała. — Zesztywniała ci, jak spałeś?

Wzruszył ramionami. — Nie. Bolał mnie tylko kolana.

— Oba?

— Aha. Wczoraj spadłem z huśtawki.

— Ojej. To musiało boleć. Płakałeś?

— Mamo, tylko małe dzieci płaczą. Nie jestem małym dzieckiem.

— Musisz bardziej uważać i nie bujać się tak wysoko. — Poklepała go po ramieniu i popchnęła w stronę łazienki. — Jak skończysz, zejdź na śniadanie. Musimy się spieszyć, bo spóźnimy się do szkoły.

— Dobrze.

Zebrała swoje papiery i książki i włożyła je do plecaka. Chciała w porę wyjść z domu. W kuchni zaczęła rozmyślać o Davidzie. Znow wyglądał na tak wyczerpanego jak ona... ale on przecież spał.

Za dużo wrażeń. W weekend powinni poleżeć do góry brzuchami; oglądać filmy, jeść prażoną kukurydzę i specjały ulubionej przez chłopca niezdrowej żywności. Przestała wycierać dłonie w ręcznik do naczyń. Dziś jest czwartek. Miała więc jeszcze jeden dzień, by zrealizować swój plan i pojechać do Friday Harbor. Nie musiała jechać w weekend. Później zabierze Davida na wycieczkę promem.

Może zarezerwować bilet na jeden z tych małych wodnopłatów, które odlatują z jeziora Union do Friday Harbor. Wyleci rano, przejrzy archiwa w biurze gazety, a potem wróci po południu, by odebrać Davida. Słyszała, jak Signe komuś mówiła, że taka podróż zajmuje od trzy-

dziestu pięciu minut do godziny w zależności od pogody. Kiedy poleci, David będzie bezpieczny w szkole.

Porozmawia z Signe na temat wolnego, a potem znacznie przygotowania. Ta myśl ją ożywiła* Być może odszuka, że nic złowieszczego nie wiąże się z kobietą, której imię przybrała w tak niefrasobliwy sposób.

Nagle poczuła, że wszystko jakby zmienia się na lepsze. To możliwe, że reagowała zbyt mocno w wielu przypadkach, kiedy została wystraszona. Być może mężczyzna, który wkradał się pod dom, nigdy nie wróci, jak sugeruje policja.

Może mimo wszystko będą mogli zostać w Seattle.

Rozdział 25

Mały hydroplan skierował się na północ. Jego pływaki ślizgały się po jeziorze, zostawiając pienistą falę, która zakołysała łodziami mieszkalnymi cumującymi przy wschodnim wybrzeżu. Mężczyzna stojący w porcie obserwował, jak samolot wzbija się w powietrze, gwałtownie skręca na zachód nad Cieśniną Pugeta, a potem w końcu znika.

Stał jeszcze kilka minut, wpatrywał się w miejsce, gdzie samolot znikł w chmurach. Z trudem kontrolował swój gniew. Dlaczego ona leci do Friday Harbor? Czyżby zamierzała się tam przeprowadzić? Cokolwiek planowała, wiedział, że oznacza *to* tylko więcej kłopotów.

Suko, nie wyprowadzisz mnie w pole. *Po raz drugi się nie wywiniesz.* Jego przyrzeczenie było litanią, którą bez przerwy powtarzał, w dzień i w nocy.

Przyjrzał się otoczeniu: przystani, pobliskim restauracjom i sylwetce miasta na południu. Jednak myślami wrócił do chłopca. Nienawidził tego pomysłu, że go skrzywdzi; wiedział, jak to jest być małym i bezradnym — na łasce samolubnego, nieczułego rodzica. Jednak chłopiec był jego asem w rękawie, gdy wszystko inne zawiedzie. Miał zamiar odpłacić tej suce za to, co mu zrobiła... nawet jeśli oznaczało to, że wyrządzi krzywdę Davidowi.

Wykrzywił twarz w uśmiechu. Wbrew uczuciom chłopiec został spisany na straty.

Mężczyzna w końcu się odwrócił i skierował do swojego samochodu stojącego na ulicy. Musiał się zastanowić... rozważyć swój kolejny ruch.

Nie może paść na niego podejrzenie, kiedy ona zginie. Upprzedzi ją, zanim ona wykona kolejny ruch.

Irochę pokołysz — rzekł pilot o imieniu Mick. Żując gumę, zerknął do tyłu na Sharon. — Dopóki nie wyjdziemy z chmur.

Skinęła głową, próbowała nie okazywać niepokoju związanego z lotem i z tym, że widoczność była zerowa. Przypomniało się jej powiedzenie matki: „Gdybyśmy mieli latać w powietrzu, rodzilibyśmy się ze skrzydłami”.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Czy to oznaczało, że znów chciała być dzieckiem i mieć kogoś, kto podejmowałby za nią decyzje... ponieważ jest tak niepewna co do przyszłości?

— Rano zwykle jest pochmurno — kontynuował Mick. Wzbudzał zaufanie mimo okrągłej młodzieńczej twarzy i kitki. — Za sekundę znajdziemy się nad chmurą.

Siedziała za Mickiem i innym pasażerem, który zajmował miejsce drugiego pilota. Był to mężczyzna, który również leciał do Friday Harbor. Chociaż wlecieli w pokrywę chmur, to prognoza pogody mówiła, że chmury się rozpułną i dzień będzie słoneczny.

Kiedy znaleźli się wysoko w powietrzu, Sharon wychyliła się, by wyjrzeć przez okno. Była zafascynowana widokiem jeziora Union i obrazu miasta. Po tym, jak otoczyła ich mgła, Sharon usiadła wygodnie, zamknęła oczy i próbowała się zrelaksować.

Na szczęście miała taką szefową jak Signe, która dała jej dzień wolny i zgodziła się, żeby odrobiła to później. Nie zadawała żadnych pytań, kiedy Sharon powiedziała jej, że musi być w szkole Davida na Dniu Matki. Sharon miała tylko nadzieję, że jego nauczycielka zapamiętała, by w nagłym przypadku nie dzwonić do pracy. Poinstruowała kobietę, by zostawiała informacje na automatycznej sekretarce. Miała zamiar sprawdzać telefony co godzinę podczas swojego pobytu w Friday Harbor.

Coraz więcej tych kłamstw, pomyślała Sharon. Nie przypuszczała, że jedno kłamstwo... jej nowe życie... stanie się górą kłamstw. Czy człowiek może budować swoje życie na oszustwie? — zastanawiała się. Ile czasu potrzeba, żeby wpadła w jakąś pułapkę?

Nagle zaczęło się przejaśniać. Światło poranka przeniknęło mgłę i strumieniem wlało się przez okno. Mgła się rozpułnęła, pozostały jedynie jej cienkie smugi, które omywały skrzydła lecącego samolotu.

— Niech pani spojrzy! — Mick obejrzał się do tyłu i uśmiechnął. Daszek bejsbolówki opuścił na brązowe oczy. — Miałem rację z tym słońcem. Będzie świeciło do końca podróży. Za kilka minut będziecie mogli zobaczyć wyspy, kiedy mgła rozplynie się do końca.

Sharon ulżyło, uśmiechnęła się. Było coś uspokajającego w fakcie, że widziało się, dokąd lecą... nawet jeśli Mick był doświadczonym pilotem. Mogła dostrzec szczyt góry Rainier na południu, góry Baker na północy i pasmo Gór Kaskadowych na wschodzie.

— Seattle naprawdę jest otoczone górami — stwierdziła. Zdała sobie sprawę, że jest to uwaga, którą mógłby zrobić turysta.

— Aha. Na pewno warto zrobić zdjęcie stąd z góry.

Kiedy chmury rozrzedzały się coraz bardziej, jej wzrok przyciągnął zmieniający się widok zalesionych wysp i cieśnin między nimi. Cała Cieśnina Pugeta była godna podziwiania — setki mil głównie dzikiego wybrzeża, kiedy się opuściło Seattle.

— W mitach Indian Totemowych te wyspy to kamienie ułatwiające przejście olbrzymom. — Mick przekrzykiwał odgłos silnika.

— Wiem — odparła. — Galeria, w której pracuję, specjalizuje się w folklorze Indian.

Kiedy przypatrywała się krajobrazom, coraz bardziej podnosiła się na duchu, jakby uciekała od wszystkich swoich problemów. Odczuła nawet potrzebę malowania; uczucie to narastało w niej od wielu tygodni. Pogryzała się w myślach. Gdyby nie było żadnych wątpliwości dotyczących śmierci Janice, byłaby niemal pewna, że ten szantażysta to przypadek, że nie ma to związku z jej nową tożsamością... ani przypuszczałnie z Paulem.

Ona i David mogliby pozostać w Seattle. Może zaczęłaby pracować jako wolny strzelec przy projektowaniu billboardów. Potem pomyślała o Taylorze i przypomniała sobie, że wypierała się, iż jest artystką. Te kłamstwa... W jaki sposób mogłaby się z nich wyplątać? Dopóki żyła z Davidem pod zmienionym nazwiskiem, nie mogła przyjaźnić się z Taylorem.

Sytuacja była trudna do pojęcia. Brakowało dróg wyjścia, chyba że Sharon ujawniłaby swoją przeszłość, ale to przecież nie jest rozwiązanie. Chciałaby wiedzieć, czy Paul przyjął do wiadomości, że zginęli... pod warunkiem, że policja stwierdziła ich śmierć. Jeśli nie, nie mogła zacząć pracować przy projektowaniu billboardów; w przypadku podejrzeń, że żyje, Paul jako pierwszych sprawdzałby przedstawicieli tego zawodu.

Samolot tracił wysokość i Sharon mogła zobaczyć w oddali Friday Harbor. Zbierała siły przed lądowaniem na wodzie i przed tym, czego się może dziś dowiedzieć.

Niestety, proszę pani, nie posiadamy tak starych gazet. Mamy tutaj mało miejsca.

Sharon skinęła głową, spodziewała się takiej odpowiedzi od bibliotekarki. Po wylądowaniu poszła od razu do redakcji „Wyspiarza”, tygodnika dla mieszkańców Wysp Świętego Jana, i dowiedziała się, że mają tylko egzemplarze sprzed dwóch lat. Wydawca skierował ją do miejscowej biblioteki, ale musiała czekać do lunchu, zanim ją otworzyli.

— A czego pani dokładnie szuka? — Otyła kobieta zdjęła okulary. — Może będę w stanie skierować panią gdzie indziej.

Sharon zawahała się. Czym innym jest przeglądać stare wycinki prasowe na osobności, a czym innym pytać o śmierć Janice Young w miasteczku, w którym zginęła. Jaki mogła mieć powód, żeby grzebać w tej historii, zwłaszcza że ta śmierć została uznana za przypadkową? Ale kiedy słowa spłynęły z jej ust, zdumiała się, jak łatwo przychodzi jej tworzenie opowieści odpowiadających jej celom.

— Pracuję w galerii sztuki w Seattle i tworzymy wystawę prac artystów z Wysp Świętego Jana. — Przerwała. — Słyszałam o młodej kobiecie, która tu kiedyś mieszkała. Próbuję znaleźć trochę informacji o niej, sprawdzić, czy są jakieś jej prace.

— Jak się nazywała? — Bibliotekarka spojrzała na nią spod przy-mrużonych powiek.

— Janice Young. O ile dobrze wiem, jej prace były popularne wśród turystów. — Kiedy kobieta nie odezwała się, Sharon dodała: — Zmarła sporo lat temu.

— Trochę ją sobie przypominam. Miała niezależny charakter, wielu przyjezdnych artystów mieszkało z nią. Jeśli pamięć mnie nie myli, to zginęła w pożarze domu.

— Tak. To też słyszałam. — Sharon przerwała, czuła się niezręcznie. — Myślałam, że ze starych gazet będę mogła dowiedzieć się czegoś o jej karierze.

— Nie sądzę, żeby zrobiła jakąś większą karierę poza wyspami — rzekła kobieta. — Była taka młoda. Chyba nie miała dwudziestu pięciu lat.

— Ach tak, to pewno nie będzie nam odpowiadała. Artyści, których poszukujemy, muszą mieć pokaźny dorobek, żebyśmy mogli ich wystawić.

— Czy może pani chce nazwiska innych miejscowych artystów?

Sharon pokręciła głową. — Mam już listę potencjalnych wystawców — skłamała. — Pomyślałam tylko, że zbiorę informacje na temat tej Janice Young. W pewnym sensie wydaje się wyjątkowa.

— Nic o tym nie wiem. — Kobieta grzebała w książkach, które rano zostawili czytelnicy. — Ale przypominam sobie jej śmierć w płomieniach. — Cmoknęła językiem. — Tragedia...

— Co się wydarzyło?

— Dokładnie nie wiem, jedynie to, że nie mogła się wydostać. Po tem nie można było nawet jej rozpoznać. — Dłonie zamarały na książkach. — Prowadzono śledztwo, podejrzewano, że nie był to wypadek.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Chyba dlatego, że pożar rozprzestrzenił się za szybko.

— Byli jacyś podejrzani?

— Kilku. Brat przyrodni, bo to on dziedziczył jej posiadłość. Narzeczony, z którym zerwała w publicznym miejscu. Świadkowie mówili, że jej groził. Oba przesłuchiowano, ale w końcu uznano, że był to wypadek. — Uśmiechnęła się. — Obaj mężczyźni mają tutaj posiadłości i są powszechnie lubiani.

— Ale chyba były jakieś niedomówienia?

— Nie mogę sobie przypomnieć... krążyły tylko plotki, że Janice była w ciąży i nie zamierzała wyjść za mąż za narzeczonego. Był wściekły z tego powodu. Plotkowano nawet, że Janice popełniła samobójstwo, bo była w ciąży. Ale sądzę, że w końcu wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione. Ten pożar był takim strasznym wypadkiem, jaki od czasu do czasu się przecież zdarza... — Przerwała. — Może pani porozmawiać z oboma mężczyznami. Dam pani ich nazwiska.

Sharon wzruszyła ramionami. — Nie będę im zawracała głowy. Poza tym rozdrapywałabym stare rany.

Podziękowała bibliotekarce i odwróciła się, by wyjść. Znalazła się już w drzwiach, kiedy kobieta zawołała za nią.

— Proszę pani, nie podała mi pani swojego nazwiska.

Sharon nie zatrzymała się, jakby nie usłyszała. Zamiast tego pomachała jej ręką przez okno w drzwiach. Skierowała się do portu, by wrócić samolotem do Seattle.

Kopnęła kamień leżący przed nią. Co zyskała, przyjeżdżając do Friday Harbor? Dowiedziała się, że Janice może była w ciąży z Taylorem, ale nie chciała wyjść za niego ze względu na niezgodność charakterów. Że Taylor był wściekły, a Janice zginęła w podejrzanym pożarze — była tak poparzona, że nie można było jej rozpoznać. Być może Taylor był przekonany, że to nie Janice zginęła tamtej nocy.

Może myśli, że ona jest Janice.

Hej, co ty tutaj robisz?

Sharon właśnie wysiadła z hydroplanu i ruszyła w kierunku nadbrzeża, na parking, kiedy zatrzymało ją pytanie Taylora.

— Aa... jadę, żeby odebrać Davida — odparła wykrętnie. Do cholery z tym, pomyślała wyrażona z równowagi. Dlaczego on pojawia się w najbardziej niespodziewanym momencie? Ponieważ ją śledzi?

Zmrużył oczy. — Wstąpiłem do galerii w południe. Pomyślałem, że może razem zjemy. — Wyszedł z doku prowadzącego na przystań, gdzie zacumował swój jacht. — Signe powiedziała, że jesteś w szkole z Davidem.

— To prawda. — Czując, że została złapana na kłamstwie, odwróciła wzrok. Nie mogła znieść jego spojrzenia.

— Więc co cię tutaj sprowadziło? — Zawiesił głos. — Chyba mnie nie szukałaś?

Niepewnie pokręciła głową. Czy widział, jak wysiadła z samolotu? Zauważyłby, że był to lot z Wysp Świętego Jana. Uznała, że najlepiej się nad tym nie rozwodzić.

— Przykro mi, ale nie mam czasu na pogawędkę — rzekła sztywnym tonem. — Spóźnię się do szkoły.

— Rozumiem — odparł chłodno. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. — Porozmawiamy kiedy indziej.

Przytaknęła. — Miło, że cię spotkałam. — Kolejne kłamstwo. Nie nawidziła kłamstw. Zdawało się, że ją osaczają. — Przyjemnego popołudnia.

— Nawzajem, Janice.

Nie oglądała się już, ale czuła jego spojrzenie na sobie, kiedy szła do samochodu. Wywoływało to jej niepokój. I prowadziło do kolejnych pytań dotyczących go, nad którymi nawet trudno było się zastanawiać.

Cieszę się, że przyjechała pani trochę wcześniej. — Nauczycielka Davida, pulchna kobieta po czterdziestce, czekała na nią w drzwiach. Zaprowadziła ją do pokoju od tyłu, gdzie David odpoczywał na sofie. — Przed chwilą skarżył się, że nie czuje się najlepiej. Sądziłam, że pani już jedzie, więc nie dzwoniłam.

Sharon dotknęła czoła Davida. Było rozpalone.

— Ma gorączkę — potwierdziła nauczycielka. — Chyba grypa. Niektóre dzieci już chorowały.

David zmusił się do uśmiechu, kiedy zobaczył Sharon. — Nic mi nie jest — odezwał się i usiadł. — Ale muszę teraz jechać do domu.

Sharon powiedziała do widzenia i zabrała Davida do samochodu. Zauważyła, że wciąż utyka na jedną nogę. — Kochanie, ciągle boli cię kolano?

— Aha. Ale tylko trochę.

Od razu położyła go do łóżka, jak tylko przyjechali do domu. Przeniosła telewizor do jego pokoju i obiecała, że będą mogli oglądać telewizję podczas kolacji. Jednak kiedy zeszła na dół do kuchni, zdecydowała, że musi go zbadać lekarz. W poniedziałek, postanowiła. Chyba że w weekend mu się pogorszy.

Zanim pół godziny później Sharon wspięła się na górę, podeszła z tyłu domu, by upewnić się, czy wejście pod podłogę jest wciąż zabite gwóźdźkami. W domu sprawdziła wszystkie drzwi i okna. Był to już jej codzienny rytuał. Kiedy szła z tacą korytarzem, wstrząsnął nią dreszcz niepokoju. Zawahała się i przyjrzała deskom w podłodze. Uspokoiła się, gdy zobaczyła, że są nienaruszone.

Szantażysta wciąż trzymał się z daleka. Sharon miała tylko nadzieję, że policjanci się nie mylili i facet zniknie na dobre... albo przynajmniej da spokój jej i Davidowi. Dlaczego nie mogła w to uwierzyć?

Bo instynkty podpowiadały jej, że nie jest to prawda.

Rozdział 26

Mamo, czy tata wie, gdzie mieszkamy?

Sharon oderwała wzrok od gry planszowej, która leżała na łóżku Davida. — Jeszcze mu nie powiedziałam — odparła zaskoczona jego pytaniem. — Pamiętasz, że ciągle gramy w udawanie, tak jak zaczęliśmy w San Francisco?

— Aha. I tata chce tam zostać, a my lubimy Seattle.

— Więc dlaczego pytasz?

Wzruszył wąskimi ramionami. Sharon zastanawiała się, czy nie wychudł. Nie, pomyślała. On tylko wyrósł.

— Bo nie chcę, żeby tata już się o nas dowiedział. — Przerwał. — Kocham tatę, ale on na pewno nie polubi naszego domu. Każe nam wracać do siebie... A ja nie chcę.

Interesujące, pomyślała Sharon. Nawet teraz David postrzeża dom w San Francisco jako należący tylko do jego ojca. Była zadowolona, że chłopiec uważa ich wiktoriański domek za „nasz dom”. Wstała, kiedy z dołu z kuchni rozległ się sygnał, że kuchenka się wyłączyła. — Obiad gotowy. Za kilka minut go przyniosę. Urządzimy piknik na twoim łóżku.

— Dobrze, mamu. Schowam grę do pudełka.

W drzwiach obejrzała się za siebie. Wciąż zastanawiała się nad pytaniem Davida. — Dlaczego myślisz, że tata już wie, gdzie mieszkamy?

— Bo ten pan, który obserwował nasz dom, powiedział, że wie, że jesteśmy z San Francisco. Wie, kim jesteśmy.

— Jaki pan? — spytała, choć domyślała się, o kogo chodzi.

— Ten, o którym mówił już Pete.

Ścisnęło ją w żołądku. — Ten, którego Pete widział na alejce? Znowu z nim rozmawiał?

David przytaknął. — Aha. Pete powiedział, że ten pan zadawał pytania... tak jak mój tata. Więc myślałem, że to może on. — Przerwał. — Ale tata by rozmawiał ze mną, a nie z Petem. — Uniósł wzrok. — Prawda, mamu?

— Oczywiście — odparła drżącym głosem, ale David chyba tego nie zauważył. — Ile razy Pete widział tego pana?

David wzruszył ramionami. — Nie wiem. Mówił tylko, że często się tu kręcił.

— Pete miał powiedzieć mamie, gdy znów zobaczy tego człowieka — odezwała się łagodnie. — Dlaczego tego nie zrobił?

— Bo rozmawiał z nim, a obiecał mamie, że nie będzie. — Spuścił wzrok. — Pete bał się, że mama będzie na niego zła.

Jakie to typowe dla dzieci, pomyślała. W pamięci zanotowała, żeby zadzwonić do Midge. — Czy oprócz Pete'a ktoś go jeszcze widział?

— Nie. Pete powiedział, że on zawsze ucieka, jak ktoś wychodzi z domu.

— A ty go ani razu nie widziałeś?

David pokręcił głową. — Mamo, to chyba nie jest zły człowiek?

— Nie wiem, ale nie powinien się tutaj kręcić. — Przerwała, szukała słów, które mogłyby ostrzec Davida, ale go nie przestraszyć. — Żaden z was nie może z nim rozmawiać, nawet się do niego zbliżać. Obiecuj mi, że będziesz uciekał od niego, jak go tylko zobaczysz, i zaraz o tym powiesz mnie lub rodzicom Pete'a.

— Dobrze. I każe Pete'owi, żeby też o nim mówił. — Zajął się grą. — To dobrze, że to nie jest tata. Nienawidzę tego domu w San Francisco. Nigdy bym nie chciał tam wrócić. — Szeroko otworzył oczy i spojrzął poważnym wzrokiem. — Mamo, nie będę musiał, co?

Uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy syn spojrzął na nią. Biedne małe dziecko, pomyślała. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo niepokoił się, że ojciec ich znajdzie i przypuszczalnie będą musieli zrezygnować z nowego życia, które tak mu się podobało. — Nie, nie będziesz. Obiecuj. Nigdy już nie będziesz mieszkał w tamtym domu.

Ale jak długo jeszcze będziemy tutaj mieszkać? — zastanawiała się, kiedy zeszła, by przygotować kolację. Miała zamiar dotrzymać obietnicy danej Davidowi; modliła się, by nie oznaczało to, że muszą wyjechać z Seattle. Boże, niech tym człowiekiem, który nas obserwuje, nie jest Paul, powiedziała w myślach. Albo ktoś, kogo on wynajął. Spraw, żebyśmy byli bezpieczni.

Do niedzielnego popołudnia Davidowi się nie pogorszyło, ale też nie poprawiło. Miał lekko podwyższoną temperaturę. Chętnie został w domu, grał w różne gry i oglądał filmy. Zdrzemnął się nawet parę razy, przed czym zdecydowanie się bronił, gdy czuł się dobrze.

Nie zachowywał się jak zdrowy pięciolatek. Może ma anemię, pomyślała Sharon, kiedy z kuchenki wyjmowała naczynie żaroodporne z kurczakiem. Albo jakąś niegroźną infekcję, która wymaga leczenia antybiotykami. Pierwszą rzeczą, którą robi jutro rano, będzie rozmowa z doktorem Goulartem. Zanotowała w pamięci, że musi zadzwonić do Sige i wziąć wolne do południa.

Odgłos dzwonka do drzwi przestraszył ją. Ostrożnie wyjrzała na korytarz, nie chciała, żeby osoba, która przyszła, zobaczyła ją przez firankę zawieszoną na owalnym oknie. Wydawało się, że to mężczyzna, jednak nie miała zamiaru otwierać drzwi, dopóki się nie dowie, kto to. Jest niedziela, a w ten dzień niezapowiedziani przychodzą jedynie członkowie rodziny i bliscy przyjaciele. W Seattle nikogo takiego nie miała.

Unikając korytarza, Sharon na palcach przeszła przez jadalnię do salonu. Chciała mieć lepszy widok na werandę. Gdyby mężczyzna zszedł po schodkach na chodnik, mogłaby zobaczyć, czy jest to ktoś, kogo znają.

Nie sądziła, żeby był to osobnik, którego Pete widział na alejce. Jak powiedziała Midge, kiedy wczoraj Sharon zadzwoniła do niej: „Taki szcurek nie odważy się w dzień przyjść pod drzwi.” Jednak myśl o nim rozdrażniła jej nerwy.

Znów rozległ się odgłos dzwonka. Uparty typek, pomyślała zdenerwowana. Miała nadzieję, że David nic nie usłyszał, bo w swoim pokoju ogląda film. Ale było za późno. Już schodził po schodach.

— Mamo — zawołał z korytarza. Nie wiedział, że Sharon jest w sąsiednim pokoju. — Przyszedł pan Sampson. — Przez chwilę się nie odzywał. — Mamo, gdzie jesteś?

Nie odpowiadała, dopóki nie wycofała się przez jadalnię do kuchni. W przeciwnym razie David mógłby się zastanawiać, dlaczego sama nie podeszła do drzwi i Taylor dowiedziałby się, że chciała go zignorować.

— Chyba za głośno słuchałam radia — wyjaśniła, wychodząc z kuchni. — Nie słyszałam dzwonka.

— Nic się nie stało, mamo. — David już otwierał drzwi. — Ja słyzałem.

Gwałtownie otworzył drzwi. — Halo, panie Sampson! — David nagle się ożywił na widok Taylora.

— Witaj. — Taylor uśmiechnął się do niego. — Nie pamiętasz, że masz mówić do mnie Taylor?

— O rany, zapomniałem. — Chłopiec zachichotał.

Niepewna Sharon stanęła za Davidem. Jej syn ani trochę nie krępował się, by okazywać swoje uczucia w stosunku do Taylora. Bardzo chciała znać motywy Taylora. W dzinsach i golfie wygląda! zbyt uczciwie, aby to mogło być wiarygodne. Jednak Sharon wahała się w swojej ocenie.

Taylor spojrział na Sharon. — Cześć, Janice. Hm... — Wzruszył ramionami. — Czy mogę wejść?

— Oczywiście. — Sharon zmusiła się do uśmiechu, a potem położyła dłonie na ramionach Davida i przesunęła go na bok, żeby Taylor mógł wejść na korytarz. Kiedy zamykała drzwi za nim, nikt się nie odzywał.

Taylor pierwszy przerwał ciszę. — Przez chwilę myślałem, że nikogo nie ma w domu — rzekł prostolinijnym głosem, kiedy zdejmował

bejsbolówkę. — A potem usłyszałem, jak David cię woła, więc ponownie zapukałem. — Nie dodał „tak jak poprzednim razem”, ale Sharon wiedziała, że to pomyślał.

— Mama nie słyszała, bo radio głośno grało. Ale mama jest też ostrożna, panie... aa... Taylor — oznajmił David. — Sprawdziła, czy to nie jest ten obcy pan.

— Jaki obcy pan? — Taylor skierował pytanie do Sharon.

— Ten, który dzwonił do nas w środku nocy — odparł David, zanim Sharon zdążyła otworzyć usta. — Był nawet pod naszym domem i mama musiała zadzwonić po policję.

— David! Skąd ty...

— Słyszałem, co mówiłaś policjantom — przerwał jej. Uśmiechnął się konspiracyjnie do Taylora. — Mój kolega, Pete, mówi, że dzieci muszą czasami podsłuchiwać... — Zawahał się, nie był pewny tego słowa.

— ...chłuchać? — podpowiedział Taylor.

— Aha. Podsłuchiwać, tak powiedział Pete. To znaczy, że trzeba słuchać, co mówią dorośli, kiedy nie wiedzą, że jesteśmy — wyjaśnił. — Bo inaczej niczego nam nie powiedzą.

— Rozumiem. — Skierował uwagę na Sharon. — Co z tymi nocnymi telefonami i tym włóczęgą kręcącym się wokół domu?

Sharon zagryzła dolną wargę, obserwowała go, jak czekał na odpowiedź. Z jego twarzy mogła wyczytać tylko troskę. Ale czy rzeczywiście się o nich martwił? Czy może raczej był ciekawy, ile ona wie o szantażyście. Przecież to on był chyba tym szantażyście.

— Policja uważa, że to przypadek — powiedziała w końcu. — Nie sądzą, żeby jeszcze wrócił. — Stojąc za Davidem, pokręciła głową. Dawała do zrozumienia, że nie chce, aby chłopiec jeszcze czegoś więcej się dowiedział.

— To dobrze — rzekł Taylor, podążając za jej wskazówką. — Zwykle tak to się kończy. Tacy ludzie po zdemaskowaniu tchórzą.

— Tak, to... czubki — David z radością włączył się do rozmowy.

— No, kolego. — Taylor wcisnął swoją bejsbolówkę na głowę Davida. — Dlaczego po południu jesteś w piżamie?

— Bo jestem chory.

— Tak? A na co? Na grypę?

— Chyba tak, ale jest już mi lepiej.

Taylor uniósł brwi. — Wygląda, że znów nie mam szczęścia. — Wymieniał spojrzenie z Sharon. — Przyszedłem zaprosić was na kolację, na

mojej łódce. — Nic nie wspomniał, że widział Sharon dwa dni temu nad jeziorem Union.

— Naprawdę czuję się dobrze. — David pociągnął Sharon za rękaw koszuli. — Mamo, możemy pojechać?

Objęła go w ramionach. — Wiem, że czujesz się lepiej, ale wolę, żebyś został w domu. Musimy poprosić Taylora o przełożenie zaproszenia.

— Prooszę.

— Bardzo mi przykro, kochanie, ale nie tym razem.

Taylor gładził brodę. — No cóż, David, muszę zgodzić się z mamą. — Szybko mówił dalej, gdy zobaczył, że twarz chłopca spochmurniała: — Ale się umówimy na następny tydzień. Zapijemy datę w kalendarzu. — Spojrzała na Sharon. — Jeśli mama się zgodzi.

— Zobaczymy — odparła.

— Proszę pa... to znaczy, Taylor, a potem popływamy łódką? — David oddał mu bejsbolówkę.

— David! — fuknęła Sharon. — To niegrzeczne tak prosić.

— Oczywiście, że popływamy. — Taylor mrugnął okiem do Davida. — Zabierzemy też mamę, jeżeli będzie chciała, i zjemy niedzielny obiad na wodzie... Jak ci się to podoba?

— Hurra! Opowiem to Pete'owi.

Sharon uśmiechnęła się mimo swoich zastrzeżeń. Go za szczególniego chłopiec, pomyślała. Jestem szczęśliwa, że go mam. Podczas gdy David i Taylor rozmawiali o jachtach, ona rozmyślała o następnym dniu. Odczułaby ulgę, gdyby doktor Goulard stwierdził, że Davidowi nic nie jest. Nie chciała, by okazało się, że cierpi na chroniczną alergię, skłonność do przeziębień lub na cokolwiek innego.

— Mamo, słyszysz mnie?

— Co? Przepraszam. Co powiedziałaś?

— Właśnie zaprosiłem Taylora, żeby z nami zjadł. Wiedziałem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Spojrzała na nich. Oczywiście Taylor nie odrzucił zaproszenia. Wyglądało, że ma taką ochotę zostać, jak David dotrzymywać mu towarzystwa. Żałowała, że Taylor nie zadzwonił wcześniej, ale potem uświadomiła sobie, że nie mógł tego zrobić, bo nie dała mu numeru telefonu.

— Wyglądacie jak spiskowcy, jakbym była potworem — uśmiechnęła się mimo swojej rezerwy. Skinęła głową, nie mogła zawieść Davida. — Taylor, proszę zostań na obiad, ale ostrzegam, że nie jest zbyt wyszukany.

— Mamo, Taylor na pewno polubi twoją potrawę z kurczaka. — Spojrzał w twarz mężczyzny. — To moja ulubiona.

— Jak ty ją lubisz, to ja też. — Nad głową Davida spojrział w oczy Sharon. — Janice, naprawdę możesz mnie zaprosić? Może przygotowałaś tylko dla dwóch osób?

— Nie martw się. Wystarczy.

— Mama zawsze mówi, że mogłaby wykarmić całą armię — obieścił David.

— Więc zostanę. Dziękuję.

Sharon posadziła Davida w salonie na sofie i dała mu kilka jego ulubionych gier, a potem poszła do kuchni podać obiad: pieczonego kurczaka, świeże szparagi i zieloną sałatę. Kiedy nakrywała do stołu, Taylor i David grali w „Zjeżdźalnie i drabiny”. Skończyli akurat grę, gdy zawałała na obiad.

Zaskakujące, ale Sharon wpadła w dobry nastrój. Zapomniała o podejrzeniach związanych z Taylorem, przypomniała sobie, że Signe była jak najlepszego zdania o nim. Rozmowa przy obiedzie była ożywiona i kiedy Taylor zbierał się potem do wyjścia, umówili się, że w następną niedzielę popływają jachtem.

— Och, prawie zapomniałem coś ci pokazać — powiedział, wychodząc. Z portfela wyciągnął zdjęcie. — To jest Janice, którą znałem.

Wzięła fotografię i wbiła wzrok w uśmiechniętą kobietę, która była tak podobna do niej. Zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia przedobrzyła. Jej poszukiwania nowej tożsamości przyniosły zbyt idealne wyniki i teraz dało to znać o sobie.

— Zdumiewające — stwierdził dziwnym tonem. — Jak bliźniaczki.

— Muszę zobaczyć. — David uwolnił się od uścisku Sharon. Przez chwilę w milczeniu przypatrywał się zdjęciu. — Mamo, wygląda takjak ty.

— Zupełnie — zgodził się Taylor.

Sharon oddała zdjęcie. — Zgoda, ale ja w jej wieku wyglądałam zupełnie inaczej... — Przerwała. — Musiałbyś kiedyś zobaczyć moje zdjęcie z tamtych czasów.

Zapadła cisza.

— Bardzo bym chciał, Janice.

Otworzyła drzwi i Taylor wyszedł na werandę. Raz jeszcze podziękował za obiad. — Zobaczymy się więc w następną niedzielę?

Skinęła głową. — David nie pozwoli mi zapomnieć. Będzie odliczał dni.

— Pewnie. — David uśmiechnął się. — Cześć, Taylor.

Taylor zasalutował mu, a potem ruszył do swojego samochodu. Kiedy dojechał, Sharon zamknęła drzwi i zdecydowała się ponownie położyć Davida do łóżka. Znow był zarumieniony.

Dlaczego Taylor postanowił pokazać jej to zdjęcie, zastanawiała się. Czy tylko dlatego, że uważał, iż to ją zaciekawi? A może z całkowicie innego powodu?

To już koniec, młody człowieku. — Doktor Goulart cofnął się od stołu do badań. — Możesz się ubrać.

Sharon odczuła ulgę. David nie miał temperatury, nie dostał zapalenia gardła lub ucha i był w swoim normalnym nastroju.

— Jak się ubierzesz, pielęgniarka zaprowadzi cię do poczekalni, gdzie będziesz mógł się bawić. Poczekasz na mamę. Dobrze?

— Dobrze, panie dobrze — odpowiedział David, który wziął to powiedzenie od Pete'a. — Panie doktorze, i niech pan pamięta, że do Friday Harbor najlepiej płynąć promem.

— Zapamiętam — odparł lekarz z uśmiechem.

Sharon podążyła za doktorem Goulartem do jego małego gabinetu. Była szczęśliwa, że znalazła tak opiekuńczego lekarza.

— Janice, proszę usiąść... czy mogę mówić do pani Janice?

— Jak najbardziej — odparła Sharon.

Lekarz, na tyle stary, że mógłby być jej ojcem, był człowiekiem, który promieniował w równym stopniu zaufaniem i pokorą. Umie troszczyć się o swoich pacjentów, pomyślała, czekając, podczas gdy on w milczeniu studiował notatki. Nagle uniósł wzrok.

— Skieruję Davida do laboratorium na parterze na badanie krwi. — Dał jej receptę. — Proszę przekazać im te instrukcje.

Spojrzała na nie. Nic jej nie mówiły. — Czy to coś groźnego?

— Nie sędzę, ale musimy sprawdzić, skąd się biorą u Davida objawy choroby. Często ma podwyższoną temperaturę, wydaje się zmęczony. Wyczułem, że powiększyły mu się węzły chłonne i jak pani ze zdziwieniem zauważyła, stracił trochę na wadze.

— O czym to wszystko świadczy?

— To nic niepokojącego... być może anemia.

— Czy to rutynowe badania?

— Oczywiście. W takich okolicznościach przepisuję je każdemu pacjentowi.

Wstał. Uśmiechał się, kiedy obchodził biurko. — Wyniki będą pojutrze i wtedy może pani zadzwonić do mojej pielęgniarki.

Skinęła głową, podziękowała i wyszła do poczekalni, gdzie David czytał „Przegląd dziecięcy”. Windą zjechali na parter. Tam Davidowi pobrano krew wbrew jego płaczom i protestom. Potem wyszli z budynku i skierowali się do samochodu.

— Może zjesz lunch, zanim zawiozę cię do szkoły? — spytała, stwierdziwszy, że to już południe.

— Tak. Hamburgera i frytki... I koktajl! — Pojaśniała mu twarz i otarł łzy.

Kilka minut później, kiedy chłopiec jadł, Sharon odzyskała spokój. Chore dziecko nie miało apetytu, pomyślała, obserwując, jak David zajada się frytkami. Doktor Goulart powiedział, że badanie krwi to rutynowe postępowanie. David jest zdrowym małym chłopcem. Nic złego się z nim nie dzieje.

Nie może. Bóg nie pozwoliłby mu zachorować po tym wszystkim, co przeszli.

Rozdział 27

Sharon wyciągnęła rękę, kiedy zadzwonił telefon, ale Signe już podniosła słuchawkę telefonu stojącego na jej biurku, w drugiej części biura. Na początek nie zwracała uwagi, o czym jest rozmowa, ale potem ton w głosie Signe sprawił, że poczuła niepokój: — Janice, to do ciebie.

Sharon zebrała się w sobie i podniosła słuchawkę.

— Halo, tu Janice Young.

— Dzień dobry, pani Young. Mówi Nancy, pielęgniarka doktora Goularta.

— Tak? — Zesztywniało całe jej ciało. — Chodzi o badanie krwi Davida? — Idiotka, skarciła się. O co innego może chodzić. A to, że pielęgniarka zadzwoniła do niej, a nie odwrotnie, nie oznacza złych informacji.

— Tak, pani Young. — Mówiła głosem miłym, ale wymijającym. — Doktor chciałby z panią porozmawiać.

— Dziękuję, Nancy. — Przełknęła ślinę. — Czekam.

— Doktor chce porozmawiać z panią w gabinecie, nie przez telefon... Czy mogłaby pani przyjechać dziś po południu?

— O co chodzi?

— Doktor Goulart wyjaśni wszystko osobiście.

— To brzmi poważnie. — Sharon mówiła drżącym głosem. Siedząca w drugiej części pokoju Signe nasłuchiwała.

— Ależ pani Young, proszę się nie niepokoić. Jak powiedziałam, doktor Goulart wszystko wyjaśni.

— Nie wiem, czy będę mogła dziś przyjechać — rzekła. Chciała zyskać na czasie, by stłumić narastający w niej strach. Wiedziała, że nic jej nie zatrzyma, nawet gdyby miała stracić pracę. — Pracuję.

Signe machnęła do niej ręką i wyszeptwała: — Oczywiście, że możesz. Jedź. Musisz.

— Doktor chciałby spotkać się z panią możliwie jak najszybciej.

Sharon wzięła głęboki oddech. — Dobrze. O której dziś po południu?

— O trzeciej, może czwartej?

— Wolałabym o czwartej. O piątej odbieram Davida.

— Więc czekamy. — Na chwilę zapadła cisza. — I proszę się nie martwić. Wszystko będzie w porządku.

Sharon odłożyła słuchawkę, wpatrywała się w telefon. Co tak naprawdę usłyszała? Że coś złego dzieje się z Davidem? Uczucie słabości rozeszło się po całym ciele. Na pewno jest z nim niedobrze. Jaki mógłby być inny powód, że lekarz chce z nią rozmawiać w cztery oczy?

— Dobrze się czujesz?

Nie zauważyła, że Signe przeszła przez pokój i stanęła obok niej. Nie czuła się dobrze. Odnosiła wrażenie, że za chwilę cały świat się na nią zawali. Czuła, że gdyby było coś złego z Davidem, nie byłaby w stanie normalnie funkcjonować.

Sharon skinęła głową.

— Chodzi o Davida?

Znów przytaknęła. — Lekarz chce ze mną rozmawiać w swoim gabinecie.

Signe nagle pochyliła się i uścisnęła ją. — Janice, nie przejmuj się, dopóki się nie dowiesz, że ma dla ciebie złe informacje. Może tak nie jest.

Sharon walczyła ze łzami. — David zawsze był skłonny do przeziębień i chorób gardła. Ale teraz boję się, że jest to objawem czegoś bardziej poważnego... A ja nic do tej pory z tym nie zrobiłam.

— Poczekaj, aż dowiesz się, co lekarz ma do powiedzenia. — Signe cofnęła się. — David może mieć anemię albo jakąś poważną alergię, ale nic gorszego.

Sharon odepchnęła krzesło i wstała. — Signe, mam nadzieję, że się nie mylisz.

— Na pewno nie. — Signe uśmiechnęła się krzepiąco. — Wiesz, jakie są matki. Kochamy nasze dzieci tak bardzo, że każda myśl o ich chorobie wprawia nas w przerażenie. — Zawahała się. — Janice, pamiętaj, że pracując tutaj, masz dobre ubezpieczenie medyczne. Nie musisz się martwić o koszty.

Sharon skinęła głową i wróciła do pracy. Była zadowolona, że może coś zająć swój umysł. Po lunchu zadzwoniła do szkoły i dowiedziała się, że David wrócił do normy... W każdym razie tak stwierdziła nauczycielka. Kiedy wyjeżdżała z galerii do doktora Goularta, była już niemal przekonana, że Signe miała rację.

Nie mogła sobie pozwolić, by myśleć inaczej.

Sharon wjechała na parking znajdujący się pod budynkiem przychodni, potem przez chwilę siedziała w samochodzie, zanim wysiadła. Nie powinna panikować i myśleć o najgorszym. Głęboko oddychając, w końcu skierowała się do windy, która zawiozła ją na dziewiąte piętro.

— Powiem doktorowi, że już pani jest — rzekła recepcjonistka. — Proszę tu poczekać.

Sharon usiadła na jasnobrązowej plastikowej kanapie i próbowała uspokoić roztrzęsione nerwy. Na zewnątrz mogła zobaczyć miasto rozciągające się na wzgórzach schodzących do Zatoki Elliota. Nad Cieśniną Pugeta słońce wychodziło i chowało się za chmury, jakby w jednej chwili dawało nadzieję na dobrą pogodę, by zaraz ją odebrać.

Jak moje emocje, pomyślała, bawiąc się paskiem od torebki. David musi być zdrowy. Zamknęła oczy i oparła się o twardą poduszkę. Głęboko oddychała. Nie mogła poddać się panice.

— Proszę wejść.

Gwałtownie otworzyła oczy i zobaczyła Nancy, pielęgniarkę doktora Goularta, w drzwiach do gabinetu lekarskiego. Sharon z trudem przełknęła ślinę, potem wstała i podążyła za pielęgniarką do prywatnego gabinetu doktora. Lekarz uniósł wzrok, kiedy weszła do środka. Drzwi delikatnie zamknęły się za nią.

— Janice, proszę usiąść. — Wskazała na krzesło naprzeciw siebie.

Skinęła głową i zdobyła się na krótki uśmiech. Jego uśmiech wprowadzał w błąd; całe jego zachowanie wyrażało powagę.

Chrząknął. — Mam wyniki badań krwi Davida. — Przerwał. Na jego pulchnej twarzy pojawiły się zmarszczki wyrażające niepokój. — Niestety, spodziewałem się innych informacji.

— Co to znaczy?

Poprawił się na krześle. — Kiedy David był tutaj dwa dni temu, powiedziałem pani, że jego węzły chłonne są powiększone, ale oczywiście mogło to być spowodowane przez infekcję... Zauważyłem też, że ma lekko powiększoną wątrobę. To oraz częste stany podgorączkowe, chroniczne infekcje, sińce, krwawiące dziąsła, ból w stawach i zmęczenie wskazywały, że powinniśmy przeprowadzić dalsze badania.

Splotła ręce na kolanach. — Nie mówił pan o tym.

Przechylił głowę. — Nie chciałem pani niepotrzebnie niepokoić.

— Proszę mi powiedzieć, co mu dolega. — Jej głos drżał. Z całych sił próbowała zachować spokój.

— Janice, to nie tak łatwo powiedzieć. — Jego dłonie zamarły na biurku. — Wyniki badań krwi wskazują, że David jest chory na białaczkę. Krzyk wyrwał się jej z gardła. Zdusiła go, zaciskając usta.

— To nie jest końcowa diagnoza. Musi trafić do szpitala. Tam zrobią mu dodatkowe badania krwi i aspirację szpiku kostnego.

— Aspirację szpiku kostnego? — wyszeptała. — Co to jest?

— Z biodra pobiera się igłą szpik kostny.

Zapadła cisza.

— Moje biedne dziecko. — Powstrzymała się, by nie zgniatać w palcach spódnicy.

— Wyniki tych badań mogą podważyć moją diagnozę. Ale jeżeli potwierdzą, powiedzą nam też, jaki rodzaj białaczki ma David... czy jest to białaczka szpikowa.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami. — A ile jest typów tej choroby?

— Wyróżniamy przewlekłe i ostre... ogólnie są cztery główne rodzaje białaczki.

— To modłę się, żeby David miał przewlekłą.

— Janice, wprost przeciwnie. W przypadku dzieci w wieku Davida ostra białaczka limfatyczna przeważnie nie prowadzi do śmierci. Myślałem, że ten rodzaj choroby potwierdzą badania, jeśli w ogóle się okaże, że postawiłem dobrą diagnozę — dodał. — Ten typ białaczki jest najpowszechniejszy u dzieci.

— Ale jak do tego doszło? Dlaczego David?

— Janice, tego nikt nie wie. — Przerwał. — Najtrudniejszą rzeczą jest odpowiednia diagnoza. Potem medycyna znajduje środki na walkę z chorobą. Bardzo prawdopodobne, że leczenie okaże się skuteczne. — Jego głos też drżał. — David z pani i moją pomocą może przezwyciężyć tę chorobę. Ma dużą szansę.

— Od czego trzeba zacząć? — spytała Sharon roztrzęsionym głosem. Niezależnie od kolejnych testów Sharon mogła powiedzieć, że doktor jest pewny swojej pierwotnej diagnozy.

— Najpierw pobyt w szpitalu, by można było zrobić badania. A potem, w zależności od wyników, być może punkcja lędźwiowa, żeby pobrać płyn mózgowo-rdzeniowy i zbadać go na zawartość komórek blastycznych. Następnie chemioterapia. — Patrzył pewnym wzrokiem. — To jest faza indukcji i będzie musiał pozostać w szpitalu przynajmniej przez tydzień. — Kolejna przerwa. — Chciałbym, żeby poszedł tam jutro, a na pewno nie później niż w piątek lub sobotę.

Sharon patrzyła na niego, wchłaniając kolejne słowa. Potem straciła kontrolę nad sobą. Szloch wstrząsał jej ciałem. Wiedziała, że oprócz skutecznej kuracji istnieje druga strona medalu. David może umrzeć.

Doktor Goulart obszedł biurko, otworzył drzwi i zawołał do pielęgniarki, żeby przyniosła szklanek wody. Potem położył rękę na ramieniu Sharon, uspokajał ją.

— Janice, bardzo współczuję. Wiem, że pani jest zdruzgotana. Jeśli to może być jakimś pocieszeniem, to ja także jestem wstrząśnięty. Ale to nie musi być koniec świata. David może wyzdrowieć. Wielu dzieciom się to udaje.

Weszła Nancy z wodą i chusteczką higieniczną. Po chwili Sharon otarła łzy i napiła się wody. Próbowwała odzyskać panowanie nad sobą. — David musi wyzdrowieć. — Mówiła stłumionym głosem. — Chcę, żeby zrobiono wszystko, co możliwe.

— Zapewniam panią, że David będzie miał jak najlepszą opiekę. — Doktor Goulart wrócił do biurka i zaczął coś gryzmolić w notatniku. — To kiedy będziemy mogli wziąć Davida do szpitala? Jutro, czy w piątek?

Pokręciła głową, była zbyt zdezorientowana, by podjąć decyzję.

— Wiem, że to trudne. Trzeba dużo przygotować. — Stuknęła piórem w notatnik. — Ale nalegam, żeby zrobić to jak najszybciej. — Znów

się zaważał. — Powiedzmy piątek. Będzie miała pani dzień, żeby zastanowić się nad tym, co się stało, i przygotować Davida.

Sharon skinęła głową. Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Skupiła się na tłumieniu swoich emocji. David potrzebował jej. Nie mogła rozsypać się na drobne części i pociągnąć go za sobą.

Wyjaśnił jej krótko, co powinna zrobić, by przyjęto Davida do szpitala. W końcu wstała jak robot. Zapomniała większość jego wskazówek, zapamiętała tylko, gdzie i kiedy zawieźć Davida w piątek rano.

— Jeżeli jutro będzie miała pani jakieś pytania, proszę zadzwonić do Nancy lub do mnie. — Odprowadził ją do drzwi. — Razem przez to przebrniemy. Proszę mi wierzyć...

— Jest pani w stanie prowadzić teraz samochód? — spytała potem życzliwie Nancy. — Jeśli chce pani chwilę posiedzieć, proszę skorzystać z któregoś z gabinetów lekarskich.

— Muszę odebrać Davida ze szkoły.

— I proszę pamiętać, żeby zadzwonić.

— Zadzwonię.

Sharon wyszła i oszołomiona czekała na windę. W samochodzie próbowała poprawić makijaż. David nie powinien widzieć, że płakała.

Kiedy wyjechała z podziemnego garażu, słońce przebiło się przez chmury, długie snopy światła słonecznego oświetlały ulicę przed nią.

Może to dobry znak? Informacja od Boga? Proszę, żeby tak było.

I mały chłopiec wyzdrowiał. Mama zabrała go ze szpitala do domu i już nigdy więcej nie zachorował... — Sharon uśmiechnęła się do Davida, który leżał z głową opartą na poduszkach. Obok niego tulił się Smarok, a Moppet spał w nogach łóżka, swoim ulubionym miejscu. — To koniec historii — dodała.

— Ten chłopiec naprawdę wyzdrowiał?

— No pewnie.

— Był bardzo chory, prawda? — Zamyślił się. — Pewno był wystraszony... zanim wrócił do domu. — Wsunął się głębiej pod kołdrę. — Ja to bym się bał, gdybym był sam w starym szpitalu.

Chwyciło ją za serce, ale mówiła pewnym głosem: — Na początek był, ale potem przypomniał sobie, że mama nigdy go nie okłamywała. Pamiętaj, co mu powiedziała, kiedy poszedł do szpitala. Wyzdrowiejesz, choć od czasu do czasu będziesz przestraszony.

— Aha. No i mama odwiedzała go codziennie.

— Pewnie. Żadna mama nie kochała swojego synka bardziej niż ta mama z opowieści.

— Bo ten chłopiec był tak... tak odważny.

Pochyliła się i pocałowała go. — Masz rację. Ten chłopiec był bardzo odważny.

Przyciągnął bliżej Smarkusia. — Ja też mogę być odważny.

Znów go pocałowała i wstała. — Czas spać, kochanie.

— Wiem, mamo. Dziękuję za tę historię. Do zobaczenia rano.

Podciągnęła kołdrę pod jego brodę i wyłączyła lampkę. — Spij mocno.

— I niech nie dręczą cię zmyry — dorzucił, kończąc rytuał zasypiania.

Sharon zatrzymała się jeszcze w drzwiach, utkwiała wzrok w leżącym synku. Wiem, że będziesz odważny, pomyślała, przełykając ślinę w ściśniętym gardle. I wyzdrowiejesz. Obiecuję ci to.

Zostawiła drzwi uchylone i zeszała na dół. Opowiedzenie mu tej historii nagle przyszło jej do głowy. Wjakiś sposób musiała go przygotować. Zmyślane opowieści zawsze były ich sposobem na radzenie sobie z problemami. Największy z nich to była ucieczka od Paula. Aż do teraz. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła choć trochę mu pomóc w obliczu tego, co go spotka jutro.

Sharon postanowiła poczekać do następnego dnia, żeby powiedzieć o tym Davidowi lub porozmawiać z jego nauczycielką. Ostatnia rzecz, którą chciała, to powiedzieć coś niewłaściwego ze względu na swoje zdenerwowanie. Jutro jest dostatecznie blisko, ale do tego czasu będzie spokojniejsza, bardziej przygotowana, by radzić sobie z myślą... O białaczce.

Dom był zamknięty na noc, ale wiedziała, że nie jest gotowa, by się położyć do łóżka. Chociaż bolały ją wszystkie kości, nie było mowy o spaniu. Gdyby tylko mogła powstrzymać nadejście dnia jutrzejszego. Gdyby tylko mogła zmienić diagnozę. Gdyby tylko...

Niespokojna Sharon zrobiła sobie herbaty i poszła do salonu. Siedząc po ciemku, piła ją małymi łykami. Jednak gorąca ciecz nie rozproszyła chłodu, który zagnieździł się głęboko w niej. Choć chwilowo nie płakała. Musi być silna dla Davida; nie ma innego wyboru. Straszliwa choroba, która opanowała jego ciało, musi zostać wypędzona.

Nagły dzwonek telefonu przywrócił uczucie przerażenia, o którym już prawie zapomniała. Chwyciła słuchawkę, zanim sygnał rozległ się

po raz drugi, a potem się zawahała. Zastrzyk adrenaliny był zbyt silny. Opadła na krzesło stojące przy telefonie.

— Janice? Tu Signe. Co z Davidem?

Gała Signe. Od razu przechodzi do rzeczy. Łzy spływały Sharon po policzkach, ale zachowała spokojny głos. — Niedobrze.

— Cholera. — W słuchawce dało się słyszeć, jak Signe wciąga powietrze do płuc. — Co się stało?

Sharon wstała i rozciągając sznur od telefonu, weszła do salonu, by rozmawiać. David nie powinien nic usłyszeć.

— W piątek idzie do szpitala. — Wciągnęła w płuca haust powietrza. — On jest... to jest bardzo poważne. — Nie mogła się zmusić, by głośno wypowiedzieć słowo *białaczka*.

— Dasz sobie radę? — Signe z niepokoju zniżyła głos.

— Muszę, Signe. — Mówiła łamiącym się głosem. — David mnie potrzebuje... nie ma nikogo innego.

Nastąpiła długa przerwa. — Jaka jest właściwie diagnoza?

— Nie jest jeszcze ostateczna. — Przerwała. — Ale to może być białaczka... przypuszczalnie ostra białaczka limfatyczna. Na taką najczęściej dzieci chorują.

— Och, nie! — Signe wyrzuciła z siebie świszczącym z przerażenia głosem. — Wpadnę do ciebie.

— Nie, nie. Signe, doceniam twoją propozycję, ale muszę w samotności wszystko przemyśleć.

— Rozmowa mogłaby ci pomóc.

— Nie sądzę, w każdym razie nie teraz. — Na chwilę zamilkła. — Jesteś dobrą przyjaciółką.

— Ty też, Janice. — Przerwa. — Nie martw się o swoją pracę. Nie stracisz jej. Możesz wziąć tyle wolnego, ile potrzebujesz, i dostaniesz pełną wypłatę.

— Dziękuję, Signe. Nie masz pojęcia, jaka to ulga dla mnie. Wszystko odrobnię.

— Teraz nie musisz się o to martwić. — Po chwili spytała: — Będziesz mnie informowała na bieżąco?

— Oczywiście. Nie wiem jednak, ile czasu David spędzi w szpitalu. Kiedy nie będę mogła być z nim, wolałabym pracować, niż zadreżać się w samotności.

— Rozumiem, ale teraz to twój najmniejszy problem.

— Dziękuję — znów powiedziała. Zdała sobie sprawę, jakie to szczęście mieć dobrych przyjaciół. Najpierw Lexi, teraz Signe.

— Pamiętaj, Janice, że dla ciebie jestem gotowa na wszystko. Możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. — Potem dodała: — Myśl optymistycznie. David wyjdzie z tego.

Sharon odłożyła słuchawkę i zaniósła filiżankę po herbacie do kuchni. Upewniła się, że palą się światła na zewnątrz domu, jeszcze raz sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, i podeszła do schodów.

To kolor czerwony przyciągnął nagle jej uwagę, coś zostało przycięte w drzwiach szafy wnękowej. Bez zastanowienia otworzyła ją. Czerwony materiał był rękawem jej wiatrówki.

Sharon szerzej otworzyła drzwi i zamarła ze strachu. Niewielkie pudełko na dokumenty leżało na podłodze, jego zawartość została rozrzucona na butach. Cofnęła się chwiejnym krokiem, ręką zacisnęła usta.

Ktoś był w jej domu.

Rozdział 28

Deski nad korytarzem zostały usunięte, a potem ponownie położone — stwierdził Bob Logan, gdy się przyjrzał. — Janice, ten, kto tu był, wybrał moment, kiedy Midge ani mnie nie było w domu.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Grzbietem dłoni Sharon odgarnęła włosy z czoła. — Muszę zadzwonić do mojego gospodarza w sprawie alarmu antywłamaniowego. Zgodził się go założyć, ale jeszcze tego nie zrobił.

Skinął głową. — Trzeba to przyspieszyć. Jesteś pewna, że nic nie zginęło?

— Nic. — Ciałem Sharon wstrząsały powolne, niewidoczne dreszcze. — On po prostu przeglądał moje papiery: wyciągi bankowe, rachunki, metrykę urodzenia, umowy dotyczące ubezpieczeń społecznych... — Przerwała. — Chyba zaglądał do wszystkich szaf i szuflad w tym domu.

— Dziwne. Nie co dzień włamywacz zakrada się do domu spod podłogi, tylko po to, żeby myszkować. — Podrapał się po głowie. — Nie jesteś czasem tajnym agentem lub kimś takim?

— Chyba żartujesz. — Ochrypła ze zmęczenia.

— A dzwoniłaś na policję?

Przytaknęła. — W nocy, kiedy zauważyłam, co się dzieje.

— Przyjechali? Nie słyszałam ich.

— Poprosiłam, żeby nie używali syreny ani światła. Nie chciałam, żeby David się obudził i przestraszył.

— Długo byli?

— Kilka minut. Ponieważ przeszukałam już dom i zabezpieczyłam deski podłogi, napisali tylko raport, upewnili się, że nikogo nie ma i odjechali.

— Chyba tylko to mogli zrobić. Ten facet... jeśli jest to ten sam, a sądzę, że tak... jest nieuchwytny.

— Tak powiedział policjant. Niestety, mogli jedynie sprawdzić, że w tym momencie dom jest bezpieczny.

Pokręcił głową. — Skąd, do diabła, ten facet wiedział, gdzie jest szafa wnękowa?

Sama zadawała sobie to pytanie. Musiał to być ktoś, kto znał ten dom albo przynajmniej był w środku. Chyba że włamywacz często siedział pod nim, nasłuchiwał i z ich kroków, kiedy wchodzili do domu i wieszali płaszcze, określili, gdzie jest szafa.

Bob podszedł do drzwi kuchennych. — Teraz jeszcze mocniej zabię gwoździami ten korytarz pod podłogą — zdecydował. — Kiedy będą zakładali alarm, tam niech też okablują.

— Gospodarz o tym wie. Dobrze by było, jakby się pospieszył. Zadzwoń do niego później. — Chrząknęła. — Może jeszcze nie wstał.

— Słuchaj, Janice, możesz kupić przenośny alarm do tego korytarza i założyć go tymczasowo. Sprzedają je w sklepach z różnymi elektronicznymi gadżetami. — Wyszedł na werandę. — Zainstaluję go.

Sharon zamknęła drzwi i poszła zrobić kawę. Wrzuciła suchą karmę do miski kota i zaczęła obserwować Boba przez okno. Była zadowolona, że ma takich sąsiadów jak Bob i Midge. Zadzwoiła do nich, jak się upewniła, że wstali. Mówiła cicho do telefonu, więc nie obudziła Davida. Bob natychmiast przyszedł. Delikatnie ją zbeształ, że nie zadzwoniła w nocy.

Kiedy skończył zabezpieczać korytarz pod podłogą, Sharon przez okno dała mu znać, że chce jeszcze z nim porozmawiać. Spotkali się przy drzwiach z tyłu domu.

— Chciałabym coś jeszcze powiedzieć tobie i Midge. — Sharon zaważała się. — Chodzi o Davida.

— Chyba nie jest chory, co?

Przez chwilę się nie odzywała. — Jest. — Zamarł jej głos. — David jest ciężko chory.

Z przejęciem wykrzywił twarz. — Midge coś mówiła, że David był na badaniach i czekasz na jakieś wyniki.

— Wyniki badań krwi. — Rozłożyła ręce niczym w geście błagalnym. — David ma... białaczkę.

— O Boże, nie. — Zadrżał. — Czy to ostateczna diagnoza?

Szybko zamrugęła oczami, tłumiąc łzy. — Doktor Goulart jest prawie pewien, choć będą jeszcze robić badania w szpitalu.

— A kiedy David idzie do szpitala?

— Jutro rano.

Gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. — Tak szybko. Kiedy się o tym dowiedziałas?

— Wczoraj o czwartej po południu.

— Bardzo współczuję. Na pewno nie jest ci dodatkowo potrzebny ten cholerny włamywacz. — Zamilkł na chwilę. — Czy David wie?

Pokręciła głową. — Muszę go do tego dziś przygotować.

Przestępował z nogi na nogę, zasmucony tym, co mu powiedziała.

— Pomożemy ci we wszystkim, Janice, tylko nam powiedz.

— Dziękuję, Bob. — Z trudem przełknęła ślinę i spojrzała w bok.

— Niezależnie, co się zdarzy, chcę was prosić, żebyście zaopiekowali się domem i Moppetem. David byłby zrozpaczony, gdyby coś się stało jego kotkowi.

Położył dłoń na jej ramieniu. — Powiedz tylko, co mamy zrobić. Przypilnujemy twojego domu bez żadnych próśb.

— Czy kiedykolwiek będę mogła się odwdziaczyć tobie i Midge?

— Mówiła prawie szeptem. — Jesteście tacy wspaniali dla Davida i dla mnie.

— Po to są sąsiedzi... przyjaciele. — Przerwał. — Wyjaśnimy to Pete'owi.

— Mam nadzieję, że informacja o Davidzie go nie wystraszy.

Pokręcił głową. — Wszystko przedstawimy w jasnych barwach, nie będziemy na razie mówili o białaczce.

Zrobił krok do przodu i uściskał ją, a potem pospieszył do domu, jednak Sharon zdążyła zobaczyć łzy w jego oczach.

Wróciła do środka. Ona nie będzie płakała. Dzień dzisiejszy należy do Davida, a to oznacza, że będzie szczęśliwy, wspaniały.

David był podekscytowany, gdy Sharon powiedziała mu, że dzisiaj będą robić wszystko, na co będzie miał tylko ochotę. Kiedy mył zęby po śniadaniu, nie zwróciła uwagi na ślady krwi w zlewie. Jutro będzie czas, by o tym myśleć, stwierdziła. Dziś spróbuje się nie martwić.

Zanim wyszli z domu, zadzwoniła do nauczycielki Davida, by powiedzieć, że nie będzie go w szkole do końca tygodnia. Nie zadała sobie trudu, by bardziej zabezpieczyć podłogę albo zabarykadować drzwi. Ktoś, kto wchodził do domu spod podłogi w jednej jego części, może łatwo zrobić to ponownie. Z tego samego powodu nie zmieniała numeru telefonu. Jeżeli szantażyście udało się zdobyć jej prywatny numer, tak samo mu się powie po jego zmianie. Ale dziś kupi przenośny alarm.

Przez cały dzień Sharon szukała odpowiedniego momentu, by porozmawiać z Davidem o szpitalu. Jednak żadna chwila nie wydawała się właściwa. Poszli do kina, potem do podwodnego obserwatorium. Zjedli rybę z frytkami w restauracji na nadbrzeżu, kupili alarm i w końcu wrócili do domu z produktami niezbędnymi do przyrządzenia bananów z lodami i bitą śmietaną.

— Mamo, to mój najfajniejszy dzień — oznajmił rozradowany David.

— Mój też. — Sharon pragnęła, żeby chłopiec pozostał taki na zawsze. Nie mogła znieść myśli, że będzie cierpiał. Nie miał jeszcze nawet sześciu lat.

Bob Logan wyszedł z domu, kiedy przyjechali. — Jesteście tak obładowani, jakbyście chcieli wyjechać z Seattle. Myślę, że mieliście wspaniały dzień.

— To najlepszy mój dzień. Zaraz opowiem Pete'owi, co robiłem. — David zwrócił się do Sharon: — Może Pete przyjdź do mnie na lody?

Spojrzała na Boba, a on gestem pokazał, że Pete jeszcze nie wie o chorobie Davida. — Oczywiście, jeśli mama i tata mu pozwolą — odpowiedziała Davidowi.

— Biegnij i zaprosz go — rzekł Bob i delikatnie szturchnął Davida. — Na pewno nie powie nie na lody!

Kiedy David nie słyszał, Bob wyjaśnił, że on i Midge zdecydowali się poczekać, aż David pójdzie do szpitala, żeby powiedzieć o tym Pete'owi. — Wiesz, jakie są dzieci. One rozumują zupełnie inaczej. Nie chcemy, żeby Pete nieświadomie palnął coś, co przstraszy Davida.

— Dzięki za to. — Zawahała się. — Ja sama nie znalazłam jeszcze odpowiednich słów. — Dała mu alarm. — Mam zamiar powiedzieć mu

przed pójściem spać. Nie mogę czekać do jutra, bo wtedy wyjazd do szpitala będzie jeszcze trudniejszy.

— Masz rację. Nic nie jest takie proste, jak się wydaje...

Powrót do domu przywrócił wszystkie jej lęki. Bob, jakby odczytał jej wyraz twarzy, zapewnił ją, że nikt nie kręcił się w pobliżu. Przy najmniej stłumił tę jej obawę... na chwilę.

— Gdy oni będą jedli lody, zainstaluję ten alarm. — Zrobił poważną minę. — Janice, zapewniam cię, że nikt już więcej nie dostanie się pod twój dom.

Sharon podziękowała mu i weszła do domu. Szybko sprawdziła pokoje, by się upewnić. Kiedy chłopcy wparowali do kuchni, już przygotowywała lody z bananami.

— O rany, moje ulubione! — wykrzyknął Pete.

— Moje też. — David uśmiechnął się z dumą. — Mamo, przez całe lato będziemy jedli same lody.

Uśmiechnęła się do niego. — No pewnie.

Miała nadzieję, że jest to prawda.

I będę musiał pójść do szpitala jak ten chłopiec z opowieści? — spytał David, mocniej tuląc Smarkusia.

— Tak, doktor Goulart powiedział, że trzeba zrobić jeszcze parę badań. — Chciała dodać, że nie będzie to bolało, że nie zostanie w szpitalu dtugo, ale nie chciała go oszukiwać. Poza tym ona sama zbyt wiele nie wiedziała.

— Czy mama tego chłopca została z nim w szpitalu? — Jego oczy zrobiły się okrągłe z niepokoju. — Mamo, zostaniesz ze mną?

Uśmiechnęła się uspokajająco. — Oczywiście. Cały czas będę w szpitalu.

— I wrócę znów do domu? — Jego głos się załamał.

Przytuliła go tak mocno, że ciemne kędziorki poślaskotały ją w brodę. — Oczywiście! — Jej oczy płonęły. — Nie pamiętasz? Ten mały chłopiec wrócił do domu ze szpitala. Ty też wrócisz, kochanie.

— Pamiętam. — Oddychał nierówno. — Ten chłopiec był odważny, nawet jak się bał.

— No właśnie.

— A potem nie wrócił do szpitala i w ogóle nie chorował.

— Aha. — Położyła go z powrotem na poduszki i podciągnęła kołdrę. Wiedziała, że w jego przypadku to nie jest zupełnie prawda. —

Nie zapominaj, że nie będziesz długo w szpitalu. A lekarze i pielęgniarki są mili. Polubisz ich.

Nagle łzy zabłysły mu w oczach. — Mamo, czy ja muszę tam iść? Nie chcę. Nie obchodzi mnie, że lekarze i pielęgniarki są mili. Nienawidzę szpitali! — Zaczął płakać.

Sharon znów wzięła go w ramiona. Uspokajała go kołysankami, sama walcząc z chęcią do płaczu. Kiedy w końcu przestał, wytarła mu łzy.

— Już dobrze? — spytała, udając wesołość.

Opornie skinął głową. — Ja wciąż nie chcę tam iść — stwierdził drżącym głosem. — Ale spróbuję być jak ten chłopiec.

Jego słowa rozdzierały serce. Siedziała z nim, dopóki nie zasnął. Zastanawiała się, kiedy znów znajdzie się w swoim małym łóżeczku. Potem poszła do swojej sypialni, włożyła koszulę nocną, wyciągnęła kołdrę i poszła na dół. Dziś będzie spała na sofie. Nie mogła zapomnieć o szantażyście, bo wiedziała, że on o niej nie zapomni.

Mimo że postanowiła być czujna, zaczęła przysypiać. Była tak wyczerpana, że jej umysł się wyłączył. Jutro muszę być silna, było jej ostatnią myślą. W końcu zasnęła.

Przydzielili Davidowi pokój i Sharon pomogła mu się ubrać w jasnoniebieską bawełnianą koszulę szpitalną. Dwie pielęgniarki, w kitlach ozdobionych postaciami z kreskówek, krzątały się wokół niego; pomagały mu, zabawiały, żartowały. Po chwili David się odprężył, ale kiedy wchodził do łóżka, trzymał Smarkusia pod ramieniem.

— Doktor zaraz przyjdzie do ciebie — oznajmiła mu pulchna starsza pielęgniarka. Brzmiało to, jakby elf zapowiadał przybycie Świętego Mikołaja.

Sharon uśmiechnęła się. — Widzisz, szpital nie jest taki straszny.

— Nie. Widziałem dzieci w innych pokojach, jak siedłem po korytarzu. Może one też mają badania.

— Na pewno. Tak jak ty.

— Aha.

Jedna z pielęgniarek włączyła telewizor, który był przymocowany do ściany pod sufitem. Uwagę Davida przykuła kreskówka. Usiadł wyżej na łóżku, by ją oglądać.

Kilka minut później do pokoju wszedł doktor Goulart. Skinął Sharon i powitał Davida szerokim uśmiechem. Po ożywionej dyskusji o promach zwrócił się do Sharon.

— Chyba David nie będzie miał nic przeciwko temu, jak zabiorę panią na kilka minut. — Spojrzała na Davida. — Mogę, synku?

— Chy... chyba nie. — Spoglądał to na lekarza, to na Sharon.

— David, zaraz wrócę. — Ścisnęła mu rękę i potrząsnęła. — Obie-
cuję. Dobrze?

Przytaknęła i przytuliła Smarkusia jeszcze bardziej.

Sharon oderwała palce od drzwi. — Za momencik wrócę. — Potem
podażyła za lekarzem do poczekalni znajdującej się na końcu korytarza.
Usiedli na winylowych kanapach stojących naprzeciw siebie.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Chciałbym, żeby pani wiedziała, co będziemy robić — odezwał
się. — Wyjaśniłem to już pani trochę w moim gabinecie.

Sharon nerwowo zgniatała w palcach dżinsową spódnicę, czekała,
co powie dalej. — Nie dotarła do mnie nawet połowa. Kiedy usłyszałam
słowo białaczka, wpadłam w przerażenie.

— Wiem, moja droga. — Zamilkł. — To typowa reakcja rodziców,
którzy po raz pierwszy słyszą diagnozę.

— Więc pan jest prawie pewien, że to białaczka, nawet bez dal-
szych badań? — Jej głos brzmiał głucho.

— Niestety tak. — Po raz kolejny zamilkł. — Dziś rano pobierze-
my krew, a jutro rano, jeśli to będzie wskazane, szpik kostny. To ważne,
żebyśmy zaczęli jak najszybciej.

— Jak długo trzeba będzie czekać na wyniki?

— Jutro będą znane.

— A potem?

— Jak już wyjaśniałem, trzeba przeprowadzić biopsję szpiku kost-
nego. Duża ilość komórek blastycznych świadczy o białaczce. Komórki
te można czasami znaleźć we krwi, jak w przypadku Davida. Nakłucie
łędźwiowe, by zbadać płyn mózgowo-rdzeniowy na ich zawartość, po-
maga określić stadium choroby.

Wyjęła chusteczkę higieniczną z torebki i delikatnie otarła nią oczy.
— Chce pan powiedzieć, że będziecie wbijać igłę w plecy Davida? —
Wychyliła się na krzesło. Nie, pomyślała. Nie w kręgosłup dziecka. Jak
mogłaby na to pozwolić?

Przytaknęła. Miał zatroskaną minę. — Wiem, że to trudne do zaak-
ceptowania, ale konieczne, żeby zwalczyć chorobę. — Położył dłoń na
jej splecionych rękach. — Pojutrze Davida przeniesiemy do pokoju ope-

racyjnego. Wprowadzi się igłę do żyły w pobliżu serca. W ten sposób chemioterapia będzie stosowana bezpośrednio.

Sharon szybko zamrugała oczami, walcząc o kontrolę nad sobą. Najpierw delikatne biodro, potem cienki kręgosłup, a w końcu jego pierś. Zaledwie kilka dni temu martwiła się, czy nie ma anemii, a teraz będzie musiała walczyć o swoje życie, znosić koszmarną kurację.

Zapadła cisza, gdy doktor Goulart pozwolił jej wszystko przeanalizować. W głowie kłębiły się jej różne możliwości, ale żadna nie była dobra. Nie mieli wyboru... jeśli David miał żyć.

Doktor wyjaśnił jeszcze więcej szczegółów, a potem wstał. — Janice, wiem, że pani może sobie z tym poradzić. I proszę pamiętać, że David ma szanse wyjść z tego. Ale nie oszukuj, będzie to ciężka walka... dla was obojga.

Zostawił ją samą w pokoju. Sharon gapiła się na tapetę ze śmiejącymi się i tańczącymi klaunami. Klauni mają przypominać dzieciom o szczęśliwszych dniach? Czy może mówić o szczęśliwej przyszłości? Ukryła twarz w dłoniach, zastanawiała się, czy rzeczywiście będzie w stanie poradzić sobie, widząc, jak jej dziecko przeżywa piekło.

Policz do pięćdziesięciu, nakazała sobie, kiedy poczuła, że w jej oczach pojawiły się łzy. Pomyśl o wczorajszym dniu... przypomnij sobie lepsze czasy. Znowu będą pływali promami i jedli tłuste hamburgery, przyrzekła. Doktor miał rację. David mógł przezwyciężyć chorobę, ale potrzebne mu były wszystkie jego siły. Nie mógł się martwić o swoją mamę.

Chwilę później uniosła głowę, gdy ktoś lekko dotknął jej ramienia. Zobaczyła Taylora siedzącego obok niej.

— Bardzo współczuję tobie i Davidowi. — Delikatnie gładził jej ramię. — Janice, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przyszedłem do szpitala.

Mam. Nie znam cię dobrze. Nasza tragedia nie jest widowiskiem. — Skąd wiedziałeś?

— Signe. — Zawahał się. — Nie jesteś zdenerwowana, że powiedziała mi, gdzie jesteś? Tak martwi się o ciebie i o Davida, że wygadała, co się stało i że jesteś tutaj.

Wypuściła powietrze z płuc. — Nie mogę być zdenerwowana na Signe. To kochana osoba. Jestem szczęśliwa, że mogę ją uważać za moją przyjaciółkę.

— No tak... oczywiście.

Na chwilę zapadła cisza.

— Janice, jeżeli mogę ci w czymś pomóc, to jestem do twojej dyspozycji. — Cofnął rękę. — Bardzo lubię tego chłopaka. To wspaniały dzieciak.

— Wiem. — Przełknęła ślinę. — Dziękuję.

— Nie masz nic przeciwko temu, że go odwiedzę, skoro tu jestem?

Pokręciła głową, nie ufała swojemu głosowi.

Z marynarki wyciągnął kapitańską czapkę. — Pomyślałem, że David będzie chciał ją mieć. — Spojrzał na Sharon. — Założy ją, jak stanie za sterem mojego jachtu kiedyś latem.

— To miłe z twojej strony. — Wiedziała, że jej podziękowania są wymuszone. — Zdajesz sobie sprawę, że musimy odwołać niedzielne spotkanie.

— Oczywiście.

Ich wzrok się spotkał. — I dlatego dziś przyszedłeś... Z czapką?

Uśmiechnął się. — Chyba tak. Pamiętam, jak bardzo lubiłem pływać, kiedy byłem dzieckiem. Pomyślałem, że David będzie rozczarowany... W połączeniu z tym wszystkim...

Wstała. — Powinnam iść. Powiedziałam Davidowi, że zaraz wracam. On jest...

— ...wystraszony — skończył za nią zdanie.

Przytaknęła. — Ale próbuje być dzielny.

— Jaka matka, taki syn.

— Co to znaczy?

— To taki domysł. — Kolejne wahanie. — Sądzę, że jesteś bardzo dobrą mamą.

Niepewna, podążyła za starą radą Lexi, że w takich sytuacjach trzeba po prostu podziękować. — Staram się, Taylor. Dzięki.

— Mogę zajrzeć i powiedzieć mu cześć?

— Davidowi na pewno się spodoba.

Kiedy szli korytarzem do pokoju Davida, w jej umyśle pojawiły się pytania. Dlaczego Taylor przyszedł dziś do galerii Signe? Na pewno nie po to, żeby się ze mną zobaczyć, bo już umówili się na niedzielę, uznają. Następna myśl nią wstrząsnęła, rozpałała jej umysł. Kontroluje sytuację, bo już wie?

Bo jest tym, który włamuje się pod jej dom?

Rozdział 29

O północy Sharon leżała na kanapie w salonie, gdzie zamierzała spać. Nie było mowy, żeby zasnęła na górze. Czuła się zbyt samotna, bezbronna, wiedząc, że ktoś wtargnął do jej domu. Starła się nie słyszeć dziwnych odgłosów, ale się nie uspokoiła, dopóki ich nie zidentyfikowała. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na cienie rysujące się na suficie. Była zbyt wyczerpana nerwowo, by zasnąć. *I utraciła Davida.*

Kiedy pół godziny wcześniej przyjechała do domu, Midge i Bob wyszli na werandę, by się upewnić, czy jest bezpieczna. Sharon była wdzięczna; bała się wracać tak późno, zwłaszcza że wystraszyła się w garażu szpitala. Czy rzeczywiście słyszała kogoś w ciemnościach?

Pomogła jej świadomość, że na drzwiczkach do podpiwniczenia założono alarm i podłoga pod nią jest bezpieczna. Midge i Bob rozmawiali z ich najbliższymi sąsiadami o problemie Sharon i każdy z nich miał obserwować jej dom. Postanowili nawet, że od czasu do czasu ktoś prze spaceruje się wokół jej posiadłości, kiedy nie będzie jej w domu. Midge obserwowała, kiedy Sharon wyjeżdża i przyjeżdża. Gdyby szantażysta znów spróbował, ktoś by go zobaczył.

Mimo to Sharon uznała, że należy sprawdzić szafy i pod łózkami, w rękę ścisła pojemnik z gazem. Bob zainstalował również światło na pniu drzewa rosnącego na podwórzu i teraz nie było nieoświetlonego miejsca, w którym ktoś mógłby się ukryć.

Potrzebowała snu, ale nie mogła się uspokoić. Najpierw odmawiała Modlitwę Pańską, a potem śpiewnie recytowała wersy z Biblii, które stały się jej mantrą w ostatnich miesiącach. „Odzyskasz wszystko to, co utraciłeś.”

Zadzwonił telefon, zerwała się do pozycji siedzącej. Patrzyła na wejście łukowe prowadzące na korytarz, serce waliło jej jak młotem. Wstała, na palcach podeszła do drzwi i zatrzymała rękę nad telefonem. To mógł być on. A może to telefon ze szpitala? Może David obudził się przestraszony? Podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku.

— Janice? Mówi Taylor.

— Taylor? Skąd znasz mój numer?

— Od Signe. — Przerwał. — Dzwoniłem właśnie do szpitala i pielęgniarka powiedziała, że pojechałaś do domu ponad godzinę temu. Pomyślałem, że może jeszcze nie śpisz.

— Oczywiście, że nie śpię. — Z powodu zmęczenia mówiła słabym głosem. — Mam poważne obawy, czy kiedykolwiek zasnę. Potwierdzili diagnozę, zanim wyjechałam ze szpitala.

Wciągnął powietrze. — Między innymi dlatego zadzwoniłem. Jak się czuje nasz chłopak?

— David nie wie, jak mocno jest chory... I chcę go dalej trzymać w nieświadomości. — Chrząknęła. — Spał, kiedy wychodziłam. Coś mu dali.

— To dobrze. Martwiłem się o niego.

— Dziękuję za twoją troskę, Taylor. — Dlaczego się nami tak interesujesz?, spytała bezgłośnie. — Miałam zamiar zostać tam całą noc, ale pielęgniarka powiedziała, że bardziej pomogę Davidowi, kiedy będę wypoczęta. Nalegała, żebym pojechała do domu.

— Miała rację. Janice, to będzie długa droga. Musisz oszczędzać swoje siły... ale oczywiście nie kosztem Davida.

— Wiem. Jutro będzie miał nakłucie lędźwiowe, a potem pójdzie na stół operacyjny. Wprowadzą mu cewnik do chemioterapii. Zacznie się natychmiast... — Przekazała mu najświeższe informacje, wiedziała, że i tak się tego dowie. Nie mogła ukrywać, ile przyjaźń Taylora znaczy dla Davida. Jej syn potrzebował wszelkiej pomocy.

— O której tam będziesz?

— Wpół do siódmej albo o siódmej.

— Tak myślałem. — Przez telefon dało się słyszeć, że wciągnął powietrze do płuc. — To właśnie drugi powód, dla którego zadzwoniłem. Pomyślałem, że może potrzebujesz czegoś do zrelaksowania... żebyś mogła zasnąć.

— Co masz na myśli? — spytała ostrym tonem. Pamiętaj, że tak naprawdę nie znasz tego człowieka. Fakt, że chce się z tobą zaprzyjaźnić, wydaje się podejrzany.

— Zostawiłem ci butelkę dobrego czerwonego wina przy donicy na werandzie. Pomyślałem, że kieliszek wina cię uspokoi.

— Kiedy ją zostawiłeś? Nie widziałam jej.

— Zaraz po tym, jak zadzwoniłem do szpitala i pielęgniarka powiedziała mi, że wyglądasz na bardzo wyczerpaną. — Znów zrobił pauzę. — Myślałem, że zdążę, zanim pójdziesz do łóżka... I prawie mi się udało. — Roześmiał się głośno. — Kiedy podjeżdżałem, wyłączyłaś światła w domu, więc nie chciałem ci przeszkadzać. Butelkę postawiłem po prostu na werandzie.

— Stąd wiedziałeś, że jeszcze nie śpię.

— Aha. I dlatego zadzwoniłem.

— A gdzie teraz jesteś?

— Na przystani.

Opadła na krzesło w korytarzu, mąciło się jej w głowie, gdy myślała o konsekwencjach tej rozmowy. Mógł mówić prawdę. Mógł też być tym szantażystą, który użył nowego chwytu, by otworzyła drzwi.

— Nie słyszałam cię.

— Wiem. Szedłem na paluszkach.

— Dlaczego szedłeś po cichu, skoro wiedziałeś, że nie śpię, a teraz zadzwoniłeś, choć już mogłam zasnąć?

— Jak mówiłem, wiedziałem, że poszłaś do łóżka, i nie chciałem cię wystraszyć, ale wiedziałem też, że nie śpisz. I miałem rację. W takiej sytuacji żadna matka by nie zasnęła, a szczególnie ty.

— Dlaczego? — Użył słowa *wystraszyć*.

— Bo jesteś bardzo opiekuńcza. Kochasz Davida najbardziej na świecie. Jesteś chora z przerażenia.

Znów ścisnęło ją w gardle. Nie była w stanie nic powiedzieć.

— No, kończę. — W słuchawce dało się wyczuć niepewność. — Poważnie, Janice. Weź to wino. Potrzebujesz snu. Dla Davida.

— Dzięki — wydobyła z siebie. — Dobranoc.

— Dobranoc.

Do jej ucha dotarł głuchy sygnał. Odłożyła słuchawkę, chyłkiem podeszła do drzwi i wyjrzała przez szybę. Całe podwórze między werandą a ulicą było oświetlone. Obok donicy stojącej przy schodach zobaczyła smukłą butelkę.

Miała ochotę ją wziąć, ale się zastanowiła. To szaleństwo. W żadnym wypadku nie powinna otwierać drzwi. Wróciła na sofę i nakryła się kołdrą.

Przewracała się i skręcała, ale wciąż nie mogła zasnąć. Myślała o rozmowie telefonicznej. Dlaczego Taylor tak bardzo się nimi interesuje? Choć jego postępowanie wydawało się szczerze, jednak zawsze po spotkaniach z nim odczuwała coś jeszcze. Tylko jedna osoba została w niej tak mieszane wrażenia — Paul.

Minęło pół godziny. W końcu rozpaczliwie potrzebująca snu Sharon zrzuciła z siebie kołdrę i szybkim krokiem podeszła do drzwi. Upewniwszy się, że nikogo nie ma na werandzie, wyszła po butelkę.

Odgłos z wysokich gęstych krzewów rosnących na końcu podwórka przyciągnął jej uwagę. Nic się nie poruszyło, ale czuła, że on ją obserwuje.

Wiatr przycisnął jej koszulę nocną do nóg i przeszył gołe ramiona zimnym dreszczem. Przez chwilę nogi odmawiały posłuszeństwa. Potem, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest narażona na niebezpieczeństwo, szybko wróciła do domu. Zatrzasnęła drzwi i zarygłowała.

Jeszcze bardziej niespokojna przebiegła po domu, rutynowo wszystko sprawdziła. Paranoja była złym dodatkiem do braku snu i niepokoju.

Sharon wzięła z szafki szklankę do wody i nalała do niej porcję wina. Sączyła je, a resztę wypija dwoma dużymi łykami. A co mi tam, pomyślała i napełniła szklankę. To musi zadziałać.

Zrobiła się senna, zanim opróżniła szklankę do połowy. Postawiła ją na ławie i położyła się. Wiedziała, że jutro będzie bolała ją głowa. Była to jej ostatnia myśl, aż do momentu, kiedy o piątej rano zadzwonił budzik.

Po tygodniowym pobycie Davida w szpitalu następne dni składały się z pobyków w szpitalu, a potem w domu, i znów w szpitalu na chemioterapii, trzy razy w tygodniu. Transfuzja krwi i krwinek płytkowych, prednison, leki antyrakowe i silne antybiotyki, by zapobiegać nawrotom gorączki. Podawano mu je przez rurkę, którą wprowadzono do żyły przy sercu. Następnie naświetlano mu promieniami głowę i rdzeń kręgowy. Zmęczenie Sharon było niczym w porównaniu z tym, co musiało wycierpieć jej dziecko.

— Ta terapia powoduje, że on jest taki chory — oznajmiła doktorowi Goulartowi. — Czy te tabletki codziennie są potrzebne, skoro ma chemioterapię?

— To białaczka bardziej powoduje, że jest chory, a nie leki — odparł łagodnie. — Powinien je przyjmować.

W dni, kiedy David był w szpitalu, Sharon szła do galerii, próbowała wywiązywać się ze swoich obowiązków. Chociaż Signe strofowała ją, że powinna być z Davidem, Sharon przypominała jej, że chłopiec jest w dobrych rękach i spędza z nim większość czasu. Twierdziła, że musi pracować. Poza tym nie mogła ryzykować utraty pracy; potrzebowała ubezpieczenia lekarskiego. Ta sytuacja trwała tylko dlatego tak długo, że i tak już przepracowana Signe mogła sama dawać sobie radę. Ostatecznie mogłaby zostać zmuszona, by zatrudnić kogoś innego.

Często Sharon zrywała się w nocy, bliska paniki, zatrwożona o Davida. Zastanawiała się, czy należy poinformować Paula, gdy umrze jego jedyny syn. W świetle dnia odrzucała te myśli — David wyzdrowieje.

Gdy po raz pierwszy znalazła na poduszce ciemny loczek, załamała się i zaczęła szlochać. Była wdzięczna, że nie rozpłakała się w jego obecności. Kiedy wypadły mu wszystkie włosy, udało się jej zachować spokój. Zapewniała go, że mu odrosną.

— Naprawdę, mam? — Jego oczy wydawały się ogromne na małej bladej twarzy. — Bo jak nie odrosną, to gdy wrócę do szkoły, dzieci będą się ze mnie śmiały.

— Obiecuję, że odrosną. — Wzięła jego małą dłoń w swoje ręce. — Nie zapominaj, że twój najlepszy przyjaciel, Pete, się nie śmieje.

— Ale ja się śmiałem — oświadczył z resztkami dawnego zapału. — Pamiętasz? jak spojrzalem w lustro.

Uśmiechnęła się. Miał taki dziarski wyraz twarzy, gdy siedział *na* łóżku. — Tak, David. — Nie przypominała mu, że najpierw płakał, aż ona i Taylor, który przyszedł niespodziewanie z lizakami i balonami z namalowanymi na nich wesołymi twarzami, *zdołali* go rozweselić.

— Mam, chcę być odważny — powiedział im. — Jak ten chłopiec w historii, bo on w końcu wyzdrowiał.

Była w stanie jedynie skinać głową, bo ścisnęło ją w gardle i nie mogła mówić.

Teraz, kiedy czekała w poczekalni na doktora Goularta, myślała o ostatnich tygodniach. Szantażysta znikł z pola widzenia, w każdym razie nie znajdowała żadnych jego śladów. Jednak teraz rzadko bywała w domu, a kiedy tu była, pilnowali go sąsiedzi. Nawet przyszedł właściciel domu i zainstalował system antywłamaniowy. Niemal zawsze ktoś w szpitalu odprowadzał ją do samochodu, a Bob i Midge pilnowali, żeby bezpiecznie weszła do domu. Jakże lubiła tych ludzi z Seattle, każdy, kogo znała, próbował jej pomóc. Nawet Adam Greswell przysłał jej do galerii kartkę z wyrazami troski, a zarządca budynku pytał o Davida za każdym razem, jak przychodziła do pracy.

Jej prześladowca wciąż gdzieś tu był, napomniała się Sharon, kiedy podeszła do okna. Popołudnie było słoneczne. Minęło już kilka dni lata, straciła prawie zupełnie poczucie czasu. Czy on czeka, aż przestanie być czujna? To wszystko było bardzo dziwne. Nie zbliżyła się ani o krok do rozwiązania zagadki. Chyba że to jest Paul.

Ale Paul nie czekałby tak długo, żeby wykonać ruch. Chyba że ma jakiś ukryty motyw. Odpowiedź wyłoniła się z pustki.

On chce, żeby umarła jako Janice Young.

Straciła oddech z przerażenia. Opadła na najbliższe stojące krzesło. Dzwoniło jej w uszach, wszystko wokół wydawało się nagle odległe. Była pewna, że Paul wziął pieniądze z jej ubezpieczenia na życie i chciał, żeby jego żona pozostała martwa. Zabijając Janice w Seattle, zemści się i jednocześnie nikt go nie będzie podejrzewał o morderstwo. Potem wykombinuje, jak odzyskać syna. Jeśli wciąż chce go mieć przy sobie.

Sharon pochyliła się i położyła głowę na kolanach. Przypominała sobie, jak zmieniała swoje podejrzania — najpierw brała pod uwagę jedną osobę, potem inną. Kiedy minęła jej słabość, wyprostowała się. W tym samym momencie wszedł lekarz.

— Moja droga — odezwał się zaniepokojony. — Widzę, że odchodzi pani od zmysłów.

— Czuję się dobrze, doktorze Goulart — odparła i zerwała się na nogi. Stłumiła lęk przed Paulem. David był dla niej najważniejszy.

— Proszę chwilę odpocząć. — Wskazał na winylowe siedzenie. — Dobrze pani sypia? Wygląda na to, że nie — stwierdził otwarcie.

— Na razie się wysypiam.

— Janice, to nie jest łatwo powiedzieć. Jednak czasami jest łatwiej być szczerym i bezpośrednim. — Zawahał się. — Czy mogę mówić w ten sposób?

Skinęła głową, zbierając się w sobie.

Chrząknął. — Kuracja nie jest tak skuteczna, jak się spodziewaliśmy.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. — Co to znaczy?

— To, co powiedziałem, choć nie będziemy do końca pewni, dopóki nie zakończymy tej fazy leczenia. David może przełamać kryzys i pojawią się oznaki poprawy... co uszczęśliwiłoby nas wszystkich.

— Czy on... czy on może umrzeć? — spytała prawie szeptem. — Nie możecie na to pozwolić!

— Nie, nie. — Wychylił się do niej. — Nie rozmawiamy o jego śmierci. Przepraszam, że panią wystraszyłem. Mamy inne możliwości. Jak powiedziałem, jeszcze nie wiemy, czy ta faza leczenia doprowadzi do cofnięcia się choroby, czy nie.

— Jakie są te inne możliwości?

— Jeżeli nie będzie żadnej poprawy w ciągu kilku tygodni, weźmiemy pod uwagę możliwość przeszczepu szpiku kostnego. — Przerwał. — To oznacza, że trzeba znaleźć dawców.

Nerwowo wciągnęła powietrze. Już wiedziała o tej możliwości, bo czytała o ostrej białaczce limfatycznej. Szpik kostny pobiera się pod znieczuleniem z mostka lub kości biodrowej.

— Czy przeszczep szpiku nie jest czymś nietypowym na tym etapie kuracji?

Przytaknęła. — Ale stosuje się go, gdy zawodzą inne sposoby.

Sharon spojrzała w przestrzeń. Zanim pojawiła się białaczka, wiedziała, co to strach. Teraz mogła nawet opisać tę bestię, która rozgościła się w niej. — Kto może być dawcą?

— Najlepiej rodzeństwo. Ale David jest jedynakiem, prawda?

Potwierdziła.

— Pani, ojciec Davida, bliscy krewni, obcy. Każdy, kto ma podobny typ tkanki co David.

Spuściła wzrok, bała się tego, co lekarz za chwilę powie. Nie było żadnych bliskich krewnych, jedynie ona i Paul.

— Janice, chcemy panią zbadać. I ojca Davida. Czy mieszka gdzieś w pobliżu?

— Nie. — Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. — W San Francisco.

— Czy może się pani z nim skontaktować?

Boże, czyżbyś chciał mnie ukarać? Czy źle postąpiłam, opuszczając Paula? Może David by nie zachorował, gdybym została. Proszę, pomóż mi teraz. Sharon uniosła wzrok, wiedziała, że cierpienie wypisane jest na całej jej twarzy.

— Doktorze Goulart, to było bardzo nieudane małżeństwo. Nie mamy ze sobą kontaktu. — Zamilkła. — Nie wie nawet, że mieszkamy w Seattle.

— No tak. — Zastanawiał się nad jej słowami. — Oczywiście zbadaamy panią najpierw, ale natychmiastowy kontakt z nim jest ważny, bo może się pani okazać nieodpowiednim dawcą. — Mówił łagodnym głosem, jakby czytał między wierszami.

— Rozumiem. — Oddychała głęboko. Musiała zrobić wszystko, by pomóc Davidowi.

— Ma pani numer jego telefonu?

Na krótko zapadła cisza. Z trudem przytaknęła. — W domu — odparła, choć dobrze go pamiętała. Potrzebowała kilku godzin, by się

przygotować. W końcu jej nowe życie zostało zbudowane na ruchomych piaskach.

— Jeżeli da mi pani numer jutro, ktoś zadzwoni do niego ze szpitala. — Wstał. — Może to będzie najlepsze rozwiązanie.

Jej serce biło jak oszalałe, mówiła z trudem. — Chyba tak.

— Zatem ustalone. I musimy szybko zrobić pani badania.

Zbyttno się trzęsła, by stać. — Czy naprawdę pan uważa, że jest tak źle i konieczny jest przeszczep?

— Wiem tylko, że powinniśmy być przygotowani na taką ewentualność. — Uśmiechnął się sympatycznie. — Janice, muszę iść. Niech pani nie traci wiary...

Chwilę później wyszedł, nieświadomy, jak bardzo ta rozmowa wykończyła Sharon. Najdrobniejsza myśl, że Paul znajdzie się w Seattle, przerażała ją. Myślami powracała do wcześniejszych przypuszczeń. Może już wie, gdzie ona jest. Może telefon ze szpitala pozwoli mu się ujawnić.

Jednak mogła się mylić. Niczego już nie była pewna.

Rozdział 30

Sharon przeszła badania następnego ranka, a potem wzięła Davida do domu, aż do następnego zabiegu. Za każdym razem, kiedy opuszczała dom, drżała ze strachu. Paul mógł być gdzieś w pobliżu, obserwować. Pod koniec tygodnia poinformowano ją, że nie jest odpowiednim dawcą.

Nancy, pielęgniarka Goularta, zadzwoniła do niej krótko po tym, jak odłożyła słuchawkę po rozmowie ze szpitalem.

— Janice, jak się czujesz?

— Chyba tak, jak się można tego spodziewać.

— Doktor chce, żebyś wiedziała, że powstrzymał się od kontaktu z twoim mężem, dopóki nie będą znane wyniki twoich testów. Gdybyś ty miała zostać dawcą, zamierzał tobie zostawić sprawę skontaktowania się z nim. — Zawodowa rutyna nie była w stanie ukryć jej współczucia. — Dzisiaj dzwoniли do niego ze szpitala. I dostali tylko informację, że zmieniłaś nazwisko.

Sharon otarła oczy. Nic dziwnego, że jeszcze nie miała od niego żadnej wiadomości. — Podziękuj doktorowi ode mnie. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo mu jestem wdzięczna za ten gest.

— Podziękuję. — Nancy na chwilę zawiesiła głos. — Janice, modlę się za Davida i za ciebie. Chyba nie masz nic przeciwko temu.

— Przeciwno? — Zamarł jej głos. — Potrzebujemy wszystkich takich modlitw. Dzięki, Nancy.

— Porozmawiamy później. Na razie.

Sharon powoli odłożyła słuchawkę. Potem poszła do kuchni, usiadła przy stole i próbowała się pozbierać. Nie mogła się załamać. Na górze miała bardzo chore dziecko. Nie mogła być zdenerwowana. Musiała myśleć o przyszłości.

Teraz, kiedy szpital skontaktował się jednak z Paulem, nie mogła wyobrazić sobie jego reakcji. W jaki sposób się zemści? Czy zostanie aresztowana za zabranie Davida? Za upozorowanie ich śmierci? Za przybranie tożsamości innej kobiety?

Jedno było pewne. Wyrok został odwieszony. Musiała znaleźć sposób, by przygotować Davida. Teraz to się zrobi chryja.

Sharon czekała, aż David zaśnie. Przez kilka godzin będzie żył bez świadomości, że jest chory. Potem wzięła telefon i z pamięci wystukała długi numer. Kiedy z drugiej strony odezwał się sygnał, usiadła na krześle w korytarzu.

Ta rozmowa była jedynym pozytywnym aspektem tego, co się ostatnio wydarzyło. Przypomniało się jej stare powiedzenie. Piekiem staje się *to*, czego pragniesz. W moim przypadku spełniają się już moje pragnienia, bo już znalazłam się w piekle, pomyślała cierpko.

— Szykowny Kociak — odezwała się młoda kobieta.

— Mogę rozmawiać z Lexi?

— Niestety nie, Lexi nie ma. W czym mogę pomóc?

— Jest w domu?

— Kto dzwoni?

— Przyjaciółka.

Zapadła cisza. — Niestety, nie mogę udzielać takich informacji przez telefon.

Sharon palcem rysowała po blacie stolika. Nie ganiła Lexi za takie instrukcje dla swoich pracowników. Ktoś... Paul... omal jej nie zabił. — Zadzwoń więc do niej do domu.

— Hm, dobrze. — Po chwili rozległ się głuchy sygnał.

Czekała kilka sekund, a potem wybrała numer do domu Lexi. Telefon zadzwonił cztery razy, zanim włączyła się automatyczna sekretar-

ka i głos Lexi oznajmił, że wyjechała na weekend i żeby zostawić informację. Sharon znów odłożyła słuchawkę i ponownie zatelefonowała do Szykownego Kociaka. Odebrała ta sama kobieta.

— To znów ja. Dzwoniłam do jej mieszkania i wiem, że wyjechała. Czy mogę zostawić informację?

— Uhm... pewnie.

W słuchawce rozległy się odgłosy klientów, a potem kliknięcie czytelnika kart kredytowych.

— Jestem zajęta, ale może pani coś przekazać.

— Jestem najlepszą przyjaciółką Lexi. Ona czeka na tę wiadomość.

— Ach tak. Ja jestem tutaj nowa. — Rozległ się szelest papieru. Sharon mogła sobie wyobrazić, jak jedna z kreacji Lexi jest starannie zapakowywana w bibułkę. — Jakie imię pani podała?

— Nie podałam. Jestem Sharon. — Powtórzyła jej numer telefonu w Seattle. — Proszę przekazać jej moje imię i numer telefonu i powiedzieć, że koniecznie musi do mnie zadzwonić, jak tylko wróci.

— Oczywiście, zrobię to.

Czuła, że kobieta chce już odłożyć słuchawkę. — Jeszcze jedno.

— Tak? — Usłyszała zniecierpliwienie w jej głosie.

— Jeśli ma pani numer, pod którym można złapać Lexi, proszę do niej zadzwonić i przekazać moją prośbę.

— Nie mam, ale kiedy zadzwoni, powiem jej o tym. Gdyby nie, przekażę jej informację w poniedziałek.

— Dziękuję.

Ledwo wydobyła z siebie to słowo, kiedy rozległ się długi sygnał.

Co za rozczarowanie, pomyślała Sharon. Teraz, kiedy mogła skontaktować się ze swoją najlepszą przyjaciółką, była nieosiągalna. To o niczym nie świadczy, dodała sobie otuchy. Jednak drżała z obawy. Nie miała pojęcia, co się teraz zdarzy.

Niech to będzie coś dobrego.

Czy muszę połączyć tę tabletkę?

Prośba Davida napełniła Sharon smutkiem, ale maska na jej twarzy wyrażająca radość była na swoim miejscu. — Wiesz, kochanie, że musisz. To ci pomoże wyzdrowieć.

— Mamo? — Słowo to rozdzwiewało w ciszy pokoju. — A dlaczego jeszcze nie wyzdrowiałem?

Usiadła na jego łóżku. — Bo to jest bardzo ciężka choroba. Pamiętasz, jak mówiłam ci, że to trochę potrwa? Najpierw będziesz czuł się źle, a potem wyzdrowiejesz.

Skinął łysą jak u starego mężczyzny głową. — Czasami myślę, że nie będę taki jak ten chłopiec z opowieści.

Ścisnęło ją w gardle i przełknęła ślinę. — Oczywiście, że będziesz. Któregoś dnia poczujesz się dobrze. Obiecuję. — Przytuliła go bardziej. — Wiesz co?

Poczuła, jak kręci głową na jej piersi.

— Jesteś odważniejszy niż ten chłopiec w opowieści. — Pocałowała go. — Jesteś odważniejszy niż wszyscy, których znałam, dzielny synku.

Wziął tabletkę, połknął ją i popił wodą. Sharon nastroszyła mu poduszki. Chociaż był ubrany, przebywał głównie w swojej sypialni. Sądziła, że normalny ubiór w ciągu dnia będzie miał psychologiczne znaczenie, podniesie go na duchu. Nie chciała, by czuł się jak inwalida, mimo że większość czasu spędzał w łóżku.

— Mamo, wiesz co jeszcze?

— Co, kochanie? — Wstała i wzięła szklankę, którą jej podał.

— Ja nie chcę być już dłużej chory. To nie... niesprawiedliwe.

— Wiem, David. — Nie mogła go oszukiwać. — Czasami życie jest niesprawiedliwe.

Spuścił długie rzęsy. Były jak ciemne półksiężycy na jego ziemistej twarzy. Wciąż ma rzęsy, pomyślała bezsensownie.

Dzwonek do drzwi był pożądanym dźwiękiem. To pewno Pete z popołudniową wizytą — istny dar niebios. Rodzice udzielili mu informacji na temat choroby — co może, a czego nie powinien robić; dlatego nie może przychodzić, kiedy jest przeziębiony. Chłopcy grali w gry i oglądali kreskówki, rozmawiali o szkole, do której pójda na jesieni. Sharon nie była w stanie myśleć, że nie będzie na tyle zdrowy, by rozpocząć naukę.

— O rany! — Twarz Davida rozjaśniła się. — To Pete.

— Zaraz przyślę go na górę — rzekła Sharon, wdzięczna, że David nagle poweselał.

Zeszła na dół, by go wpuścić. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła, że i Signe wysiada z toyoty, którą zaparkowała przy krawężniku. Ręce miała pełne pakunków. Sharon posłała Pete'a na górę, a sama poczekała, aż Signe wejdzie po schodach na werandę.

— Na Boga, wyglądasz jak pomocnik Świętego Mikołaja. — Sharon trzymała drzwi szeroko otwarte. — Kto pilnuje galerii?

— Moja córka.

— Bo twoja pracownica nie może tam być — rzekła Sharon, czując wyrzuty sumienia. — Signe, tak mi przykro, że cię zawiódłam.

— Bzdury! Moja córka bardzo to lubi... ucieka w ten sposób od dzieci. — Uśmiechnęła się. — Poza tym jej męża stać na opiekunkę do dzieci. To dla niej błogosławieństwo w nieszczęściu.

— Signe, czyja się tobie kiedykolwiek odwdzięczę?

Machnęła ręką. — Nie przejmuj się, dziewczyno. — Przekomarzała się. — Odbiję to sobie, jak David wyzdrowieje.

Sharon zamknęła drzwi. — Mogę jedynie powiedzieć, że nie chciałam cię zawieść.

— Wiem, Janice. — Położyła paczki na podłodze, a potem zdjęła żakiet. — Czy ci nigdy nie mówiłam, że mój największy talent, większy nawet niż talenty artystyczne, to umiejętność oceniania ludzi?

Sharon powiesiła żakiet na krzesle stojącym w korytarzu. — Naprawdę się cieszę, że przyszedł.

Bez słowa Signe wzięła ją w ramiona i uściśnęła. — Jak mogłabym nie przyjść, gdy się dowiedziałam, że zostałam odrzucona jako dawca.

Sharon cofnęła się, starała się powstrzymać łzy. Czuła się naładowana emocjami. Skinęła głową, ale w tym momencie nie była w stanie mówić.

Signe udawała, że tego nie zauważa. Dała jej czas, by zebrała się w sobie. — Przywiozłam Davidowi parę niespodzianek... jak mówimy w naszej rodzinie. — Zajęła się pakunkami. — Kilka kaset wideo, książeczki do kolorowania, kredki, puzzle i małą dziewczynkę niedźwiadka do towarzystwa Smarkusiowi. — Mogę je zanieść na górę?

— Naturalnie. Przygotuję kawę. Napij się?

— Mam dość kawy. — Wyjęła butelkę chardonnay ze swojej torby i podała ją Sharon. — Niespodzianka, żeby uspokoić nasze nerwy.

— Muszę wyglądać na wykończoną.

— Kto na twoim miejscu by nie był?

— Dziękuję, Signe. — Sharon wskazała na prezenty. — Spodobała się Davidowi.

Gdy Signe była na górze, Sharon myślała o Davidzie, który czasami był taki chory, że nie był w stanie pokolorować nawet jednego obrazka. Lubił jednak dostawać prezenty i to było ważne. Trzymała się nadziei,

że nagle mu się poprawi i nie trzeba będzie przeszczepiać szpiku kostnego.

Signe z uśmiechem zeszła z góry. — Włączyłam wideo tym dzieciakom i przykleili się do telewizora. — Rozejrzała się wokół. — No, gdzie jest to nasze wino?

Sharon wyciągnęła z szafki dwie szklanki. Przedtem Taylor, teraz Signe przynieśli mi wino. Wyglądam chyba jak wrak. — Musimy skorzystać z tych szklanek.

— Widać, że nie jesteś amatorką win.

Usiadły przy stole w kuchni. — Żeby David zupełnie wyzdrowiał — rzekła Signe, unosząc szklankę.

Sharon stuknęła się z nią. — Modłę się o to.

— Wyzdrowieje, Janice. — Musimy trzymać się tej myśli i wierzyć w medycynę.

Sharon skinęła głową i pociągnęła łyk wina, wiedziała, że musi wykorzystać tę okoliczność i powiedzieć Signe o Paulu. Ale nie wszystko, napomniała się. Jeśli ktoś się dowie, że nie jest Janice Young, może stracić ubezpieczenie medyczne. Było to kolejne niebezpieczeństwo, które się ostatnio pojawiło.

— Signe, chciałam o czymś z tobą porozmawiać.

Signe uniosła wzrok. — O pracy? O Davidzie?

— O... wszystkim.

Zapadła cisza.

— Mów, Janice. Nie bądź taka zmartwiona. Nie urwę ci głowy. — Wyciągnęła rękę, by poklepać Sharon po dłoni. — Nie może być nic gorszego niż białaczka Davida.

Sharon zakręciła winem w szklance. — To dotyczy mojej przeszłości. Nic o tym nie wiesz.

Signe parsknęła śmiechem. — Do diabła, Janice. Domyślałam się tego.

— Czego?

— Że ty i David wyrwaliście się ze złego związku. — Wypiła łyk wina. — Cokolwiek się wydarzyło, nigdy nie byłeś złym człowiekiem. Ręczę za to głową.

— Dziękuję, Signe. Było mi to potrzebne. — Przerwała. — Zabrałam Davida i uciekałam od męża z San Francisco, bo... — Zająknęła się. — ...bo wiedziałam, że chce mnie zabić.

— Och, Janice. To straszne! Moje biedactwo.

Sharon skinęła głową. — Próbował zamordować moją najlepszą przyjaciółkę, Lexi...

Zbierała myśli. W jaki sposób najlepiej to wyjaśnić, zastanawiała się, odczuwając dawną frustrację, która, jak miała nadzieję, została pogrzebana w przeszłości. Musiała powiedzieć to wprost. Signe albo uwierzy, albo nie.

— Przed każdym, kogo znaleźmy, udawał idealnego męża i ojca. Nawet przed policją, gdy szukałam pomocy w schronisku dla kobiet. — Zrobiła przerwę. — Ale w domu był potwornym sadystą. Kontrolował i terroryzował mnie i Davida... I nikt mi nie wierzył.

— Nawet kobiety prowadzące schronisko?

— One tak, ale wróciłam do Paula, bo zamierzał zabrać mi Davida.

— Co za perfidny drań!

— Im bardziej byłam zdesperowana i przerażona, tym mocniej wszyscy wierzyli w jego kłamstwa, że jestem osobą niezrównoważoną psychicznie i że mogę popełnić samobójstwo. — Rozłożyła ręce. — Planował mnie zabić i nigdzie nie mogłam się zwrócić o pomoc...

Kiedy skończyła, zapadła cisza.

— To socjopata. Jesteś jedną z najbardziej zrównoważonych kobiet, jakie znam.

— Dziękuję... dziękuję. — Drżał jej głos. — Nie masz pojęcia, jak ważna jest teraz twoja opinia. — Podała więcej szczegółów, a potem spojrzała Signe w oczy. — Nie oszukiwałam, jeżeli chodzi o moje kwalifikacje. Jedyne mam znacznie więcej doświadczenia artystycznego, niż mówiłam.

— To było widać. W takich sprawach nie możesz oszukać innego artysty. — Położyła rękę na dłoni Sharon. — Ale dlaczego mi to teraz mówisz? Doceniam twoją uczciwość, ale to niepotrzebne.

— Bo szpital powiadomił Paula o stanie zdrowia Davida, na wypadek, gdyby mógł być dawcą.

— Och. — To słowo przeszło w długie westchnienie. — On oczywiście nie wie, że jesteś w Seattle.

Sharon pokręciła głową.

— Czy wciąż grozi ci niebezpieczeństwo?

— Nie wiem. — Wykręcała się, zastanawiała, czy powinna powiedzieć Signe, że może już wie, gdzie ona jest. Jednak postanowiła nic nie mówić. Signe jest przenikliwa, a ona nie może dawać do zrozumienia, że zmieniła tożsamość, bo to ma konsekwencje prawne.

Rozmawiały o Paulu jeszcze kilka minut, a potem Signe wstała.

— Powinnam już jechać, bo córka musi wracać do domu.

Na korytarzu zwróciła się do Sharon: — Obiecay mi, że zadzwonisz, jak Paul będzie ci groził — powiedziała ostrzejszym tonem. — Mam przyjaciół w policji, którzy mi uwierzą.

Sharon z wdzięcznością skinęła głową. Ucisnęły się i Signe wyszła do samochodu. Wykrzyknęła jeszcze „do widzenia”, gdy ruszyła ulicą. Sharon sprawdziła, co robią chłopcy. Zobaczyła, że David nie czuje się dobrze i delikatnie kazała Pete'owi iść do domu.

— Przyjdę jutro — obiecał Davidowi.

David uśmiechnął się żałośnie. — Cześć — pożegnał się, próbując mówić mocnym głosem.

Sharon wyłączyła telewizor, nakryła Davida kołdrą, a potem wprowadziła Pete'a do drzwi. Obserwowała go, aż bezpiecznie dotarł do domu. Płukała potem szklanki, kiedy usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Spojrzała na okno w drzwiach frontowych i zobaczyła jakiegoś mężczyznę na werandzie. Podeszła ostrożnie, potem rozpoznała Taylora. Wiedział, że ona jest w domu, a ona wiedziała, że ktoś z sąsiedztwa to obserwuje, więc otworzyła drzwi.

— Słyszałem — odezwał się, mrużąc oczy.

— Co? — Przez sekundę myślała, że ma na myśli Paula. Ale potem uświadomiła sobie, że chodzi o przeszczep szpiku.

— Signe mnie informuje. — Trzymała w ręku ogromne pudełko, na którym narysowana była jego zawartość: łodzie na przystani.

— Wejdz, Taylor. — Nie mogła być niegrzeczna. Był tak dobry dla Davida, odwiedzał go w szpitalu, przynosił zabawki, opowiadał mu morskie historie.

— Zobaczyłem to w sklepie z zabawkami i pomyślałem, że Davidowi się spodoba. — Pokazała na pudełko.

— Taylor, za bardzo się poświęcasz. — Czuła, że dostała wypieków po winie. — Ale jestem ci wdzięczna. David zawsze czeka na ciebie z niecierpliwością.

Unióś brwi, jakby nie mógł uwierzyć w jej komplement.

— Teraz odpoczywa. — Oderwała wzrok od jego niebieskich oczu. — Dostanie prezent później.

Przytaknęła, a potem położyła pudełko na podłodze w korytarzu. W tym momencie David ją zawołał. Wiedziała, że oznacza to kłopoty z żołądkiem.

— Zaraz wrócę — powiedziała Taylorowi i wbiegła po schodach. Po kilku minutach, kiedy ponownie ułożyła Davida w łóżku, wyszła z jego sypialni. Na dole zadzwonił telefon. Przy trzecim sygnale była na schodach, Taylor podszedł do stolika z telefonem.

— Ja odbiorę — zawołał do niej i podniósł słuchawkę. — Mieszkanie Youngów — odezwał się głębokim głosem.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Powoli odwrócił się do niej, kiedy znalazła się na dole. Z dziwnym wyrazem twarzy wyciągnął w jej kierunku słuchawkę.

— To mężczyzna... Paul. Mówi, że chce rozmawiać ze swoją żoną. Zaniemówiła, mogła jedynie patrzeć bezmyślnym wzrokiem.

Rozdział 31

Wpadnę później, żeby zobaczyć się z Davidem. — *Zdumiony* Taylor mówił wymuszonym głosem. Z wysiłkiem przytaknęła i wzięła od niego słuchawkę. Powoli uniosła ją do ucha.

— Ha... halo.

— Halo, Sharon. — Dotarł znajomy, monotonny głos Paula. — Mała niespodzianka, prawda?

— Niezupełnie, bo to ja dałam szpitalowi twój numer telefonu. — Jednak ponowne usłyszenie jego głosu było szokiem. Obserwowała, jak Taylor wyszedł na werandę, skąd po raz ostatni ją pozdrowił, a potem zamknął za sobą drzwi.

— Czy to twój przyjaciel odebrał telefon? Ktoś, z kim się afiszujesz w obecności mojego syna?

Sharon zlekceważyła to pytanie i nieodłączną groźbę w tonie jego głosu. Nie pozwól, żeby znów wtargnął w twoje życie, poinstruowała się. — Chyba szpital powiedział ci, że David może potrzebować przeszczepu szpiku kostnego. — Zawahała się. — Poddasz się badaniom?

— Jak śmiesz o to pytać? David jest moim synem... *moim synem*. — Słyszała jego szybki oddech... jego wściekłość. — Zrujnowałaś mu życie. To jest zemsta za twoje grzechy wywarta na moim synu. Twoje samolubne postępowanie ściągnęło na niego śmierć.

— On wcale nie umrze!

— Kto to mówi? — Zapadła złowieszcza cisza. — Ty?

— Paul, tu nie chodzi o nas. — Zachowaj spokój, nakazała sobie. Nie może słyszeć, że jesteś zdenerwowana... I wystraszona.

— Wiesz, jak to jest, gdy odbierasz telefon i słyszysz, że twoja mar-twa żona i syn żyją, ale teraz twoje dziecko jest na krawędzi śmierci?

— Skąd miałeś numer mojego telefonu? Prosiłam w szpitalu, żeby ci go nie dawali.

— Nieważne, *pani Janice Young*. Chcę rozmawiać z moim synem.

— Śpi. — Zna jej nazwisko. Podali mu ze szpitala; nie mieli wyboru.

— Obudź go — zażądał. — Dzwonię z daleka.

Od razu wpadła w złość. — Paul, on jest bardzo chory. Nie mogę go obudzić teraz, kiedy w końcu zasnął.

— Nie możesz, czy nie chcesz?

Przypomniała sobie, jak w przeszłości żądał posłuszeństwa. — I to, i to — warknęła.

Cokolwiek się wydarzy, nie powinna znów mu ulec. Stała się silniejsza i może teraz jest odpowiednia pora, by odzyskać prawdziwe życie. Była w stanie to zrobić. Teraz mogła zмагаć się ze wszystkim, gdyby tylko jej dziecko wyzdrowiało.

— Ty suko!

— Muszę iść — rzekła szorstko. — Szpital będzie cię informował o Davidzie. I masz tutaj więcej nie dzwonić.

Usłyszała, że wciągnął powietrze. Mogła sobie wyobrazić złowrogi wyraz jego twarzy. — Sharon, to ty jesteś za to odpowiedzialna. Zapła-cisz za zniszczenie naszej rodziny.

Połączenie zostało przerwane.

Sharon powoli odłożyła słuchawkę. Jakie to typowe dla niego, żeby nie brać na siebie żadnej odpowiedzialności, pomyślała. Zawsze wszystko było winą kogoś innego. Zaczęła się trząść, kiedy nastąpiła reakcja po zdarzeniu. Ciężko usiadła i opuściła głowę, walczyła z nagłymi za-wrotami. Uczucie w końcu ustąpiło i zdała sobie sprawę, że ktoś deli-katnie puka do drzwi. Uniosła wzrok i zobaczyła Taylora stojącego po drugiej stronie owalnego okna.

Kiedy zauważył, że go spostrzegła, wszedł do domu. Wstała, gdy zamknął drzwi, i stanęła naprzeciw niego.

— Myślałam, że odjechałeś — odezwała się drżącym głosem.

— Jakież złe wiadomości? — Wyglądał na zatroskanego.

— Coś w tym rodzaju. — Spojrzała w bok. Musiał widzieć przez szybę jej reakcję na rozmowę. — Ale to musiało się stać...

— Jak to?

Zapanowało milczenie.

— Dzwonił ojciec Davida. — Nerwowo odetchnęła i próbowała się uspokoić. Bardzo nie chciała o tym mówić, ale każdy, kto zna ją i Davida, wkrótce i tak dowie się o Paulu. — Szpital powiadomił go, że może być potencjalnym dawcą szpiku kostnego dla Davida.

Skinał głową. — Tego się domyślałem. — Zmrużył oczy. — Hej, wszystko w porządku? — Podeszedł do niej, wziął pod ramię i zaprowadził do kuchni, gdzie oboje mogli usiąść.

— To przez to wino, które wypitałam z Signe. — Zmusiła się do uśmiechu. — Mam po nim kolana jak z waty.

Spostrzegł do połowy opróżnioną butelkę, która wciąż stała na bufecie. Bez słowa poszukał szklanek i nalał do nich wina. Potem podał jej jedną. — Signe miała dobry pomysł. Następny kieliszek ci nie zaszkodzi. Uspokoi ci nerwy.

— Chcesz zrobić ze mnie alkoholiczkę?

— Nie ma obaw. — Usiadł na krześle przy końcu stołu. — Masz ochotę porozmawiać o tym, co się stało?

Pociągnęła łyk ze szklanki. Z nim... czy powinna? Teraz nie była bardziej pewna jego intencji niż przedtem. Ale jest taki dobry dla Davida, napomniała się. Jest tak miły, więc chyba nie może być tym człowiekiem, który od wielu tygodni ją prześladowa. Odsunęła wino i postanowiła opowiedzieć mu tyle co Signe. Wydaje się, że jej szefowa i tak powtarza wszystko Taylorowi.

— To nie jest przyjemna historia. — Wciągnęła powietrze i wyprostowała ramiona. — Opuściłam Paula, żeby uciec od groźby śmierci...

Pił małymi łykami wino i pozwolił jej mówić bez przerw. Opowiadała większość tego, co mówiła już Signe. To wszystko jak dotąd to prawda, pomyślała. Ale wciąż kłamała... nie mówiąc wszystkiego.

— Więc on nie wiedział, że jesteś w Seattle?

Pokręciła głową. Szybko wypita łyk ze szklanki, żeby uniknąć jego spojrzenia.

— Wciąż jesteś z nim zamężna. — Jego słowa były stwierdzeniem, nie pytaniem.

Tym razem przytaknęła.

— I nie próbował znaleźć ciebie i Davida?

— Nie sędzę. — Przynajmniej jedna rzecz, która była prawdziwa. Zawahała się, przypomniała sobie o tych przerażających zdarzeniach, które zaczęły się w Seattle. — Ale nie jestem pewna.

— O czym myślisz? — wyrzucił z siebie pytanie.

— Te anonimowe telefony, ta osoba pod domem, o której ci David opowiadał.

Wychylił się w jej stronę. Patrzył intensywnym wzrokiem. — Uważasz, że twój mąż mógł się zdobyć na takie szalone postępowanie?

Pokręciła głową, zastanawiała się, w jaki sposób może zmienić temat. — Ale nie wiem tego na pewno. Paul mógłby mieć kłopoty ze znalezieniem nas.

— Bo zmieniłaś nazwisko, kiedy przyjechałaś do Seattle?

— A dlaczego o to pytasz? — spytała, unikając odpowiedzi.

Nie zauważyła jego uśmiechu. — Kiedy odebrałem telefon, twój mąż przedstawił się jako Paul Moore.

Zapadła cisza. Sharon czuła się, jakby zastawiał na nią pułapkę. — Jakie to ma znaczenie? Moore... Young, jestem kobietą, która pracuje u Signe. Zapewniam cię, że moje nazwisko jest legalne. — To nie kłamstwo, stwierdziła.

— Istnieje też inna możliwość.

Gapiła się na niego. Żałowała, że zaczęła mu opowiadać.

Gładził brodę, jakby nie był zdecydowany, czy mówić. — Możesz być jednocześnie *obiema* kobietami.

Szeroko otworzyła oczy. W pewnym sensie była to prawda. Po jego przenikliwej uwadze zupełnie przestała myśleć o Paulu. — Żartujesz!

Obserwował ją uważnie. — Może byłaś Janice Young. Wyjechałaś i zmieniłaś nazwisko na Moore po wyjściu za mąż. — Zawahał się. — Kiedy twoje życie znalazło się w niebezpieczeństwie, uciekłaś z San Francisco i przybrałaś swoją dawną tożsamość, wróciłaś do nazwiska pannieńskiego. Nie ma lepszego sposobu na ukrycie się.

Adrenalina zaczęła jej krążyć w żyłach. — Jestem pewna, że moi rodzice mieliby coś do powiedzenia na ten temat.

— A gdzie są twoi rodzice?

Zamrugała nerwowo oczami. — Nie żyją.

— Zmarli przed twoim ślubem... zanim skończyłaś studia?

Zerwała się na nogi, a krzesło z hałasem przesunęło się po podłodze. — Taylor, to nie twoja cholerna sprawa. — Wciągnęła haust po-

wietrzą. — Jak śmiesz sugerować, że podaję się za kogoś innego... że jestem *kłamcą*.

Wstał i przyłoczył ją wzrostem. — Więc twierdzisz, że jesteś Janice Young? — ripostował łagodnie.

— Ja tylko mówię, że... że...

— Że nie jesteś? — Pokręcił głową. — Co tu jest prawdą?

— Nie twój interes.

Nagle ją chwycił i przytrzymał tak, że musiała patrzeć mu w oczy.

— Do cholery, to jest mój interes. Tutaj możesz znaleźć się w znacznie większym niebezpieczeństwie niż w San Francisco.

— Co masz na myśli?

W jego oczach pojawiły się błyski. — Jesteś naprawdę Janice Young... Janice, teraz prawie trzynaście lat starszą?

Nie wzdragała się przed odpowiedzią. — Nie, nie jestem. Moje prawdziwe nazwisko to Sharon Moore — powiedziała uczciwie.

Zapanowało milczenie.

Nagle ją puścił. — Dobrze, przypuśćmy, że możesz udowodnić, że przed ślubem nie byłeś Janice, choć podobieństwo wszystkich szczegółów dotyczących Janice i Sharon Moore jest przytłaczające. — Cofnął się. Wyglądał na równie sfrustrowanego jak ona. — To nie powinno być trudne. Masz metrykę urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego i inne dokumenty, żeby potwierdzić, kim jesteś.

Usiadła z powrotem na krześle. Była zbyt wyczerpana, by się kłócić, cokolwiek udowodniać lub nawet się go bać. Uniosła wzrok. Wciąż stał obok swojego krzesła. Obserwował ją nieprzystępnym wzrokiem.

— Taylor, to ty jesteś moim prześladowcą? To dlatego zadajesz tak dużo pytań?

Natychmiast usiadł i przesunął krzesło tak, że nie mogła się poruszyć, gdyby chciała. — Nie, Janice. Jak mogłaś coś takiego pomyśleć...? Czasami, kiedy zadajesz takie pytania, wiem, że nie możesz być moją Janice. Kiedy indziej jesteś nią bez dwóch zdań.

— Gdybym była prawdziwą Janice, dlaczego groziłoby mi niebezpieczeństwo?

— Bo być może ktoś myśli, że zamordował Janice. Gdyby się dowiedział, że żyje, mógłby spróbować jeszcze raz.

— Kto? Czy nie uznano, że jej śmierć była wypadkiem?

Odepchnął krzesło i wstał. Zaczął chodzić po kuchni. — Gdybyś była Janice, tobys nie pytała. — Przerwał. — Ale jeśli nią jesteś i pro-

wadziś jakąś grę, jedyną osobą, która ucierpi, będziesz ty... I David, który nie powinien tracić matki, zwłaszcza kiedy jest taki chory.

Wstała z krzesła. — To jest groźba?

— Tak to wygląda?

Stanęła naprzeciw niego. Nie była w stanie myśleć — wino, zmęczenie, Paul... ostrzeżenie Taylora. Jej życie znalazło się na krawędzi.

— Lepiej, żebyś poszedł — powiedziała mu.

Skinął tylko i dużymi krokami poszedł do drzwi. Ona za nim.

Położył rękę na gałce, ale nagle odwrócił się i chwycił Sharon za ramiona. Przyciągnął ją do siebie.

— Obiecuj, że będziesz ostrożna — odezwał się. — Janice, nie jestem twoim wrogiem, nigdy nim nie byłem. — A potem zostawił ją w drzwiach.

Zamknęła je. Kilka sekund później usłyszała odjeżdżający ulicą samochód. Jedna myśl krążyła jej w głowie. *On wierzy, że jestem Janice, nie Sharon.* Żadne wyjaśnienia do niego nie docierały.

Ale ja mam dokumenty, napomniała się. Mogę udowodnić, że jestem Sharon. Jednak od razu pomyślała, że metryka urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego i dyplomy ukończenia studiów wciąż są w skrytce bankowej Paula w San Francisco, a dokumenty, które teraz posiada, jej akta osobowe w galerii, wskazują, że jest Janice.

Paul nie ma powodu, by odmawiać mi moich prywatnych dokumentów, uznała. One potwierdzają moją prawdziwą tożsamość.

Chyba że wie, co się przytrafiło Janice Young w Seattle, i dostrzegł możliwość zemsty.

Co ja mam robić?

W końcu zapadł zmrok w długi czerwcowy wieczór. Sharon wiedziała, że powinna się przespać, gdyby mogła. Davidowi udało się trochę zjeść i zachorował po tym. Przez chwilę oglądali razem telewizję, a potem położył się spać. Wydawało się jej, że mu się poprawiło, ale wiedziała, że to badania krwi pokażą prawdę. Nie mogła nie zauważać niepokoju lekarzy, którzy teraz zastanawiali się nad przeszczerpem szpiku kostnego.

Sharon jak zwykle sprawdziła dom, a potem zatrzymała się w łukowym przejściu między salonem a korytarzem. Była rozdarta. Powinna być na górze, bo David może się obudzić, ale chyba też i na dole, by go chronić, gdyby szantażyta w jakiś sposób dostał się do domu. Po tych

rozmowach z Paulem i Taylorem jeszcze bardziej miała się na baczności przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

Zadzwonił telefon. Chwyliła słuchawkę przy pierwszym sygnale, obawiała się, że może obudzić Davida. Nienawidzę cię, zwróciła się do urzędnika. Do naszego życia przynosisz tylko złe wiadomości.

— Halo — odezwała się niepewnym głosem.

— Tu mówi Midge.

Ciało Sharon rozluźniło się z ulgą. — Cieszę się, że to ty.

— Nie wiem, czy będziesz się cieszyła, jak coś ci powiem.

Sharon sprężyła się. — Co się stało?

— Jeden z twoich sąsiadów widział mężczyznę w alejce. Wezwaliśmy policję, ale uciekł, zanim przyjechali. Policjanci powiedzieli, że to niegroźny incydent, ale pomyśleliśmy, że powinnaś wiedzieć.

Sharon usiadła, wyczerpana wydarzeniami kończącego się dnia. Jej serce trzepotało z niepokoju i zmęczenia. Dowiedziawszy się więcej szczegółów, podziękowała i odłożyła słuchawkę. Jej decyzja, gdzie spać, była przesądzona. Położyła się na sofie.

Dlaczego, u diabła, nie zadzwoniłaś do mnie od razu? — spytała ostro Lexi. — Sharon jest moją najlepszą przyjaciółką... I masz mi przerwać, nawet gdybym rozmawiała z prezydentem Stanów Zjednoczonych!

— Nie wiedziałam... — Nowa dziewczyna Lexi w Szykownym Kociaku była przestraszona. — W przeciwnym razie bym zadzwoniła.

— No już dobrze. — Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha, by móc podejść do Ala. Stał z boku, pilnował ich bagażu, kiedy czekali na swój lot. W drodze powrotnej z ich weekendowego wyjazdu nad jezioro Tahoe, Lexi, przed odlotem, postanowiła sprawdzić, co w sklepie.

— Podaj mi tylko jeszcze raz numer.

Kiedy dziewczyna powtórzyła, zapisała go.

— Seattle! To dobrze.

— Co się stało?

— Ach, nic. To osobista sprawa. Przepraszam, że byłam niemiła.

Chwilę później Lexi stanęła przed Alem.

— Co się, do diabła, dzieje? — spytał, zaniepokojony jej zachowaniem. — Coś się stało w Szykownym Kociaku?

— Pewnie, że tak. — Jej umysł pracował na zwiększonych obrotach. — Dzwoniła Sharon.

— Sharon? — Ze zdziwienia szeroko otworzył oczy. — Żyje?

- Do cholery, tak. Wiedziałam to.
- Ale co... co...
- Zostawiła tylko numer telefonu, powiedziała, że to pilne.
- Dzwoniła? Skąd?
- Z Seattle.

Przez głośniki został ogłoszony odlot ich samolotu.

- Al, muszę tam lecieć.
- Do Seattle? Teraz?!

Przytaknęła. — Najbliższym lotem.

- Może się zastanowisz?

Pokręciła głową.

Wyglądał na zaniepokojonego, ale starał się kontrolować wyraz twarzy. — Rozumiem. Polecę z tobą.

— Nie, kochanie. Musisz być jutro w pracy. — Przyciągnęła go do siebie. — Kocham cię, Al. Musisz przez kilka dni popilnować Szykowego Kociaka. — Zawahała się. — Zrobisz to dla mnie?

— Dla ciebie wszystko. Dobrze o tym wiesz. — Zaczął mówić ostrzejszym tonem: — Ale nie pozwolę ci pakować się w niebezpieczeństwo.

— Sharon nie kontaktowałaby się ze mną, gdyby tak było. Wiesz o tym.

Z ociąganiem skinął głową.

— Zadzwoń do ciebie, jak tylko doleję do Seattle. Podam numery telefonów i adres, gdzie możesz mnie szukać. — Pocałowała go mocno. Kochała go jeszcze bardziej. Nie było osoby bardziej wyrozumiałej niż Al. Odłożyli ślub na sierpień, kiedy oboje będą mieli wolne, by pojechać w dwutygodniową podróż poślubną do Seattle. Teraz mają rzeczy-wisty powód, by tam jechać — Sharon.

Lexi obserwowała, jak Al wsiada do samolotu. Wiedziała, że niepokoi się o to, co się wydarzy. Próba zamachu na nią ciągle jeszcze zaprzątała uwagę ich obojga

Wynagrodzę ci to, obiecała mu po cichu. Potem poszła kupić bilet na najbliższy lot do Seattle.

Sharon żyje!

Rozdział 32

Sharon podbiegła, by podnieść słuchawkę. Nie zastanawiała się, kto może dzwonić, najważniejsze było to, żeby nie niepokoić Davida.

— Sharon, mówi Lexi. Jestem na lotnisku.

— Na SeaTac?

— Aha. Kilka godzin temu dostałam w Tahoe informację od ciebie... I jestem.

— Och, Lexi, nie mogę uwierzyć, że to ty. — Oczy Sharon napełniły się łzami. Nie zdawała sobie sprawy, że jest taka wrażliwa, dopóki nie usłyszała głosu przyjaciółki.

— Raz już do mnie dzwoniłaś. Zaraz po tym, jak wyjechałaś z San Francisco, prawda?

— Tak, ale nie odważyłam się mówić. Chciałam tylko wiedzieć, czy nic ci się nie stało, że Paul cię nie zabił. — Przerwała. — Chciałam odwiedzić cię w szpitalu, ale Al mi powiedział, co się stało, i kazał mi od razu uciekać od Paula.

— Wciąż źle się czułam, ale kazałam Ałowi, żeby cię ostrzegł.

— Słuchaj, poproszę sąsiadkę, żeby popilnowała Davida, i przyjadę po ciebie. Będę za godzinę.

— Dlaczego nie zabierzesz Davida ze sobą? Umieram, żeby go zobaczyć.

Zapadła cisza.

— Sharon? Jesteś tam?

— Tak. — Kolejna przerwa. — Lexi, David jest ciężko chory. — Było około dziesiątej i Sharon słyszała, że David ogląda kreskówki. Chłopiec nie mógł raczej nic słyszeć.

— Co się stało?

— Powiem ci, jak cię odbiorę. — Odruchowo zniżyła głos.

— Sharon, powiedz od razu, bo będę chora z niepokoju.

— David ma... ostrą białaczkę limfatyczną.

Do ucha Sharon dotarł odgłos szybko wciąganego powietrza. — Nie!

— Jest leczony od dłuższego czasu, ale jak do tej pory brak efektów. Lekarze mówią o możliwości przeszczepu szpiku kostnego.

— Będiesz dawcą?

— Byłam badana. Nie jestem odpowiednia.

— Sharon, tak bardzo ci współczuję... — Zrobiła przerwę. — Kto jeszcze może być dawcą?

— Rodzeństwo, rodzice, bliscy krewni. Jeśli nikt nie odpowiada, komputerowo szuka się w centralnym rejestrze.

— David nie ma bliskich krewnych, jedynie ty i...

— Paul. — Sharon skończyła za nią zdanie. — Szpital skontaktował się z nim.

— O Boże, nie!

— Lexi, nie miałam wyboru. Tu chodzi o życie Davida.

— A skoro Paul już wie, gdzie jesteś, mogłaś do mnie zadzwonić, prawda?

— Tak, tylko dlatego. Chyba się nie gniewasz, że znów wplątałam cię w to zamieszanie?

— Gniewałabym się, gdybyś tego nie zrobiła. Wiesz o tym.

— Dziękuję, Lexi. Słyszeć twój głos, to chyba jedyna rzecz podnosząca mnie na duchu w tym koszmarze.

— Okay, a teraz musimy się umówić — rzekła Lexi, biorąc sprawy w swoje ręce. — Wezmę taksówkę do Seattle.

Mimo obaw Sharon uśmiechnęła się. — Mieszkamy trochę na północ od centrum, więc możemy się spotkać w połowie drogi. Weź taksówkę do... powiedzmy do hotelu Sheraton. Spotkamy się przed nim.

— Będę tam. — Nastąpiła przerwa. — Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, co zawsze mówiłyśmy. I to musi się skończyć.

— Mam nadzieję, że teraz to będzie prawda. — Sharon już odkładała słuchawkę, kiedy Lexi dodała na koniec:

— Nie zapominaj, że masz teraz przy swoim boku Ala i mnie. Kochamy cię i zamierzamy cię wspierać na wszystkie sposoby.

Sharon odłożyła słuchawkę. Długie migocące promyki światła sączyły się przez firany i przynosiły na korytarz letnią pogodę. Przez chwilę się nie ruszała, pozwoliła, by ogarnęło ją dobrodziejstwo rozmowy z Lexi. Potem znów podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Midge. A pięć minut później Midge i Pete zjawili się przy drzwiach.

— Janice, jedź po swoją przyjaciółkę. Poradzimy sobie tutaj.

Sharon po odszukaniu żakietu i torebki weszła na górę i pocałowała Davida na pożegnanie. — Przywiozę ci wspaniałą niespodziankę, kochanie.

Skinał głową, ale myślami był już przy grze planszowej, w którą zagrają z Petem. — Do zobaczenia, mamó. Kocham cię.

— David, ja cię też kocham.

Wygląda jakoś lepiej, stwierdziła po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni. Może mu się poprawi przed kolejnym badaniem krwi. Boże, proszę... tak!

Może wszystko ulegnie zmianie, pomyślała, kiedy zjeżdżała ze wzgórza. Przyjazd Lexi cudownie zmienił jej nastrój. Znow była pełna nadziei.

Sharon zostawiła samochód na płatnym parkingu, a potem doszła przecznicę do hotelu. Wybuchła płaczem, kiedy zobaczyła Lexi. Stała ubrana w dżinsy w lamparcie wzorki, wydekoltowaną kamizelkę i sandały na wysokich obcasach. Przyciągała zachwycone spojrzenia wszystkich mężczyzn, którzy przechodzili obok.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. — Głos Sharon drżał.

— Tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała. — Niebieskie oczy Lexi też błyszczały podejrzenie. Spotkanie z Sharon również mocno ją poruszyło.

Ścisnęły się tak długo, aż Sharon spostrzegła zaciekawione spojrzenia. Cofnęła się i zaproponowała jedną z hotelowych restauracji, gdzie miałyby odrobinę prywatności. Rozmawiały, pijąc kawę; opowiadały o tym, co się wydarzyło podczas wielu miesięcy rozłąki.

Lexi z brzękiem odstawiła filiżankę, kiedy Sharon wyjaśniła jej, jak zdobyła pieniądze, by opuścić San Francisco, w jaki sposób upozorowała wypadek, a w końcu, jak zmieniła swoją tożsamość. — Sharon... chciałam powiedzieć Janice... nie mogę uwierzyć w twoją pomysłowość. — Przerwała. — Uciekłeś od Paula i nigdy by cię nie znalazł, gdyby nie choroba Davida.

— Wiem — zawahała się Sharon. — Biedny chłopak. — Uśmiechnęła się cierpko, ale uśmiech szybko zgasł na jej twarzy. — Powiedziałam, że przywiozę mu niespodziankę... ty jesteś tą niespodzianką.

Lexi poklepała walizkę stojącą przy krześle. — Jak czekałam na samolot do Seattle, kupiłam coś Davidowi. Miałam przeczucie.

— Lexi, tylko ty mogłabyś mieć takie przeczucie. Jesteś jedyną ciocią, jaką ma David.

Lexi gestem przywołała kelnerkę, która ponownie napełniła filiżanki. — Sharon, jeszcze jedno pytanie. Kto płaci rachunki za szpital?

— Jak dotąd mam ubezpieczenie medyczne z pracy.

— A to ubezpieczenie jest na Janice Young? Używasz jej numeru ubezpieczenia społecznego?

— Tak.

Lexi tylko gwizdnęła.

— Tak się właśnie zaplątałam — wyznała Sharon. — Po drodze kilka razy złamałam prawo.

— A Signe, twoja szefowa, wie, że nie jesteś prawdziwą Janice?

Sharon pokręciła głową. — Powiedziałam jej jedynie, dlaczego wyjechałam z San Francisco. Nie mówiłam, że Paul myślał, że nie żyję, albo że przybrałam tożsamość zmarłej kobiety... — Otrzeźwiły ją te głośno wypowiedziane słowa. — Chyba nie myślałam, że będę kiedyś chora i będę potrzebowała ubezpieczenia medycznego. Wiedziałam tylko, że gdybym odeszła na emeryturę, nie mogłabym korzystać z ubezpieczenia społecznego na nazwisko Janice Young, choć to ja na nie płaciłam.

Lexi zmarszczyła z niepokojem czoło. — To wyjątkowo zagmatwana sytuacja, a nie możemy liczyć, że Paul będzie trzymał język za zębami. Zrobi wszystko, żeby ci zaszkodzić.

— Już wie, że w Seattle przybrałam nazwisko Janice Young.

— Skąd?

— Ktoś ze szpitala mu powiedział. W tej sytuacji było to nieuniknione.

Lexi zacisnęła usta. — Myślę, że przynajmniej z Signe musisz wszystko wyjaśnić. Wygląda na wyrozumiałą osobę.

— To prawda, ale...

— Co ale?

— Mogłaby pomyśleć, że te włamania i inne rzeczy są dziełem Paula. Signe może mi tego nie wybaczyć.

— Jakie rzeczy? — Lexi wychyliła się do przodu. Wyraz jej twarzy wskazywał, że domaga się odpowiedzi.

Przez następne piętnaście minut Sharon wyczerpująco zrelacjonowała wszystkie niepokojące wydarzenia, od pierwszego zetknięcia się z Taylorem, po ich spotkanie na Wyspach Świętego Jana. Mówiła o włamaniu do galerii, gdzie ktoś przeglądał jej akta, i o przerażających zdarzeniach w ich domu. Skończyła, mówiąc o ostatniej rozmowie z Taylorem.

— Uff! — Lexi odchyliła się do tyłu na krześle. — To może być Paul... — Zawahała się. — ...ale to nie wygląda na jego sposób działania.

Myślę, że szybko podjąłby przeciwko tobie jakieś kroki, wiedząc, że ma asa w rękawie.

— Ja też tak sądzę, ale wciąż się waham. Czasami myślę, że to ma coś wspólnego z Janice, kiedy indziej, że to jednak Paul... A może jest to jakiś przypadkowy prześladowca, jak uważa policja.

Lexi odstawiła filiżankę. — Mam nadzieję, że przypadkowy. To niewiarygodne, że wybrałaś tożsamość tak bliską twojej, że ktoś bierze cię za prawdziwą Janice. I ma powód do niepokoju... niepokoi się, że Janice nie zginęła w tym tajemniczym pożarze. To by była wyjątkowa ironia losu; uciec od Paula, żeby wpaść w ręce innego psychola.

— Naprawdę? Najwyraźniej bardziej przypominam Janice, niż początkowo myślałam. To więcej niż takie samo wykształcenie i wiek. — Pokręciła głową. — Byłam taka szczęśliwa, kiedy znalazłam ją na mikrofilmie... osobę, która nie żyje od dwunastu lat.

— A ten Taylor to naprawdę wierzył, że jesteś nią, kiedy cię zobaczył po raz pierwszy?

Zamilkła, gdy sobie przypominała. — Na pewno był zaintrygowany naszym podobieństwem.

— Może to taki drugi Paul?

— Bardzo troszczy się o Davida, ale odbieram go z mieszanymi uczuciami.

Cisza zapadła między nimi, Sharon spojrzała na zegarek. — Lexi, musimy jechać. Midge, moja sąsiadka, będzie się zastanawiała, czy nic mi się nie stało. — Odsunęła krzesło i wstała. — Ci Loganowie są tacy mili dla mnie i nie chcę ich za bardzo wykorzystywać.

— To idziemy. Porozmawiamy w samochodzie.

Lexi nalegała, że zapłaci rachunek, a potem wyszły do samochodu. Kiedy Sharon już do niego wsiadała, spostrzegła, że Lexi ciągle stoi na chodniku i się gapi.

— Niech mnie diabli — odezwała się Lexi. — Ty naprawdę wróciłaś do dawnej Sharon.

Sharon uśmiechnęła się. — Masz na myśli garbusa?

— No pewnie, że tak. Zawsze lubiłaś te małe samochodziki, dopóki Paul nie kazał ci z nich zrezygnować. — Roześmiała się, gdy wsiadała. — Garbus nie pasował do jego image'u!

Jechały przez miasto. Minęły Space Needle, a potem skierowały się na Wzgórze Świętej Anny. Sharon po raz pierwszy od wielu miesięcy nie czuła się samotna.

*

Sharon położyła rękę na ramieniu Lexi i zatrzymała ją na schodach.

— Zapomniałam cię ostrzec — wyszeptała. — Davidowi po chemioterapii wypadły wszystkie włosy.

Lexi przełknęła ślinę. — Jest... łysy?

— Tak — odparła Sharon trzęsącym się głosem. — Wstydzi się tego... Cierpi bardziej, niż ci mówiłam.

— Boże, to niesprawiedliwe. — Lexi stłumiła łzy. — Moje biedne dziecko.

Sharon przytaknęła i zwilżyła suche wargi. — Jeżeli Davidowi się nie polepszy... — Nie była w stanie powiedzieć *umrze*. — ...to nie będę miała po co żyć. — W końcu wypowiedziała tę okropną myśl, która krążyła w jej głowie niczym sęp.

Lexi gwałtownie wyprostowała ramiona, jakby chciała wymazać słowa Sharon. — Wyjdzie z tego. Odrosną mu te piękne włosy, jeszcze gęstsze. — Mówiła głosem Boga decydującego o losach świata.

W milczeniu kroczyły po schodach, a kiedy weszły do pokoju Davida, uśmiechnęły się obie.

David siedział na łóżku, opierał się o poduszki. Pete właśnie poszedł do domu z mamą, ale obiecał, że przyjdzie później po południu. Chłopiec uniósł wzrok, potem spojrzął w bok i znów na obcą osobę, która przyszła z jego mamą. Szeroko otworzył oczy. Potem zrzucił z siebie kołdrę i podbiegłby do Lexi, lecz ona już znalazła się przy łóżku.

— Cześć, dzielny chłopaku — rzekła Lexi, obsypując go pocałunkami. — Co robiłeś od czasu, kiedy cię po raz ostatni widziałam?

— Dużo rzeczy — odparł, a potem spoważniał. — Nie ubrałem tego kostiumu Chudego od ciebie. Tata powiedział, że nie mogę.

Sharon stała z boku, obserwowała. Nie zdawała sobie sprawy, że on wciąż się tym przejmuje. Co to by było, gdyby ojciec, którego się boi, wrócił do jego życia?

— Ale mama kupiła mi inny, jak przyjechaliśmy do Seattle — powiedział mocniejszym głosem, niż Sharon od dłuższego czasu słyszała. — I zbierałem fanty!

— Dostałeś dużo cukierków?

Skinął łysą głową. — I zjadłem je wszystkie.

Po chwili Sharon zeszła na dół. Trochę później wrócił Pete i Lexi dołączyła do niej w kuchni. Bez słowa usiadła przy stole, skryła głowę w ramionach i się rozpłakała.

Sharon sięgnęła po butelkę wina. Uświadomiła sobie troskliwość Signe, która ją przyniosła. Powinna być uczciwa w stosunku do Signe. Wspiera ją w każdej sytuacji. Jeżeli jej ubezpieczenie medyczne zostanie unieważnione, sama będzie musiała spłacać rachunki za Davida, a to zajmie resztę życia.

Za chwilę miała rozpocząć się wycieczka po historycznych podziemiach Seattle. Stał na końcu dużej grupy turystów czekających w kolejce po bilety. Kiedy doszedł do kasy, kasjerka była już zdenerwowana i na pewno nikogo nie zapamięta.

Przewodnik poprowadził grupę ulicą do placu Pioniera. Wyjaśnił, że miasto zostało założone przez Denny'ego Party'ego w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Mówił też, że Seattle zostało tak nazwane na pamiątkę wielkiego wodza indiańskiego.

Przeszli przez ulicę do alejki, która prowadziła pod ziemię, do plantany przejść, które kiedyś znajdowały się na powierzchni. Podążył z grupą w dół, do wąskich, przyprawiających o klaustrofobię korytarzy, sporadycznie oświetlanych przez żarówki. Trudno było uwierzyć, że te obskurne miejsca oświetlało kiedyś *sionce*. Obecnie ulica była jakieś dwanaście stóp nad ich głowami.

— Nawet teraz w tych podziemiach są sekretne drzwi — powiedział przewodnik. — Dentysta, którego nazwiska nie chcę podawać, miał takie drzwi i codziennie wymykał się nimi na lunch. W ten sposób uciekał przed czekającymi pacjentami...!

Udawał zainteresowanie, ale rozglądał się wokół, szukał ściany, która była wszystkim w jego planie. Na pewno można się przez nią przebić.

Próbował się sam zorientować, a potem przewodnik nieświadomie mu pomógł, wyjaśniając, pod jakim budynkiem się znajdują. Zobaczył ścianę z cegły, która oddzielała grupę turystów od piwnicy galerii.

Odłączył się od grupy, udając zainteresowanie sedesem sprzed stu lat stojącym na występie, który kiedyś był łazienką. Kiedy ostatnia osoba z pola jego widzenia, sprawdził ścianę. Nie zwracał uwagi na szczury, które wypełzły ze swoich nor, kiedy ludzie odeszli. W miejscu, gdzie cegły dotykały drewna, można je było usunąć prawie bez wysiłku.

Wspaniale, pomyślał. Mogę tam wejść i wyjść, i nikt niczego nie zauważy.

Obrócił się i skierował w stronę wejścia do podziemi. Uśmiechnął się, gdy znalazł się na ulicy. Jego plan był niezawodny. Tym razem nie zrobi błędu. Muszę tylko dopracować jeszcze jeden szczegół, stwierdził w myślach, podchodząc do samochodu. A to powinno być łatwe.

Rozdział 33

Naprawdę dzielnie się trzymasz — rzekła Lexi przy kawie następnego ranka. — Podziwiam twoją siłę. Nie wiem, czy ja dałabym sobie radę.

— Dzięki, Lexi. Teraz mogę przyjąć ten komplement. — Sharon, odświeżona po porządnym śnie, rozejrzała się po przytulnej kuchni. — Seattle... tutaj czuję się bardziej w domu niż w San Francisco z Paul'em, przynajmniej tak było do czasu, aż nie pojawił się ten szantażysta i dziwne telefony.

Spojrzenie na zegar powiedziało Sharon, że musi obudzić Davida. Gdy Lexi wkładała naczynia do zmywarki, poszła na górę. Zbierała się w sobie, by podbudować Davida przed dzisiejszym wyjazdem na chemioterapię. Tym razem nie wydawał się zdenerwowany przed całonocnym pobytem w szpitalu.

Trochę później wszyscy wgramolili się do garbusa i pojechali do szpitala. Kiedy David znalazł się w swoim pokoju, Sharon rozpraszała jego uwagę, by nie myślał o zbliżającym się zabiegu. Potem przysłała pielęgniarka i zabrała go na wózek inwalidzkim. Sharon i Lexi towarzyszyły mu do windy.

— Będziemy tutaj, jak wrócisz — zapewniła go Sharon, gdy zamknęły się drzwi.

— Lexi, jesteś pewna, że mogę zostawić cię samą? — spytała, kiedy wracały do szpitalnego pokoju Davida.

— Oczywiście, że możesz, a poza tym nie wychodzisz na długo.

— Muszę wrócić, zanim Davida przywiezą na dół. — Sharon zahała się. — Nie wychodziłabym, gdyby ciebie tutaj nie było. Z tobą czuje się prawie tak bezpieczny jak ze mną.

— Sharon, musisz porozmawiać z Signe o ubezpieczeniu. Im wcześniej, tym lepiej. Może nie jest za późno, by przenieść je na twoje prawdziwe nazwisko i numer.

— Myślę, że jest, ale i tak muszę z nią porozmawiać. — Sharon wzięła głęboki oddech, próbowała nie pokazywać, jak jest zaniepokojona.

jona. Ubezpieczenie było ostatecznie jednym ze sposobów, w jaki Paul mógł jej zaszkodzić...

— Więc, Lexi, wiedziałaś, że Sharon żyje i mieszka w Seat tle! — Męski głos przeraził je, odwróciły się i stanęły twarzą w twarz z Pauliem. Jego oczy błyszczały wrogością, ale mówił niskim, spokojnym tonem, gdy podchodził bliżej. — Obie jesteście kłamliwymi cipami. — Wulgarnie słowa nie licowały z jego nienagannym wyglądem. Miał na sobie drogi sportowy garnitur.

Wyglądało, jakby myśli Sharon o nim wyczarowały go z powietrza. Z przerażenia zamarł jej oddech. Wzdrygnęła się, oddech powrócił.

Lexi jako pierwsza odzyskała mowę. — Paul, to, co wiem, to nie twój pieprzony interes. — Nie dawała się, ale Sharon czuła, że jej przyjaciółka się go boi.

— Paul, zostaw Lexi w spokoju. — Sharon stanęła między nimi, złość zastąpiła strach przed nim. — Chyba już wyrzuciłeś jej odpowiednio dużo krzywdy?

Spojrzał na nią beznamiętnym, nieodgadnionym wzrokiem. — Najwyraźniej nie. Niczego nie zrozumiała.

— Bo mnie nie zabiłeś? — Lexi stanęłaby z nim oko w oko, ale Sharon wyciągnęła rękę i powstrzymała ją.

— Odczep się od nas... ty draniu, morderco — rzuciła mu Sharon, szybko łapiąc oddech.

— Drań? Morderca? — Cmoknął językiem. — Jakie to ordynarne. Widzę, że wróciłeś też do swojego starego sposobu ubierania: dzinsy i sandały.

— Dzięki Bogu. Nigdy już nie będziesz mnie kontrolował.

— Kontrolował? — Roześmiał się cierpko. — Zobaczmy, co powie na to sąd.

— Co to ma znaczyć?

— Na początek sąd zajmie się twoją odpowiedzialnością rodzicielską — odparł chłodno. — Jestem w trakcie przygotowywania dokumentów procesowych. Mój adwokat zapewnia mnie, że w tej sytuacji będzie to łatwa sprawa.

Spojrzała na niego wyzywająco. — To nie ostatnia jesień i to nie jest San Francisco.

— Masz rację, Sharon. Dochodzimy w ten sposób do innego zarzutu: o porwanie dziecka, nie wspominając innych oskarżeń, które anali-

zuje mój adwokat. — Pobrząkiwał monetami w kieszeni spodni. — Nie zrobię żadnego błędu. W ten czy inny sposób odbiorę mojego syna.

— To jest groźba?

Uśmiechnął się blade. — To jest fakt. Sharon, zapłacisz za swoje czyny. Przez ciebie przeżyłem piekło.

— Nie zapominaj, Paul, że mam teraz całą grupę stronników i oni zaprzeczą twoim kłamstwom.

— Zobaczmy. Tymczasem zabieram Davida ze sobą do domu.

— Chcesz to zrobić Davidowi... teraz, kiedy jest tak bardzo chory?

Paul pstryknął palcami. — Właśnie tak. Dopilnuję, żeby miał jak najlepszą opiekę lekarską. — Spojrzał na nią z zaciśniętymi wargami. Dobrze przypominała sobie to spojrzenie z czasów, gdy domagał się posłuszeństwa.

— Teraz ma najlepszą — odparowała. — Najprawdopodobniej najlepszą na świecie.

Wzruszył ramionami, a potem odwrócił się i poszedł korytarzem w stronę pokoju Davida. Dzięki Bogu, że David został zabrany na górę, pomyślała. Zyskiwała w ten sposób trochę czasu na zastanowienie się, w jaki sposób powstrzymać Paula, by nie niepokoił chłopca.

— Nie mogę teraz wyjść — zwróciła się do Lexi. — Wiem, że sprawa ubezpieczenia jest ważna i muszę ostrzec Signe, że Paul jest tutaj, ale nie mogę zostawiać Davida na łasce Paula.

— Zgadzam się, Sharon, ale ja mogę pojechać za ciebie i powiedzieć Signe, co się dzieje.

Sharon zawahała się, w myślach szukała innych możliwości. Żadnej nie znalazła. Dała Lexi klucze od samochodu, a potem na kawałku kartki, którą wyciągnęła z torebki, zapisała jej właściwy numer ubezpieczenia społecznego i adres galerii Zielony Klejnot.

— Wrócę za jakieś dwie godziny. — Lexi ruszyła korytarzem, ale po chwili się zatrzymała. — Sharon, ty nie opuszczaj szpitala.

Sharon przytaknęła. Wróciło dawne przerażenie.

Sharon zatrzymała się przy pokoju Davida, przysłuchiwała się ostrej rozmowie, której odgłosy dochodziły ze środka. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, był pęk kolorowych balonów, wszystkie w kształcie jachtów. Taylor, pomyślała. Potem jej wzrok przyciągnęło dwóch mężczyzn stojących naprzeciw siebie.

— Kim, do cholery, jesteś? — spytał ostro Paul, chociaż raz okazując wściekłość spod perfekcyjnej maski.

— Jak ci mówiłem, jestem przyjacielem Davida — odparł Taylor z nutą zniecierpliwienia. — Często do niego przychodzę, kiedy tu jest.

— I spotykasz się z jego matką? Pieprzysz Sharon?

Zapadła cisza.

— To podłe. Ty jesteś Paul, prawda?

— To nie twoja sprawa, kim jestem. Masz się stąd wynosić. Nie powinienś odwiedzać mojego syna.

— Słuchaj, twoja żona jest przyzwoitą kobietą, gdybyś tego nie zauważył. — Zawiesił głos. — Teraz zaczynam tworzyć sobie twój obraz. Jesteś agresywnym skurwysynem, prawda? — Taylor mówił niczym psychiatra diagnozujący zaburzoną osobowość.

— Wynos się!

Sharon patrzyła zafascynowana, z trudem zauważyła, że za nią zjawiała się pielęgniarka. Nigdy nie widziała Paula tracącego spokój. To łobuz znęcający się nad słabszymi, tchórz, pomyślała. Otaczał się jedynie ludźmi, których mógł kontrolować, a człowiek taki jak Taylor nie był jednym z nich.

Weszła do pokoju, wiedziała, że za nią podążyła pielęgniarka.

Paul od razu zwrócił się do niej. — Chcę, żeby ten twój pieprzony przyjaciel wyniósł się z tymi cholernymi balonami. — Wyciągnął rękę i zaczął je ścisnąć palcami, aż jeden z nich pękł z odgłosem wystrzału.

— Paul, już ci mówiłam. Taylor nie jest moim przyjacielem.

Mówiła spokojnie, dziwiła się w myślach, do jakiego stopnia się zmieniła. Ponieważ podjęła decyzję o ucieczce od Paula, znalazła się na drodze, by wyleczyć się ze strachu przed nim. Działanie leczy strach.

— Sostro — Paul zerknął na kobietę stojącą za Sharon — chcę, żeby ci ludzie wyszli. Natychmiast.

— Proszę pana, z tego, co słyszałam, to pan urządza awanturę.

— Jestem ojcem Davida.

— Tak pan twierdzi — odezwała się cierpko. — A ja jestem siostrą przełożoną i nie chcę, żeby mój pacjent się denerwował. Proszę więc, żeby pan wyszedł. Chłopiec będzie dobrze się czuł z mamą, tak jak przez te wszystkie tygodnie.

— Co? — z twarzy Paula odpłynęła krew.

— Proszę wyjść. — Pielęgniarka krzątała się wokół łóżka. — Natychmiast.

— Absolutnie nie. Będzie miała pani kłopoty w pracy.

Wyprostowała się i zmierzyła go lodowatym wzrokiem. — Niech pan się skarży, ale teraz proszę wyjść. — Przerwała. — Mam wezwać ochronę?

— Słuchaj, ja też idę — rzekł Taylor. — To sprawa rodzinna. — Spoglądał przenikliwym wzrokiem, kiedy mówił to do Paula. — Ale balony zostają. Powtarzam jeszcze raz. Jestem tylko kolegą Davida, nikiem więcej.

Paul pomaszerował do drzwi. Jego zmrużone oczy nie zauważały nikogo, tylko Sharon. — Myślisz, że tutaj coś wygrałaś. — Delikatny uśmiech pojawił się na jego ustach. — Pomyśl jeszcze.

I zniknął na korytarzu.

Wydawało się, że zabrał cały tlen ze sobą. Sharon opadła na krzesło, zanim zdążyła pomyśleć, że powinna usiąść. Potem wrócił cały strach przed nim. Tchórze i łajdacy znęcający się nad słabszymi mogą być też śmiertelnie groźni.

Pielęgniarka wyszła z pokoju, a Taylor zatrzymał się w drzwiach i spoglądał na Sharon.

— Wiesz, on nie jest normalny — stwierdził spokojnie.

Przytaknęła. — Wiem to od dłuższego czasu.

Przechylił głowę. — Masz mój numer telefonu?

— Tak.

— Zadzwoń do mnie, jak będzie ci sprawiać jakieś kłopoty. Do brze?

— Taylor, chyba nie chcesz się w to wplątywać.

— Uwierz mi, chcę. — Poszedł za innymi korytarzem.

Signe spojrzała na wysoką blondynkę, która weszła do sklepu i zbliżyła się do niej.

— Pani jest Signe?

— Z pewnością — odparła z uśmiechem.

Lexi wyciągnęła rękę. — Jestem Lexi Steward, przyjaciółka Sharon z San Francisco. Hm, sądzę, że zna pani Sharon jako Janice Young.

— To Janice Young nie jest jej prawdziwym nazwiskiem?

Lexi pokręciła głową. — Wiem, że Sharon opowiedziała pani historię o sobie, ale nie tę część. — Zawahała się. — Sharon miała tu przy-

jechać, żeby z panią porozmawiać, ale musiała zostać w szpitalu, więc ja przyjechałam w jej miejsce. Chciała, żeby pani wiedziała, co się wydarzyło.

— Pójdziemy do mojego gabinetu — rzekła Signe, nagle posępna. Poprowadziła Lexi przez galerię do pokoju z tyłu.

— Ma pani wiele wspaniałych dzieł — zauważyła Lexi, podziwiając od przekroczenia drzwi eksponaty wiszące na ścianach i umieszczone w szklanych gablotach.

— Tak — zgodziła się Signe. — Zwracam uwagę na to, co wystawiam, a mam słabość do sztuki pierwotnych mieszkańców Ameryki, bo sama jestem pół-Indianką.

Lexi usiadła na wskazanym krześle. — Tak samo w Szykownym Kociaku... to znaczy miałam na myśli, że też jestem wymagająca.

— W Szykownym Kociaku?

— To mój butik. — Krótko Lexi opisała swój sklep. — Znajduje się w dzielnicy Upper Haight w San Francisco.

Przez chwilę rozmawiały o różnicach i podobieństwach między ich sklepami, a potem Signe wychyliła się nad biurkiem i wróciła do rozmowy o Sharon.

— Domyślam się, że chce mi pani przekazać nowe informacje dotyczące Janice.

— Tak, oczywiście. — Lexi zawahała się. — Mam nadzieję, że teraz, kiedy usłyszysz pani całą historię, Sharon nie straci w pani przyjaciółki.

— Janice... aa... Sharon... — Signe roześmiała się nagle. — Chyba zawsze będę myślała o pani Sharon jako o mojej Janice. — Spowaźniała. — Nie jestem w stanie sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego mogłabym się przestać z nią przyjaźnić. Ale przyznaję, że ostatnio zastanawiałam się nad pewnymi rzeczami, które po prostu mi się nie zgadzają. Na przykład jej artystyczne wykształcenie, jej uwagi na temat zmarłych rodziców, ogólnikowe informacje na temat przeszłości. Zdałam sobie sprawę, że kłamie, i chciałam ją przycisnąć do muru, ale David zachorował. Wiem, że miała swoje powody, ale mogła mi zaufać.

— Przypuszczalnie wtykam nos w nie swoje sprawy, ale, do diabła, od czego są przyjaciele? — Lexi odrzuciła do tyłu długie włosy, założyła luźne kosmyki za uszy. — Chyba zaczęłam od początku, kiedy po raz pierwszy spotkałam Sharon.

— Dobry pomysł.

Lexi opowiadała o latach przyjaźni z Sharon. Signe słuchała uważnie, często przerywając opowieść okrzykami takimi jak: „To łobuz!”

— Po tym, jak próbował mnie zabić... oczywiście niczego nie mogliśmy udowodnić... Sharon wyjechała z San Francisco, wiedząc, że Paul planuje zamach na jej życie. Wiedziała, że będzie niezmordowanie jej poszukiwał, że ma środki na wynajęcie prywatnych detektywów...

Signe pokręciła głową. — Niech pani mówi dalej.

— W tym momencie Sharon wiedziała, że jedyny sposób, by go powstrzymać, to kazać mu wierzyć, że ona i David nie żyją.

Signe gwałtownie wciągnęła powietrze.

Lexi opowiedziała o upozorowanym wypadku, o tym, jak Sharon dostała się do Seattle niezauważona i o krokach, które podjęła, by zmienić swoją tożsamość. — Myślała jedynie, żeby chronić syna, i nie miała pojęcia, że jej misterny plan obróci się przeciwko niej.

— A teraz jej mąż jest w Seattle i robi wszystko, żeby wpędzić ją w kłopoty...

— W każdy możliwy sposób. — Lexi przez chwilę nic nie mówiła. — Jestem przekonana, że chce śmierci Sharon, ale oczywiście zaplanował jej zabójstwo bardzo starannie, więc nie jest podejrzany.

— Co mogę zrobić, żeby jej pomóc?

Lexi wyciągnęła kawałek kartki papieru z torebki. — Sharon chciała sama wszystko pani wyjaśnić, ale Paul pojawił się dziś rano w szpitalu. Już wystąpił o opiekę nad Davidem i zamierza zabrać go z powrotem do San Francisco. Sharon boi się zostawiać z nim Davida samego.

— On wyraźnie jest socjopata.

— Sama pani to zauważyła. Davidowi bardzo się tutaj podoba, a myśl o powrocie do ojca przeraża go. Teraz, kiedy jest taki chory, Sharon boi się, że mu się pogorszy, jak zobaczy Paula. — Lexi podała Signe kartkę. — To jest prawdziwy numer ubezpieczenia społecznego Sharon.

— O cholera! Mamy więc zarejestrowany zły numer przy wszystkich podatkach... I ubezpieczeniu medycznym.

— Wiem, ale niezależnie, co się stanie, Sharon chce być czysta w stosunku do pani.

Wyglądała na zamyśloną. — Sprawy podatkowe możemy obejść, jeżeli tylko wykażę, że Janice już tu nie pracuje, a zatrudniłam teraz Sharon. Jednak to oznacza, że Sharon nie może mieć żadnych roszczeń w imieniu Janice.

— Nigdy nie zamierzała.

— Może to nie jest zupełnie legalne, ale możemy uznać, że rząd w ten sposób zarobił trochę dodatkowych pieniędzy. Jednak ubezpieczenie medyczne to zupełnie co innego. Zna pani towarzystwa ubezpieczeniowe. Oni dokładnie sprawdzają każde roszczenie.

Kilku klientów przyszło do sklepu i Signe musiała ich obsłużyć. Parę minut później odprowadziła Lexi do drzwi.

— Proszę powiedzieć Janice... do diabła, dla mnie to ona jest Janice... że stoję za nią murem i zobaczę, czy można coś zrobić z ubezpieczeniem, choć raczej wątpię. — Wyciągnęła rękę. — Lexi, miło, że się z panią spotkałam. Wiem, że jeszcze kiedyś porozmawiamy. — Uśmiechnęła się. — Rozumiem, dlaczego pani i Janice jesteście takimi dobrymi przyjaciółkami.

Lexi wyszła zadowolona po rozmowie z Signe i skierowała się do autobusa. Było jasne, że Sharon zapuściła korzenie w Seattle, gdzie każdy wysoko ją cenił, ale musiała się pozbyć Paula, zanim zniszczy życie jej i Davidowi.

Zatrzymała samochód, pewien pomysł zaświtał jej w głowie. Do cholery, nie może już być gorzej...!

Lexi trzymała wizytówkę, którą dał jej detektyw Walsh. Wystukała jego numer w San Francisco i rachunkiem obciążyła swoją kartę płatniczą.

— Wydział zabójstw — usłyszała profesjonalny kobiecy głos. — Z kim połączyć?

— Chciałabym rozmawiać z detektywem Danem Walshem.

— Przykro mi, ale nie ma go w swoim biurze. Mogę przełączyć na pocztę głosową?

— Proszę — odezwała się Lexi. No tak, pomyślała. Kiedy jest potrzebny, nie ma go.

Słuchała jego głosu, który prosił rozmówców o zostawianie informacji. Kiedy rozległ się sygnał, wzięła głęboki oddech i zaczęła.

— Mówi Lexi Steward... kobieta, która została zaatakowana na Haight w październiku przez Paula Moore'a. Jestem w Seattle. Ten telefon dotyczy mojej przyjaciółki Sharon Moore. Proszę do mnie zadzwonić. — Zostawiła numer telefonu Sharon. — Detektywie Walsh, to bardzo ważne. Tu chodzi o życie.

Odłożyła słuchawkę i patrzyła na telefon. Potem poszła poszukać samochodu. Był jeden sposób na poradzenie sobie z Paulem: powiedzieć wszystkim, co zrobił i czym jeszcze grozi.

Znów wszedł za grupa turystów do podziemi. W rękę niósł zniszczoną skórzaną aktówkę. Inni mieli ze sobą torby z pamiątkami lub duże torebki, więc nikt nie zwracał na takie rzeczy.

Wykazywał zainteresowanie, ale uważał, żeby nie włączać się do rozmowy, ani nie robić nic, co pozwoliłoby go zapamiętać.

Tym razem rozpoznał miejsce i kiedy ludzie zaczęli się zachwycać starym sedesem stojącym wysoko na występie, on też udawał zdziwienie. Głupie gnoje, zwrócił się do nich po cichu. Zabawiają się.

Kiedy ostatnia osoba znikła w ciemnym korytarzu, ruszył do działania. Podeszedł do ściany oddzielającej piwnicę galerii od podziemi. Przesuwając luźne cegły, ukrył starą aktówkę.

Zadowolony wrócił na alejkę. Nikt nie zwrócił uwagi, jak się wyknął. — Wrócę tu. — Wypowiedzenie tych słów sprawiło mu przyjemność. Słyszał, że wypowiedziane dźwięki nie znikły, ale brzmiały w nieskończoność.

Ta myśl czyniła jego plan realnym. *To się zdarzy.*

Rozdział 34

Następnego dnia rano Sharon zabrała Davida do domu. Chłopiec nie wiedział, że jego ojciec jest w mieście. Przez następne dwadzieścia cztery godziny wpadała w przygnębienie lub się mobilizowała, na zmianę; opiekowała się nim, kiedy źle się czuł. Lexi przypatrywała się tylko ze współczuciem, nie była w stanie w niczym pomóc. Kolejnego ranka David wydawał się zdrowszy, czekał na wizytę Pete'a po lunchu.

Po południu zadzwonił lekarz i powiedział, że wyniki badań krwi się nie pogorszyły. — Janice, to wprawdzie niewiele, ale może stan zdrowia Davida ulega nieznacznej poprawie. — Zawahał się. — W tym momencie nie możemy powiedzieć, że kuracja zaczęła przynosić efekty, ale jest to pozytywny sygnał.

Sharon opadła na krzesło w kuchni. — Dziękować Bogu.

— Jak już mówiłem, jest za wcześnie, żeby się cieszyć. — Kolejne zawahanie. — I jeszcze jedno. Ojciec Davida nie może być dawcą, więc

zażądałem, żeby przeszukano komputerową bazę potencjalnych dawców. Musimy być przygotowani, gdyby lekka poprawa u Davida była fałszywym alarmem.

— Rozumiem. — Sharon oparła się o stołek na korytarzu. Nie musiała kontaktować się z Paulem. To była daremna próba, by ratować Davida, a teraz znów znalazła się w sytuacji, w jakiej była w San Francisco. Groziło jej niebezpieczeństwo.

— Janice, jest tam pani?

— Tak, oswajam się tylko z tym, co pan powiedział. — Przerwała. — Wcałe nie musiałam więc dzwonić do ojca Davida...

— Nie, ale tego nie wiedzieliśmy. Musimy wykorzystywać wszystkie możliwości.

— Naturalnie.

— Zrobimy następne badania krwi, kiedy David znów przyjedzie na chemioterapię. Mam nadzieję, że wykażą to, na co czekamy.

— Chce pan powiedzieć, że jest mała poprawa?

— Tak. — Przerwała. — Janice, wkrótce znów porozmawiamy. — Po kilku sekundach rozłączyli się.

Sharon przeszła do kuchni, z góry dochodziły głosy Davida i Lexi. Czuła się jak zombie.

Paul nie był odpowiednim dawcą. Jednak znów znalazł się w ich życiu. Mogła mieć jedynie nadzieję, że nie będzie również przyczyną jej śmierci.

Sharon, bardzo niechętnie cię opuszczam, nawet na kilka dni. — Lexi postawiła filiżankę z kawą na kuchennym stole. — Jak sprawdzę, że wszystko jest w porządku w Szykownym Kociaku, przylecę z powrotem.

— Lexi, nie mogę pozwolić, żebyś zaniedbywała swoje życie. To...

Lexi machnęła ręką. — To już ustalone. Wyjadę pojutrze, a wrócę do połowy następnego tygodnia. Al zgadza się ze mną, choć trochę się niepokoi ze względu na Paula.

— Ale ta sytuacja nie może trwać długo. Muszę się temu przeciwstawić. Nie boję się Paula tak jak kiedyś.

— Musisz to zrobić. — Lexi zniżyła głos na wypadek, gdyby Pete i David zeszli na dół i słyszeli. — Na zewnątrz sprawia dobre wrażenie, ale to psychol... nieprzewidywalny i niebezpieczny. Nie zapominaj, że usiłował mnie zabić.

Kiedy Sharon wstała i ponownie napełniła filiżanki, ktoś zadzwonił do drzwi. Wyjrzała na korytarz. — To Signe.

Lexi poszła z nią do frontowych drzwi i stała obok niej, kiedy Sharon wpuściła Signe do domu. Na dworze było mokro i wietrznie.

— Jak myślisz, czy tu kiedyś zacznie się lato? — spytała, wchodząc do domu, Signe.

— Mam nadzieję. — Zawahała się. — Kto dogląda galerii?

— Moja córka, przez następną godzinę. — Signe wyglądała na zaniepokojoną. — Zadzwoniłam do niej i od razu przyszła, bo to pilne. — Rzuciła płaszcz i torebkę na krzesło w korytarzu. — Przynajmniej jedna z dwóch spraw, z którymi przyszłam, jest pilna.

— Go się stało? — spytała Lexi, prowadząc pochód do kuchni, gdzie odruchowo nalała Signe filiżankę kawy.

— W południe zjawił się u mnie detektyw Walsh z San Francisco. Zadawał dużo pytań.

Lexi gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Znasz detektywa Walsha? — Pytanie Signe skierowane było do Sharon.

— Nigdy o nim nie słyszałam — odparła Sharon, ale domyśliła się, że jego obecność ma coś wspólnego z Paulem. — Czego chciał?

Signe miała już odpowiedzieć, ale przeszkodził jej dzwonek do drzwi. Natychmiast zapadła cisza. Sharon znów wyjrzała na korytarz. — Tego mężczyzny nigdy wcześniej nie widziałam. — Westchnęła z ulgą i z gwizdem wypuściła powietrze z płuc. — Przez moment myślałam, że to Paul.

— To ten detektyw — stwierdziła Signe. — Jezu, mam nadzieję, że go tu nie sprowadziłam. — Z niepokojem zmarszczyła czoło. — Janice, nie mówiłam mu, gdzie mieszkasz.

— Musimy go wpuścić — rzekła Lexi, spoglądając w oczy Sharon.

— Detektyw Walsh jest policjantem, który badał sprawę napadu na mnie i twojego zniknięcia. Sądziłam, że Paul mógł do niego zadzwonić i poinformować, co się wydarzyło... wiesz, grać rolę porządnego i uczciwego faceta... więc zadzwoniłam do Walsha i zostawiłam informację na poczcie głosowej.

— Powiedziałaś mu, gdzie jestem? — spytała zaskoczona Sharon.

— Tak, ale nie podałam twojego adresu. Zadzwoniłam do niego po rozmowie z Signe. — Chwyciła dłoń Sharon. — Uświadomiłam sobie, że Seattle to zupełnie inna historia niż San Francisco. Jesteś tu osobą

szanowaną przez przyjaciół i sąsiadów; znaną jako spokojna, rozsądna kobieta i kochająca, poświęcająca się matka. Ponieważ twoje życie nie jest już tajemnicą, musimy pobić Paula jego własną bronią. — Nerwowo odetchnęła. — A to oznacza, że trzeba pokazać policji, kim naprawdę jest Paul i co zrobił tobie i Davidowi. To *on* jest szaleńcem, nie ty.

— Janice, Lexi ma rację. Gdybyś była niezrównoważona, jak cię Paul przedstawia, nie byłabyś w stanie rozpocząć nowego życia. — *Signe* uśmiechnęła się życzliwie. — Nie rozumiesz? Twoje życie przez ostatnie miesiące udowadnia, że Paul jest kłamcą... że jedyna możliwość, by uratować siebie i Davida, to stać się kimś innym, osobą z inną tożsamością.

— Jeśli uwierzą w to, będą musieli potraktować ulgowo drastyczne kroki, które podjęłaś — dodała Lexi.

Dzwonek u drzwi odezwał się ponownie. Były to dwa długie, bardziej natarczywe dźwięki.

— Jesteś na mnie zła? — spytała Lexi. — Wiem, że przypuszczałam, nie przekroczyłam swoje granice, ale... — Puściła Sharon. — Detektyw miał mnie na oku przez te wszystkie miesiące i choć mi tego nie powiedział wprost, wyczułam, że nienawidzi Paula.

— Ja... tylko się trochę boję. — Sharon zdobyła się na uspokajający uśmiech. — Jak zdecydowałam się skontaktować z Pauliem, wiedziałam, że rozpęta się piekło. Myślałam tylko, że trochę później.

— Musimy walczyć — stwierdziła *Signe* władczym tonem. — To jedyny sposób na takich jak Paul.

— Musimy? My? — spytała Sharon i zdała sobie sprawę, że jest najszcześniejszą kobietą na świecie, mając takie przyjaciółki jak Lexi i *Signe*.

— Janice, cały czas jesteśmy z tobą — oświadczyła *Signe*. — Nie zapominaj, że ten łobuz mi też narobił kłopotów. To on włamał się do galerii, kiedy cię tropił.

— Myślałam o tym, ale to nie ma sensu.

— Oczywiście, że ma. — *Signe* przesunęła ciężkie bransoletki, żeby mogła spojrzeć na zegarek. — On jest przebiegły. Musi perfekcyjnie zainscenizować zbrodnię, żeby mieć alibi, kiedy zginiesz. Będzie czysty... I zabierze syna do siebie.

— Sądzę, że *Signe* ma rację — rzekła Lexi, kiedy kilkakrotnie krótko znów zadzwonił dzwonek. — Mogę otworzyć? On nas widzi i zastanawia się, dlaczego się nie ruszamy.

Sharon skinęła głową.

Lexi miała już rękę na gałce, kiedy się odwróciła. — Nie przestraszcie się jego wyglądu. Wygląda raczej jak członek gangu motocyklowego, a nie policjant!

Podmuch wiatru rozwiązał jego długie włosy na brodę, kiedy wchodził z werandy na korytarz. Kropelki deszczu kapały z jego skórzanej kurtki. — Witam, Lexi — odezwał się. — Taka pogoda jest zawsze w Seattle? — Zwrócił uwagę na Signe, a potem spojrzął na Sharon. Oceniał ją wzrokiem. — Więc w końcu spotkałem się z Sharon Moore. — Jego uśmiech był rozbijający. — A może z Janice Young?

— Chyba może pan powiedzieć, że z obiema naraz — odparła Sharon. Na szczęście Lexi ją ostrzegła. Nigdy by go nie wzięła za detektywa. Tak sobie mogła wyobrazić swojego prześladowcę.

— Chyba tak — zgodził się. — Jestem detektyw Dan Walsh z policji w San Francisco.

Zapadła cisza.

Signe pierwsza ją przerwała. — Detektywie Walsh, jechał pan tutaj za mną?

Spowaźniał. — Mam adres pani Moore od dwóch dni. — Podrapał się po głowie i uniósł brwi. — Przepraszam, ale to nie jest film kryminalny w telewizji.

— Proszę to wyjaśnić — zażądała Sharon, ignorując jego komentarz. — Muszę wiedzieć, z czym mam do czynienia.

— Powiem pani, z czym może pani mieć. — Zawahał się. — Oskarżenie o porwanie dziecka i kilka innych... na przykład upozorowanie wypadku, przybranie tożsamości zmarłej osoby.

— To znaczy, że pan wiedział, gdzie jest Sharon, zanim zadzwoniłam?

— Aha. Już byłem w Seattle, kiedy dostałem pani informację.

— Ten drań. — Lexi wykrzywiła usta. — To sprawka Paula?

— Tak, ale proszę nie zapominać, że David jest jego synem.

— To nie daje mu prawa, żeby niszczyć innym życie. — Ze zdenerwowania Lexi uniosła głos. — Cholera! Nie mogę uwierzyć, że wykonuje pan za niego brudną robotę.

Ściagnął twarz. — Wykonuję swoją pracę, to wszystko. Idę po śladach i dlatego znalazłem się w Seattle. Zbieram dowody, żeby stwierdzić, co jest prawdą, a co fikcją.

— Proszę posłuchać, panie policjancie — odezwała się Signe, ruszywszy naprzód. — Nie pozwolimy, żeby pan zastraszał Janice, to znaczy Sharon. Prawo jest po to, żeby chronić ludzi, ale, do cholery, nie chroni ani Sharon, ani Davida.

— Jak powiedziałem, badam sprawę i zarzuty, które mogą być postawione.

— Ciszej. Przestańcie. — Sharon wskazała na górne piętro. — Detektywie Walsh, mój syn jest bardzo chory. Nie wie, że jego ojciec jest tutaj. Nie chcę, żeby się niepokoił.

Skinął głową. — Rozumiem. Możemy porozmawiać w innej części domu, gdzie nie będzie nas słyszał?

Zaprowadziła ich z powrotem do kuchni, gdzie Lexi i Signe wróciły na swoje miejsca. — Usiądzie pan, detektywie Walsh?

Zawahał się, a potem chwycił krzesło, wyciągnął je spod stołu i usiadł. — Dobrze — mruknął i skierował swoje słowa do Sharon. — Przypuszczam, że nie przeszkadza pani obecność przyjaciółek przy tej rozmowie.

Pokręciła głową. — Nie ma rzeczy, której nie wiedzą, ale to dopiero od kilku dni.

— Mówiąc inaczej, nie były zaangażowane w pani plan wyjazdu z San Francisco, podróży na północ, upozorowania wypadku, przyjazdu do Seattle i przybrania tożsamości innej kobiety. To chce pani powiedzieć?

— Tak, nikt poza mną nie był w to zaangażowany. Biorę za to pełną odpowiedzialność.

Wyjął notatnik i pióro z kieszeni i zapisał to, co powiedziała. Potem uniósł wzrok. — Proszę opowiadać od początku.

— Myślę, że Sharon powinna mieć adwokata, zanim coś powie — stwierdziła kategorycznie Signe.

— Signe ma rację — wtrąciła Lexi. Spojrzała detektywowi prosto w oczy. — Chce pan aresztować Sharon?

— Nie. — Założył nogę na nogę, wyraźnie nie tracił spokoju. — Jeżeli chce pani adwokata, to pani sprawa. — Przerwał. — Gdybym miał zamiar aresztować Sharon, przeczytałbym jej pouczenie o przysługujących jej prawach. Takie są przepisy. — Stuknął piórem w notatnik. — Jak powiedziałem, chcę dotrzeć do faktów i stwierdzić, jakie przestępstwa popełniono, jeżeli w ogóle prawo zostało złamane.

— A jeżeli ustali pan, że Sharon porwała swojego syna, o co oskarża ją Paul, co wtedy? — spytała Lexi.

— Będę postępował konsekwentnie.

— Ale jeżeli tylko Sharon będzie innego zdania. — Lexi zmużyła oczy. — Wiele miesięcy temu mówiłam, co Paul zrobił jej rodzinie i mnie, i nikt mi nie uwierzył. To podły człowiek, który nie spocznie, dopóki nie osiągnie celu.

— Nikt pani nie uwierzył? — Uniósł brwi, czekał.

Lexi pokręciła głową. — Ale nikt go nie powstrzymał.

— Powtórzę więc kluczowe słowo. Dowody. Bez dowodów nie może być aresztowania.

— Zatem nie może pan aresztować Sharon? — naciskała Lexi.

Znów się zawahał. — Sharon, z drugiej strony, jednak coś zrobiła — odparł wymijająco. — Co wymaga określenia dlaczego. Czy jej działania spowodowane było rzeczywistym zagrożeniem jej życia, czy może rewanżem na mężu bez względu na koszty, które poniosła ona i David.

— To propaganda Paula! — warknęła Lexi.

— W porządku — przerwała Sharon. — Co się stało, to się nie odstanie. Wiadomo, co zrobiłam. Co teraz powiem, powiedziałabym przed sądem.

Jakiś grymas — może podziwu — przebiegł przez twarz Walsh.

— Okay. Niech więc pani powie, jak udało się pani tak doskonale zniknąć.

Sharon wypięła łyk orzeźwiającej kawy — wzmocniła się kofeiną. Odstawiła filiżankę i zaczęła: od momentu, kiedy znalazła sekretne przejście Paula w ich domu, przez odzyskanie książeczki oszczędnościowej i kart kredytowych, po wypłatę pieniędzy, które i tak w połowie były jej. — Kiedy Paul pojechał na *to* spotkanie, wiedziałam, że muszę działać szybko, że może to być jedyna okazja.

— Dlaczego wybrała pani drogę nr 1? — Detektyw Walsh spojrzął znad swoich notatek. — Czy pani już wtedy planowała wypadek?

Pokręciła głową. — Wybrałam ją, bo to bardzo niebezpieczna trasa, a wyobraziłam sobie, że Paul założy, iż wyjechałam najszybszą autostradą. Chciałam na początek zyskać przewagę... Bałam się. Wiedziałam, że Paul nie zrezygnuje z prób znalezienia nas. Dlatego zaczęłam myśleć o upozorowaniu wypadku. — Spuściła wzrok. — Wiedziałam, że zginę, jak nas znajdzie, a życie Davida będzie zrujnowane, Paul będzie się na nim mścił.

— To najgorszy rodzaj znęcania się — rzekła Signe i przeszyła wzrokiem detektywa.

Sharon mówiła dalej. Wyjaśniła, jak dotarli do Seattle z pomocą duńskich turystów, jak zmieniła swoją tożsamość i zaczęła pracować u Signe. Zawahała się. — A potem znów zaczął się horror.

Detektyw Walsh wychylił się do przodu. — Kiedy?

Wyjaśniła pokrótce. — Nie wiem na pewno, że to Paul kryje się za tymi zdarzeniami w Seattle, ale przygotowywałam się do przeprowadzki. Potem David zachorował.

— Uff! — Signe położyła rękę na dłoni Sharon. — Nic o tym nie wiedziałam. Powinnaś mnie wtajemniczyć.

— Signe, nie chciałam cię angażować. — Jej głos się załamał. — A potem wyszła na jaw sprawa mojej tożsamości. Nie mogłam tego wyjaśnić lub pójść na policję bez powiedzenia wszystkiego. Bałam się, czym to się zakończy.

— Niech pani opowie wszystko o tych wypadkach w Seattle — nakazał detektyw Walsh.

Ona i Signe opowiadały na zmianę.

— Prawdziwa Janice Young zginęła dwanaście-trzydzieści lat temu? — spytał.

Sharon przytaknęła. — Wybrałam jej tożsamość, bo była podobna do mnie, jeżeli chodzi o wygląd i wykształcenie. — Rozwarła dłonie, próbując się odprężyć. Wiedziała, że w tym momencie złamała prawo. — Zaczęłam się zastanawiać, czy może ktoś naprawdę wierzy, że jestem Janice Young, która przeżyła pożar.

— Ktoś, kto chciałby, żeby pani znów zginęła? — zapytał mimochodem.

Przechyliła głowę, czuła, że może za dużo powiedziała.

Zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją detektyw Walsh. — Ostatnie pytanie, Sharon.

Wzruszyła ramionami. — Chyba niczego nie pominęłam?

Zmrużył oczy. — Czy pani jest Janice Young?

— Słucham?

Patrzył pewnym wzrokiem. — Spytałem, czy pani była Janice, zanim stała się Sharon?

— Dlaczego, do diabła, pan o to pyta? — wtrąciła ostro Lexi.

— W tych warunkach to logiczne pytanie. Janice zbyt idealnie odpowiada Sharon. — Znów spojrzał na Sharon. — Mogła pani uciec od

niebezpieczeństwa, rozpocząć nowe życie, a po wielu latach, gdy znów pani poczuła się zagrożona, wrócić do starego, teraz bezpiecznego.

— Bzdury. To nieprawda. — Zacerwieniła się ze złości. — Musiałabym być masochistką, żeby coś takiego zrobić.

— Wiem, że ma pani numer ubezpieczenia socjalnego, metrykę urodzenia i prawo jazdy na nazwisko Janice Young...

— Powiedziałam, jak to zrobiłam.

Unióśł brwi w geście, który wzięła za gest niedowierzania. — Żeby dostać metrykę urodzenia, musiała pani znać nazwisko panieńskie matki Janice. Skąd by je znała Sharon Moore?

— Zapytałam jej ciotki, Thelmy Hickman. Podała mi.

— Thelma zmarła niedawno, a jej pielęgniarka powiedziała mi, że od wielu miesięcy nie myślała racjonalnie.

— Ale jednak rozmawiała ze mną sensownie. — Sharon czuła, że ciśnienie rozsądza jej żyły.

— Chwileczkę — wtrąciła Lexi. — Znam Sharon z czasu studiów. Walsh, grubo się pan myli.

— Hm, z czasu studiów. Byłaby wtedy w wieku Janice, kiedy ona mogłaby opuścić Seattle. Znała pani jej rodziców?

— Jej rodzice już nie żyli. Sharon jest sierotą bez bliskich krewnych — ripostowała Lexi.

Sharon wstała tak szybko, że krzesło uderzyło o ścianę. — Jestem Sharon i mogę to udowodnić.

Walsh wstał, żeby stanąć z nią twarzą w twarz. Lexi i Signe też się uniosły. Spoglądały wrogo. — To dobrze, bo będzie musiała pani to udowodnić. — Przerwał. — Zatem ma pani dokumenty tożsamości, na przykład metrykę urodzenia?

— Jest wciąż w skrytce, którą dzieliłam z Pauliem. — Jej serce waliło tak mocno, że czuła się osłabiona. — Łącznie z aktem ślubu, świadectwem szkoły średniej i dyplomem z uniwersytetu... I aktami zgonu moich rodziców.

— Poczekajcie sekundę — wyrwała się Lexi. — Z kim rozmawiał pan oprócz Paula?

Szybko zamrugał powiekami. — Z każdym, kto teraz zna Janice Young.

— Z Taylorem Sampsonem? — spytała Signe.

— Między innymi. — Detektyw unikał jednoznacznego postawienia sprawy.

Sharon udało się zebrać w sobie i spojrzeć mu prosto w oczy. — Nie kłamię, kim jestem. Wszystko mogę udowodnić od chwili urodzenia. — Przerwała. — A dentysta, który leczył mi zęby, kiedy byłam dzieckiem? Moje dawne karty dentystyczne mogą być porównane z obecną.

— Być może. Paul powiedział mi, że nie widział żadnych pani dokumentów. — Detektyw Walsh podszedł do drzwi na korytarz i odwrócił się, by stanąć przed Sharon. — Nie może pani liczyć, że Paul potwierdzi pani przeszłość. Cokolwiek było w pani skrytce, znikło.

Powietrze uszło jej z płuc. Chwyliła się oparcia krzesła, by się podtrzymać. Jeżeli detektyw Walsh znalazł tak dużo o Janice Young w ciągu dwóch dni, to Paul też mógł się wiele dowiedzieć. Użyje jednak tych informacji, by ją zniszczyć, a nie pomóc.

— Ale mogę to odtworzyć — rzekła słabym głosem. — Fakt, że Paul jest w Seattle i próbuje mnie zdyskredytować, nie zmienia tego, co się wydarzyło, co nam zrobił. — Drżał jej głos. — Nie oddam mu dziecka. Prędzej umrę.

— Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne. — Dużym krokiem podszedł do frontowych drzwi. Zachmurzył kanciastą twarz. — Sharon, przedstawiam tylko najgorszy scenariusz, bo pani mąż wie tyle co ja o Janice Young. — Zasunął kurtkę. — Nie jestem przeciwko pani. Może pani w to wierzyć albo nie. Ja chce tylko, żeby pani była przygotowana.

— Doceniam to — rzekła. — Ale nie posunę się tak daleko, żeby podziękować.

— Rozumiem. — Złapał za gałkę u drzwi. — Tylko proszę się mieć na baczności teraz, kiedy Paul jest w Seattle.

Zanim otworzył drzwi, na górze schodów rozległ się hałas. Sharon spojrzała tam i zobaczyła Davida. Jego zbolwały wyraz twarzy mówił, że słyszał to, co przed chwilą mówiono na korytarzu.

— Mój... tata... jest tutaj? — To jego pytanie rozdepto się niczym mocno nadmuchany balon. Łzy napłynęły mu do ciemnych oczu, tak dużych, że blada twarz wydawała się mniejsza. — Mamo, ja nie chcę wracać do San Francisco. Nie chcę się widzieć z tatą. Będzie jeszcze bardziej wściekły niż przedtem. Ukarze nas, że odjechalśmy. — Jego łysa głowa podskakiwała, kiedy zaczął żałośnie płakać. — Mamo, chcę nadal bawić się w udawanie w Seattle. Proszę.

— O Boże. David nie może się denerwować! — Sharon ruszyła po schodach.

Stojący za nią detektyw Walsh wyglądał na przestraszonego, Lexi i Signe jedynie na zaniepokojone. One już przeżyły szok związany z widokiem łysej głowy Davida.

— W ten sposób David odbiera swojego ojca — wyjaśniła spokojnie Lexi. — Panicznie się go boi. — Stanęła twarzą w twarz z detektywem. — Czy to niczego nie dowodzi?

— Sharon jest jedną z najlepszych matek, jakie znam — dodała Signe. — Biorąc nawet pod uwagę moje córki. Ona na pewno chciałaby, żeby jej syn miał dobre stosunki z ojcem. — Ze złością wciągnęła powietrze. — Czy ma pan pojęcie, z czego zrezygnowała, żeby chronić swojego syna? Jak pan może... jak prawo może pozwolić, żeby ten mężczyzna terroryzował całą rodzinę i uszło mu to bezkarnie.

Detektyw Walsh nie odpowiedział. Patrzył jedynie na górę schodów, gdzie znikła Sharon, jakby ten mały słabowity chłopiec bardziej go przekonał niż te trzy kobiety razem wzięte.

Proszę założyć płaszcz — zwrócił się Walsh do Sharon, kiedy wróciła na dół po uspokojeniu Davida. W tym momencie on i Pete grali w jego ulubioną grę „Zjeżdżalnie i drabiny”.

— Co... co chce pan zrobić?

Walsh spojrział na Lexi. — Może pani tutaj przez chwilę popilnować? Zabieram Sharon do sądu.

— Nie może pan tego zrobić. — Signe stanęła między nim a Sharon. — Czy pan zwariował? Zabranie Sharon zabije Davida!

Uniósł dłoń i uciszył je wszystkie. — Nie aresztuję Sharon. Dopilnuję, żeby dostała nakaz sądowy zabraniający Paulowi kontaktów z nią i Davidem. — Zerknął na górę. — Dla dobra Davida. Panicznie boi się swojego ojca. — Zaczął mówić surowym tonem. — Żaden opiekuńczy ojciec nie doprowadziłby dziecka do takiego stanu.

— Dzięki Bogu — rzekła Lexi. — Zaopiekuję się wszystkim, dopóki nie wróciacie.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo... — zaczęła Sharon.

— Zapomnij o podziękowaniach — przerwała jej. — Jeszcze nie wiem, jak to wszystko się zakończy, ale wiem, że Davidowi nie są potrzebne dodatkowe zmartwienia. I tak dużo wycierpiał jak na małe dziecko.

Signe włożyła kurtkę. — Ja też muszę iść.

Przy drzwiach Sharon się zatrzymała, przypomniała sobie, że Signe mówiła o dwóch sprawach, z którymi przyszła. Przypomniała jej o tym, a Signe pokręciła głową.

— Och, zapomniałam.

— Mów, o co chodzi.

Signe założyła pasek torebki na ramię. — No cóż. — Słysząc było, że się waha. — Ponieważ jest u ciebie Lexi, a David jutro będzie w domu, chciałabym cię prosić, żebyś rano przyszła na kilka godzin do pracy. Ja mam spotkanie w muzeum, a córka nie może przyjść.

Sharon spojrzała na Lexi. — Nie masz nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie. Po to tutaj jestem.

Detektyw Walsh spojrzał na zegarek. — Hm, musimy iść. Biuro prokuratora pracuje chyba do piątej.

Kilka minut później jechali jego samochodem do sądu hrabstwa King. Odczuła nagle wdzięczność, że to on zajmuje się sprawą. Może nie wyglądał na typowego detektywa zajmującego się morderstwami, ale był władczy niczym generał.

Otaczała go też aura wyjątkowej uczciwości.

Paul wyglądał przez hotelowe okno, przypatrywał się miastu poniżej. Nienawidził szarości Seattle, ciągłego deszczu, który padał cały dzień, i myśli, że jego syn tutaj mieszka. Jak dotąd nie był w stanie wiele zrobić. Na działania prawne potrzeba czasu.

Niespokojny wrócił w głąb pokoju. Musiał czekać, aż pojutrze będzie mógł zobaczyć Davida w szpitalu. Sharon nie mogła go powstrzymać, jego adwokat przynajmniej to załatwił.

Myśl o niej napełniła go wściekłością. Ona go upokarzała. Niczego bardziej nie pragnął niż tego, by znikła z powierzchni ziemi.

Musisz być cierpliwy, napomniał się. Kiedy zgodnie z prawem odzyskasz Davida, nikt już nie uwierzy Sharon. Będą wiedzieć, że miałaś rację, że ona była matką niezdolną do pełnienia obowiązków rodzicielskich, nieznównoważoną... mającą myśli samobójcze.

A potem wykona swój ruch.

A jeśli nie odzyska syna? — zapytał słaby głos z podświadomości. Jeśli ona zwycięży?

Kopnął materac, jego gniew był tak ogromny, że przyprawiał go o mdłości. Pobiegł do łazienki i zwymiotował. Chwilę później umył ręce. Patrzył, jak woda napełnia zlew, wspominał.

Wiedział, że nie może czekać. Uczucie, które przepłynęło przez niego falami, było nie do przeczygnięcia. Wyszedł z pokoju do swojego wynajętego samochodu. Wiedział, gdzie ma jechać.

Mężczyzna jechał w pewnej odległości, w ostatniej chwili przejeżdżał na światłach, trzymając się z tyłu w bezpiecznej odległości, żeby nikt go nie rozpoznał. Detektyw zaparkował na ulicy i w towarzystwie kobiety skierował się do budynku sądu hrabstwa King.

Mężczyzna okrążył blok i zaparkował w pewnej odległości od samochodu Walsh. Poznał, że pojazd został pożyczony od policji w Seattle — była to zawodowa uprzejmość. Wyszedł na chodnik, kupił gazetę, a potem oparł się o budynek, szeroko otworzył gazetę przed sobą, jakby był jednym z czekających na autobus w tłumie ludzi, którzy właśnie wyszli z pracy.

Minęło czterdzieści pięć minut. Gdyby nie samochód detektywa wciąż parkujący na ulicy, pomyślałby, że w jakiś sposób stracił z nimi kontakt. Prawie na niego wpadli, zanim ich zauważył.

Cholera! Czy go widzieli? Szerzej rozłożył strony gazety, ukrył się za nimi. Wymyślał wyjaśnienie; czekał na kogoś, był zirytowany, bo oni się spóźniali. Wjego umyśle krążyły różne tłumaczenia, kiedy się do niego zbliżali.

— Nie mogę uwierzyć, że poradził sobie pan z tą całą biurokracją i dostał... — Odwróciła się i nie usłyszała zakończenia zdania.

— Proszę nie zapominać, że ja też jestem policjantem — odparł bez zająknięcia. — To, że nie jestem gliną z Seattle, nie oznacza... — Jego słowa znikły wśród innych głosów i hałasu ruchu ulicznego.

Obserwował, jak wrócili do samochodu i włączyli się do ruchu. Znow zastonił się gazetą.

Co dostał? — zastanawiał się. Ona wyglądała na zadowoloną. Suka. Doprowadziła do punktu krytycznego. Teraz nie ma odwrotu. Ona przygotowała scenę, a on ma wskazówki.

Rozdział 35

Pukanie do drzwi wystraszyło Paula. Wskoczył z łóżka, gdzie czytał poranną gazetę, i podszedł do drzwi. — Cholerne pokójówki — mruk-

nał. — Za dwieście dolarów za dobę mogę chyba wymagać, żeby nie sprzątały zbyt wcześnie...

Nie kłopotał się i nie spojrzął przez judasza, tylko gwałtownie otworzył drzwi. Obiecywał sobie, że złoży skargę w recepcji. W pierwszym momencie, kiedy zobaczył wysokiego chudego mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym, pomyślał, że to pomyłka.

Zapadła cisza.

— Chyba trafił pan do złego pokoju. — Ton w głosie Paula zdradzał poirytowanie.

— Pan Paul Moore? — Mężczyzna był rzeczowy.

Paul przytaknął.

— Mam coś dla pana.

Dopiero teraz Paul zauważył dużą kopertę w jego ręku. Mężczyzna podał mu ją, przekrzywił głowę, a potem odwrócił się i ruszył do windy. Paul zamknął drzwi i podszedł do łóżka. Usiadł na nim. Rozerwał pieczęć na kopercie i wyciągnął ze środka dokument.

Nakaz sądowy!

Słowa te podziały jak uderzenie młotem. To niemożliwe. Nakaz zobowiązywał go do trzymania się z daleka od Sharon... I Davida, bo w przeciwnym razie grozi mu areszt.

Nie mógł nawet spotkać się z Davidem w szpitalu!

Zadzwoił do swojego adwokata, ale odebrała automatyczna sekretarka. Nikogo nie będzie w biurze aż do południa. Odłożył słuchawkę, nie zostawiając żadnej informacji.

Pieprzona cipa! Nieposłuszna suka! To po raz ostatni Sharon go upokorzyła.

Sharon była podbudowana, kiedy jechała garbusem stromymi wzgórzami w kierunku Seattle. Dzięki Walshowi dostała nakaz sądowy. Choć Paul mógł kontratakować na drodze prawnej, od wielu lat nie czuła się tak wolna od niego. Szkoda, że nie знаła detektywa Walsh, kiedy mieszkała w San Francisco...

Zaparkowała dwie ulice od placu Pioniera, a potem pospieszyła w pochmurny poranek do galerii. Nie chciała myśleć o innych zarzutach, o których wspominał detektyw Walsh. Złamała prawo, kiedy upozorowała wypadek na wybrzeżu Oregonu. Jasno dał jej do zrozumienia, że może zostać aresztowana. Już umówiła więc spotkanie z prawnikiem Signe na dzisiaj popołudnie.

Miała nadzieję, że prawnik pomoże wyjaśnić tę całą zagmatwaną sytuację. Nikt nie został ranny w tym wypadku, a zniszczona została tylko jej własność. Według detektywa Walsh'a miała szczęście, że rzeczoznawca towarzystwa ubezpieczeniowego nie działał pośpiesznie. Chuck Frome uparcie odmawiał Paulowi wypłaty z polisy ubezpieczenia na życie. Nie mógł jej autoryzować, dopóki nie zakończą się wszystkie procedury przewidziane przez towarzystwo.

Jednak nie mogła rozpamiętywać kwestii prawnych; zdrowie jej dziecka miało pierwszeństwo. Nic innego się nie liczyło, tylko to, żeby David wyzdrowiał.

Sharon otworzyła drzwi, wślizgnęła się do środka, a potem zarygłowała je za sobą. Pozostała jeszcze godzina do otwarcia galerii, cisza pokójki wystawowego przyłaczała ją. Była niepewna, rozglądała się, czy na pewno tutaj nikogo nie ma.

Kogo się spodziewała... straszyla? — zadała sobie pytanie. Jej umysł bezwiednie podsunął rozwiązanie. Paula? Może to jedno i to samo...?

Odłożyła swoje rzeczy i przesłuchiwała wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Przez następne pół godziny odpowiadała na nie. Signe zostawiła instrukcję, żeby zapakowała dwa obrazy, które zostaną wysłane w południe, jeden do Kalifornii, drugi do Francji, ale zapomniała przynieść skrzynek z piwnicy.

Sharon odłożyła słuchawkę i się zawahała. Wpatrywała się w zabezpieczone drzwi do piwnicy. Niemal czuła, jak ta zimna i wilgotna przeszeń napiera na barierę, która oddzielała pokój od ciemności.

Wybujała wyobraźnia — pomyślała, usiłując być racjonalna. Położyła rękę na gałce, kiedy usłyszała słaby odgłos, jakby ktoś postawił nogę na skrzypiących schodach. Mijały długie sekundy. Czekwała, wycęzała wszystkie zmysły. Nie była w stanie odsunąć zasuw.

Czy ktoś... albo coś... było po drugiej stronie? Cofnęła się, spodziewała się nawet, że drzwi nagle się otworzą i ukaże się... Kto? Co? Coś nieludzkiego, co wydostało się z labiryntu pod placem Pioniera?

Nie muszą jeszcze tego robić, powiedziała sobie. Najpierw kawa. Chwyciła torebkę i pospieszyła do kawiarenki na rogu.

Zaczęło się wypogadzać. Jaskrawe światło słoneczne rozproszyło mgłę i oświetliło omyte deszczem niebo. Znad zatoki napływało orzeźwiający słońce powietrze. Jego aromat przypominał o odległych zaśnie-

zonych szczytach i o Oceanie Spokojnym. W tej wspianiałej chwili lęki Sharon oddaliły się.

— Dużą kawę Americano — powiedziała do mężczyzny stojącego za ladą. Uśmiechnęła się, kiedy powtórzył: — Podwójną czarną dla pięknej brunetki na powitanie dnia.

— I jedną dla przystojnego... uhm... rudawego mężczyzny, który jest z nią.

Odwrociła się i omal nie wpadła na Taylora, który stał bezpośrednio za nią. — Taylor — wykrztusiła, zakłopotana jego bliskością i tym, jak atrakcyjnie wyglądał w czarnym stroju do biegania. — Wyłoniłeś się z mgły, czy jak?

Uniósł brwi. — Jak jakiś Amerykanin w Brigadoon?

— Nie sędzę. To nie jest szkocki krajobraz.

— Pozwolę się nie zgodzić. — Jego oczy rozblęły. — Jak nazwałabyś zagubioną miłość, która wróciła do twojego życia wiele lat po tym, jak rozplynęła się we mgłę?

— Nazwałabym to baśnią.

— Naprawdę?

Ucichli oboje.

— Dwie podwójne Americano — obwieścił właściciel kawiarni, stawiając wysokie papierowe kubki przed Sharon. Natychmiast wyciągnęła banknot pięciodolarowy z torebki i podała go mężczyźnie.

— Ja stawiam — rzekł Taylor i delikatnie cofnął jej rękę. — Zamiast tego dał mężczyźnie kilka jednodolarówek. — Reszty nie trzeba — zwrócił się do niego.

Przesunęli się, by zrobić miejsce innemu klientowi. — Dziękuję — odezwała się do Taylora.

— Świetnie, że się z tobą spotkałem. — Wskazał na wolny stolik. — Usiądziemy na chwilę?

Spojrzała na zegarek i pokręciła głową. — Muszę iść. Za piętnaście minut otwieram galerię.

— Może zjemy wspólnie lunch?

Pokręciła głową, zastanawiała się, dlaczego w ogóle to proponuje. Wiedziała, że ma wątpliwości, kim ona jest i że rozmawiał z detektywem Walshem. Starannie unikał szczegółów tej rozmowy. Czy to przypadek, że zjawił się w kawiarni zaraz po niej?

Zapytała o Davida i po krótkiej pogawędce zabrała kawę do galerii. Popijała ją, gdy wykonywała drobne czynności związane z otwarciem

galerii. No już idź, powiedziała sobie, kiedy skończyła. Nie zwlekaj z zapakowaniem tych obrazów. Boisz się po prostu zejść do tego straszego Jochu.

Jej odwaga stopniała, kiedy stanęła przed drzwiami do piwnicy. Wjej myślach pojawiły się obrazy z ostatniej wizyty w magazynie: stęchły zapach, brud nagromadzony przez sto lat... I szczury.

Ale już wiesz, gdzie są skrzynki, przekonywała się. Możesz zostawić drzwi otwarte, włączyć światło, zejść po schodach, chwycić, co potrzebujesz, a potem wrócić na górę w ciągu sześćdziesięciu sekund.

Stała niepewna w bezruchu.

Weź się w garść. Nie boisz się ciemności. Wielokrotnie stawałaś w groźniejszej sytuacji — przypomnij sobie o Paulu, o twoim prześladowcy, o tym, że omal nie zjechałaś w przepaść... Dzwonek telefonu był pożądanym przerywnikiem.

— Halo — odezwała się.

— Cześć, Sharon — rzuciła Lexi. — Chciałam się tylko upewnić, czy wszystko jest w porządku.

— Tak. — Przełożyła telefon do drugiego ucha, wciąż patrzyła na drzwi do piwnicy. — Wrócę do domu, jak tylko się spotkam z prawnikiem Signe.

— Dlatego właśnie dzwonię. Żeby się upewnić, czy nie zmieniłaś zamiaru. — Przerwała. — Kilka minut temu rozmawiałam z Walshem. Choć nie powiedział tego wprost, domyśliłam się, że nie aresztowano cię za upozorowanie wypadku jedynie dzięki jego interwencji. On jest po naszej stronie. W ten sposób dał ci trochę czasu, by prawnik mógł się zająć sprawą.

— Doszłam do takiego samego wniosku. On również myśli o Davi-dzie.

— Tak. To bardzo porządny gliniarz.

Rozmawiały jeszcze chwilę i Sharon zadowolona, że David dobrze się czuje bez niej, odłożyła słuchawkę.

Znów podeszła do drzwi do piwnicy. I znów się ociągała z ich otwarciem. Miej to za sobą, powiedziała w myślach. Tam nikogo nie może być. Tam nie ma drugiego wejścia.

„Ludzie powinni słuchać swojej intuicji.” Słowa psychologa, którego słyszała w programie telewizyjnym, nagle rozdzwoniły się w jej głowie. „Pierwotny człowiek mógł przeżyć, bo instynktownie wyczuwał niebezpieczeństwo.”

Pokręciła głową, próbowała myśleć pozytywnie. To było proste; po prostu musiała to zrobić. Nie czekała na kolejną falę niepokoju, tylko gwałtownie otworzyła drzwi i trzepnęła w wyłącznik. Ciemność pod nią nagle rozplynęła się w szare cienie na czarnym tle, oświetlona przez słabą żarówkę wiszącą na sznurze u sufitu.

Sharon ruszyła po schodach w dół. Przyciskała bawełnianą spódnicę do nóg, by nie ocierać nią o brudną ścianę. Drewniana poręcz omal się nie złamała, kiedy przytrzymała się niej drugą ręką. Wcale się nie boisz, monotonnie powtarzała za każdym krokiem w dół.

Zatrzymała się na dole schodów, wzrokiem omiatała piwnicę: ściany z cegły, rdzewiejący zlew, który wisiał na drewnianym przepierzeniu, półki i pudełka zagracoane całe pomieszczenie.

Rozległ się hałas.

Wyteżyła słuch. Tam! Znow go usłyszała, pluśnięcie albo kłapinięcie... może odgłos kapiącej wody? Jej wzrok powędrował do zlewu, obserwowała, jak na końcu kranu tworzą się krople i spadają na brudny metal.

Skup uwagę, nakazała sobie.

Drabina była dokładnie tam, gdzie ją zostawiła. Stała oparta o półki. Sharon przesuwiała się po podłodze posuwistym krokiem, nie chciała robić niepotrzebnego hałasu. Nieruchome powietrze zawirowało wokół niej, a potem się uspokoiło poruszone jedynie jej przejściem. Szybko weszła po szczeblach, wzięła to, co potrzebowała, i zeszła. Pod ramieniem niosła płaskie skrzynki.

Obrzydliwy zapach wywołał skurcz w jej gardle. Mimowolnie zakaśłała, zdała sobie nagle sprawę, że w powietrzu pojawiła się dodatkowo woń. Czy ktoś rozlał terpentynę albo rozcieńczalnik do farb... jakąś substancję, którą Signe używała w galerii? Sharon zanotowała w pamięci, by powiedzieć Signe o zapachu.

Na górze schodów zatrzasnęły się drzwi.

Szybko uniosła wzrok i spostrzegła męczyznę na schodach. Zadrżała i wypuściła skrzynki, które z trzaskiem upadły na podłogę. Nogi załamałyby się pod nią, ale chwyciła się półek, by się podtrzymać.

— Paul! — Słowo, które się jej wyrwało, zdawało się rozplynąć w ciemnościach otaczających światło z żarówki.

Podszedł wprost do niej, jego ładną twarz wykrzywił grymas, który z trudem rozpoznawała. Jego zamiar był jasny. Rozglądała się, szukała drogi ucieczki. Nie było żadnej, tylko drzwi za nim.

— Dobrze wiesz, że nigdy nie pozwoliłbym ci się wymknąć po takiej zdradzie. — Jego głos drżał z tłumionej wściekłości, potrzeby zemsty. Ale było jeszcze coś — ukryta euforia.

Perspektywa morderstwa podniecała go.

Sharon wbiegła za sterłą pudełek. Próbował ją chwycić, ale odskoczyła w bok. Zamienili się miejscami, pudełka wciąż ich rozdzielały.

— Jak coś mi się stanie, będą wiedzieli, że to ty.

Nie rozpoznała jego szorstkiego śmiechu. — W jaki sposób?

— Tym razem nie masz alibi.

Jego oczy błyszczały w świetle żarówki wiszącej bezpośrednio nad nimi. Cmoknął językiem. — Tak szybko o mnie zapomniłaś, moja kochana? Jestem bardzo skrupulatny, nie pamiętasz? — Zaczął obchodzić pudełka, ona też się przesuwała. — Właśnie teraz w pokoju hotelowym czekam na ważny telefon od mojego adwokata i oglądam dwugodzinny płatny film w telewizji. Na drzwiach wisi kartka NIE PRZESZKADZĄĆ. Oczywiście powiedziałem w portierni, żeby natychmiast przełączyli rozmowę, o której wiem, że odbędzie się dopiero wcześniej po południu.

— Signe będzie tutaj w każdej chwili. — Z wściekłością wciągnęła powietrze. — Nie wydostaniesz się stąd, żeby cię nie zobaczyła.

— Dobra próba. — Potrząsnął głową. — Nie słuchałaś wiadomości od twojej szefowej na automatycznej sekretarce?

Nie okazuj strachu, nakazała sobie. Zachowaj rozsądek... I odległość od niego. Musisz się stąd wydostać. Dla Davida.

— To stara wiadomość.

— Nie sądzę. Siedzę telefony do niej od kilku dni. Sprawdziłem w muzeum. Spotkanie potrwa do południa lub trochę dłużej. Jak powiedziała w informacji, będzie tu przed pierwszą.

Już po raz drugi prawie zamienili się miejscami wokół pudełek. Jeszcze krok i mogłaby pobiec na schody. Nie spoglądaj nawet na nie, pomyślała. Zaskoczenie jest twoją jedyną szansą.

— Poza tym zamknąłem drzwi wejściowe. — Bawiła go zabawa w kotka i myszkę. — Nie zrobię żadnego błędu. Nie uciekniesz, Sharon. A może powinienem powiedzieć Janice. — Parsknął śmiechem. — Wplątałaś się w sieć kłamstw, prawda? Chyba nie jestem jedynym, który pragnie twojej śmierci?

Musiła skłonić go, by mówił dalej. — Paul, zamordowani ludzie krwawią. Nie będziesz w stanie usunąć krwi, jak mnie zabijesz.

— Obiecuję, że nie będzie żadnej krwi. — Wyczuła, że przygotowuje się, by się na nią rzucić.

Adrenalina przepłynęła przez jej ciało, kiedy nagle obróciła się i wbiegła na schody. Była prawie na samym ich szczycie, gdy ją złapał i przyciągnął do siebie.

— Puść mnie! — wrzasnęła, walcząc z jego bolesnym uściskiem. — Pomyśl o Davidzie... jego chorobie... O tym, że wyrządzisz krzywdę jego matce!

— Krzywdę? — Wyszeptane pytanie gorącą falą omyło jej policzek, było niczym pieszczota. — A może zabije?

— Oszalały drań! — Sapiąc i dysząc, kopała go w nogi i wykręcała się. Popękały guziki z przodu sukienki i urwał się rękaw. Wiedziała, że walczy o życie. Uderzył ją w żołądek. Straciła oddech i opadła mu w ramionach. Czuła, że ciągnie ją z powrotem do piwnicy. Próbowwała walczyć. Stłumił jej krzyk, zaciskając dłoń na ustach.

— Nie posłuchałaś.

Szybko oddychał, kiedy ciągnął ją po podłodze. Gdy przycisnął w dół jej głowę, poczuła chłodny metal na szyi... A na udach pobudzone genitalia. Usłyszawszy odgłos wody wypływającej z kranu, wszystko zrozumiała. Próbował ją utopić w zlewie — ten sam rytuał, jak wtedy, gdy usiłował zamordować Lexi.

Była niezdolna, by się uwolnić. Poczowała, jak woda podchodzi do jej podbródka. Kopnęła do tyłu. Skrzywił się z bólu, gdy uderzyła go w kość.

— Suka! Nie rzucaj się!

Oderwał rękę od jej ust i chwycił za włosy. Szarpnął. Jej krzyk został stłumiony przez odgłos silnego strumienia smakującej rdzą wody.

Opuściły ją siły. Szara kurtyna odcięła jej zdrowy rozsądek. Wydawało się, że ciało odłączyło się od mózgu.

Nagle puścił ją. Rzuciła się do przodu tak szybko, że otarła twarz o spód zlewu. Z bólu wyprostowała się, dusiła się, z trudem łapała powietrze. Cofnęła się chwiejnym krokiem i upadła na kolana. Była oszołomiona, woda przesłaniała oczy, mokre kosmyki włosów spływały po twarzy. Próbowwała zorientować się, co się stało.

Po omacku szukała jakiejś podpórki, by się podnieść na nogi. Zamiast tego wyczuła Paula. Leżał na boku w pozycji embrionalnej. Nie mogła tego zrozumieć. Nie wiedziała, co się wydarzyło.

Nieważne, usłyszała wewnętrzny głos. Wynoś się stąd. Biegnij! Biegnij! Dopóki możesz!

Z trudem wstała na nogi. Wpatrywała się w schody, mrugała oczami, by lepiej widzieć. Rozległo się szuranie, jakby ktoś się do niej zbliżał. Szybko odwróciła głowę w bok. Z cienia wyłonił się mężczyzna. Trzymał coś w ręku... cegłę? Nic dziwnego, że go nie widziałam, pomyślała bezsensownie. Był ubrany na czarno.

Jęk, który rozległ się na podłodze, przyciągnął jej wzrok do Paula. Teraz zobaczyła krew sączącą się z rany na jego głowie. Sharon mimowolnie zrobiła krok do tyłu. Spojrzała na mężczyznę, wyęczała wzrok, by mu się wyraźnie przyjrzeć. Był w cieniu, ale jego postawa mówiła, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Jak się tutaj dostał? — zastanawiała się, oceniając odległość do schodów. Drzwi do galerii były zamknięte, a po Paulu nikt nie schodził po schodach.

— Kim jesteś? — Jej słowa wibrowały w nieruchomym powietrzu. Wynoś się z piwnicy, powiedziała sobie, odsuwając się od Paula i zlewu, do którego ciągle lała się woda. Czy tylko chwila minęła od momentu, kiedy chciał ją utopić?

Paul. Znowu spojrzała na niego. Umierał czy odzyskiwał świadomość? Maciło się jej w głowie. Do diabła, wbiegnij na te schody. Uciekaj od tego koszmaru.

Czarna postać odrzuciła cegłę. Potem zobaczyła aktówkę, jej otwarte wieko opierało się o słupek. Obok leżał płaski kanister. Od razu zrozumiała, czym spowodowany był ostry zapach.

— Janice, przestań gadać pierdoły. Wiesz, kim jestem. — Jego głos był chrapliwy, niski i znajomy. *Głos z telefonu!*

Oddech uwiązał jej w gardle. Wrzasnęła. Jej serce zaczęło bić gwałtownie, nieregularnie. Zawirowało jej w głowie.

Tylko nie zasłabnij, nakazała sobie. Po prostu wbiegnij po tych schodach. Pozostawał w cieniu i nie mogła rozpoznać jego twarzy, a nie było czasu do stracenia.

Odgał jej ruch. Zapalniczka w jego dłoni rozbłysła płomieniem. — Twój mąż zrobił to doskonale. Sam lepiej bym nie zaplanował twojej śmierci. — Parsknął śmiechem. — I on zostanie oskarżony, nie ja.

Rzuciła się w kierunku schodów.

Mężczyzna pochylił się i płomieniem zapalniczki dotknął zalanej benzyną podłogi. Buchnął słup ognia i rozprzestrzenił się po podłodze

z prędkością światła. W jednej chwili ściana ognia oddzieliła Sharon od obu mężczyzn... I od schodów.

Była odcięta.

Pożar dotarł szybko do pudełek i różnych materiałów. Za płomieniami i kłębiącym się dymem dojrzała mężczyznę opartego o przeciwległą ścianę, który obserwował, upewniał się, że ona nie ucieknie. Zobaczyła, że Paul próbuje się podnieść, ale po chwili znów upadł. A potem już za płomieniami nie mogła zobaczyć żadnego z nich.

Kasłała i dusiła się od gryzącego dymu. Przypadła do podłogi, gdzie powietrze było czystsze, i chwyciła oddech. Oszalała, spojrzała nagle na drabinę, która wciąż stała oparta o półki... I przypomniała sobie o oknie. Już znikło za gęstniejącymi oparami, które w każdej chwili mogły zamienić się w kule ognia.

Masz tylko kilka sekund, powiedziała sobie, tłumiąc panikę. Teraz. Okno jest twoją jedyną szansą.

Była jak zwierzę zaprogramowane, żeby przeżyć. Oderwała rozdarty rękaw sukienki i owinęła wilgotnym materiałem twarz, by łatwiej oddychać.

Kiedy gramoliła się po szczeblach, oddychała płytko, żeby dym nie dostawał się jej do płuc. Brakowało jej powietrza. Gryzło ją w gardło i oczy, a żar palił skórę, jakby żywcem pieczono ją na ogniu. Huk płomieni ogłuszał ją; nigdy nie zapomni tego przeraźliwego hałasu. Potem palcami wyczuła szkło.

Wyrwała przegniłe listwy i użyła ich, by wybić szyby z ram. Świeże powietrze omyło jej twarz z nadzieją życia, ale podmuch powietrza zassał też płomień w kierunku otworu. Musiała natychmiast wydostać się na zewnątrz.

Ostatnim wysiłkiem Sharon rzuciła się przez okno, kopiąc nogami, odpychała się od półek. Przez chwilę leżała na parapecie, a potem wypadła na brukowaną alejkę. Odczołgała się od dymu kłębiącego się za nią.

Teraz, kiedy znalazła się na zewnątrz, nie mogła złapać powietrza. Niebo pociemniało, gdy uniosła głowę, by wołać o pomoc. Przed oczami miała mgłę. Wszystko się zacierało.

U wylotu alejki, pół przecznicy dalej, pojawiła się sylwetka mężczyzny — mężczyzny w czerni. Ruszył w jej kierunku, ale odgłos syren zatrzymał go. Odwrócił się i uciekł.

Opuściła głowę. Przypomniła sobie, że wcześniej Taylor ubrany był na czarno.

A potem jej umysł też wypełnił mrok.

Rozdział 36

Wydostała się...!

Zatrzymał się u wylotu alejki, nie był w stanie uwierzyć w to, co widział: skuloną postać przy oknie. Czarny dym wydobywał się z piwnicy i kłębił się między budynkami, okalającymi wąskie przejście, gdzie leżała.

Może nie żyje, pomyślał z nadzieją. A może tylko straciła przytomność. W każdym razie musiał się upewnić. Teraz wiedziała, kim jest. Albo on, albo ona.

Potem zobaczył, że unosi głowę. *Żyje!*

Ruszył alejką, ale zatrzymały go zbliżające się odgłosy syren. Wozy strażackie. Jak to możliwe? Kto je wezwał tak szybko? Nie panikuj, powiedział sobie. To może być jakiś inny pożar.

Ale nie był. Wóz policyjny zatrzymał się przy drugim wylocie z alejki, wysiadło z niego dwóch policjantów. Odwrócił się i uciekł, miał nadzieję, że go nie zobaczyli. Na ulicy skierował się do swojego samochodu. Ta pieprzona suka znów go pokonała.

Już miał przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy pomyślał, że to na nic. Ona opowie wszystko policjantom i szybko go odszukają. Musiał pomyśleć, zastanowić się nad sposobem działania.

Nie było żadnego wyboru. Zniszczyła mu życie. Wysiadł z samochodu. Zanim go znajdą, zabije ją. Życie za życie, powiedział sobie. To jedyna kara za to, co mu zrobiła.

Sharon, wciąż roztrzęsiona, w podartym ubraniu, siedziała na końcu stołu do badań i czekała na lekarza, by ją zwolnił. Sanitariusze podali jej tlen, potem została zawieziona ambulansem na oddział pomocy doraźnej, gdzie pielęgniarka zmyła jej popiół i brud z twarzy. Potem przyjrzała się jej od stóp do głów. Stwierdziła, że poza zadrapaniami, sińcami, szokiem i lekkim zatruciem dymem nic jej nie jest.

Miała szczęście, że przeżyła. Nie zgodziła się wziąć valium na uspokojenie, dlatego lekarz trzymał ją trochę dłużej — chciał się przekonać,

że doszła do siebie. Nie odważyła się wziąć środka uspokajającego, bo wciąż groziło jej niebezpieczeństwo i musiała mieć jasny umysł.

— Hm, mogę wejść? — zapytał męski głos zza wpółotwartych drzwi.

— Proszę — odparła. Usiłowała ukryć swoje zdenerwowanie, myśląc, że to lekarz. Musiała wrócić do domu do Davida i Lexi. Nie mogła sobie pozwolić na rozmyślania. Chociaż nienawidziła Paula, to śmierć w płomieniach jest okropnym rodzajem umierania... jeżeli on rzeczywiście zginął.

Do pokoju wszedł mężczyzna. — Jestem detektyw Al Ivarsen z wydziału zabójstw policji w Seattle — przedstawił się. Coś w jego skrytym wyrazie twarzy było niepokojącego.

— Zabójstw?

Przytaknął.

— Zatem Paul... Och, Boże!

Oczy Sharon napełniły się łzami. Był człowiekiem, w którym się zakochała, wyszła za niego za mąż, dała mu syna. Był wysokim, charyzmatycznym mężczyzną, który zalecał się do niej, przynosząc kwiaty i słodycze. Mówił jej, że jest najbardziej idealną kobietą na świecie, że zawsze będzie ją otaczał czułą opieką. Wciągnęła w płuca haust powietrza, na chwilę zapomniała, jakim nietolerancyjnym nadzorcą się stał, bezwzględnym perfekcjonistą... potworem, który planował jej śmierć.

— Nie żyje.

Detektyw Ivarsen czekał, aż zbierze się w sobie. Siedział na krześle obok. — Może pani powiedzieć, co się wydarzyło w piwnicy? — spytał łagodnie. — Policjanci mówili, że pani mąż usiłował panią zabić, ale to ktoś trzeci podłożył ogień.

Skinęła głową. — To prawda.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo wtedy dołączył do nich detektyw Walsh. Przywitał się z Ivarsenem i usiadł przy oknie.

— Moje uprawnienia w stosunku do pani Moore są zaprotokołowane w wydziale. Możesz zadawać pytania, ja będę tylko słuchał... Okay?

— Jasne, przeglądałem te dokumenty — odparł Ivarsen.

— Skąd pan wiedział, że jestem tutaj? — spytała Sharon detektywa z San Francisco.

— Spanikowana Lexi zadzwoniła do mnie i powiedziała, że jest pani w szpitalu.

Sharon spuściła wzrok. Wyraźnie dostrzegała, że detektyw ma niejasny wyraz twarzy. Udało się jej zadzwonić do Lexi i Signe zaraz po przybyciu do szpitala, kiedy lekarz stwierdził, że jej stan nie jest poważny. Przykazała Lexi, żeby nic nie mówiła Davidowi.

— Zatem pani mąż zjawił się pierwszy, zszedł po schodach za panią... — Detektyw Ivarsen wrócił do sprawy pożaru.

Sharon oddychała głęboko, chciała zachować spokój, odrzucić podejrzenie, że obaj mężczyźni mają wątpliwości co do jej opowieści. Znow zaczęła, wyjaśniła, co się wydarzyło, kiedy zeszła do piwnicy po skrzynki. W trakcie jej opowiadania obaj robili notatki. Czekali w milczeniu za każdym razem, gdy przerywała, by zebrać się w sobie.

Detektyw Ivarsen patrzył pewnie bladymi oczami. — Jest pani pewna, że pani mąż zjawił się najpierw, a nie ten drugi mężczyzna?

— Tak. — Zawahała się. — To znaczy ten drugi mężczyzna musiał się ukrywać gdzieś na dole. Nie ma innej drogi do piwnicy, tylko przez galerię. — Spojrzała na Walsha, który rozmyślnie patrzył w bok. — Paul powiedział, że zamknął drzwi do galerii, więc nikt nie będzie mógł mi pomóc... tym razem mu nie ucieknę.

— I próbował wepchnąć pani głowę do zlewu pełnego wody?

Przytaknęła, przez moment nie była w stanie się odezwać, przypominając sobie przerażenie przed śmiercią.

— Uratował panią ten drugi mężczyzna... ubrany na czarno... który podłożył ogień, żeby zamordować was oboje i jednocześnie upozorować wypadek, i zrzucić odpowiedzialność na pani męża?

— Tak właśnie.

— Chce pani powiedzieć, że mąż próbował zabić Sharon Moore, drugi mężczyzna usiłował zamordować Janice Young i pani jest jednocześnie obiema kobietami?

— Nie, to nieprawda. — Zastanowiła się, potem się poprawiła: — Do pewnego stopnia to prawda.

— Do jakiego?

Drżącym głosem wyznała wszystko: jak w San Francisco Paul przekonał wszystkich, że jest niezrównoważona psychicznie i nikt jej nie pomoże, o próbie zamordowania Lexi, potem o ucieczce i przybraniu innej tożsamości. Skończyła, mówiąc o białacze u Davida, co skłoniło ją do skontaktowania się z Paulem.

Detektyw spojrział na Walsha, który nic nie powiedział, potem znow skierował wzrok na nią.

— Nie jestem w stanie zidentyfikować mężczyzny z piwnicy, ale mam podejrzenia, kto to jest. Po tym jak wydostałam się na zewnątrz, zobaczyłam go u wylotu alejki. Przyjazd policji wystraszył go, zanim... mógł mnie dobić.

Opowiedziała detektywowi Ivarsenowi o dziwnych zdarzeniach w Seattle; nie wiedziała, czy to Paul ją oszukał, czy ktoś inny ją prześladował. — Teraz już wiem, że mężczyzna, który podłożył ogień, to ten sam, który terroryzował mnie przez ostatnie miesiące.

— Rozpoznała go pani?

— Nie widziałam jego twarzy. — Znow poczuła uścisk w żołądku. — Sądzę, że zmienił swój głos, kiedy ze mną rozmawiał, tak samo jak wtedy, gdy mówił przez telefon.

— Ale pani myśli, że go zna?

Zawahała się, była niepewna. Zastawiał na nią pułapkę, chciał, by sobie zaprzeczyła. Świadomie nie zrobiła nic złego, więc postanowiła powiedzieć mu prawdę.

— Tak.

— Czy pani uważa, że ta osoba sądzi, że jest pani Janice Young?

— Tak. Dochodzę do takiego wniosku.

— Dlaczego?

— Ze względu na te wszystkie podobieństwa, włączając fakt, że wyglądamy jak bliźniaczki.

— Z tego co wiem, było dwóch mężczyzn blisko owiązanych z prawdziwą Janice: jej narzeczony i przyrodni brat. To prawda?

Nie była w stanie ukryć swojego zaskoczenia. — Skąd pan się tego dowiedział?

Odpowiedział jej pytaniem: — Taylor Sampson i Adam Creswell? Przytaknęła.

— Pani, jako Janice Young znała obu mężczyzn?

— Nie jako Janice Young. — Jego pytania denerwowały ją. — Używałam jej nazwiska, ale nigdy nie twierdziłam, że jestem zmarłą Janice.

Zapadła cisza. Nagle wstał. — Myślę, że to na razie wszystko, pani Moore. — Uśmiech na krótko pojawił mu się na ustach. — Chyba musi pani jechać do swojego syna.

— Dziękuję — rzekła cichym głosem.

Ruszył do drzwi, a potem zatrzymał się i odwrócił do niej. — Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że wszystko wskazuje na to, że Paul został zamordowany...

Z trudem skinęła głową.

— Pani też należy do osób podejrzanych, więc proszę nie opuszczać miasta.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. — Nie zabiłam Paula!

— Nie zatrzymaliśmy pani, bo pewien dentysta potwierdził pani wersję wydarzeń — kontynuował, nie zwracając uwagi na jej wybuch. — Wychodził akurat swoim wyjściem z piwnicy, kiedy zauważył mężczyznę ubranego na czarno. Potem spostrzegł dym wydobywający się z dziury w ścianie, która oddziela piwnicę od galerii. Dentysta od razu zadzwonił, dlatego wozy strażackie przyjechały tak szybko. — Przerwał. — Sądzę, że będzie o tym w wieczornych wiadomościach.

— Czy ogień zniszczył galerię?

— Dym spowodował trochę szkód w biurze. Dzieła sztuki są bezpieczne i wydaje się, że ani budynek, ani podziemia nie zostały uszkodzone.

Kątem oka dostrzegła, że detektyw Walsh zerwał się na nogi.

— Al, nie sądzą, żeby Sharon była gotowa opuścić miasto. Jej dziecko jest chore.

Detektyw z Seattle przechylił głowę i uniośł dłoń w pożegnaniu, a potem znikł na korytarzu. Po drodze minął lekarza.

Lekarz stwierdził, że Sharon nic się nie stało i zwolnił ją do domu. Walsh zaproponował, że ją odwiezie do domu, ale odmówiła.

— Potrzebny mi mój samochód. Lexi wyjeżdża rano, muszę odwieźć ją na lotnisko.

— Więc zawiozę panią do niego. — Nagle jego oczy stały się nieprzeniknione.

— Dzięki.

Pięć minut później siedziała w jego samochodzie, który zjeżdżał wzgórzami w kierunku placu Pioniera. — Niech mnie pan wysadzi przy galerii — powiedziała. — Muszę wziąć torebkę i kluczyki do samochodu.

— O, prawie zapomniałem. Wziąłem pani torebkę od Signe. — Podał ją.

— Rozmawiał pan z Signe?

— Byłem, jak policja ją przesłuchiwała.

Spojrzała przez przednią szybę na nisko wiszące chmury. Pogoda się zmienia, pomyślała. Jak szybko niebieskie niebo stało się szare... I jak szybko na zawsze może się zmienić życie.

— Cieszę się, że nie ma żadnych szkód w galerii — rzekła. — Czuję się strasznie, gdyby Signe straciła swoje eksponaty.

Zahamował przed czerwonymi światłami, potem ruszył przy zielonych. — Niezły bałagan. Prawda?

Przytaknęła. — Szkoda, że nie mogę tego wszystkiego naprawić.

— No cóż, to sprowadza się do dwóch możliwości. — Zatrzymał się na parkingu przy jej garbusie. — Może pani być Sharon, która stała się Janiec.. I przejęła pani w spadku tajemnicę związaną z jej śmiercią. Teraz, kiedy pani chce się znów stać Sharon, ktoś na to nie pozwala.

— To prawda.

— Albo — kontynuował, lekceważąc jej słowa — może pani być Janice, która w jakiś sposób się uratowała i rozpoczęła nowe życie jako Sharon. Wyszła pani za męża, urodziła dziecko, a potem w rozpaczliwym położeniu znów stała się Janice.

— Już to panu wyjaśniałam — odparowała z niezachwianym spojrzeniem. — Myślałam, że pan mi uwierzył... — Otworzyła drzwi, wysiadła i poszła do swojego samochodu.

Obserwował, jak odjeżdża, zastanawiał się na wszystkich szczegółami z jej życia, które się nie zgadzały. Wątpił, żeby podłożyła ogień i sama znalazła się w pułapce. Na odwrót, dlaczego Paul miałby go podkładać; zamierzał ją przecież utopić. Chyba że chciał ukryć ślady morderstwa. Teoria udziału w tym drugiej osoby jest bardziej sensowna, jeżeli uwierzyć, że ktoś terroryzował Sharon. Ten mężczyzna mógłby być osobą, która zaaranżowała spotkanie Signe w muzeum, a potem kupiła obrazy, jakie miały być wysłane dziś rano... dlatego właśnie Sharon musiała zejść do piwnicy po skrzynki.

Kiedy Sharon wyjechała z parkingu i znalazła się na Pierwszej Alei, podążył za nią. Będzie obserwował, co się stanie. Nie powinien czekać zbyt długo.

Sharon patrzyła w lusterko wsteczne, zastanawiała się, dlaczego detektyw Walsh jedzie za nią. Nie uwierzył w moją opowieść, pomyślała. A może chce się upewnić, że bezpiecznie dojadę do domu.

Wpatrywała się w lusterko. Czarny sedan był za nią przez kilka minut, przecniąc lub trochę dalej. Odczuła ulgę, kiedy skręcił. Jednak po przejechaniu paru skrzyżowań znów go zobaczyła. A może był to inny samochód? Kiedy i on skręcił, uznała, że bezzasadnie się niepokoїła.

Skierowała się na północ i przyhamowała przed światłami. Zaczęła szczerkać zębami, gdy przez otwarte okno powiał chłodny wiatr. Podniosła szybę i sięgnęła do tyłu po sweter. Zatrzymawszy się na następnych światłach, włożyła go, przykryła wilgotny kołnierzyk sukienki. Tylko do domu, powiedziała sobie. Gorąca kąpiel czyni cuda.

Kończyło się popołudnie. Niebo stawało się coraz bardziej zachmurzone. Zygzaki błyskawic rysowały się z szybko przesuwających się chmur. Potem rozległy się ogłuszające grzmoty. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zaczął padać grad. Białe kulki uderzały z taką siłą w jezdnię, że odbijały się niczym miniaturowe piłeczki golfowe. Sharon włączyła wycieraczki, ale nawałnica była tak silna, że nie były w stanie zbierać wody. Podjechała do krawężnika, czekała, aż ulewa ucichnie.

Wtedy ogarnęło ją przerażenie. Nie mogła powstrzymać łez. Oparła głowę o kierownicę, przejmujący szloch wstrząsał jej ciałem. Paul próbował ją zabić, a teraz nie żyje. Ona jest podejrzana o morderstwo, jej dziecko może umrzeć. Boże, dlaczego? Dlaczego to wszystko się wydarzyło?

Stopniowo burza przycichła. Sharon wzięła się w garść, uruchomiła samochód, znów pojechała w kierunku Wzgórza Królowej Anny. Wiedziała, że musi być silna, jeśli nie dla siebie, to dla Davida.

Jednak była wystraszona. Ktoś zamordował Paula i próbował ją zabić. On wciąż gdzieś się tu kręci. Chciała, żeby Lexi mogła zostać dłużej. Gdyby David nie był tak chory, oni też mogliby wyjechać. Odetchnęła głęboko i nerwowo. Przez chwilę jej umysł niewłaściwie oceniał sytuację. Nie mogła nigdzie wyjechać; była podejrzana o morderstwo.

Minęła Space Needle i skręciła w boczną uliczkę prowadzącą pod górę. Był to skrót do jej domu. W połowie drogi silnik zaczął charczeć, nic nie dawało naciskanie pedału gazu. Spojrzała na wskaźnik. Nie mogło skończyć się jej paliwo, bo wczoraj tankowała.

Może wyciekło? Albo ktoś je spuścił?

Podjechała do krawężnika, zaciągnęła hamulec ręczny. Potem partryła przez szybę na miarowo siąpiący deszcz. Przynajmniej nie pada grad, pomyślała. Wiedziała, że będzie musiała iść pieszo. Miała do wyboru dwie możliwości: jej dom znajdował się w jednym kierunku, stacja benzynowa w drugim. W każdą stronę miała do przejścia sześć-osiem skrzyżowań.

Idź do domu, nakazała sobie. Jeżeli pójdziesz po benzynę, będziesz musiała wrócić do samochodu. Niepewnie rozejrzała się wokół. W pobliżu nie było żadnych domów, bo teren był zbyt stromy.

Sharon chwyciła torebkę, wysiadła z garbusa i zaczęła biec pod górę. Wiatr smagał deszczem jej twarz. Nie przebiegła wiele, gdy usłyszała samochód za sobą. Obejrzała się i zobaczyła znajome bmw z opuszczanym dachem. Nie miała gdzie się schronić. Próbowwała biec szybciej, ale nie mogła prześcignąć samochodu. Przyspieszył, minął ją i się zatrzymał. Zablockował jej drogę. Gwałtownie otworzyły się drzwi, z samochodu wyskoczył Taylor.

— Janice, co, do diabła, robisz tu sama? — ostro zapytał. — Wsiadaj.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami. Wciąż miał na sobie czarny strój do biegania. Cofnęła się. Głęboko oddychając, oceniała, jak daleko jest dom u podnóża wzniesienia, czy zdąży tam dobiec, zanim Taylor zawróci samochodem. Omal nie usiadła z ulgą, kiedy usłyszała odgłos zbliżającego się drugiego auta.

Gdy Taylor ruszył w jej kierunku, odwróciła się i zaczęła biec. Czarny mercedes wjechał między nich i zatrzymał się z piskiem opon. Wyskoczył z niego mężczyzna, chwycił Sharon w pasie i przyciągnął do siebie.

— Wsiadaj! — krzyknął, pchając ją w kierunku otwartych drzwi samochodu.

Taylor już był prawie przy nich. — Adam, puść ją!

Ostry zapach napełnił nozdrza Sharon. Obróciła się w ramionach mężczyzny, znalazła się twarzą w twarz z Adamem Greswellem. Jej ciało zwiotczało, upadłaby, gdyby jej nie trzymał. On też był ubrany na czarno, jego płaszcz przeciwdeszczowy cuchnął dymem.

— Janice, wciąż udajesz? — Jego słowa zlewały się ze sobą, tak jak przypominała sobie z innych spotkań z nim. Ale było coś jeszcze.

Jakby odczytał jej myśli, zmienił głos. — Zapłacisz za to, co mi zrobiłaś.

— To ty!

Uśmiechnął się szyderczo. — Wiedziałaś to. Planowałaś starannie zemstę, prawda? Grałaś niewiniątko, żeby mnie torturować. Dawałaś mi znać, że wróciłaś, żeby mnie zniszczyć. — Mocniej zacisnął rękę, aż zabołało. — Nie wystarczyło ci, że nastawiłaś przeciwko mnie ojca, odebrałaś mi spadek?

— Adam, ja nie jestem Janice. — Drgawki przeniosły się na jej głos. — Naprawdę nazywam się Sharon Moore.

Kątem oka dostrzegła, że Taylor stoi niepewnie kilka kroków od nich. Potem zobaczyła dlaczego. Adam miał nóż.

— Zamknij się, do cholery! — Przyłożył nóż do jej brzucha. — Przeprosiny cię nie uratują.

— Adam, daj mi nóż. — Taylor podszedł bliżej.

— Zwariowałeś? — Rzucił spojrzenia, mówił piskliwym tonem. — Powiedziała policji, że podłożyłem ogień, powiedziała też chyba o tamtym pożarze.

Nie starała się wyjaśniać, że go nie rozpoznała, że ze względu na dym i wodę niewiele widziała.

— Adam, Janice zginęła wiele lat temu. Ona nie żyje. — Taylor mówił łagodnym głosem. — Przypomnij sobie. Jej szczątki zostały zidentyfikowane, urządziliśmy pogrzeb, pochowaliśmy ją na Wyspach Świętego Jana.

Adam cofnął się, ciągnąc Sharon. — Nie, to jest Janice. W jakiś sposób uratowała się z pożaru. W jej miejsce zginęła jej koleżanka artystka. Widziałem jej metrykę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego. Upewniłem się.

— Byłeś w moim domu!

— Tak. — Roześmiał się piskliwym głosem, aż stanęły jej włoski na szyi. — I w samochodzie na promie. W ten sposób zdobyłem twój adres.

— Kiedy z Davidem wracaliśmy z wyspy.

Czuła, że przytaknął. — Ty głupia suko. Nawet nie wiesz, że prawie udało mi się wypchnąć cię za burtę wtedy na promie. To ja spowodowałem, że spadła winda, i omal nie dopadłem cię w garażu szpitala. — Wzrastała w nim wściekłość. — Jak zwykle miałas diabelne szczęście. Nawet udało ci się przekabacić mojego ojca i przekonać go, żeby odebrał przysługujące mi prawa.

— Nic o tym nie wiem. Daj mi szansę udowodnienia, że nie jestem Janice. Proszę.

— Tak... jesteś! Uciekłaś z pożaru, zmieniłaś nazwisko, wyszłaś za mąż i urodziłaś dziecko... — Zmienił przerywany monotony sposób mówienia. — Popełniłaś błąd, że wróciłaś, żeby zniszczyć moje życie. Teraz zginiemy oboje.

— Adam, pomyśl — prosiła. — Gdybym była Janice, dlaczego zrobiłabym coś tak głupiego? Powinnam była wiedzieć, że będziesz próbował mnie zabić.

— Jesteś głupia. Małżeństwo źle ci się układało, a twoja żądza pieńędzy była większa niż strach przede mną. Widziałem, jak na wyspie

patrzyłaś na mój dom. Chciałaś wszystko dostać z powrotem... wszystko, co odziedziczyłem po tobie.

— To nie ma sensu. — Próbowала przemówić mu do rozsądku. — Jeślibym chciała to wszystko odzyskać, dlaczego nie poszłam na policję, kiedy przyjechałam do Seattle?

— To by oznaczało, że znajdzie cię twój mąż. A on pragnął twojej śmierci tak mocno jak ja. Czekałaś na właściwy moment. Z przyjemnością obserwowałaś, jak się dręczę.

— Jesteś szalony!

— Szalony? Zawsze tak uważałaś. — Obrócił ją tak, że nóż znalazł się na jej gardle. — Ojciec ci powiedział... wiem to! Nie chciał mnie po tym, jak byłem w tym szpitalu... powiedział, że tak naprawdę nie jestem jego synem.

Dyskusja z nim nie miała sensu. Był stuknięty. Biedna Janice, pomyślała. Przypuszczalnie nie wiedziała, jak niebezpieczny jest Adam, dopóki nie było za późno.

— Adam — spróbował ponownie Taylor, podchodząc bliżej. Deszcz zaczął mocniej padać. — Nie możesz wyrzucić krzywdy niewinnej osobie. Odrzuć nóż.

— Rzuć nóż! — krzyknął też detektyw Walsh z odległości kilku kroków. Podkraść się za nią i Adama.

Adam zeszytniał. Taylor był gotowy do skoku.

— No już! Bo będę strzelał.

— Janice, oboje musimy zginąć — burknął do jej ucha. Uniósł ramię, był gotowy do zadania pchnięcia.

Rozległ się wystrzał niczym wybuch petardy. Nóż wypadł z ręki Adama, kiedy upadł twarzą na mokrą jezdnię, pociągając za sobą Sharon. Natychmiast znalazł się przy nich Taylor. Wyplątał ją z uścisku, przytrzymał, bo nie była w stanie sama stać.

Za Walshem spostrzegła detektywa Ivarsena i dwóch umundurowanych policjantów. — Sharon, już po wszystkim — zwrócił się do niej Walsh. — Może pani jechać do domu, do Davida. Porozmawiamy później.

Nie spojrzała na Adama, kiedy Taylor odprowadzał ją do samochodu. Jechali w milczeniu na Wzgórze Królowej Anny, do jej małego wiktoriańskiego domku... do bezpiecznego miejsca, które ona i David tak bardzo lubili.

Uwierzyła detektywowi. Koszmar się skończył. Teraz będzie mogła skupić się na tym, by David wyzdrowiał.

Detektywi Ivarsen i Walsh przyjechali do niej później po jej zeznanie i z informacjami. Dowody potwierdziły, że w piwnicy był drugi mężczyzna i że jego celem była Sharon. Umyślnie pozwolili jej samej jechać do domu, bo chcieli, by zabójca się ujawnił. Nie przewidzieli jednak, że pojedzie na skróty i zabraknie jej paliwa.

Taylor też pojechał za nią, bo zawsze uważał, że Adam zamordował Janice i obawiał się, że tak samo ma zamiar zabić Sharon. — Wiem, że Adam był niezrównoważony — zwrócił się do Sharon, a potem spojrzął na Walsha. — I jak już panu wyjaśniałem, był przekonany, że Sharon to Janice... Przyznaję, że ja też z początku się zastanawiałem. Bóg wie, że pragnąłem, by mogła wrócić. Planowaliśmy małżeństwo, choć dzieliły nas różnice. Po czasie wszystko by się ułożyło...

Kiedy mówił, patrzył serdecznym wzrokiem. Sharon wiedziała, że pewnego dnia będzie gotowa, by się zastanowić, czy go nie poznać lepiej, być może nawet związać się z nim. Zdała sobie sprawę, że Adam kłamał, mówiąc, iż Taylor miał trudne dzieciństwo. To dobry człowiek, a jego uczucia w stosunku do Davida były prawdziwe.

Detektywi zaskoczyli Sharon tym, ile zrobili. Ivarsen ujawnił, że Adam spędził część dzieciństwa w szpitalu psychiatrycznym. Postawiono diagnozę, że jest dzieckiem skrytym, nieprzystosowanym, mającym problemy z kontrolą nad sobą. Pod wpływem matki wyrastał w atmosferze nienawiści do ojca, oskarżał go o wszystkie niepowodzenia w życiu. Przeniósł tę nienawiść na Janice, kiedy odziedziczyła to, co jego zdaniem powinno przypaść jemu.

Walsh, po tej napaści na Lexi, przyjrzał się Paulowi. On też nie miał normalnego dzieciństwa — okrutny, dominujący ojciec, który rządził rodziną zgodnie z jakimś sekciarskim pojmowaniem religii; nieudolna matka, która utopiła się w tajemniczych okolicznościach, kiedy Paul był mały.

Lexi pojechała do domu kilka dni później. Sharon dała jej klucz do domu Paula. Lexi znalazła tam dokumenty Sharon... I jej maskę. To oraz telefoniczna rozmowa z Duńczykami, którzy pomogli Sharon na wybrzeżu Oregonu, a także oświadczenia jej dentysty z dzieciństwa i dentysty z San Francisco, pomogły jej odzyskać tożsamość.

Sharon zapłaciła firmie ubezpieczeniowej za leczenie Davida z majątku Paula. Potem odzyskała te pieniądze, przenosząc koszty na ubezpieczenie rodzinne, stworzone przez Paula, ale wciąż ważne. Signe w aktach personalnych Sharon wpisała prawdziwe dane. — Po prostu powiemy, że oryginalne dokumenty spłonęły w pożarze — stwierdziła stanowczo.

Sharon nie postawiono żadnych zarzutów. Wiedziała, że to między innymi dzięki detektywowi Wałshowi. „Okoliczności łagodzące” — tylko tyle miał do powiedzenia. Sharon była mu wdzięczna.

Mijały dni, tygodnie. Dom w San Francisco został sprzedany i Sharon kupiła ich wiktoriański domek. Lexi i Al wzięli ślub i przyjechali do Seattle w podróż poślubną. Lexi i Signe dyskutowały o możliwości wspólnego przedsięwzięcia: sklepie na Fremont, w artystycznej dzielnicy Seattle, gdzie mogłyby połączyć swoje talenty. Sharon czuła, że zapuszcza korzenie w Seattle.

Jednak wszystko zostało przesłonięte przez dobre wiadomości na temat zdrowia Davida. Leczenie zaczęło przynosić efekty i nie spodziewano się nawrotu choroby. Przeszczep szpiku kostnego nie okazał się konieczny.

Często Sharon myślała o Janice i o tym, jak jej własne rozpaczliwe położenie doprowadziło do tragedii. Jednak w końcu sprawiedliwość zwyciężyła.

Sharon była szczęśliwa. Taylor okazał się wspianiałym człowiekiem, pomagał Davidowi w trudnych sytuacjach, wspierał ją. Każdego dnia dziękowała Bogu. Ona i David byli gotowi rozpocząć nowe życie. I ono będzie trwało wiecznie.